

# Zabójca Orków

Long Nathan



calibre 0.9.27

**Nathan Long**  
**Zabójca Orków**  
**Przygody Gotreka i Felixa tom VIII**  
*Tłumaczył Grzegorz Bonikowski*



*To mroczna, krwawa era.  
Czas demonów i czarnoksięstwa.  
Era bitew, śmierci a także końca świata.  
Pośród ognia, płomieni i szaleństwa.*

*Jest to także czas niezłomnych bohaterów, śmiałych czynów i wielkiej odwagi.  
W sercu Starego Świata rozciąga się Imperium – największe i najpotężniejsze z ludzkich królestw.*

*Słynie ze swych inżynierów, czarodziejów, kupców i żołnierzy. To kraina ogromnych gór, szerokich rzek, ciemnych lasów i rozległych miast. Z wyżyn tronu w Altdorfie włada nią Imperator Karl Franz, wyświęcony potomek założyciela tego państwa – Sigmara, powiernik jego magicznego bojowego miota.*

*Czasy są niespokojne. Wzdłuż i wszerek Starego Świata, od rycerskich zamków Bretonii do skutego lodem Kisleva na dalekiej Północy, słyhać doniesienia o zbliżającej się wojnie. W niebotycznych Górach Krańca Świata plemiona orków szykują się do kolejnej napaści. Zbóje i odstępcy nękaą dzikie ziemie Księstw Granicznych na Południu.*

*Pojawiają się plotki o podobnych szczurom istotach, skavenach, które wynurzają się z rynsztoków i bagien we wszystkich krainach. Na północnych pustkowiach nie ustępuje odwieczna groźba Chaosu, demonów i zwierzoludzi wypaczonych przez nikczemne moce Mrocznych Bogów.*

*Zbliża się pora rozstrzygającej bitwy. Imperium potrzebuje bohaterów, jak nigdy przedtem.*

*„Nareszcie żeglowaliśmy w kierunku domu. Po niemal dwóch dekadach podążania za Zabójcą, szukającym zagłady na Wschodzie i Południu, i ponownie na Wschodzie – w Arabii, Indzie i Kataju. Wracałem wraz z nim do Starego Świata i naszej ojczystej ziemi. Latami tęskniłem za tym dniem, ale gdy nadszedł nie przyniósł ani radości, ani spokoju, na jakie Uczyliśmy. Zamiast tego odnaleźliśmy grozę i walkę, które czekały na nas od chwili, gdy nasze stopy dotknęły ziemi. Mój towarzysz spotkał starego przyjaciela i został poproszony o wypełnienie dawnej przysięgi. Nie miał wówczas pojęcia o okropnościach i rozlewie krwi, jakie z tego wynikną.*

*Zanim koszmar dobiegł gorzkiego, krwawego końca, widziałem Zabójcę bardziej szczęśliwego niż kiedykolwiek, chociaż w nader żalonym stanie. To był dziwny czas... I z wielką niechęcią przywołuję te smutne wspomnienia, aby je tu zapisać”.*

*Fragment Moich Podróży z Gotrekiem,  
Tom VII, spisany przez Herr Felixa Jaegera  
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2527)*

# Rozdział 1

– Orki? – Gotrek wzruszył ramionami. – Walczyłem już z orkami.

Felix spoglądał na Zabójcę w półmroku ciasnego forkasztelu kupieckiego statku. Potężnie umięśniony krasnolud siedział na ławie. Jego płomiennoczerwona broda opadała na piersi, w jednej z masywnych dłoni ścisnął wielki kufel ciemnego piwa, drugą tulił do boku otwarty antałek. Jedyne oświetlenie zapewniał pomieszczeniu mały bulaj, przez który wpadał rozdygotany, zielony jak morze, blask bijący od fal.

– Ale orki zablokowały Barak Varr – powiedział Felix. – Nie będziemy mogli przybić do brzegu. Przecież chcesz się dostać do Barak Varr, prawda? Chcesz znowu poczuć pod stopami stały ląd?

Felix z całą pewnością chciał już wylądować. Dwa miesiące w tej pływającej po morzu trumnie, w której nawet krasnolud musiał pod pokładem schylać głowę, doprowadziły go na skraj szaleństwa.

– Nie wiem, czego chcę – mruknął Gotrek. – Chyba, że kolejny kufelek.

I łknął ponownie.

Felix skrzywił się.

– Zatem, dobrze. Jeśli przeżyję, napiszę wielki poemat o twojej śmierci. Opiszę, jak bohatersko utonąłeś pod pokładem, pijany niczym niziołek w dożynki, podczas gdy nad tobą walczyli i umierali twoi towarzysze.

Gotrek powoli uniósł głowę i zmierzył Felixa spojrzeniem swego jedyne, błyszczącego oka. Po długiej chwili, podczas której Felix był pewien, że Zabójca skoczy i rozerwie jego gardło gołymi rękami, Gotrek warknął:

– Potrafisz dogadać, człeczyno.

Odstawił kufel i podniósł swój topór.

Barak Varr było krasnoludzkim portem wybudowanym na wysokim urwisku, najbardziej wysuniętym na wschód krańcu Czarnej Zatoki – zakrzywionego pazura wody wdzierającej się głęboko w dzikie tereny na południu Gór Czarnych i Imperium. Zarówno port, jak i miasto mieściły się we wnętrzu jaskini tak wysokiej, że pod jej sklepieniem mogły manewrować i dokować przy zatłoczonych przystaniach najwyższe okręty. Po obu stronach wejścia strzegły piętnastometrowe posągi krasnoludzkich wojowników, stojące na potężnych, kamiennych dziobach statków. Przysadzista, solidna latarnia wznosiła się po prawej stronie, na końcu skalistego cypla. Podobno jej płomień był widoczny z ponad dwudziestu mil.

Jednakże cuda architektury przy wejściu do Barak Varr zasłaniała Felixowi horda koźlich synów – orków, a widok ograniczała gęstwa połatanych żagli, masztów, topornych sztandarów i powieszonych ciał. Zapora wydawała się nie do przebycia. Pływająca barykada z przechwyconych i powiązanych ze sobą okrętów, statków kupieckich, tratw, barek i galer rozciągała się niemal na milę, tworząc przed portem lekko zakrzywiony łuk. Z wielu pokładów unosił się dym, wokół chlupała woda, kołyszając wydętymi ciałami i pływającym śmieciem.

– Widzicie? – odezwał się kapitan Doucette, bretoński kupiec o ekstrawaganckim wąsie, na którego statek Gotrek i Felix zamustrowali w Tilei. – Wygląda na to, że wykorzystywali do budowy każdą zdobycz i każdy przechwycony statek, który próbował tędy przepłynąć. A ja muszę wylądować. Mam do sprzedania całą ładownię przypraw z Indu i chcę podjąć krasnoludzką stal dla Bretonii. Jeśli tego nie uczynię, wyprawa przyniesie straty.

– Czy istnieje jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się przebić? – spytał Felix. Jego długie blond włosy i czerwony płaszcz z Sudenlandu powiewały, szarpane gwałtownym, letnim wiatrem. – Czy statek to wytrzyma?

– Oh, oui – odparł Doucette. – Reine Celeste jest mocna. W podróży walczyliśmy z wieloma piratami i rozbiliśmy kilka mniejszych łodzi. Życie kupca nie jest łatwe, nieprawdaż? Ale... Orki?

– Nie przejmuj się orkami – powiedział Gotrek.

Doucette odwrócił się i przyjrzał krasnoludowi, przesuwając wzrokiem od jego najeżonego, karmazynowego grzebienia włosów, przez skórzaną przepaskę na oku, aż po mocne buty – i z powrotem.

– Wybacz mi, przyjacielu. Nie wątpię, że jesteś bardzo groźny. Te ramiona niczym pnie drzew... Nieprawdaż? Piers jak u byka. Ale jesteś tylko pojedynczym człowiekiem... To jest, krasnoludem.

– Pojedynczym ZABÓJCĄ! – warknął Gotrek. – A teraz – postaw żagle i ruszamy! Muszę skończyć tę beczułkę.

Doucette rzucił błagalne spojrzenie Felixowi.

Jaeger wzruszył ramionami.

– Wychodziliśmy już z gorszych opresji...

– Kapitanie! – zawołał obserwator z bocianiego gniazda. – Statki za nami!

Doucette, Gotrek i Felix odwrócili się i spojrzeli ponad relingiem rufy. Z niewielkiej bocznej jaskini wypłynęły dwa małe kutry i tileański okręt wojenny. Pędziły w ich stronę pod pełnymi żaglami. Drewniane zdobienia zdarto i zastąpiono taranami, katapultami oraz trebuszami. Zdobiącą dziób okrętu głowę pięknej kobiety o nagich piersiach zastąpiono czaszką trolla, a z bukszprytu zwisały, powieszzone za szyje, gnijące ciała. Wzdłuż relingu stały orki, gardłowo rycząc bitewne zawołania; wokół nich skakały i skrzeczały gobliny.

Doucette syknął przez zęby.

– Zastawiły pułapkę, nieprawdaż? Chcą nas wziąć w kleszcze. Jak rak. Teraz nie mamy wyboru. – Odwrócił się, omiół wzrokiem pływającą barierę, a potem, wołając do swojego pilota, wskazał kierunek. – Dwa stopnie na sterburtę, Luque. Prosto w tratwy! Feruzzi! Żagle staw!

Felix podążył za spojrzeniem Doucette'a. Sternik obrócił kołem, a bosman wysłał ludzi na maszty, aby rozwinęli więcej żaglowego płótna. Cztery prowizoryczne tratwy, załadowane zagrabionymi beczkami i skrzyniami, unosiły się, luźno związane ze sobą, między pokiereszowanym okrętem Imperium i na wpół spaloną estalijską galerą. Na obu statkach tłoczyły się orki i gobliny, krzycząc i wymachując bronią w stronę statku Doucette'a.

Żagle kupieckiego brygu, wypełniając się wiatrem, strzeliły jak pistoletowa salwa i statek nabrał prędkości.

– Na stanowiska! – zawołał Doucette. – Przygotować się do odparcia abordażu! Uważać na bosaki!

Zielonoskórzy przeskakiwali nad burtami okrętu i galery, biegnąc po tratwach do miejsca, w którym zamierzał przebić blokadę kupiecki statek. Tak, jak przewidział kapitan, połowa z nich wymachiwała nad głową hakami i bosakami.

Felix spojrzął do tyłu. Kutry i okręt wojenny zbliżały się; gdyby kupcowi udało się pokonać barykadę, zdołaliby uciec prześladowcom. Jeśli natomiast zostaną schwytani...

– Na Panią, nie! – jęknął nagle Doucette.

Felix odwrócił się. Wzdłuż burt okrętu wojennego otwierały się kwadratowe luki, przez które wysuwały się czarne lufy dział.

– Rozerwą nas na strzępy – powiedział Doucette.

– Ale... Ale to są orki – odparł Felix. – Orki nie potrafią celować z dział.

Doucette wzruszył ramionami.

– Czy z takiej odległości w ogóle muszą celować?

Felix rozglądał się rozpaczliwie wokół siebie.

– Cóż, czy możesz ich wysadzić? Ostrzelać ich, zanim ostrzelają nas?

– Wolne żarty, mon ami – zaśmiał się Doucette. Wskazał na kilka katapult stanowiących jedyną artylerię kupieckiego statku. – To nie poradzi sobie z imperialną dębina.

Szybko zbliżali się do blokady. Było już zbyt późno, aby spróbować zwrotu na burtę. Felix czuł zapach zielonoskórych, zwierzęcy smród brudu zmieszanego z wonią śmieci, odchodów i śmierci. Dostrzegał kolczyki błyszczące w ich poszarpanych uszach i widział okrutne symbole wymalowane na tarczach i poobijanych pancerzach.

– Przerzuc mnie do nich – powiedział Gotrek.

Felix i Doucette spojrzeli na niego. Jedyne oko krasnoluda lśniło szaleńczo.

– Co takiego? – spytał Doucette. – Przerzucić cię?

– Wsadźcie mnie na jedną z tych wyrzutni kamieni i przetnijcie linę. A ja już zajmę się tym pływającym ścierwem!

– Ty... Chcesz, żebym cię wystrzelił z katapulty? – dopytywał się Doucette, nie dając wiary swoim uszom. – Jak bombę?

– Gobasy tak robią. Cokolwiek potrafi zrobić goblin, krasnolud może to zrobić lepiej.

– Ale, Gotrek, możesz... – zaczął Felix.

Gotrek uniósł brew.

– Co?

– Eh, nic takiego, nieważne. – Felix miał zamiar powiedzieć, że Gotrek mógłby zginąć, ale czyż nie o to mu w końcu chodziło?

Gotrek podszedł do jednej z katapult i wspiał się do jej kosza. Siedząc na wyrzutni, wyglądał jak wyjątkowo brzydki buldog.

– Tylko przerzucicie mnie nad relingiem i nie wstrzelcie się w bok okrętu!

– Postaramy się, panie krasnoludzie – odparł szef załogi katapulty. – Eh, nie zabijecie nas, jeśli się nie uda?

– Zabiję was, jeśli nie zaczniecie natychmiast strzelać! – warknął Gotrek. – Ognia!

– Oui, oui.

Załoga, sapiąc z wysiłku na skutek dodatkowego obciążenia masą Gotreka, obróciła wyrzutnię, aż katapulta wymierzyła w okręt wojenny. Potem jeszcze bardziej napięli ramię mechanizmu.

– Niech się pan trzyma swojego topora, panie krasnoludzie – powiedział szef strzelców.

– Może weźmiesz hełm – poradził Felix. – Albo...

Szef opuścił rękę.

– Ognia!

Załogant pociągnął dźwignię i ramię katapulty wystrzeliło w górę. Gotrek poleciał w powietrzu długim, wysokim łukiem, zmierzając prosto ku okrętowi. Lecąc, dobył ze swego byczego gardła bojowy okrzyk.

Felix patrzył pustym wzrokiem jak Gotrek rozpląszczył się na rozpiętym płótnie głównego żagla i zsunął na pokład, prosto w kłębowisko orków.

– Pytanie brzmi: jak ja to wszystko zrymuję? – zapytał sam siebie.

Zarówno on, jak i załoga katapulty wyciągnęli szyje, usiłując w zamieszaniu odnaleźć Gotreka, ale widzieli tylko kotłowaną zwałistych zielonych cielsk oraz unoszące się i opadające ogromne tasaki z czarnego żelaza. Przynajmniej nie przestają – pomyślał Felix. Skoro walka trwa, Gotrek wciąż żyje.

A potem orki przestały walczyć i chaotycznie rozbiegły się po pokładzie.



– Czy on... ? – spytał Doucette.

– Nie wiem – odparł Felix, zagryzając wargi. Czy po tych wszystkich smokach, demonach i trollach, z którymi walczył, Gotrek mógłby naprawdę zginąć, mierząc się ze zwykłymi orkami?

W górze rozległ się głos obserwatora.

– Uderzamy!

Z ogłuszającym trzaskiem statek kupiecki wbił się w szereg tratw, rozbijając drewno, rwąc liny i wyrzucając beczki, skrzynie oraz rozbiegane orki w zimną, ciemną wodę. Dokładnie po jego prawej stronie, burta okrętu uniosła się niczym mur twierdzy. Luki armatnie zrównały się poziomem z pokładem statku Doucette’a.

W powietrzu świsnęły bosaki. Felix schylił się w samą porę, unikając trafienia hakiem w ramię. Ostrza drągów wbiły się w reling, pokład i żagle. Statek, płynąc, napinał przywiązane do nich liny. Załoga Reine Celeste siekła powrozy siekierami i kordelasami, ale była ich niezliczona ilość.

Prawe ucho Felixa ogłuszył potężny wybuch i jedno z dział okrętu, nie dalej jak piętnaście metrów od Jaegera, zasłonił biały dym. Kula armatnia, mknąca na wysokości głowy człowieka, rozerwała drabinkę linową na statku.

Felix przełknął ślinę. Wyglądało na to, że Gotrek poniósł porażkę.

– Abordaż! – dobiegł głos Doucette’a.

Statek kupiecki przebił się przez linię orków i znalazł wewnątrz barykady, ale zwalniał gwałtownie, powstrzymywany ciężarem uczepionych bosakami tratw i reszty statków. Ciągnięty przez liny okręt wojenny obracał się, a jego działa pozostawały wymierzone w statek Doucette’a; potwory, niczym wzburzone fale, wspinały się po linach i burtach, przewalając się nad relingiem. Felix dobył miecza o smoczej rękojeści i dołączył do pozostałych, którzy popędzili odpierać intruzów. Ludzie różnych ras rąbali, siekli i ostrzeliwali odwiecznego wroga: Tileańczycy w obcisłych czapkach i workowatych spodniach, Bretończycy w pasiastych pantalonach, przybysze z Arabii, Indu i dalszych stron – wszyscy walczyli gnani, zrodzoną ze strachu, desperacją.

Nie było odwrotu, a poddanie się oznaczało trafienie do orczego kotła na gulasz. Felix uniknął ciosu tasakiem, który mógłby go rozciąć na pół, i ciał zwalistego przeciwnika przez kark. Z boków zaatakowały dwa gobliny. Zabił jednego, drugiego odrzucił kopniakiem. Przed nim pojawił się kolejny.

Felix nie był już delikatnym, młodym poetą, który podczas pijackiej nocy przysiągł opisać zagładę Gotreka w epickim poemacie. Dekady walk u boku Zabójcy zahartowały go i uczyniły zeń wytrawnego szermierza. Mimo to nie mógł się mierzyć – przynajmniej pod względem fizycznym – ze stojącym przed nim, ponaddwumetrowym potworem. Bestia, niemal dwukrotnie cięższa od Felixa, miała ramiona grubsze od jego nóg. Ze zwieszanej szczęki wystawały popękane kły. Stwór cuchnął jak świński zad.

Szalone, czerwone ślepia płonęły furją, gdy, rycząc, wziął zamach tasakiem z czarnego żelaza. Felix uskoczył i wykonał kontrujące cięcie, ale ork był szybki i odbił jego miecz. Rozległ się kolejny huk i kula armatnia przebiła reling trzy metry na lewo od Felixa, wbijając się w gęstwę walczących i zabijając zarówno kupców, jak i orki. Krew – czerwona i czarna – mieszała się na śliskim pokładzie. Felix odbił wraże cięcie, czując wstrząs w całym ramieniu, aż po bark. Za jego plecami padł, rozrabany na dwoje, szef załogi katapuły.

Kolejna seria wybuchów wstrząsnęła statkiem i Felix pomyślał, że orkom udało się, jakimś cudem, oddać salwę. Zerknął, obok przeciwnika, na okręt wojenny. Z luków armatnich bił dym, ale, co dziwne, nie nadlatywały pociski. Ork zamachnął się ponownie. Felix odskoczył do tyłu, potykając się o ciało szefa strzelców. Wylądował płasko na plecach, w kałuży krwi.



Ork parsknął i uniósł topór nad głową.

Spowity kulą ognia okręt wojenny eksplodował z potężnym hukiem. W powietrze poszybowały drzazgi, kawałki lin i strzępy orczych ciał. Fala uderzeniowa zwała z nóg walczących na podkładzie kupieckiego statku. Felix miał wrażenie, jakby bębni w jego uszach przebiły kolce. Ork zachwiał się nad nim i spojrzał, zaskoczony, na swą pierś. Spomiędzy żeber wystawał mu ociekający posoką armatni wycior. Stwór runął na twarz.

Felix odtoczył się na bok i poderwał na nogi, spoglądając w stronę okrytego płomieniami wojennego okrętu. A zatem Gotrekowi, mimo wszystko, się udało. Tylko, za jaką cenę? Krasnolud, z pewnością, nie mógł przeżyć.

Z wnętrza ognistej kuli wynurzył się główny maszt okrętu i runął na pokład kupieckiego brygu niczym ścięte drzewo; po opadającym drzewcu na wpeł biegła, na wpeł wspinała się krępa, przysadzista postać o skórze na twarzy czarnej jak żelazo, dymiącej brodzie i czerwonym grzebieniu włosów. Szczyt masytu rąbnął w reling handlowego statku, miażdżąc grupę goblinów, które właśnie wstawały na nogi. Z dzikim rykiem Gotrek zeskoczył z improwizowanego trapu na śródokręcie, prosto w środek zgrai orków, które, pomimo ciężkich strat, spychały załogę Doucette'a w stronę kasztelu.

Zabójca okręcił się, lądując z wysuniętym przed siebie toporem i tuzin orków oraz goblinów, z rozrąbanymi kręgosłupami, nogami i karkami, padł natychmiast. Gdy kamraci odwrócili się w ich stronę, zginęło następnych siedmiu. Pokrzepiona kupiecka załoga napała, atakując zaskoczone orki. Niestety, stwory nadal napływały z tratw, a statek nadal tkwił unieruchomiony w sieci bosaków i przyszpilony w miejscu przez zwalony maszt okrętu, Felix wskoczył na reling forkaasztelu i rzucając się w stronę kręgu orków i goblinów, które otaczały Gotreka, zawołał do Doucette'a:

– Zapomnij o orkach! Odetnij liny i usuń maszt!

Doucette zawahał się, ale zaraz skinął głową. Wykrzyczał rozkaz w czterech językach tak, aby zrozumiała go cała załoga i wszyscy odstępili, siekąc liny i wspólnym wysiłkiem próbując zepchnąć maszt okrętu wojennego za reling sterburty. Tymczasem zielonoskórzy zbierali się, by powalić oszalałego Zabójcę.

Felix zajął wypróbowaną pozycję – z tyłu i nieco po lewej Gotreka. Na tyle daleko, aby nie znaleźć się na drodze jego topora, ale wystarczająco blisko, by chronić tył i flanki krasnoluda.

Wśród orków zapanowało przerażenie; rozpaczliwie próbowały usunąć przyczynę swego strachu. Ale im bardziej się starały, tym szybciej ginęły, wchodząc sobie nawzajem w drogę i zapominając o Felixie do chwili, gdy ten przebijał im nerki. Walczyły między sobą o to, komu pierwszemu uda się zabić Gotreka. Pokład pod stopami krasnoluda był śliski od czarnej krwi, a ciała napastników piętrzyły się powyżej jego piersi.

Gotrek, rozrąbując kolejnego orka od łba po krocze, pochwycił spojrzenie Felixa.

– Niezła bijatyka, czyż nie, człeczyno?

– Myślałem, że tym razem zginąłeś – powiedział Felix, uchylając się przed kordelasem.

Gotrek parsknął i wypatroszył kolejnego przeciwnika.

– Nie ma szans. Głupie orki zebrały cały proch na pokładzie armatnim. Odrąbałem jeden paskudny, zielony łeb i wsadziłem do paleniska, aż zgorzał! – Zaśmiał się okrutnie, ścinając jednocześnie dwa goblina. – A potem cisnąłem nim wzdłuż linii armat, jakbym grał w kręgle. To załatwiło sprawę!

Z trzaskiem i chrobotem pękającego drewna załoga kupieckiego statku zepchnęła wreszcie maszt z relingu. Liny od bosaków pękły z jękiem niczym puszczone cięciwa tuku i uwolniona Reine Celeste pomknęła naprzód, prostując się wraz z podmuchem wiatru.

Załoga, wrzeszcząc radośnie, powróciła do walki z niedobitkami orków. W kilka sekund było po wszystkim. Felix i inni wytarli ostrza i spojrzeli za siebie. Zobaczyli jak trzy statki pościgowe orków zderzają się ze sobą, próbując jednocześnie przemknąć przez wyrwę w blokadzie. Na pokładach rozbrzmiał ryk wściekłości i trzy załogi zaczęły wycinać się nawzajem, podczas gdy ich lodzie grzęzły w masie tratw, lin i pływających szczątków.

Obok pogrążonych w bijatyce, przykryte wielkim kłębem czarnego dymu, powoli tonęły w wodach zatoki pozostałości płonącego okrętu. Orki na zaporze szybko odcinały tonący okręt, aby nie pociągnął za sobą innych.

Kapitan Doucette podszedł do Gotreka i nisko się przed nim skłonił. Wzdłuż jego przedramienia biegła głęboka, cięta rana.

– Panie krasnoludzie, zawdzięczamy ci nasze życie. Ocaliłeś od zagłady nas i nasz ładunek.

Gotrek wzruszył ramionami.

– To były tylko orki.

– Mimo wszystko, jesteśmy ci dozgonnie wdzięczni. Jeśli możemy się w jakikolwiek sposób odwdziżyć, jesteśmy gotowi spełnić każde twoje życzenie.

– Hmm – sapnął Gotrek, pocierając wciąż dymiącą brodę. – Możecie mi dać następną beczułkę piwa. Już prawie skończyłem tę, którą zostawiłem na dole.

To było pełne napięcia dwadzieścia minut żeglugi do portu za blokadą. Załoga z niepokojem przyglądała się tratwom i szalupom orków, które ścigały ich od strony pływającej barykady, aż w końcu zaprzestały pogoni i zostały z tyłu. Gdy Reine Celeste zbliżyła się do otwartego wejścia do jaskini Barak Varr, musieli kluczyć wokół falochronu pomiędzy na wpół zatopionymi wrakami orczych statków. Kapitan Doucette pośpiesznie odpowiedział na sygnały wysłane ze szczytu latarni. U jej stóp przyglądały im się z umocnionych stanowisk załogi krasnoludzkich kanonierów o ponurych obliczach. Krasnoludscy murarze uwijali się, naprawiając wielką dziurę wybitą w boku budowli.

Felix rozejrzał się z podziwem, gdy Reine Celeste przemknęła do portu pomiędzy dwoma posągami i pogrążyła się w cieniu jaskini. Oszalałoby go piękno groty i jej niesamowite rozmiary. Ogrom sprawiał, że z miejsca, w którym się znajdowali, nie sposób było dojrzeć jej ścian.

Z ciemności pod sklepieniem wynurzały się setki grubych łańcuchów. Na końcu każdego wisiała ośmiokątna latarnia wielkości szlacheckiego powozu. Latarnie świeciły równym, żółtym światłem, pozwalającym statkom znaleźć drogę do doków.

Port zajmował przednią połowę jaskini – szeroki, zakrzywiony front, z którego wystawały kamienne przystanie. Zostały wybudowane z typową krasnoludzką dokładnością, rozstawione równo i idealnie umiejscowione, aby zapewnić statkom możliwie rozległe pole manewru. Na kotwicy stało tu obecnie trzydzieści statków, choć miejsca wystarczyłoby przynajmniej dla osiemdziesięciu.

Za portem wznosiło się kamienne miasto. Felix, który odwiedził znacznie więcej krasnoludzkich twierdz niż ogół ludzi, ze zdziwieniem dostrzegał tak typowe dla ludzkiego rodzaju budowle, jak domy i sklepy. Wznosiły się wzdłuż szerokich alei pod ukrytym w cieniu sklepieniem jaskini. Krasnoludy nadały wszakże tym konstrukcjom ze świata na powierzchni własną formę. Felix nigdy jeszcze nie widział bardziej przysadzistych, masywniej zbudowanych budynków. Wszystkie z szarego jak stal granitu, ozdobione po szczyt dachu zawiłą, krasnoludzką geometryczną symboliką. Nawet najmniejszy dom wyglądał tak, jakby mógł wytrzymać trafienie z działa.

Gdy zbliżali się do brzegu, małe krasnoludzki parostatek, łódka z kotłem zaledwie, podpłynął, buchając dymem, a później skierował ich do wolnej przystani. Od doków dobiegły ich wiwaty, kiedy załoga rzuciła liny i wysunęła trap. Niemal stuosobowy tłum chciał powitać kapitana Doucette'a i jego załogę schodzących z pokładu. Większość stanowiły krasnoludy, ale była też wśród nich spora

liczba ludzi.

Mistrz portu, gruby krasnolud w rozciętym dublonie i bryczesach, wyszedł naprzód i przemówił, mimo ogólnej wrzawy, gratulacji i powitań.

– Witaj, kapitanie. Witaj. Jesteście pierwszym statkiem, który przybił tutaj od trzech tygodni! Od czasu, gdy przekłete orki ustawiły swoją barykadę. To wielki wyczyn, sir.

Doucette odwrócił się w stronę Gotreka.

– Sir, to on tego dokonał. Rozsadził okręt wojenny w pojedynkę, nieprawdaż?

– A zatem, jesteście Twoimi dłużnikami, Zabójco – powiedział mistrz portu, kłaniając się nisko.

Następnie, bez większego ociągania się, wyciągnął księgę portową i przystąpił do interesów.

– A teraz, sir, co przywozicie? – z niecierpliwością oblizwał usta.

– Przywożę cynamon i inne przyprawy z Indu – powiedział z dumą Doucette. – A także olej palmowy, wzorzyste kobierce z Arabii i nieco koronkowych czepców dla dam. Bardzo piękne, nieprawdaż?

Uśmiech mistrza portu zgasł mu na ustach, a wiele osób w tłumie zamilkło.

– Przyprawy? Wszystko, co macie, to przyprawy?

– Oraz kobierce i czepce.

– Przyprawy – mruknął mistrz portu. – Co nam z przypraw, jeśli nie mamy mięsa? Nie da się uwarzyć posiłku z pieprzu i soli.

– Monsieur, ja...

– Orki blokują port od trzech tygodni? – wtrącił się Gotrek. – Co jest z wami? Dlaczego nie zmiotliście ich z wody?

Zanim mistrz portu zdołał odpowiedzieć, odezwał się krasnoludzki żeglarz z brodą i włosami splecionymi w poczernione smołą warkocze.

– Przeklętym przez Grungniego zielonoskórym poszczęściło się i zatopiły jeden z naszych pancerników, a drugi przewozi krasnoludy na wojnę, na Północ.

– To prawda – powiedział mistrz portu. – Gdy tak wielu wyruszyło wspierać Imperium, ledwo wystarcza nam krasnoludów i statków, aby powstrzymać orki przed wdarciem się do portu, nie mówiąc już o przegnaniu ich. Rozsiadły się także przy wejściach od strony lądu. Jesteśmy otoczeni od ziemi i morza.

Gotrek i Felix spojrzeli po sobie.

– Wojna? – spytał Gotrek. – Jaka wojna?

– Nie słyszeliście o wojnie? – spytał mistrz portu. – Gdzie bywaliście?

– W Indzie i Arabii – parsknął Gotrek. – Goniliśmy własne ogony.

– Powiadasz, że w Imperium trwa wojna? – zagaił Felix.

– Aye – odparł żeglarz. – Hordy Chaosu znowu idą na Południe. Szaleństwo, jak zwykle. Jakiś „wybraniec” i jego chłopaki próbują podbić świat. Mnóstwo twierdz wysłało krasnoludy na Północ, aby pomóc w ich odparciu. Nasze statki przewiozły wielu z nich.

– Chaos – oczy Gotreka zabłyśły. – To dopiero jest wyzwanie!

– Byłoby lepiej, gdybyśmy pozostawili ludzi z ich własnymi problemami – powiedział z goryczą mistrz portu. – Orki wykorzystają wyjazd klanów i zbierają się na całych Złych Ziemiach. Wiele mniejszych twierdz i ludzkich miast padło od miecza i ognia. Nawet Karak Hirn jest stracone. Inne twierdze zamknęły się szczelnie, dopóki ponownie nie staną w pełnej sile.

– Jak rozwija się ta wojna? – spytał Felix. – Czy Imperium nadal istnieje? Czy wróg dotarł do...  
Nuln?

Mistrz portu wzruszył ramionami.

– Któż to może wiedzieć? Karawany lądowe przestały przybywać ponad miesiąc temu, a każdy statek, który przybijał do portu, zanim orki nie zamknęły wejścia swoimi tratwami, przywoził inną historię. Jedni mówili, że Middenheim upadł, inni, że Altdorf stoi w płomieniach. Następna załoga twierdziła, że hordy zostały zepchnięte z powrotem na Pustkowia i nie dotarły dalej niż do Praag. Równie dobrze może już być po wszystkim. Oby Grimmir tak zezwolił! Orki muszą być odparte, inaczej pomrzemy z głodu.

Gotrek i Felix zwrócili się ponownie do kapitana Doucette'a.

– Zabierz nas stąd – powiedział Gotrek. – Musimy wyruszyć na Północ.

– Tak – dodał Felix. – Muszę dostać się do Nuln. Muszę się przekonać, czy nadal istnieje.

Doucette zamrugał.

– Ale... Ale, moi przyjaciele, to jest niemożliwe. Musimy dokonać napraw, nieprawdaż? A ja muszę pobrać wodę, zapasy i ładunek. To potrwa co najmniej tydzień. – Wskazał na wejście do portu, lśniące pomarańczowo w słońcu późnego popołudnia. – A co z zielonymi? Czy zdołamy im uciec tak, jak się tu przedostaliśmy? To może być niełatwe, nieprawdaż?

– Do diabła z twoimi wymówkami – powiedział Gotrek. – Czeka na mnie zagłada. Ruszamy.

Doucette wzruszył ramionami.

– Przyjacielu, nie mogę. Nie przed upływem tygodnia. To niemożliwe.

Gotrek łypnął na niego i Felix bał się, że krasnolud zamierza złapać kapitana za kołnierz i zaciągnąć go z powrotem na pokład, ale w końcu Zabójca zaklął i odwrócił się.

– Gdzie jest Makaisson, gdy go potrzeba? – warknął.

– Wybacz mi, mistrzu – odezwał się Felix z ukłonem. – Czy możesz mi powiedzieć, gdzie możemy znaleźć kwatery na tydzień?

Mistrz portu parsknął śmiechem.

– Powodzenia! Miasto jest po brzegi wypełnione uchodźcami ze Złych Ziem, ze wszystkich twierdz i ludzkich miast. Nie ma tu łóżka do wynajęcia za żadną cenę, a także niewiele jest do jedzenia, ale skoro możecie pożywić się cynamonem, to może jakoś dacie sobie radę.

Gdy tłum wybuchnął śmiechem, Gotrek zacisnął pięści. Teraz i Felix uległ jego nastrojowi. Najchętniej walnąłby w nos każdego, kto by się nawinał. Sytuacja doprowadzała go do szaleństwa. Musiał wyruszyć na Północ. Musiał dowiedzieć się, co z jego rodziną – jego ojcem i bratem, Ottonem. Nie chciał czekać w jakimś odległym porcie, podczas gdy jego dom, jego ojczyzna, była plądrowana przez krwiożerczych barbarzyńców. Widział, co hordy uczyniły z ziemiami Kisleva. To samo mogło stać się z Imperium – w Reiklandzie i Averlandzie – podczas gdy on był daleko i nie mógł niczemu zapobiec. Nie był w stanie tego znieść.

– Chodź, człeczyno – powiedział w końcu Gotrek, odwracając się w stronę miasta i unosząc swój topór. – Zwolnimy kilka łóżek.

## Rozdział 2

Zapowiedź mistrza portu okazała się trafna. Gotrek i Felix odwiedzili trzynaście tawern, a w żadnej nie było ani jednego wolnego posłania. Większość miejscowych wynajmowała zdesperowanym uchodźcom także stajnie i stodoły. Inne gospody zostały zajęte przez miasto na koszary i szpitale dla krasnoludów oraz ludzi broniących miasta przed orkami w porcie i na blankach krasnoludzkiego fortu, który strzegł wejścia od strony lądu. Nawet zamtuzy w ludzkiej dzielnicy zamieniono na noclegownie, a dziewczęta pracowały w pakamerach pod schodami i w alkowach.

Oświetlane przez podziemne latarnie ulice Barak Varr zapełniał tłum krasnoludów i wszelakich ludzkich typów: kupców, żeglarzy, przekupniów, ponurych wieśniaków ciągnących za sobą rodziny i noszących swój dobytek na plecach, gniewnych żołnierzy rozmawiających o odbiciu swoich zamków albo zemście na orkach, zagubionych dzieci wołających za matkami oraz, ignorowanych przez resztę, jęczących chorych, kalekich i umierających w mrocznych kątach bocznych uliczek.

Dawni mieszkańcy Barak Varr – zarówno krasnoludy, jak i ludzie – którzy trzy tygodnie temu witali uchodźców z otwartymi ramionami, teraz łypali na nich za plecami. Ich cierpliwość zbliżała się do kresu. Zapasy jedzenia i piwa topniały gwałtownie, a wobec blokady niewielka była szansa, by wkrótce przybyły dostawy. Felix słyszał głośne skargi i kłótnie na każdej ulicy, w jaką skręcali.

W czternastej tawernie, Pod Morską Skrzynią, Gotrek poddał się i zamówił piwo.

– Jak dość wypiję, mogę spać gdziekolwiek – powiedział, wzruszając ramionami.

Felixowi taka decyzja nie przyszła równie łatwo, ale i on potrzebował się napić. To był ciężki dzień. Zasiedli przy okrągłym stole, wśród tłumy krasnoludów i ludzi w barwach straży miejskiej, i spoglądali przez długą chwilę na spienione w kufkach mocne piwo, jakie postawił przed nimi gospodarz. Krople wody ściekały po ściankach naczynia, a silny zapach chmielu unosił się nad nim niczym wspomnienie lata.

Gotrek oblizwał usta, ale nie sięgnął po kufel.

– Prawdziwe krasnoludzkie piwo – powiedział.

Felix skinął głową. Jego także zahipnotyzowało płynne złoto w kufku.

– Nie to przekłete palmowe wińsko, jakie piliśmy w Indzie.

– Albo bretońskie pomyje, które Doucette podawał na Celeste – odparł Gotrek. Parsknął z odrazą. – Czlecze piwo.

– Albo słodzona woda, którą dawali w Arabii – powiedział Felix z uniesieniem.

Gotrek, zniesmaczony, ze wstrętem splunął gęstą flegmą na podłogę.

– To świństwo było trujące.

Wreszcie nie mogli zdzierżyć dłużej. Chwycili za kufle i przełknęli ich zawartość długimi, chciwymi łykami. Gotrek skończył pierwszy, rąbnął kuflem o stół i rozparł się, oblizując pianę na wąsach. Oczy mu błyszczały. Felix skończył chwilę później i także rozsiadł się wygodnie. Przymknął powieki.

– Dobrze jest wrócić – powiedział w końcu.

Gotrek skinął na gospodarza, aby przyniósł następną kolejkę.

– Aye – odrzekł.

Gdy w milczeniu wypili drugą i trzecią, czoło Gotreka spochmurniało, a jego jedyne oko zapatrzyło się w przestrzeń. Felix znał te objawy i nie był zaskoczony, gdy kilka chwil później krasnolud odchrząknął i powiedział:

– Jak dawno nas tu nie było?

Felix wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam. Na pewno zbyt długo.

– I nadal żyjemy.

Gotrek wycierał pianę z wąsów, machinalnie kreśląc kręgi na pokrytych patyną deskach stołu.

– Mam za sobą najlepsze okazje do zagłady. Zabijałem trolle, wampiry, olbrzymy, smoki, demony, a każdy z nich miał zapewnić mi śmierć. Skoro one nie mogły mnie ukatrupić, to co zdoła? Czy mam spędzić następne trzysta lat, zabijając skaveny i gobasy? Zabójca musi umrzeć, aby wypełnił się jego żywot. – Uniósł topór wysoko w powietrze, trzymając za sam koniec trzonka. W świetle błysnęła, ostra jak brzytwa, krawędź. – Topór musi opaść.

– Gotrek... – powiedział zaniepokojony Felix.

Krasnolud obrzucił niewidzącym spojrzeniem błyszczące ostrze, a następnie pozwolił, by opadło.

– Gotrek! – krzyknął Felix.

Gotrek zatrzymał topór o grubość włosa przed swoim nosem, łapiąc go ponownie, i opuścił do boku, jakby nie uczynił niczego szalonego.

– Wyobraź sobie Zabójcę, który umarł ze starości. Żałosne.

Westchnął, a potem pociągnął kolejny długi łyk.

Serce Felixa łomotało z emocji. Chciał krzyknąć na krasnoluda, że jest głupcem, ale po latach spędzonych w jego towarzystwie wiedział, że wszelkie protesty sprawią tylko, iż Gotrek zaprze się i zrobi coś jeszcze głupszego.

– Musimy ruszyć na Północ – podjął Gotrek po chwili. – Ten demon był najbliżej zabicia mnie. Chcę spróbować jeszcze raz w...

– Wybacz, Zabójco – zabrzmiał głos za nimi. – Ty jesteś Gotrek, syn Gurniego?

Gotrek i Felix odwrócili się. Ich dłonie przesunęły się do broni. Dwa młode krasnoludy w zakurzonych po podróży dubletach i znoszonych butach stały w pełnym szacunku oddaleniu.

Gotrek zmierzył je wzrokiem.

– Kto chce wiedzieć?

Bliższy, którego włosy w kolorze piasku były związane na głowie w ciasny węzeł, skłonił głowę.

– Jam jest Thorgig Helmgard, syn thana Kirhaza Helmgarda z klanu Diamentowych, z Karak Hirn. Do usług twoich i twojego klanu. To jest mój przyjaciel i brat z klanu, Kagrin Głęboka Góra.

Drugi krasnolud, młodzieniec o okrągłym obliczu z brązową brodą jeszcze krótszą niż u Thorgiga, skinął głową, ale nie powiedział słowa. Wzrok miał wbity w podłogę.

– My... Rozpoznaliśmy twój topór, gdy go uniosłeś – kontynuował Thorgig. – Chociaż znamy go tylko z opisu.

Gotrek zmarszczył brwi, słysząc nazwę twierdzy.

– I to wystarczający powód, aby przeszkadzać krasnoludowi w picciu, krótkobrody?

Felix spojrzał na Gotreka. Niezwykle oschłe zachowanie, nawet jak na niego.

Thorgig poczerwieniał nieco, ale zapanował nad sobą.

– Wybacz mi, panie Zabójco. Chciałem tylko zapytać, czy przybyłeś do Barak Varr, aby pomóc swemu staremu przyjacielowi, a mojemu władcy, księciu Hamnirowi Ranulfssonowi, w odzyskaniu Karak Hirn, którą gobasy zajęły niecałe trzy tygodnie temu? Książę organizuje armię wśród uchodźców.

– Stary przyjaciel, czyżby? – powiedział Gotrek. – Nie pomógłbym Hamnirowi Ranulfssonowi dokończyć beczki piwa. Spodziewałem się, że jest zdolny utracić twierdzę swego ojca.

Odwrócił się do swojego kufła.

– Skończyłem z wami.

Pięści Thorgiga zacisnęły się.

– To była niemal zniewaga, Zabójco.

– Niemal? – odparł Gotrek. – W takim razie źle się wyraziłem. Hamnir Ranulfsson to wiarołomny pies, niegodzien drutować garnków ani kopać w śmieciach.

Felix odsunął się.

– Wstań, Zabójco – powiedział Thorgig drżącym głosem. – Nie uderzę siedzącego krasnoluda.

– Wobec tego będę siedział. Nie chcę mieć twego życia na sumieniu.

Twarz Thorgiga była tak czerwona, jak płaszcz Felixa.

– Nie staniesz? Czyli jesteś nie tylko kłamcą, ale i tchórzem?

Dłonie Gotreka zamarły na kuflu, a potężne mięśnie jego ramion napięły się, ale zaraz odprężyły.

– Wracaj do Hamnira, chłopcze. Nie żywię wobec ciebie urazy.

– Ale ja żywię wobec ciebie. – Młody krasnolud stał sztywno w pozie wyrażającej zarazem strach i wściekłość.

– No i dobrze – odparł Gotrek, spoglądając w kufel. – Wróc, kiedy twoja broda dosięgnie pasa. Wtedy się zmierzmy, ale w tej chwili piję.

– Jeszcze więcej tchórzostwa – powiedział Thorgig. – Jesteś Zabójcą. Do tego czasu dawno już będziesz martwy.

Gotrek westchnął ponuro.

– Zaczynam w to wątpić.

Thorgig i jego towarzysz nadal gapili się na Gotreka, podczas gdy Zabójca, pogrążony w smętnej zadumie, wychylał swoje piwo. Felix przyglądał się tej scenie zdenerwowany. Każdy jego mięsień był gotowy do ucieczki, gdy tylko rozpocznie się walka. Pilnował pleców Gotreka w bitwach z demonami, smokami i trollami, ale tylko szalenięc mógł wejść pomiędzy bijące się krasnoludy.

Po długiej chwili, młody krasnolud, niemogący zdzierżyć swojej niezręcznej pozycji, zwrócił się do kompana:

– Chodź, Kagrín, byliśmy głupcami, spodziewając się, że Zabójca będzie bronił swego honoru. Czyż nie stawiają grzebienia włosów na głowie, dlatego że stracili honor dawno temu?

Gotrek spał się ponownie, gdy dwa krasnoludy przepychały się przez tłum w kierunku drzwi, ale opanował się i nie ruszył za nimi.

– O co w tym wszystkim chodziło? – zapytał Felix, gdy tamci odeszli.

– Nie twoja sprawa, człeczyno. – Gotrek osuszył swój kufel i wstał. – Znajdźmy inne miejsce.

Felix podniósł się i westchnął.

– W innym miejscu będzie lepiej?

– Każde inne miejsce jest lepsze od tego – usłyszał odpowiedź.

Kwatery niespodziewanie były dostępne w następnej tawernie, brudnej spelunie zwanej Ślepą Aleją. Dwaj tileańscy kupcy, którzy się tam zatrzymywali, wdali się w walkę o względy karczmarki z trzema estalijskimi żeglarzami i wszystkich pięciu zostało wyrzuconych. W sali, wśród klientów gospody, rozpoczęła się *zacięta* licytacja o pokój, ale Gotrek wcisnął gospodarzowi diament wielkości kciuka i aukcja dobiegła końca. Krasnolud kazał sobie przysłać z tawerny na górę pół beczki najlepszego piwa i natychmiast się oddalił.

Felix potrząsnął głową, rozglądając się po ciasnym, ciemnym pokoiku. Na ścianach widoczne były zacieki pleśni, a pościel na dwóch wąskich legowiskach upchniętych pod okapem była poplamiona i szara.

– Ten diament był podarunkiem od kalifa Ras Karim – powiedział. – Można za to kupić kamienicę w Altdorfie, a ty zapłaciłeś nim za tę norę?

– Chcę trochę spokoju – mruknął Gotrek. – A jeśli masz zamiar dalej o tym gadać, możesz spać w



karczemnej izbie.

– Nie – odparł Felix, podejrzliwie odsuwając połatany koc na posłaniu. – Ja będę zbyt zajęty siłowaniem się w łóżku z robactwem, aby gadać.

– Tylko bez hałasu.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i do środka wkroczyły dwie karczmarki, niosąc baryłkę piwa. Widniał na niej znak krasnoludzkiego browaru z Barak Varr. Dziewczęta ustawiły antałek i kufle na podłodze pomiędzy posłaniami, odbiły szpunt i oddaliły się z szacunkiem.

Gotrek odkręcił kurek i strumień piwa popłynął po ściance kufła. Łyknął sobie, potem pokiwał głową zadowolony.

– To nie Bugman’s, ale jest niezłe. Dziesięć albo dwanaście kufli i mógłbym spać w świńskim chlewie. – Napełnił naczynie po brzegi i zasiadł na jedynym krześle w pokoju.

– W świńskim chlewie mogłoby być czyściej – odpowiedział Felix. On także napełnił swój kufel i łyknął. Bogaty, bursztynowy płyn, zimny i przyjemnie ostry, spłynął do żołądka i wywołał falę ciepła w kończynach. Cały pokój natychmiast wypełniło delikatne lśnienie, złota patyna, która przesłoniła brud i uszkodzenia. – Z drugiej strony, w chlewie nie mieliby tego – dodał, unosząc kufel do ust. Pociągnął kolejny długi łyk i usiadł na swym posłaniu. Deska zatrzeszczała złowieszczo, a Felix przesunął się głębiej. Westchnął.

– Więc to zamierzasz robić, gdy będziemy czekali przez tydzień na Celeste? Siedzieć w tym pokoju i pić?

– Masz lepszy plan?

Felix wzruszył ramionami.

– To po prostu wygląda na stratę czasu.

– Na tym polega problem z ludźmi – powiedział Gotrek. – Nie macie cierpliwości.

Pociągnął łyk. Felix próbował wymyślić jakąś alternatywę, ale nie dał rady, więc także się napił.

Cztery albo pięć kufli później ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Felix pomyślał, że to znowu gospodarz, który przynosi następną baryłkę i podniósł się z zapadniętego łóżka, ale gdy otworzył drzwi zobaczył w cieniu sali bogato wyglądającego krasnoluda, a za nim cztery następne. Felix rozpoznał wśród nich młodego Thorgiga i jego milczącego przyjaciela, Kagrina.

Ten w drzwiach wyglądał na rówieśnika Gotreka, chociaż, co do wieku krasnoludów trudno jest o pewność; był jednak zdecydowanie mniej pokiereszowany. Jego kasztanowobrązowa broda spływała po zielonozłotym dublecie, unosząc się na opasłym brzuchu i kończąc fantazyjnym zatknięciem za pas. Para złotych binokli zwisała na złotym łańcuszku przypiętym do kołnierza. Krasnolud miał proste, ostre rysy i jasne, brązowe oczy, w tej chwili błyszczące wstrzymywanym gniewem.

– Gdzie on jest? – zapytał.

Gotrek uniósł wzrok, słysząc ten głos, i spojrzał groźnie na przybysza z drugiego końca pokoju.

– A więc mnie w końcu znalazłeś?

– W mieście nie ma zbyt wielu jednookich Zabójców.

Gotrek beknął.

– Cóż, możesz już sobie pójść. Powiedziałem twojemu chłoptasiowi na posyłki, że nie pomogę.

Krasnolud – Felix domyślał się, że musi to być wspomniany wcześniej Hamnir Ranulfsson – ruszył krok naprzód, całkowicie ignorując Felixa. – Gotrek...

– Postawisz stopę w tym pokoju, a zabiję cię – przerwał mu Gotrek. – Po tym, co się stało między nami, nie masz powodu oczekiwać ode mnie niczego, poza rozbitą czaszką.

Hamnir zawahał się przez sekundę, a później rozmyślnie wkroczył do izby. Był to akt odwagi,

bowiem w porównaniu z Gotrekiem wygładał krucho, delikatnie i ociężale.

– Wobec tego – zabij mnie. Przełknąłem dumę, przychodząc tutaj. Powiem, co mam do powiedzenia.

Gotrek spojrział na niego ze swego krzesła zimnym wzrokiem. Potrząsnął głową.

– Stałeś się sklepikarzem.

– A ty, jak słyszę, karczemnym zabijaką.

– Powiedziałem twemu chłoptasiowi, że moja uraza dotyczy ciebie. Nie biłem się z nim.

– Pamiętam o naszej urazie, Gurnisson – powiedział Hamnir. – I dlatego nie przyszedłem prosić dla siebie, ale dla Karak Hirn i wszystkich jego klanów. Także w imieniu wszystkich krasnoludów i ludzi ze Złych Ziem. Po upadku Karak Hirn nie ma bastionu, który powstrzymałby gobasy przed najazdami na wsie. Ta ziemia płonie. Handel między krasnoludami a ludźmi ustał. Brakuje ziarna na piwo. Nie ma ludzkiego złota za krasnoludzkie miecze. Twierdze powoli wymierają z głodu.

– A dlaczego doszło do tej tragedii? – spytał, krzywiąc się, Gotrek. – Zapewne nie z twojej winy?

Hamnir opuścił wzrok, czerwieniejąc na twarzy.

– Przypuszczam, że moja wina jest większa niż czyjakolwiek. Mój ojciec i starszy brat wyruszyli na Północ, aby dołączyć do armii walczących z inwazją Chaosu, a mnie pozostawili dowodzenie Karak Hirn. Jako drugi syn, wcześniej zajmowałem się głównie handlem, jak wiesz. Miałem w zwyczaju przybywać do Barak Varr, aby negocjować z tileańskimi kupcami zbożowymi, którzy znani są ze swego zamiłowania do ostrych targów i znajomości różnych podstępów.

– Jestem pewien, że ich podstępny i targi nie są ostrzejsze niż twoje – mruknął Gotrek.

Hamnir zignorował go.

– Zatem zostawiłem twierdzę w rękach Durina Torvaltszona, jednego z doradców mego ojca. Zbyt starego, aby wyruszyć na wojnę i...

– Orki zajęły twierdzę, podczas gdy ty wyklócałeś się o pszenicę? – odraza Gotreka była namacalna.

Hamnir zacisnął szczęki.

– Nie mieliśmy powodu spodziewać się napaści. Orki szalały na Złych Ziemiach, ale nie atakowały twierdz. Po co miałyby to robić, skoro było tak wiele łatwiejszych celów wśród ludzkich osad? Ale... Ale jednak zaatakowały. Byliśmy tu od trzech dni, gdy Thorgig i Kagrin przedarli się nocą przez oblężenie i odnaleźli mnie. Powiedzieli, że orki, w przytłaczającej sile, przybyły z naszych kopalni. Zostaliśmy więci znienacka. Nasze alarmy, nasze pułapki – wszystko zawiodło. Durin jest martwy, podobnie jak wielu innych; Ferga, moja narzeczona, siostra Thorgiga, może być wśród nich. Ja...

– Więc to TWOJA wina – rzekł Gotrek.

– A nawet, jeśli moja – odparł z żarem w głosie Hamnir – czy to przywróci utracone? A jeżeli jeszcze więcej przepadnie z tego powodu? Czy prawdziwy krasnolud może się od tego odwrócić?

– Ja jestem prawdziwym ZABÓJCĄ, Ranulfssonie – warknął Gotrek. – Przysiągłem szukać chwalebnej śmierci, a nie znajdę jej, walcząc z gobasami w Karak Hirn. Wyruszam na Północ. Na Północy są demony.

Hamnir splunął.

– Oto cali Zabójcy – próżni i samolubni. Szukają chwalebnej śmierci, nie chwalebnych czynów.

Gotrek stanął, podnosząc swój topór.

– Wynoś się.

Krasnoludy w sali oparły dłonie na toporach i młotach, ruszając krok naprzód, ale Hamnir

zatrzymał je gestem dłoni.

Spojrzał na Gotreka.

– Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Miałem nadzieję, że uczynisz to, co słuszne i przybędziesz na pomoc Karak Hirn, poczuwając się do lojalności wobec własnej rasy. Widzę jednak, żeś nadal tym samym starym Gotrekiem Gurnissonem, wciąż bardziej przejętym własną chwałą niż wspólnym dobrem. Bardzo dobrze. – Uniósł podbródek, wypychając naprzód brodę niczym kasztanowy wodospad. – Zanim padła przysięga, która rozpoczęła urazę między nami, była inna, wypowiedziana, gdy staliśmy się przyjaciółmi.

– Ty brudny... – zaczął Gotrek.

– Przysięgliśmy sobie – kontynuował, zagłuszając go, Hamnir – gdy nasza krew się mieszała, że cokolwiek się wydarzy na gorzkiej drodze życia, wezwani staniemy sobie na pomoc i we wzajemnej obronie, dopóki w naszych żyłach nie zabraknie krwi, a życia w naszych członkach. Teraz przywołuję tę przysięgę.

Jedyne oko Gotreka zabłysło. Ruszył na Hamnira z uniesionym toporem. Hamnir pobladł, ale stał twardo na miejscu. Gotrek zatrzymał się przed nim, drżąc, a potem machnął toporem w dół, tak blisko boku Hamnira, że ostrze ścięło kilka odstających nitek z jego rękawa i wbiło się w deski podłogi.

Hamnir odetchnął z ulgą.

Gotrek rąbnął go w nos tak silnie, że książę wylądował na plecach u stóp swoich krasnoludów. Ruszyły naprzód, aby go zasłonić, ale Gotrek pozostał na miejscu.

– Masz nie lada czelność, powołując się na przysięgę po tym, co zrobiłeś – powiedział, gdy Hamnir usiłował unieść krwawiącą głowę. – Jednak, w odróżnieniu od niektórych, ja nigdy nie złamałem przysięgi. Dołączę do twojej armii, ale lepiej, by ta głupota skończyła się, zanim wojna na Północy dobiegnie końca.

Odwrócił się plecami do krasnoludów w drzwiach i podniósł swój kufel.

– A teraz – wynocha. Piję.

## Rozdział 3

Szeroki bulwar, zwany Rampą, biegł prosto przez Barak Varr – od doków do tylnej ściany olbrzymiej jaskini, gdzie w tradycyjnym krasnoludzkim stylu, na twardej skale wybudowane zostały rezydencje klanów założycielskich portu. Każda miała wzmocnione drzwi frontowe, zwieńczone pieczęcią klanu. Bulwar przenikał przez tylną ścianę i biegł dalej, wznosząc się stopniowo, prosty i szeroki: przebijał się na powierzchnię i docierał do zwartej krasnoludzkiej fortecy, wybudowanej do obrony wejścia od strony lądu.

Na tej drodze, trzy dni później, Hamnir Ranulfsson, książę Karak Hirn, zebrał swoją armię zbiegłych krasnoludów. Pięć setek dzielnych wojowników z tuzina klanów, a wśród nich krasnoludscy kowale i chirurdzy oraz krasnoludzkie matrony, które krzątały się, pilnując wozów pełnych jedzenia, sprzętu obozowego i zapasów. Wszyscy zmierzali w stronę Zamku Rodenheim, ludzkiej warowni w pobliżu Karak Hirn, w której, według Thorgiga, znaleźli schronienie ocaleni po inwazji orków. Wprawdzie Zamek także został spustoszony, a baron Rodenheim i wszyscy jego wasale zamordowani, ale zielona horda wkrótce porzuciła twierdzę dla nowych łupów. Po czym wprowadziły się tu krasnoludy.

Na czele kolumny Hamnira dumnie powiewały sztandary. Armia była dobrze wyposażona – w pancerze, tarcze, topory, kusze, *ręczną* broń palną i działa – a także prowiant i paszę. Barak Varr pomogło to wszystko dostarczyć. Felix nie miał wątpliwości, że stało się tak dzięki życzliwości krasnoludów z portu, które szczerze życzyły Hamnirowi powodzenia w oswobodzeniu Karak Hirn, co miało zapewnić bezpieczeństwo całej rasi. Nie wątpił także, że miał z tym coś wspólnego fakt, iż po odejściu armii Hamnira miasto będzie miało sześćset gąb mniej do wykarmienia.

Nie było to pospolite ruszenie. Krasnoludy zamierzały odbić Karak Hirn, a Felix był jedynym człowiekiem w długiej kolumnie. Zaszczyt ten zawdzięczał statusowi Przyjaciela Krasnoluda oraz gotreckowego „spamiętywacza”. Ludzie bowiem nie bywali zapraszani do krasnoludzkiej twierdzy, bez względu na okoliczności. Stał z Gotrekiem w pobliżu czoła armii, gdzie oczekiwali na uformowanie się wszystkich klanów.

Było sporo kłótni o szyk w marszu: każdy klan powoływał się na jakiś prastary zaszczyt albo precedens, który miał im zapewnić godniejsze miejsce – bliżej przodu kolumny. Felix widział, że Hamnir stojący pośrodku przywódców klanów z trudem panował nad sobą, próbując ich pogodzić.

Błyszcząca zbroja z gromrilu okrywała Hamnira od stóp do głów, być może nieco zbyt ciasno opinając go w talii. Na niej upięta była ciemnozielona opończa z wyszytą pieczęcią Karak Hirn, przedstawiającą róg ponad kamienną bramą. Tarcza na jego plecach miała ten sam znak, a głowę księcia zdobił uskrzydłony hełm, którego poliki i nasal nie potrafiły całkowicie zasłonić wydatnego, złamanego nosa i błyszczącej purpurowo pary czarnych oczu.

Gotrek kroczył obok Felixa, stękając i podpierając się toporem. Zgodnie ze swoim zamiarem ostatnie trzy dni spędził w brudnym pokoju, upijając się do nieprzytomności przez te kilka godzin dziennie, gdy wracała mu świadomość. A jednak to właśnie on – z tą niesamowitą krasnoludzką zdolnością, dzięki której, przebywając pod ziemią lub na jej powierzchni, w świetle czy ciemności, wiedział, jaka jest pora dnia – obudził Felixa dwie godziny wcześniej i kazał mu się szykować. Teraz jednakże, nie miał nic do roboty poza oczekiwaniem, a potem marszem i skutki libacji poprzedniej nocy nareszcie dały mu się we znaki.

– Mógłbyś nie oddychać tak głośno? – warknął.

– Mogę całkiem przestać oddychać, jeśli tego chcesz – odburknął Felix, bowiem on także nie żałował sobie piwa poprzedniej nocy.

Gotrek dotknął skroni.

– Tak, chcę. I nie krzycz.

Po kolejnej godzinie kłótni i przeformowywania oddziałów, ustalono w końcu szlak marszu i krasnoludzką armia ruszyła. Towarzyszył im Odgin Burzowa Ściana, dowódca lądowej fortecy, ogorzały, białobrody stary weteran oraz kompania straży miejskiej z Barak Varr – pięćdziesiąt krasnoludów w kolczugach i niebieskoszarych opończach. Gdy maszerowali, Odgin wyjaśniał sytuację panującą na górze.

– Gobaskie śmiecie oblegają fort – mówił. – Chociaż nie starają się zbyt mocno, aby go zająć. Głównie zjadają i wypijają cały furaz, jaki można znaleźć w promieniu pięćdziesięciu mil i wyrzynają wszystkie karawany, które przybywają z nami handlować. Gdy się wreszcie decydują na ruch, robią wypad na mury, a my odpieramy atak. Zwykle rzucają w nas kamieniami i goblinami.

– Dlaczego nie wyjdziecie w pole i nie zniszczycie ich? – spytał Thorgig idący u boku Hamnira wraz ze swym milczącym przyjacielem, Kagrinem.

Odgin wymienił z Hamnirem spojrzenia, uśmiechając się z rozbawieniem, a potem skinął na Thorgiga.

– Och, chcielibyśmy to zrobić, ale ich jest nieco więcej niż garstka. Dlaczego mielibyśmy ryzykować, podczas gdy za murami jesteśmy bezpieczni?

– Ale tam głodujecie – odparł Thorgig.

– Aye, lecz tamci wymrą z głodu wcześniej – odpowiedział Odgin. – Gdy zabiją całą trzodę i splądrują wszystkie miasta w odległości dnia marszu, głód wygra z ich cierpliwością i ruszą dalej. Zawsze tak robią.

– A co, jeśli zembrzecie z głodu, zanim tak się stanie?

Odgin zaśmiał się cicho.

– Orki nie znają się na racjonowaniu żywności. Nasi chłopcy mogą narzekać na zaciskanie pasa i brak piwa, ale możemy utrzymać twierdzę przez następne dwa miesiące – o sucharach i źródlanej wodzie.

Odwrócił się do Hamnira.

– A teraz, książę Hamnirze, oto, jak was wyprowadzimy. Gdybyście wyszli przez główną bramę, mielibyście na karku każdego orka z obozowiska, ale istnieje tajne przejście. Pewien jego odcinek biegnie pod ziemią i wychodzi w jednej z naszych starych stodół. – Wyszczерzył się. – Orki nieco ją rozbiły i spaliły dach, ale nie znalazły drzwi.

– A zielonoskórzy nie zobaczą nas, gdy wymaszerujemy? – spytał Gotrek. – Jest nas sześć setek.

– Po to właśnie są te chłopaki – powiedział Odgin, wskazując kciukiem ponad ramieniem na kompanię straży miejskiej z Barak Varr. – To oni wymaszerują przez główną bramę, a kiedy zielonoskórzy ku nim pobiegną, wy wymkniecie się tajnym przejściem.

Hamnir zamrugał i spojrzał w tył, na krasnoludzkich strażników.

– Chcą się dla nas poświęcić? To więcej, niż prosiłem. Ja...

– Och, nie będzie żadnego poświęcenia. Są jak ten krótkobrody, o tutaj – powiedział, wskazując głową na Thorgiga. – Chcą się zetrzeć z zielonoskórami, odkąd zaczęło się to wszystko. Wyciągniemy ich z ukropu, gdy będziecie już daleko. Nie dojdą dalej niż do bramy.

– Mimo to – odparł Hamnir – wystawiają się na niebezpieczeństwo, aby nam pomóc i dziękuję im za to.

– Nie ma krasnoluda w Barak Varr, który nie pragnąłby odbicia Karak Hirn, książę Hamnirze – odparł Odgin. – Karak Hirn utrzymuje razem Czarne Góry. Strzeże Złych Ziem. Nie przetrwamy długo bez tej twierdzy.

Gdy kolumna Hammira dotarła na szczyt Rampy, wielkie granitowe drzwi uchyliły się i armia wymaszerowała na szeroki centralny dziedziniec Kazad Varr, potężnej krasnoludzkiej fortecy o grubych murach i kwadratowych wieżach na każdym rogu. Felix, przez chwilę zdezorientowany, spojrzął za siebie. Spodziewał się, że drzwi do długiego tunelu będą wbudowane w zbocze urwiska czy góry, jak to zwykle bywało w krasnoludzkich twierdzach, ale tu nie dostrzegł żadnego wzniesienia. Drzwi mieściły się w przysadzistej, kamiennej konstrukcji z wykuszami strzeleckimi, wzniesionej w miejscu przeznaczonym na główną wieżę.

We wnętrzu fortu panował spokój. Krasnoludzy kusznicy w niebieskoszarych opończach patrolowali mury, a armatnie załogi spoglądały z wież. Nie unieśli głów, gdy, po odległym stęknieniu, pocisk o dziwacznym kształcie poszybował wysokim łukiem nad murem i rąbnął, wrzeszcząc, o kamienne płyty, nie dalej niż dziewięć metrów na lewo od Hammira.

Felix przyjrzał się temu zjawisku. Był to wychudły goblin w kolczastym hełmie, z marnie wykonanymi ze skóry skrzydłami uwiązanymi u ramion. Stwór miał przetrącony kark i rozbite ciało. Krew wyciekała z niego czarnymi strumykami.

– Idioci – powiedział Gotrek.

Felix mrugnął do niego.

– Ale ty... Na statku, zrobiłeś to samo...

– Mnie się udało.

Gdy krasnoludy ze straży miejskiej Barak Varr pomaszerowały dalej, w stronę głównej bramy, Odgin poprowadził Hammira i jego armię na tyły fortu, do kamiennych stajni wybudowanych tuż przy murze. Tam Odgin odblokował i otworzył parę wielkich, okutych żelazem drzwi. Za nimi szeroka rampa zanurzała się w tunelu przechodzącym pod murem twierdzy.

– Zatrzymajcie się tutaj, dopóki straż nie zajmie wroga walką i nie nadejdzie sygnał – powiedział Odgin. – Gdy wyjdziecie ze stodoły, maszerujcie wprost przed siebie. Zachodnia brama w starej ścianie pastwiska jest oddalona ledwie o sto metrów, a gdy ją miniecie wasz oddział będzie już zasłonięty przed wzrokiem orków.

Gotrek splunął. Jego twarz wykrzywiał grymas niesmaku. Felix uśmiechnął się pod nosem. Nawet, jeśli nakazywała tak taktyka, Gotrek nie był skłonny ukrywać się przed wrogiem.

Czekali krótko. Wkrótce od strony fortecy dobiegł grzechot łańcuchów i trybów, po czym Felix dostrzegł, jak wielkie główne odrzwia rozwierają się i unosi się kratownica. Z głośnym okrzykiem straż Barak Varr wymaszerowała przez bramę. Hełmy i ostrza toporów błyskały w porannym słońcu.

Wzbierający na sile ryk zza muru zawtórował ich okrzykowi. Z każdą sekundą stawał się coraz głośniejszy i coraz dzikszy.

– Łyknęli przynętę – powiedział Thorgig, zagryzając wargi. Felix miał wrażenie, że młody krasnolud wolałby być przed główną bramą niż tutaj.

Wkrótce potem rozległ się charakterystyczny odgłos dwóch zderzających się, tarcza w tarczę i topór w topór, armii. Oczy Thorgiga zaślniły, a pozostałe krasnoludy poruszyły się niespokojnie, zaciskając broń w rękach i mrużąc do siebie.

Gotrek stęknął i rozmasował skronie.

– Przypuszczam, że nie mogą walczyć ciszej? – mruknął.

Hałas bitwy nasilił się. Felix widział gwałtowne poruszenie w otwartym łuku głównej bramy – błysk stali, padające ciała, falujące szeregi zieleni i szarości.

Wreszcie, na murze nad bramą, załopotała czerwienią, poruszana w tył i w przód, chorągiew.

– To jest to – powiedział Odgin. – Nadchodzi cała horda. Ruszajcie.

Hammir zasalutował Odginowi, kładąc pięść na sercu.

– Masz moją wdzięczność, Odginie Burzowa Ściano. Karak Hirn nie zapomni tego.

Odgin odpowiedział, szczerząc się i salutując:

– Pamiętaj o tym następnym razem, gdy przyjdziemy wymienić morskie perły za stal na miecze, książę.

Hamnir nakazał swym oddziałom maszerować naprzód. Ruszyli tunelem w dół pochylni. To, w porównaniu z Rampą, było ciasne przejście. Ledwie wystarczało miejsca dla czterech idących obok siebie krasnoludów. Po niespełna dwustu krokach tunel kończył się kolejną pochylnią, która, jak się wydawało, wznosiła się ku sufitowi. Hamnir nakazał zatrzymać się, a Thorgig podszedł do dźwigni umieszczonej na lewej ścianie.

– Kompanie, gotuj się! – zawołał książę.

Krasnoludy dobyły swych toporów i młotów. Kusznicy założyli belty na cięciwy. Gotrek pociągnął łyk ze swojej manierki. Felix nerwowo uniósł swój miecz.

– Otwierać! – rozkazał Hamnir.

Thorgig pociągnął za dźwignię. Ze szczękiem ukrytych trybów sufit uniósł się i rozdzielił, a jasne światło poranka wlało się w mrok podziemi.

Hamnir uniósł topór.

– Naprzód, synowie Grungniego! Marsz!

Kolumna ruszyła w górę pochylni, Hamnir przodem, Gotrek i Felix w pierwszym rzędzie z Thorgigiem i Kagrinem. Wyszli w zniszczonej stodole. Budynek nie miał dachu, a ściany stanowiły stosy gruzów. Wszędzie wały się szkielety owiec i bydła oblepione gnijącymi już kawałkami mięsa.

Gdy krasnoludy opuściły stodołę i zaczęły maszerować na wprost, w stronę bramy na pastwisku, Felix spojrzał w prawo, w stronę obozowiska orków. Stanowiło niekończącą się zbieraninę namiotów z poszarpanej skóry, krzywych i wałających się dobudówek, prowizorycznych zagród dla dzików i stert odpadków. Wszystko rozciągało się promieniście od głównej bramy krasnoludzkiej fortecy. Ze ścian namiotów szczyrzyły się okrutne, wymalowane krwią i łajnem twarze. Muchy brzęczały nad stosami gnijących śmieci, na które zrzucano ludzkie ciała i kości. Prymitywne totemy zwisały nad co większymi namiotami, głosząc władzę tego czy tamtego wodza.

Teraz ze wszystkich szafasów wybiegały orki, kierując się w stronę głównej bramy. Cały obóz był w ruchu. Wodzowie i ich porucznicy przekleństwami, kopniakami i ciosami poganiali swoje niezborne oddziały ku otwartym wrotom. Wielcy zieloni wojownicy chwytali za broń i dudnili w piersi. Drobne gobliny uwalniały zębate, czworonożne bestie o wyglądzie zdeformowanych świń. Uwalane krwią sztandary wojenne, ozdobione odrąbanymi głowami ludzi i krasnoludów, powiewały nad gromadami szarżujących orków, które ryczały, zagrzewając się do walki.

Miejsce zbiórki orków znajdowało się dokładnie za ciągiem namiotów, tuż po prawej stronie kolumny krasnoludów – tak blisko, że gdyby stwory patrzyły w ich stronę, Felix mógłby dojrzeć żółto połyskujące ślepia.

Większa część fortu leżała pomiędzy oddziałem Hamnira a główną bramą, więc nie sposób było dostrzec, jak radzą sobie strażnicy z Barak Varr. Ponieważ odgłos stali uderzającej o stal nadal dobiegał do uszu Felixa, wiedział, że walka jeszcze trwa.

Thorgig zacisnął zęby.

– To niesprawiedliwe – powiedział pod nosem.

Felix potrząsnął głową. Jak można było chcieć znaleźć się na drodze tej dzikiej, zielonej lawiny? On osobiście był zadowolony, mogąc wyslizgnąć się przez tylne drzwi. Rozejrzał się. Byli już niemal w połowie drogi do bramy w murze pastwiska, ale ogon kolumny jeszcze nie wyłonił się z tunelu.



Nagle, bardzo blisko z prawej, dobiegł ich ostry krzyk. Cała kolumna krasnoludów spojrzała w tym kierunku. Dostrzegł ich goblin, który próbował zapędzić jednego ze swych niesfornych zwierzaków. Odwrócił się na pięcie i ruszył biegiem z rozwartymi z przerażenia ślepiami. Krasnoludscy kusznicy wystrzelili i tuzin bełtów pomknął za stworem. Spóźnili się. Mały zielonoskóry wykorzystał osłonę namiotu i wrzeszcząc z całych sił, pobiegł w stronę zbierających się orków.

– To załatwione – powiedział krasnolud idący za Felixem.

– I dobrze – odparł Thorgig.

Orki odwracały się, wskazywały kolumnę i zwoływały swoich kamratów. Wodzowie wykrzykiwali rozkazy.

Hamnir zaklął.

– Szybciej! – krzyknął. – Szybciej! Ruszać się!

– Biegasz, sklepikarzu? – spytał Gotrek, gdy kolumna krasnoludów przyspieszyła kroku. – Już nie potrafisz się zmusić do dobrej bijatyki?

– Skoro mam stracić tutaj połowę swoich oddziałów na „dobrą bijatykę” – parsknął Hamnir ze ściągniętą twarzą – to co będę robić w Karak Hirn, gdzie czeka nas prawdziwa bitwa?

Gotreka nie przekonało logiczne wyjaśnienie Hamnira, ale potruchtał dalej z innymi, ku wielkiej uldze Felixa.

Orki nadchodziły. Tłum potężnych, zielonoskórych wojowników wylewał się z rozbitych domów, rycząc z pragnienia krasnoludzkiej krwi. Totemy z kości i skór poruszały się nad nimi niczym koszarne marionetki. Gobliny podążały ich śladem, unosząc błyszczące długie noże.

Głowa Hamnira obracała się od obozu orków do bramy i z powrotem.

– Nie zdążymy – mruknął. – Nie zdążymy.

– No to zawróć i walcz, niech cię Grimmir przeklnie! – rzucił Gotrek.

Thorgig spojrzał niepewnie na Hamnira.

– Wasze rozkazy, książę?

– Rozkazy – powtórzył Hamnir, jakby nie całkiem rozumiał znaczenie tego słowa. – Tak, oczywiście. Ja... – rozejrzał się ponownie, błyskając białkami oczu. Orki były zaledwie piętnaście metrów dalej i zbliżały się szybko. – Niech to Grungni weźmie! Kusznicy, na prawo! Ognia! Ognia! Kolumna, w prawo zwrot! – jego głos był napięty jak struna.

Kusznicy wystrzelili i padło dwudziestu zielonoskórych. Na drugą salwę nie było już czasu. Orki, nacierając jeden po drugim, wbiły się w prawą stronę kolumny, gdy krasnoludy wolno odwracały się w ich stronę.

Topór z tasakiem spotkały się ostrze w ostrze i trzonek w trzonek, w uderzeniu, które Felix poczuł pod stopami. Poszczerbione czarne żelazo przebijało się przez błyszczące krasnoludzkie kolczugi i mocne krasnoludzkie tarcze, wgryzając się głęboko w ciała. Lśniące krasnoludzkie topory przerąbywały się przez skórnie i pancerze z kawałków metalu, tnąc zielone ciała orków i rozbijając ich białe kości.

Gotrek przepchnął się do przedniego szeregu i siekł wokół siebie jak młockarnia, oddzielając korpusy orków od ich żylastych kończyn i paskudnych łbów o grubych czaszkach. Felix dobył swego smoczego miecza, Karaghula, i dołączył do krasnoluda, trzymając się tuż poza zasięgiem wielkiego topora Zabójcy. Pchnął goblina w pysk i uniknął ciosu maczugi wielkiej jak pniak drzewa, uniesionej przez orka, z którego sterczących w górę kłów zwisały brązowe pierścienie.

Pod naporem orków krasnoludy padały na prawo i lewo, ale szereg nie załamywał się. Ze stoicką determinacją przyjmowały dzikie ciosy orków na swoje tarcze i kontratakowały z ponurym spokojem.

Nie było wściekłych ataków i desperackich wypadów – tylko jednostajna, bezlitosna rzeź powalająca jednego orka za drugim. Nawet Hamnir był spokojniejszy, jakby fizyczna praca polegająca na wymachiwaniu toporem dodawała mu otuchy.

Szyk orków załamał się i rozproszył przesywany bekami i spychany nieubłaganym atakiem krasnoludów. Panika przeniosła się w głąb tłumu i reszta uciekła, wyjąc dzikie przekleństwa.

– Spychamy ich – powiedział Hamnir, unikając ciosu tasakiem i rozrąbując korpus jego właściciela do kości. – Moglibyśmy...

Ze skupiska namiotów dobiegł ryk głośny jak grzmot. Felix kopnął w twarz goblina i podniósł wzrok. Olbrzymi wódz orków, otoczony tłumem czarnych przybocznych, kroczył w stronę pola bitwy. Ryknął na uciekające orki i wycelował gniewnie palcem w stronę kolumny krasnoludów.

Orki, widząc jego niezadowolenie, skuliły się i niechętnie zawróciły ku krasnoludom.

– Szczęście krasnoludów – mruknął Hamnir, rąbiąc orka w kolano swoją tarczą.

– Ten wielki wzbudził w nich strach Górka – powiedział Gotrek. Wydawał się niemal zadowolony.

Wódz wbił się w środek kolumny. Jego zauszniczy i czarne orki szli za nim. Wielki tasak dowódcy wycinał krwawą trasę wśród kompanii Żelaznego Bractwa. Broń zdawała się lśnić zielonkawym światłem. Martwe krasnoludy padały do tyłu. Gdy wódz rąbał i ciął, odrąbane kończyny, wirując, odlatywały. Jego przyboczne czarne orki napierały za nim. Ośmielone obecnością przywódcy, orki zaatakowały z nową furją wzdłuż całego szeregu krasnoludów.

Hamnir przeklął pod nosem.

– Chciałeś dobrej bijatyki, Gurnisson – rzucił przez ramię. – Do roboty, zatem!

Gotrek był już poza zasięgiem jego głosu, nacierając wzdłuż kolumny w stronę szalejącego wodza orków. Felix popędził za nim, podobnie jak Thorgig i Kagrin.

– Chcę zobaczyć w akcji tego tchórza z włosami w grzebień – warknął Thorgig. – Może walnie orka w nos, gdy tamten nie będzie gotowy.

Kagrin uśmiechnął się, ale niczego nie powiedział.

Wódz był wielki – dwukrotnie przewyższał wzrostem krasnoluda, a szerokością w barach dorównywał swojej wysokości. Jego zbroja stanowiła połączenie kawałków metalu i zdobycznych elementów pancerzy płytowych. Krasnoludzkie napierśniki służyły mu za naramienniki. Naszyjnik ze splecionych włosami ludzkich głów o wytrzeszczonych oczach, zwisał z grubego jak pień karku. Gdy Gotrek i Felix zbliżyli się, Jaeger usłyszał wściekły, wysoki skrzek i zdał sobie sprawę, że wyje lśniący na zielono tasak wodza, łaknący krwi. Runy na toporze Gotreka jarzyły się czerwono, gdy zbliżał go do przeklętej broni.

Wokół olbrzyma panował chaos – krasnoludscy wojownicy pchali się naprzód, by uczestniczyć w walce, kusznicy szukali okazji do czystego strzału, zwalisci porucznicy wodza orków siekli i rąbali na prawo i lewo, próbując zdobyć jego uznanie podczas szalonej rzezi.

Wódz rozrąbał na pół krasnoluda. Tasak przeciął ciężką kolczugę wojownika, jakby to było masło. Metal dosłownie rozpuścił się i rozplątał pod jego ciosem.

Gotrek wskoczył na stos krasnoludzkich ciał i zamachnął się swoim toporem. Runy zostawiały za sobą czerwoną łunę. Ork poderwał swój tasak i broń zderzyła się z ogłuszającym szczękiem. Posypały się iskry. Tasak wrzasnął jak ranny demon. Wódz ryczał i rąbał, wściekły, że napotkał opór. Gotrek zablokował cios i uderzył, a topór i tasak zaczęły spletać się w wirującą klatkę stali i żelaza, gdy przeciwnicy cięli i kontrowali.

Czarne orki, przyboczni wodza, runęli naprzód, wyjąc o krew. Felix, Thorgig i Kagrin zwarli się z nimi, aby strzec flank Gotreka. Felix uchylił się przed ciosem zadany przez ząbkowany topór

jednookiego orka, a potem ruszył naprzód i pchnął potwora w jedyne ślepie. Stwór zaryczał ze wściekłości i bólu, tnąc na oślep. Dziki cios wybebeszył jednego z jego kompanów. Dwóch innych dobiło go i odepchnęło za siebie.

Gdy orki nań uderzyły, Felix uskoczył w tył. Nie było sensu parować. Ciężkie topory tylko strzaskałyby jego miecz, a ramię by zdrętwiało. Po lewej Gotreka, Thorgig odbił na bok pałkę orka uderzeniem swojej tarczy i przerąbał mu kolano. Ork zwałił się jak ścięte drzewo. Tasak zahaczył jednak o skrzydła na hełmie Thorgiga i zerwał mu go z głowy. Krasnolud toporem zablokował kolejny atak. Siłą ciosu niemal go powaliła. Kagrin, który dotąd trzymał się z tyłu, rzucił się i rąbnął orka w bok swym pięknie wykonanym toporem. Thorgig dokończył dzieła.

Gotrek sparował kolejny cios wodza, a potem obrócił swój topór tak, że ostrze zsunęło się po trzonku tasaka i odcięło orkowi palce. Odpadły niczym grube zielone glisty, a lśniący tasak upadł. Wódz ryknął, lecz na próżno macał krwawymi kikutami, chcąc odzyskać broń. Gotrek wskoczył na jego kolano i rozciął kościsty czerep aż po mostek.

Czarne orki gapiły się, jak Gotrek powalił ciało wielkiego orka na ziemię, a dwa z nich zginęły od topora krasnoluda, zanim zdołały ochłonać. Trzy skoczyły na Gotreka; każdy próbował dopaść go pierwszy. Odpędził je grzbietem topora i chwycił tasak wodza. Broń zaiskrzyła wściekle zieloną energią, zetknąwszy się z jego skórą. Gotrek nawet się nie skrzywił.

– Kto jest następnym szefem? – zawołał. – Kto to chce?

Gdy trzy czarne orki ponownie ruszyły naprzód, Gotrek rzucił za nie buczący tasak. Uniosły wzrok, śledząc tor lotu, a potem odwróciły się i skoczyły naprzód, rozpychając się łokciami i potracając wzajemnie, aby go chwycić. Pozostali przybocznicy spojrzeli na zamieszanie i zobaczyli pierwszych trzech walczących o tasak. Ryknęli i dołączyli do bijatyki, zapominając o krasnoludzkich przeciwnikach.

Krasnoludy naparły na plecy orków, ale Gotrek wyciągnął dłoń.

– Zostawcie! – krzyknął. – Niech się biją.

Krasnoludy cofnęły się; orki wykańczały się nawzajem. Jeden z poruczników zatopił topór w piersi innego. Pozostali wołali o pomoc do swoich popleczników. Orki zaczęły się odrywać od kolumny krasnoludów, aby popędzić do swoich przywódców. Felix dostrzegł, jak lśniący topór ściał czyjs łeb, ale atakujący został odepchnięty i broń podjął kto inny.

Gotrek wytarł topór o zdeptaną trawę.

– To załatwiło sprawę – powiedział zadowolony i ponownie ruszył na czoło kolumny. Felix dołączył do niego.

Thorgig spojrzął na plecy Gotreka, poniósł swój wyszczerbiony hełm i ruszył wraz z Kagrinem. Wydawał się rozczarowany sukcesem Zabójcy.

Coraz więcej orków opuszczało stanowiska, by przyłączyć się do bijatyki o tasak. Inne walczyły między sobą. Zanim Gotrek i Felix dotarli do Hamnira, trasa marszu kolumny była czysta.

Hamnir mruknął, wyrażając niechętnie uznanie.

– Myślałem, że postąpisz na sposób Zabójców i spróbujesz pokonać ich wszystkich, podczas gdy my będziemy umierać za tobą.

– Przysiągłem cię chronić – odpowiedział oschle Gotrek. – Nie łamię przysięg.

Kolumna ruszyła naprzód, gdy orki jeszcze walczyły.

## Rozdział 4

Nastrój krasnoludów, ponury z powodu strat, jakie wyrządziły im orki podczas wyjścia z Barak Varr, stawał się jeszcze gorszy w miarę podróży w głąb Złych Ziemi. Chociaż widzieli niewiele orków, ślady wyrządzone przez nie zniszczeń były wszędzie.

Kraina była plądrowana przez hordy zielonoskórych, od kiedy osiadły tu krasnoludy i zamieszkali ludzie. Ich inwazje były tak częste, jak wiosenne powodzie i niemal równie przewidywalne. Hardzi mieszkańcy równin chronili się przed nimi jak przed burzą. Kilka osad ciasno otaczało silne warownie, do których mogli się wycofać wieśniacy z dobytkiem. Tam przeczekiwali rabunek ich farm, aż dzika fala odchodziła. Później następowały powroty i odbudowa.

Ponieważ tak duża liczba ludzi i krasnoludów wyruszyła na Północ, tym razem było znacznie gorzej. Nie było nikogo, kto mógłby powstrzymać najeźdźców, a orki do woli oddawały się łupiestwu. Wszystko było niszczone jak popadnie. Armia Hamnira przybywała do wiosek spalonych do gołej ziemi, z wymordowanymi wszystkimi mieszkańcami, lecz spotykała również nietknięte osady w promieniu mniejszym niż pięć kilometrów. Wieśniacy uprawiali swoje pola, nerwowo obserwując horyzont. Na każdym pagórku rozstawione były czujki.

Mijali zamki pod łopoczącymi sztandarami oraz osmalone ruiny innych warowni. Farmy i domy wokół nich były spalone do cna, a kości wieśniaków i ich rodzin rozrzucone wokół poczerńiałych kręgów palenisk. Tam, gdzie przeszły orki, nie pozostawało nic do jedzenia. Trzoda została pożarta, drzewa owocowe i kosze z ziarnem ogołoczone, beczki piwa i wina osuszone i rozbite.

Jedyni ludzie, którzy nie zostali wrzuceni do kotłów na gulasz, to ci, których użyto do zabawy. Gnijące obecnie ciała w zniszczonych zbrojach zostały rozciągnięte i przybite do drzew. Na ich piersiach wymalowano niekształtne tarcze celownicze. Ze zwłok wystawały dziesiątki czarnych strzał. Większość nie trafiła w środek. Inne zwłoki, okrutnie okaleczone, powieszono na zamkowych blankach ku przestrodze.

To był ponury marsz, a Gotrek był ponurym towarzyszem, jeszcze bardziej milczącym i oschłym niż zazwyczaj. Trzymał się tak daleko od Hamnira, jak tylko mógł, idąc z tyłu, w pobliżu wozu z bagażem, podczas gdy Hamnir maszerował na czele. Tylko wtedy, gdy zwiadowcy raportowali o dostrzeżeniu orków lub innych niebezpieczeństwach w pobliżu, Gotrek powracał na front, aby zająć pozycję obronną obok swego dawnego kompana.

Zabójca odzywał się do Felixa niewiele częściej niż do Hamnira. Wydawał się całkowicie zamknięty w sobie. Podczas marszu wpatrywał się w ziemię i mamrocząc coś pod nosem, całkowicie ignorował Felixa. Pozostałe krasnoludy także nie zwracały na niego uwagi, przyglądając mu się podejrzliwie, o ile zechciały zaszczycić go spojrzeniem. Felix nie potrafił przypomnieć sobie tak silnego poczucia wyobcowania podczas swoich podróży z Gotrekiem. Podczas wszystkich dotychczasowych przygód było z nim przynajmniej kilkoro ludzi – Max, Ulrica – chociaż nie, ona nie była już człowiekiem. Teraz wydawało się, że jest jedynym członkiem swej rasy w promieniu setek kilometrów. Dziwne uczucie osamotnienia.

Podczas każdego postoju, gdy inne krasnoludy paliły fajki albo gotowały kiełbasy i grzyby czy po prostu odpoczywały, a Felix spisywał wydarzenia dnia w swoim dzienniku, milczący przyjaciel Thorgiga, Kagrin, wyciągał pozłacany sztylet oraz zestaw małych pilników, dłut i ryłców, po czym zabierał się do wycinania nieprawdopodobnie zawiłych wzorów na gałce i jelcu broni. Nie używał szablonu, a jednak praca była idealnie symetryczna i dokładna; stanowiła kwintesencję kanciastego, geometrycznego stylu, który ukochała jego rasa. Pozostałe krasnoludy były pod wrażeniem; zatrzymywały się w połowie rozkładania namiotów, aby przyjrzeć się dziełu i dawać rady albo

chwalić. Jedno i drugie przyjmował bez słowa, jedynie uprzejmie skłaniając głowę, i jeszcze pilniej skupiał się na pracy.

Felix także go obserwował, zdumiony zarówno artyzmem twórcy, jak i jego niezwykłym zachowaniem. Nigdy nie widział bardziej wyciszonego krasnoluda. Cała rasa miała od urodzenia skłonność do próżnych przechwałek, ale Kagrin niemal nigdy nie podnosił wzroku, a tym bardziej głosu. Jednak raz czy dwa Felix dostrzegł, że Kagrin przygląda mu się i odwraca oczy, gdy tylko Felix na niego spojrzał. Inne krasnoludy w obozie także łypały na Felixa, zaczepnie i wyzywająco, jakby obrażała ich sama jego obecność i jakby oczekiwały przeprosin za istnienie ludzkości. Spojrzenie Kagrina było inne – bardziej zaciekawione niż gniewne.

Wreszcie, wieczorem czwartego dnia, gdy rozbili obóz i zjedli wieczerzę, Kagrin usiadł obok Felixa i zaczął, jak zwykle, pracować nad sztyletem. Robota zabrała mu całą godzinę, zanim w końcu spojrzał na Felixa i odchrząknął.

– Aye, złotniku? – zagadnął Felix, gdy Kagrin nie zdołał odezwać się słowem.

Kagrin rozejrzał się, jakby bał się, że ktoś go usłyszy.

– Ee, ja... Chciałem cię spytać, ponieważ jesteś człowiekiem... – umilkł.

Felix zamierzał znów go zachęcić, lecz wreszcie krasnolud odezwał się ponownie, niemal niedosłyszalnie.

– Czy... Czy krasnoludy są cenione na ziemiach ludzi?

Felix zamyślił się. Nie spodziewał się takiego pytania.

– Hmm, cóż, generalnie tak. Ich rzemiosło jest wysoko cenione, podobnie jak honor i niezłomność. Są tacy, wśród mniej bywałych, którzy spoglądają na krasnoludy z podejrzliwością i zazdrością, ale większość ludzi traktuje je z wielkim szacunkiem.

Kagrin wydawał się pokrzepiony tą odpowiedzią.

– A... A czy są miejsca, gdzie krasnoludy żyją spokojnie obok ludzi?

Felix spojrzał na niego zaskoczony.

– W miastach Imperium istnieją enklawy krasnoludów od tysiący lat. Nie słyszałeś o nich?

Kagrin uniósł ramiona i znowu się rozejrzał.

– Pssst! Aye, tak, ale słyszałem... Słyszałem, że krasnoludy muszą zamykać się na noc z obawy, że ludzie przyjdą je zamordować i ograbić. Powiadają, że krasnoludy były palone na stosach jako wrogowie człowieka.

– Kto mówił coś takiego? – zapytał Felix, marszcząc brwi. – Ach... Wybacz, jeśli podważam opinię twoich klanowych braci, ale być może nie chcą stracić złotnika tej klasy i opowiadają ci historie o barbarzyństwie ludzi, aby zniechęcić cię od odejścia.

– Nie mówiłem, że chcę odejść! – syknął gniewnie Kagrin. Zacisnął pięści.

– Oczywiście, że nie, oczywiście – odparł Felix, unosząc otwarte dłonie. – Widzę tylko, żeś ciekaw. Więc, hmm, dla zaspokojenia twojej ciekawości, wyjaśnię – nigdy nie słyszałem o krasnoludach spalonych na stosie albo nazwanych wrogami ludzkości. To prawda, że zdarzały się przypadki ataków – zazwyczaj zazdrosnych i zdesperowanych rzemieślników, którzy napadali na domy krasnoludów, ale to rzadkość. Nie słyszałem, aby coś takiego w ogóle wydarzyło się w tym stuleciu. Krasnoludy od dawna mają swoje miejsce w Imperium. Większość nieporozumień wygasła dawno temu. Krasnolud, który rozważa otwarcie warsztatu w Imperium, nie musi lękać się trudności, a może oczekiwać wielkiego powodzenia, szczególnie, jeśli jest uzdolnionym złotnikiem, takim jak... Cóż... Jak niektórzy, których znam.

Kagrin skinął głową, a potem spojrzał z poczuciem winy w stronę Thorgiga siedzącego z grupą innych krasnoludów i grającego w jakąś grę z kamiennymi pionkami i kostką.

Odwrócił się do Felixa i uklonił się.

– Dziękuję ci, człowieku. Ee... Zaspokoiliś moją ciekawość.

Felix skłonił głowę.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Przyglądał się Kagrinowi, który zebrał swoje narzędzia i oddalił się do namiotu. Dziwnie było myśleć o kimś, kto z pewnością miał trzydzieści lat na karku, jako o biednym chłopcu, ale Felix nie potrafił inaczej. Było jasne, że Kagrin czuł się rozdarty między pragnieniem poznania wielkiego świata a więzami przyjaźni i rodziny. Czekająca go trudna droga, jakąkolwiek ścieżką by nie podążył. Felix życzył mu jak najlepiej.

Po sześciu dniach marszu w wolnym, ale stałym tempie krasnoludów, północne niebo wypełniły Góry Czarne, na początku widoczne jako niska, postrzępiona linia na horyzoncie. Był to niekończący się szereg olbrzymów stojących ramię w ramię, jak okiem sięgnąć, od Wschodu na Zachód. Ciemnozielone suknie gęstych iglastych lasów wznosiły się ku wielkim, czarnym góróm z granitu, od których pasmo wzięło nazwę. Pokryte śniegiem szczyty lśniły krwawo w blasku zachodzącego słońca.

– Dom – powiedział Thorgig, wdychając radośnie powietrze i spoglądając na wspaniałe szczyty.

Chyba dla górskich kozic – pomyślał Felix, jęknąwszy w duchu na myśl o wspinaczce, jaką wkrótce będzie musiał podjąć. Od zbroczy wiał zimny wiatr. Człowiek owinał się ciaśniej swoim starym czerwonym płaszczem i zadrżał.

A może miał dreszcze z innego powodu niż chłód? Chociaż bowiem krasnoludy ciepło myślały o tym miejscu, u Felixa góry wywoływały mniej przyjemne odczucia. To niedaleko stąd Gotrek i Felix pomogli skazanemu na zagładę baronowi von Diehlowi znaleźć osadę, która została spalona do gołej ziemi przez zielonoskórych dosiadających wilków. W Forcie von Diehla Gotrek stracił oko, a Felix swoją pierwszą miłość. Potrzęsnał głową, próbując przegnać wspomnienia. Kirsten. Żałował, że nie potrafi zapomnieć jej imienia.

– Oto Zamek Rodenheim – powiedział nieco dalej Hamnir, wskazując na surową, przysadzistą budowlę wznoszącą się na jednym z porośniętych lasem wzgórz odstających od pasma gór niczym szpony. – To wielka szkoda, że barona Rodenheima nie będzie wśród tych, którzy zbierają się, aby nam pomóc. Był prawdziwym przyjacielem krasnoludów. Niech jego bogowie przyjmą go do siebie.

Armia wyruszyła do zamku zarośniętą drogą dla wozów wijącą się ku szczytowi wzgórz i wkrótce zaczęła dostrzegać oznaki upadku. Mała wioska, która przywierała do zbroczy poniżej, była rozbita i spalona, kamienne domy pozbawione dachów i zawałone, kapliczki zbezczeszczone. Pokruszone kości zostały zebrane w kątach na stosy niczym sterty śniegu. Koszmarny smród unosił się nad miejską studnią, krążyły muchy. Czerwony zmierzch malował tę scenę krwawym pędzlem. Felix podczas lat spędzonych z Gotrekiem widywał mnóstwo rzezi i pozostałych po nich ruin, więc takie widoki nie ścisnęły mu już żołądka, ale nigdy nie przestały go przygnębiać.

Sam zamek także nie wyglądał lepiej. Chociaż jego mury nadal stały, miejscami były osmalone i czarne, a wielkie fragmenty ścian odpadły od blanków. Flagi z symboliką Karak Hirn powiewały nad dachami wypalonych wież.

Gdy armia krasnoludów podeszła bliżej, z murów rozległ się zew rogu i Felix dostrzegł przysadziste postacie z długimi muszkietami, które maszerowały na pozycje za umocnieniami. Nad nimi zapłonęły pochodnie, oświetlając krasnoludzkie załogi przygotowujące katapulty i trebusze oraz kotły wrzącego ołowiu. Na głos rogu odpowiedział inny, po czym nastąpiły zawołania i komendy na murach.

Białobrody Gromowładny w dobrze znoszonej kolczudze wspiał się na blanki nad bramą. Palec

trzymał na spuście swojego muszkietu.

– Ani kroku dalej, na Grimmira! – zawołał, gdy czoło kolumny Hamnira znalazło się w zasięgu głosu. – Stać, dopóki się nie przedstawicie i nie podacie celu waszego przybycia!

– Witaj, Lodrimie! – zakrzyknął Hamnir. – Tu księżę Hamnir Ranulfsson. Sprowadzam ze sobą sześciuset śmiałych krasnoludzkich ochotników. Czy zechcesz nas wpuścić?

Gromowładny wychylił się, mrugając niedowidzącymi oczami.

– Księżę Hamnir? To ty? Chwała niech będzie Valayi! – odwrócił się i zawołał przez ramię. – Otworzyć wrota! Otworzyć wrota! To księżę Hamnir przybywa z posiłkami!

Z trzeszczeniem przekładni poszła w górę krata i opuścił się zwodzony most. Oba elementy nosiły ślady niedawnej bitwy, ale również świeżych napraw.

Jeszcze zanim most spoczął z głuchym sieknięciem, pojawił się na nim krasnolud z rozwartymi ramionami.

– Hamnir! – zawołał. – Księżę!

Był wysoki jak na krasnoluda – miał niemal sto czterdzieści centymetrów wzrostu – i potężnie zbudowany. Jego blednące już, brązowe włosy związane były w warkocz, a białe zęby pobłyskiwały przez gęstą brodę, która rozdzielała się, spływając wzdłuż szerokiej jak beczka piersi, aż do pasa.

– Gorril! Dobrze cię widzieć! – powiedział Hamnir, gdy dwa krasnoludy objęły się i klepały nawzajem po plecach.

– Z ulgą widzę cię żywego – rzekł Gorril.

– A ja ciebie – odpowiedział Hamnir.

Gorril cofnął się o krok i uklonił się, szczerząc zęby.

– Chodź, księżę, wejdź do swej fortecy, chociaż jest to jedynie nędzna ludzka chata na powierzchni.

Odwrócił się do grupy krasnoludzkich wojowników, którzy stali w bramie zamku. – Ruszajcie się! Przygotować kwatery dla księcia Hamnira! I znajdźcie postania jeszcze dla sześciuset!

Hamnir odwrócił się i nakazał kolumnie marsz naprzód, a potem przekroczył wraz z Gorrilem bramę i wszedł na dziedziniec zamku. Gotrek, Felix, Thorgig i reszta pomaszrowali za nimi. Dziedziniec był zatłoczony wiwatującymi krasnoludami, a jeszcze kolejne wybiegały zza każdych drzwi. Wszystkie pozdrowiały Hamnira i nowe oddziały.

– Przedarliście się bez strat? – zapytał Gorril, gdy przepychali się przez rozentuzjasmowany tłum.

– Mieliśmy pewne problemy z orkami, gdy wychodziliśmy z Barak Varr – odparł Hamnir. – Od tego czasu już żadnych. – Spojrzał na Gorrila z nadzieją w oczach. – Jakies wieści o Ferdze?

– Albo o moim ojcu? – spytał Thorgig z napięciem.

Oblicze Gorrila spochmurniało.

– Żadnych. Przykro mi. – Spojrzał na Thorgiga ze współczuciem. – Ty i Kagrin jesteście jedynymi krasnoludami z klanu Diamentowych, którym udało się uciec. Wielu zginęło w obronie, ale uważa się, że twój ojciec zamknął pozostałych w swojej twierdzy. Mogą być nadal żywi, chociaż musi im brakować pożywienia.

Thorgig zacisnął pięści.

– Powiniennem być z nimi. Jeśli stało się im coś złego...

– Nie możesz się obwiniać – rzekł Gorril. – Utrzymałeś swoją pozycję, według rozkazu, a potem nie było już powrotu.

– Wobec tego powiniennem zginąć.

Hamnir położył dłoń na ramieniu młodego krasnoluda.

– Spokojnie. Jeśli wydarzyło się najgorsze, będziemy przynajmniej mieli okazję, aby ich



pomścić. – Rozejrzał się, przyglądając wiwatującemu tłumowi i skinął zadowolony na Gorrila. – Thorgig powiedział mi, że posłałeś po pomoc. Zdaje się, że ci się udało.

Gorril skrzywił się.

– Nie jest ich tylu, ilu bym sobie życzył. Pozostałe twierdze nie miały zbyt wielu krasnoludów. Zbyt wielu wyruszyło na Północ. – Wzruszył ramionami. – Ale zostawmy to na jutro, aye? Dzisiaj uczujemy!

Zwrócił się do tłumu:

– Ustawcie ławy, wy lenie. Wasz książę powrócił do domu!

Rozległy się głośnie wiwaty, a w powietrze uniosły się topory i pięści. Ale gdy Gorril prowadził Hammira w stronę wieży, przepchnęły się naprzód dwa krasnoludy.

– Książę Hammirze – powiedział pierwszy, młociarz o zaplecionej w warkocze, czerwonej brodzie. – Jako lider tego zgromadzenia, proszę cię, abyś odesłał krasnoludy z klanu Złotego Młota, które znieważyły dobre imię klanu Głębokiej Twierdzy, odmawiając mojemu praprapradziodowi słusznie należnego mu prawa do poprowadzenia jego Żelaznobrodych w bitwie pod Grotą Krwawej Wody, piętnaście setek lat temu!

– Nie słuchaj go, książę – odezwał się drugi krasnolud, górnik o szerokich barach, z krzaczastymi, jasnymi brwiami. – Nie jesteśmy niczemu winni, poza pójściem za głosem zdrowego rozsądku. Przed tamtą bitwą troll urwał ramię jego praprapradziodowi. Cóż miał uczynić mój praprapradziad? Generał musi myśleć o tym, co jest dla bitwy najlepsze. My...

Dwa inne krasnoludy przepchnęły się przed pierwsze dwa.

– Książę, najpierw musisz wysłuchać nas! – zawołał jeden barczysty, czarnobrody Żelazny Brat. – Ich marna dysputa to nic w porównaniu do sporu, jaki trwa między nami z...

– Dość! – ryknął Gorril, odpędzając ich gestem. – Czy będziecie nękali księcia, zanim zdąży zdjąć swój hełm? Hammir zwoła jutro radę i wówczas wysłucha waszych żalów. Z pewnością tysiącletnie urazy mogą poczekać jeszcze jeden dzień!

Krasnoludy mruknięły niezadowolone, ale odstąpiły. Gorril obrócił oczami, odwracając się do Hammira.

– Tak jest, odkąd zaczęli przybywać inni. Wszyscy chcą pomóc. Ale nikt nie chce współpracować.

– To się nigdy nie zmienia – stwierdził Hammir.

Gotrek burknął coś, zdeglustowany.

– Opowiedz, co się stało – zażądał Hammir. – Thorgig i Kagrin, gdy przybyli do Barak Varr, powiedzieli wszystko, co było im wiadomo, ale ich opowieści były odrobinę... Niepojęte.

Uczta była skończona. Hammir, Gorril, Gotrek i Felix oraz garść ocalałych z Karak Hirn siedzieli zebrani w prywatnych apartamentach barona Rodenheima, które oddano Hammirowi. Mieli przedyskutować najbliższe działania.

Pomimo zapewnień Gorrila nie była to wystawna uczta, ze względu na ograniczone zapasy, ale gospodarze robili, co mogli i nikomu przy głównym stole nie zabrakło jedzenia ani piwa. Felixowi nie było zbyt wygodnie, ponieważ krasnoludy niechętnie używały mebli w ludzkiej skali, uważając, że to uwłacza ich godności. Zręcznie posługując się swymi narzędziami, przycięły nogi wszystkich stołów i krzeseł w Wielkiej Sali wieży tak, aby lepiej pasowały do ich niskich, szerokich sylwetek. Felix jadł wieczerzę z kolanami przyciśniętymi do uszu i okrutnie bolały go plecy.

Teraz, zmęczony po długich dniach marszu i lekko wstawiony po wielu toastach, które wypito za Hammira, Karak Hirn i powodzenie misji, kiwał się sennie na nietkniętym krasnoludzką ręką krześle o wysokim oparciu, podczas gdy inni rozmawiali i palili przy ogniu, zasiadając na przerobionych

ławach.

Gorril westchnął.

– To była trudno przeprawa i bardzo dziwna... Bardzo dziwna... – syknął przez zaciśnięte na fajce zęby. – Orki przybyły z naszych kopalni, ale nie tak, jak wcześniej; nie natarły wielkim, wrzaskliwym tłumem, którego nadejście moglibyśmy usłyszeć z najwyższej galerii. Nie walczyły między sobą i nie zatrzymywały się, aby pożerać martwych i plądrować piwnice. Przybyły milczące i zorganizowane. Znały wszystkie nasze elementy obrony: wszystkie alarmy, wszystkie pułapki i wszystkie zamknięcia. Miały doskonałe rozeznanie. Zupełnie tak, jakby na torturach wycisnęły tajemnice z jednego z nas, albo w twierdzy był zdrajca... Ale to niemożliwe! Żaden krasnolud nie wyjawiałby tajemnic gobasom, nawet na torturach. To było... To było...

– Osobliwe, oto, jakie było – odezwał się białobrody krasnolud, sędziwy weteran imieniem Ruen, z wyblakłymi niebieskimi tatuażami na nadgarstkach i karku. – W ciągu siedmiuset lat nigdy nie widziałem, by gobasy tak się zachowywały. To było po prostu nienaturalne.

Felix zauważył, że podobnie jak Ruen, większość ocalałych stanowili Długobrodzi o siwym zaroście, zbyt kulawi lub słabi, aby podążyć za królem Alrikiem na wojnę na Północy. Młodsze krasnoludy zostały także, ktoś bowiem musiał strzec twierdzy podczas nieobecności króla, ale większość z nich zginęła w obronie, gdy nadeszły orki.

– Przybyły, gdy spaliśmy i z miejsca zniszczyły dwa klany – wymordowały wszystkich: krasnoludy, kobiety i dzieci – powiedział Gorril, zaciskając szczęki. – Klany Ognistej Kuźni oraz Dumnego Hełmu nie istnieją. Nikt nie ocalał.

Hamnir zacisnął dłonie.

– Jak rzekłem – kontynuował Gorril – widziano, jak than Helmgard nakazał klanowi Diamentowych Mistrzów zamknąć się w środku. Nie wiemy, czy im się udało.

– Wobec tego jest przynajmniej jakaś szansa – odparł Hamnir, mówiąc bardziej do siebie niż innych. Przez chwilę siedział zatopiony w myślach, a potem uniósł wzrok. – Jak to teraz wygląda? Z czym się mierzymy?

– Orki bronią twierdzy tak dobrze, jak my to czyniliśmy – Gorril zaśmiał się gorzko. – Być może nawet lepiej. Nasi zwiadowcy donoszą, że główne wrota są całe i zamknięte, oraz że zostali ostrzelani z otworów łuczniczych. Patrole orków krążą wokół góry, a stała warta strzeże wszystkich podejść. – Potrząsnął głową. – Jak rzekł Ruen, nie zachowują się jak orki. Nie ma walk między nimi. Nie nudzą się i nie schodzą ze swoich posterunków. To niebywałe.

Gotrek parsknął.

– Więc mają jakiegoś silnego wodza albo szamana, który strachem ustawił ich w szereg, ale to nadal gobasy. Pękną, jeśli naciśniemy je z wystarczającą siłą.

Gorril potrząsnął głową.

– To coś więcej. Nie widziałeś ich.

– Cóż, lepiej, żebym szybko zobaczył – warknął Gotrek. – Chcę skończyć z tą sprawą i wyruszyć na Północ, zanim stracę szansę walki z kolejnym demonem.

– Będziemy się starali nie przeszkadzać ci, Zabójco – powiedział oschłym tonem Hamnir. Odwrócił się do Gorrila. – Czy mamy mapę?

– Aye.

Gorril wyjął wielki zwój pergaminu i rozłożył go na przyciętym stole między krasnoludami. Nachyliły się nad mapą. Felix nawet nie próbował spojrzeć. Widział już wcześniej krasnoludzkie mapy. Pokrywały je niezrozumiałe dla człowieka wzory przecinających się, różnokolorowych linii, które nie przypominały żadnego planu, jaki znał Felix. Krasnoludy oglądały ją, jakby była wyraźna

niczym malowidło.

– A zatem – strzegą głównych drzwi? – zapytał Hamnir, przesuując palcami po pergaminie. – A także wrót na pastwisku?

– Aye. Pożarli nasze owce i barany – odparł zgarbiony stary krasnolud. – Musimy kupić nowe zwierzęta do rozplodu.

– A brama ściekowa? Ta, która prowadzi do rzeki?

– Trzech górników poszło tam pięć dni temu, żeby sprawdzić. Wrócili poszatkowani.

– A co z kopalnią Duk Grungu? – zapytał stary Gromowładny, z szarą jak żelazo brodą. – Undgrin łączy ją z naszymi kopalniami. Gobasy wyszły na nas od dołu. Możemy zrobić to samo.

Hamnir potrząsnął głową.

– Przejście do kopalni potrwa trzy dni, Lodrimie, a potem dwa dni z powrotem pod ziemią. JEŚLI Undgrin jest czysty. Klan Diamentowych może się do tego czasu zgłodzić, a gobasy mogą strzec przejścia przez kopalnie tak silnie, jak strzegą frontowych wrót. – Pacnął w mapę grubym palcem. – Czy patrolują od strony Skarpy Zhufgrim?

– Po cóż mieliby to robić? – spytał Gorril. – To strome urwisko od Jeziora Kotła do Szczytu Gama i nie ma tam wejścia do twierdzy.

– Owszem, jest – powiedział Hamnir z chytrym uśmiechem. – Jest przejście na stare lądowisko żyrokopterów Birrissona. Pamiętacie? W pobliżu kuźni.

– Masz nieaktualne informacje, chłopcze – odparł stary Ruen. – Ta dziura została zamknięta, gdy twój ojciec objął tron. Nie miał cierpliwości do nowoczesnych bzdur. Spalił te hałaśliwe klekoty na popiół.

– Aye – rzekł Hamnir, kiwając głową. – Nakazał Birriemu je zamurować. Ale Birri jest inżynierem, a wiecie, jacy są inżynierowie. Chciał zatrzymać jeden z żyrokopterów i mieć miejsce do pracy nad wszystkimi zabawkami, które potępiał mój ojciec. Zatem zamknął przejście z obu stron, ale wstawił tajemne drzwi i zrobił tam sobie warsztat.

– Co takiego? – zawołał Gorril. – Ten stary głupiec zbudował niestrzeżone drzwi do twierdzy?

Pozostałe krasnoludy zaszemrały gniewnie pod nosem.

– Jest strzeżone – odpowiedział Hamnir. – Na modłę inżynierów.

– Powiedźże proszę, cóż to oznacza? – nalegał oschłym tonem Lodrim.

Hamnir wzruszył ramionami.

– To sekretne przejście do kuźni istnieje od stu lat, ale żaden z was go nie znalazł. Wejście w zboczu góry jest przemyślnie ukryte. Skoro krasnoludy nie potrafiły go znaleźć, czy zdołają tego dokonać gobasy? A Birri założył w środku wszelkiego rodzaju pułapki i posłużył się sztuczkami, jakie mógł wymyślić tylko inżynier. Jeśli wrogowie znajdą zewnętrzne drzwi, zostaną posiekani, zanim dostaną się do wewnątrz.

– To nie wystarcza – powiedział Lodrim.

– Skąd o tym wiesz, młody Hamnirze? – spytał sędziwy Ruen. – I dlaczego nie podzieliłeś się ze swoim ojcem wiedzą o tak wielkim przestępstwie?

Hamnir poczerwieniał trochę i spojrzał na swoje dłonie.

– Cóż, jak wiecie, nie bardzo jestem podobny do swego ojca – nie tak, jak mój starszy brat. Może dlatego, że on jest księciem tronu, a ja tylko drugim synem i nie tkwię tak ściśle w przywiązaniu do tradycji, jak oni. Byłem wtedy zaledwie chłopcem. Lubiłem żyrokoptery i wszystkie urządzenia Birrissona. Pewnej nocy przyłapałem go, jak skradał się przez tajemne drzwi. Błagał mnie, abym nie mówił nic ojcu. Zgodziłem się, pod warunkiem, że nauczy mnie latać żyrokopterem i pozwoli mi korzystać ze swojego tajnego warsztatu.

– Ależ, chłopcze, a zagrożenie? – zdumiał się Lodrim. – Dla ciebie i dla twierdzy?

Hamnir rozłożył ręce.

– Nie znajduję usprawiedliwienia. Widziałem, że robię źle, podobnie jak wiedział to Birri, ale ja... Cóż, chciałem mieć sekret przed moim ojcem. Chciałem mieć miejsce, o którym nikt nie wie i dokąd mógłbym pójść. Zabrałem tam kilka razy Fergę. – Uśmiechnął się zażenowany, uciekając wzrokiem, a potem ożywił się. – Ważne jest, że bez względu na to, jak wiele tajemnic naszej twierdzy poznały gobasy, ten sekret znał tylko stary Birri i kilku jego uczniów, a nikt nie zmusi inżyniera, by wyjawiał, co wie. To powiernicy sekretów twierdzy. Grimmir odmówiłby im miejsca w salach naszych przodków. – Hamnir znowu stuknął palcem w mapę. – Gobasy nie będą broniły tych drzwi. Jeśli przedrze się tam mały oddział, a potem prześlizgnie przez twierdzę i otworzy drzwi frontowe głównym siłom, nie zdołają nas zatrzymać.

Gorril skinął głową.

– Aye. To nasze umocnienia nas powstrzymują, nie gobasy. Jeśli zdołamy przedrzeć się przez własne mury, tamci będą skończeni.

Krasnoludy w zamyśleniu wpatrzyły się w mapę.

– To będzie pewna śmierć dla tych, którzy otworzą te drzwi – zauważył Ruen.

– Aye – zgodził się Hamnir. – Zapewne.

Gotrek uniósł wzrok. Felixowi wydawało się, że do tej pory krasnolud spał.

– Pewna śmierć? Wchodzę w to.

Felix jęknął. Cudownie. Gotrek, podejmując takie decyzje, nigdy nie zastanawiał się, jak jego spamiętywacz ma przeżyć, aby zapisać swoją opowieść.

– Jesteś gotów zginąć, aby mi pomóc? – zapytał Hamnir.

– Czy znowu mnie obrażasz, wiarołomco? – warknął Gotrek. – Jestem Zabójcą. Wypełnię dwie przysięgi jednym czynem. – Westchnął i ponownie zwiesił głowę na piersi. – Nie, żeby miał zginąć, oczywiście, niech to Grimmir przeklnie. Nie z rąk gobasów. Ale przynajmniej nie będę musiał znosić twojej obecności.

Krasnoludy w pokoju spojrzały i zaszemrały, słysząc taką zniewagę swojego księcia, ale Hamnir tylko westchnął.

– Ani ja twojej – powiedział. – Zatem tak będzie najlepiej. Dobrze.

– Ten czyn wymaga więcej niż jednego krasnoluda – powiedział Gorril. – Obojętne, jak silnego. Dwie dźwignie w osobnych pokojach muszą zostać przesunięte jednocześnie, aby otworzyć Wrota Rogu. Inni muszą powstrzymać orki, gdy tamci zajmą się otwieraniem wrót.

Hamnir skinął głową.

– Cóż, na jutrzejszej radzie wezwiemy ochotników. To jest, o ile wszyscy się na to zgadzamy?

Pozostałe krasnoludy nadal wydawały się nieprzekonane.

W końcu stary Ruen wzruszył ramionami.

– To jest plan, a to i tak więcej niż mieliśmy wcześniej. Sądzę, że to musi wystarczyć.

– Nie jestem skłonny składać losu twierdzy w ręce krasnoluda, który tak lekceważy własne przetrwanie – powiedział Gromowładny Lodrim, spoglądając na Gotreka. – Nie mam jednak lepszego pomysłu, więc się zgadzam.

Inni skinęli głowami, ale bez wielkiego entuzjazmu. Hamnir, znużony, oparł się w krzesło.

– Zatem, ustalone. Dopracujemy szczegóły przed radą. Teraz... Teraz udaję się do łóżka. – Potarł twarz dłonią i wygładził brodę. – Jutro muszę rozstrzygnąć tuzin uraz, niech mnie Valaya ocali!

## Rozdział 5

Szczęki Gotreka co chwila zaciskały się i rozwierały. Wymachiwał niespokojnie nogą, huśtając się na swoim przyciętym krześle. Felix trzymał otwarty dziennik i czytał zapiski z Arabii. Sala jadalna Rodenheimu znów była pełna krasnoludów, ale nie zebrali się na ucztę. Przedstawiciele kompanii krasnoludów wysłanych z różnych twierdz tkwili przed głównym stołem, za którym zasiadali Hammir, Gorril i pozostali przywódcy uchodźców z Karak Hirn. Wszyscy czekali, aby poznać plan bitwy o odbicie twierdzy, ale zanim mogli omówić strategię, musiały zostać rozstrzygnięte wszelkie zatargi. Było to konieczne, aby ustalić szyk w walce i ewentualne odesłanie niektórych wojowników do domów przed rozpoczęciem bitwy.

Jak dotąd, Hammir okazywał się podziwu godnym negocjatorem i wszystkie z dziewięciu uraz zostały rozstrzygnięte, a przynajmniej odłożone, dopóki Karak Hirn nie zostanie odbite albo bitwa przegrana. Proces jednak trwał długo. Zajmowali się urazami od śniadania, a lunch stał się już odległym wspomnieniem. Żar olbrzymiego paleniska w sali sprawiał, że Felix czuł senność. Z trudem utrzymywał oczy otwarte.

– Powiadasz, że dostarczone piwo nie było takiej jakości, jakiej oczekiwałeś? – spytał Hammir. Oparł na pięści policzek, co nadało mu znudzony i sfrustrowany wygląd.

– Nie dało się go pić! – powiedział krasnolud o brodzie w kolorze piasku i brzuchu, który sugerował, że wie swoje na temat piwa. – Występny klan Twardego Kamienia obiecał nam zapłacić, przywożąc najlepszego Bugmana. Przysłali najgorsze piwo, jeśli to w ogóle był Bugman's!

– Skoro piwa nie dało się pić – odparł ubrany w żółty dublet czarnobrody krasnolud o zaciętym obliczu – oznacza, że zepsuło się podczas transportu, było bowiem w doskonałym stanie, gdy spruwaliśmy je z beczki przed jej wysłaniem. Klan Szerokiego Pasa powinien prowadzić tę dysputę z kupcami, którzy zgodzili się je przewieźć.

– To głupiego robota – mruknął Gotrek pod nosem. – Powinniśmy maszerować, a nie gadać. Gdyby Ranulfsson był takim przywódcą jak jego ojciec, te szarpigrosze nie pamiętałyby o swoich krzywdach. Zbieraliby się pod jego sztandarem i wyli o krew orków.

Rozstrzygnięcie sporu zajęło Hamnirowi kolejne dziesięć minut i wymagało całego książęcego sprytu i dyplomacji, aby nakłonić oba krasnoludy do odłożenia kwestii zepsutego piwa. Gotrek przez cały czas pomrukiwał pod nosem, rzucając groźne spojrzenia na wszystkich uczestników.

Gdy wreszcie osiągnięto porozumienie, Hammir westchnął i rozejrzał się po sali.

– No dobrze, czy są jakieś inne klany, które pragną przedstawić swoje sprawy, czy możemy zająć się planowaniem bitwy?

– Czy zapomniałeś o nas, książę? – przyskakując, zapytał białobrody krasnolud o błękitnych oczach. Jego broda wyglądała jak piękne, śnieżnobiałe pole.

Inny krasnolud, z włosami splecionymi w długie, szare warkocze wiszące przed jego uszami, stanął na nogi tylko sekundę później, gapiąc się na pierwszego.

– Aye, książę. Nie zająłeś się jeszcze sprawą Tarczy Druttiego.

Hammir jęknął, podobnie jak reszta obecnych. Gotrek warknął, ale choć zgromadzone krasnoludy były zniecierpliwione, żywiły zbyt wielki szacunek dla instytucji urazy i dla świętego obowiązku każdego krasnoluda, aby rozstrzygać każdą krzywdę zapisaną w klanowej księdze. Nie zrobiły więc nic, mruknęły jedynie i założyły ręce, rozpierając się na swoich siedziskach.

– Błagam o wybaczenie, Kirgi Narinssonie – powiedział Hammir do białobrodego krasnoluda. – A także o twoje, Ulfgarcie Haginskarlu – zwrócił się do drugiego. – Przypomnijcie mi swoją urazę. To był długi dzień.

Krasnolud z szarymi warkoczami skłonił się.

– Dziękuję ci, książę. My, z klanu Kruszących Kamień, żywimy urazę wobec klanu Żelaznych Skór za wykradzenie nam Tarczy Druttiego, będącej podarunkiem od Gadrida Żelaznej Skóry, ojca ich klanu, dla Hulgira Kruszącego Kamień, ojca naszego, dwa tysiące lat temu, w podzięce za to, że Hulgir ocalił córkę Gadrida przed trollami.

– To nie był podarunek! – rzucił Kirgi. – Nie było żadnych trolli! To była wymiana handlowa, po prostu. Ojciec naszego klanu sprzedał tarczę zdradzieckiemu Hulgirowi za prawo do wydobycia w głębinach Rufgrungu. Prawo, którego nigdy nam nie udzielono.

Gotrek walił nogą jak parowym młotem. Felix słyszał zgrzyt zębów Zabójcy.

– Czy to jest tarcza, o której mowa? – spytał Hamnir, wskazując ponad Kirgim na krasnoluda z Żelaznych Skór, trzymającego u boku ciężką tarczę pokrytą runami.

– Aye! – zawołał gniewnie Ulfgart. – Mają czelność obnosić się przed nami ze skradzionym dobrem i spodziewają się, że my...

– Nie ukradliśmy jej! Odebraliśmy tylko to, co słusznie się nam należało. Gdy zapłacicie nam to, co jesteście winni, z radością wam ją zwrócimy. To przez szczerą, ufną naturę ojca naszego klanu my...

– Dobra! Dostyc tego! – zawołał Gotrek, wstając nagle i chwytając za swój topór. Podszedł do stołu Żelaznych Skór i wyrwał Tarczę Druttiego jej zaskoczonemu powiernikowi, jakby ważyła tyle, co przykrywka do garnka.

– Rozwiążę ten spór! – powiedział, po czym cisnął tarczę na podłogę i rozrąbał ją na pół toporem, przebijając drewno i żelazo z jednakową łatwością. Potem pociął połówki, siekąc wściekle, aż posypały się skry.

Rozległo się jednoczesne sapnięcie zgromadzonych krasnoludów, ale wszystkie były zbyt oszołomione, by się poruszyć.

Gotrek zebrał porąbane fragmenty tarczy, podszedł do wielkiego paleniska i wrzucił je do ognia. Ryknęły płomienie. Odwrócił się, szczerząc się dziko do przywódców Żelaznych Skór i Kruszących Kamień.

– Gotowe. Teraz nie macie się o co bić. Do marszu!

Ulfgart z Kruszących Kamień pierwszy odzyskał zdolność mowy. Odwrócił się powoli do Hamnira, który ukrył twarz w dłoniach.

– Książę Hamnirze, klan Kruszących Kamień oficjalnie wymazuje urazę wobec klanu Żelaznych Skór i zamiast tego zapisuje ją wobec Zabójcy, Gotreka Gurnissona. I niech będzie wiadome, że tę zniewagę można zmyć tylko krwią.

– Aye – zgodził się Kirgi Narinsson. Jego błękitne oczy lśniły. – Klan Żelaznych Skór także deklaruje odwołanie urazy wobec klanu Kruszących Kamień i zapisuje nową urazę wobec Gotreka Gurnissona. – Wyciągnął zza pleców swój młot i ruszył w stronę Gotreka. – I proszę, książę, o pozwolenie, aby rozstrzygnąć tę zniewagę tu i teraz.

Hamnir uniósł głowę i spojrzał na Gotreka.

– Bądź przeklęty, Gurnisson! Teraz mamy dwie urazy w miejsce jednej!

Gotrek splunął na podłogę.

– Ba! Wiedziałem, że to honorowe krasnoludy, tak zatroskane o prawo własności, że pozwolą, by Karak Hirn wpadło w ręce gobasów z powodu tarczy! Czy takie krasnoludy dopuszczają, bym złamał przysięgę, aby móc z nimi walczyć?

– Jakaż to przysięga? – szydził Kirgi. – Przysięga tchórzostwa?

– Moja przysięga wobec Hamnira – odparł Gotrek, spoglądając na starego krasnoluda. – Mam mu

pomagać i chronić go, dopóki Karak Hirn nie zostanie odzyskane. Zabicie was mu nie pomoże, prawda? Musicie poczekać na swoją śmierć.

Kirgi chwycił mocniej swój młot i spojrzał z mordem w oczach na Gotreka, ale w końcu się cofnął.

– Niech nikt nie mówi, że wojownik z klanu Żelaznych Skór kiedykolwiek zmusił krasnoluda do złamania przysięgi. Rozstrzygniemy to w sali uczt Karak Hirn, po tym, jak wypijemy za jego wyzwolenie.

– To będzie twój ostatni toast – powiedział Gotrek.

Ulfgart odwrócił się do Hamnira.

– Także Kruszący Kamień nie będą narażali sprawy, unieszkodliwiając sprawdzonego w boju Zabójcę.

Gotrek na te słowa parsknął śmiechem. Ulfgart skrzywił się i kontynuował:

– My także poczekamy do odbicia Karak Hirn.

Hamnir odetchnął z ulgą.

– Dziękuję wam obu za waszą pobłażliwość. – Rozejrzał się po zgromadzeniu. – Czy są jeszcze jakieś urazy do rozstrzygnięcia?

Nikt się nie odezwał, więc mówił dalej.

– Bardzo dobrze, zatem słuchajcie. – Wstał. – Oto plan, na jaki się zgodziliśmy. Jak wiecie, nasze własne umocnienia stanowią teraz ochronę gobasów, a ponieważ to dobra krasnoludzka robota, są niemal niemożliwe do przełamania. Jest nas mniej niż piętnaście setek. Gdybyśmy zaatakowali wprost, stracilibyśmy ponad połowę. Na szczęście, do twierdzy prowadzi droga, której zielonoskórzy nie odkryli. Niewielka drużyna, prowadzona przez Zabójcę Gurnissona, przejdzie przez tajemne drzwi i przedostanie się przez twierdzę do głównych wrót. Gdy je otworzy, do wnętrza wejdzie reszta. Rozdzielimy się. Główne siły będą utrzymywać główną salę, podczas gdy mniejsze oddziały przeczeszą twierdzę, odpierając napotkane gobasy. Będziemy pracowali od góry ku dołowi i wypchniemy ich przez drzwi do kopalni.

– Co takiego? – zdumiał się jakiś młody krasnolud. – Zostawimy ich w kopalniach?

– Oczywiście, że nie – odparł Hamnir – ale musimy zabezpieczyć twierdzę, zanim będziemy mogli odbić kopalnie, inaczej grozi nam zbytne rozproszenie sił. – Gdy nie rozległy się inne wątpliwości, kontynuował: – Należy jeszcze ustalić, które kompanie czym się zajmą i kto zgłosi się do otwarcia wrót. Mam nadzieję – powiedział z surowym wyrazem twarzy, gdy wśród krasnoludów podniósł się szmer – że osiągniemy porozumienie co do szyku marszowego i podziału obowiązków szybko, bez kłótni i wzajemnych oskarżeń, bowiem czas jest tu najważniejszy.

Krasnoludy w całej sali zaczęły wstawać i podnosić głos, domagając się tej czy tamtej pozycji.

Gotrek warknął i odwrócił się do Felixa.

– Chodź, człeczyno, to im zabierze całą noc.

– Nie obchodzi cię, kogo poprowadzisz? – spytał Felix.

– Nie bardziej niż to, gdzie znaję coś do picia.

Gotrek wyszedł z komnaty, rechocząc złośliwie, gdy mijał wielkie palenisko, w którym wesoło płonęła Tarcza Druttiego.

## Rozdział 6

Wczesnym rankiem następnego dnia, gdy przez otwarte drzwi dobiegały odgłosy klanów formujących szyki na podwórku, Gotrek i Felix spoglądali niepewnie na krasnoludy siedzące w pobliżu stajni Zamku Rodenheim, czekające na nich w ciemnym wnętrzu z plecakami, bronią, pancerzami i zwojami liny u stóp. Hamnir stanął w wejściu ubrany w błyszczącą zbroję bitewną. Nie wyglądał na pewnego siebie. Trzymał wykończony srebrem prastary róg z brązu.

– Oto twoi ochotnicy, Gurnisson – powiedział. – Wszyscy przysięgli iść za tobą nawet na śmierć, jeśli będzie trzeba, i słuchać twoich rozkazów. – Wskazał na niezbyt przytomnie wyglądającego starego krasnoluda z białą brodą, zaciągniętymi mgłą oczami i drewnianą nogą. – Ten tu, stary Matrak, pomagał Birrissonowi zamykać przejście do hangaru i budować sekretne drzwi. Przeprowadzi was przez zamknięcia i pułapki.

Inżynier przerwał zucie swoich długich, białych wąsów i bez emocji skinął na Gotreka. Felix zauważył drżące ręce starego. I do tego jeszcze ta drewniana noga! – pomyślał. Ciekawe, jak wciągną tego starca na szczyt urwiska?

Hamnir odwrócił się do Thorgiga i Kagrina, którzy stali najbliżej niego.

– Thorgig będzie... – spojrzał na młodego krasnoluda. – Thorgig poniesie wojenny róg Karak Hirn i zadmie weń ze strażnicy nad Wrotami Rogu, gdy tylko będziecie gotowi do otwarcia bramy. Nie ruszymy, dopóki nie usłyszymy jego głosu.

Podał róg Thorgigowi, który wystąpił naprzód.

Zanim zdążył go wziąć, Hamnir cofnął róg, marszcząc brwi.

– Thorgig, czy jesteś tego pewien? Szansa na przeżycie jest niewielka. Są inni, którzy mogliby...

– Kto? – zapytał Thorgig, zaciskając usta. – Służyłem jako strażnik Wrót Rogu przez dziesięć lat. Kto spośród ocalałych zna lepiej ode mnie mechanizmy wrót i rozkład pomieszczeń? To muszę być ja.

– Gotrek potrafi czytać mapy.

– A czy umie zadać w róg? Czy zna odpowiednie sygnały?

Hamnir warknął. Felix miał wrażenie, że on i Thorgig wielokrotnie kłócili się o to wcześniej. Książę zwrócił się do Kagrina.

– Ty także, Kagrin? Twój talent służy kształtowaniu toporów, a nie wymachiwaniu nimi. Czy odrzucisz dar życia i pozbawisz nas swej sztuki?

Kagrin wzruszył ramionami i spojrzał na swoje stopy.

– Gdzie idzie Thorgig, ja też idę – wymamrotał.

– Próbowałem mu mówić to samo – powiedział gniewnie Thorgig. – Ale nie słuchał.

– Sam to sobie powiedz – rzucił Hamnir. – Masz przed sobą długie życie.

– Moje życie już przepadło – odparł z napięciem Thorgig. – Zostawiłem swój klan i swoją rodzinę uwięzionych w twierdzy pełnej gobasów i uciekłem w bezpieczne miejsce. Tylko uwolnienie ich zmaże mój wstyd.

– Nie masz powodu do wstydu. Na twej drodze stanęła armia orków – powiedział Hamnir. – Nigdy byś się przez nią nie przebił.

– Wobec tego powinienem umrzeć, próbując tego dokonać.

Pięść Hamnira zacisnęła się na rogu, aż zbieleły kłykcie. Wyglądało na to, że go zmiażdży. Wreszcie wcisnął go Thorgigowi, uderzając nim w jego pierś i się odwrócił.

– Powinieneś bezzwłocznie zacząć, jeśli chcesz mieć nadzieję na wejście do twierdzy, zanim staniemy na pozycji – powiedział, mijając Gotreka. Przy drzwiach stajni zatrzymał się i odwrócił ze



ściągniętą twarzą. – Powodzenia wam wszystkim. Wy jesteście naszym zwycięstwem... Albo naszą porażką.

Odszedł.

Chłód zagościł w sercu Felixa.

– To było bardzo motywujące, czyż nie? – szepnął do Gotreka półgębkiem.

Gotrek wzruszył ramionami.

– A czego spodziewałeś się po wiarołomcy?

Felix nie miał pojęcia, co to ma do rzeczy.

– Książę Hammir nie jest wiarołomcą! – zawołał Thorgig. – Cofnij to!

– A co ty o tym wiesz, krótkobrody? – spytał Gotrek. – Jeszcze się wtedy nie urodziłeś.

Odwrócił się od Thorgiga i skrzywił, patrząc na pozostałych.

– Kruszący Kamień i Żelazna Skóra – powiedział, przesuwając wzrok od czarnobrodego krasnoluda o zimnym obliczu, noszącego runy klanu Kruszących Kamień, do błękitnookiego i blondwłosego wojownika z klanu Żelaznych Skór. Ten drugi stanowił lustrzane odbicie Kirgiego Narinssona, chociaż był przynajmniej o stulecie młodszy i miał bliźnię, która biegła w dół po lewym policzku. W jego wielkiej, jasnej brodzie tkwił, niczym amulet, kawałek osmalonego drewna.

– Ranulfsson sprytnie ich w to wkręcił – powiedział Gotrek, potrząsając głową. – Nigdy by się nie przyznał, ale to prawda.

– Nie jesteśmy tu z polecenia księcia – odparł jasnowłosy krasnolud, uśmiechając się chytrze i bawiąc poczerniałym kawałkiem drewna. – Zgłosiliśmy się na ochotnika, tak jak o to prosił.

Czarnobrody skinął głową.

– Zarówno Żelazne Skóry, jak i Kruszący Kamień pragną, abyś przeżył tę wyprawę. – Jego głos był miękki i zimny jak śnieg. – Nie chcemy zostać pozbawieni okazji, by rozliczyć się z tobą z naszej urazy.

– Nie musicie się o mnie troskać – odparł Gotrek<sup>^</sup> wzdychając. – Nie w walce przeciwko gobasom.

– Czy wprowadzimy człeczynę do twierdzy? – spytał ogorzwały Żelazny Brat ze złamanym nosem i zaplecionymi w warkocze białymi włosami i brodą. Mierzył wzrokiem Felixa, jakby spodziewał się, że wyrosną mu kły i rogi. – Podejrzy nasze tajemnice.

– To Przyjaciel Krasnoluda – powiedział Gotrek. – Ręczę za niego.

– Przyjaciel Krasnoluda? – parsknął stary Żelazny Brat. – Krasnoludy nie miewają przyjaciół poza innymi krasnoludami.

– Nic więc dziwnego, że dni chwały są już za nami – odparł oschle Gotrek. – Jak brzmi twe imię, ponuraku?

– Jam jest Sketti Młotoręki – odpowiedział krasnolud, wypinając pierś. – Z klanu Złotorękich. Żelazny Brat i Strażnik Głębin z Karak Izor. – Zgodnie z przydomkiem, na prawym ramieniu nosił wojenny młot.

Gotrek odwrócił się od niego nieporuszony.

– A ty? – spytał, spoglądając na czarnobrodego z Kruszących Kamień. – Ty, który chcesz mnie chronić, aby móc ze mną później walczyć?

– Druric Brodigsson – przedstawił się krasnolud cichym głosem. – Strażnik Przełęczy Czarnego Ognia, teraz pod twoimi rozkazami. – Skłonił głowę, którą pokrywały krótko przycięte, błyszczące, czarne włosy. – Chociaż, być może, to nie ja będę z tobą walczył. Nadal trwają dyskusje, co to tego, kto będzie miał honor zmierzyć się z tobą. Modlę się, abym to ja został wybrany. Zawsze chciałem zmierzyć się z Zabójcą.

– Przymierz się najpierw do trumny – powiedział Gotrek. – Odwrócił się do innych. Jego wzrok przesunął się po Matraku, inżynierze, który wrócił do żucia swego węża i gapienia się w przestrzeń, i spoczął na jasnowłosym krasnoludzie z przeszywająco błękitnymi oczami.

– A ty zapewne jesteś synem tego pyszałka, który wyzwiał mnie zeszej nocy.

Krasnolud uśmiechnął się i odchylił, zatykając kciuki za szeroki pas.

– Aye, to ja, Narin, Syn Pyszałka. Do usług twoich i twojego klanu.

Pozostałe krasnoludy zarechotały.

– Co to za szczapa w twojej brodzie?

Narin, nagle zawstydzony, zamknął dłoń na kawałku drewna.

– To pomysł mojego ojca. Kazał mi nosić fragment Tarczy Druttiego, abym zawsze pamiętał ją i naszą urazę wobec ciebie. – Skrzywił się. – Nie dbam o to. Brudzi mi brodę.

Gotrek uniósł brew.

– Ty także chcesz ze mną walczyć, jak podejrzewam?

– Nie, nie – zaprzeczył Narin. – Mój ojciec wypełni ten honor. Ja mam tylko upewnić się, że zachowasz głowę na karku do czasu, aż będzie miał przyjemność sam ją usunąć. – Wyszczerył się. Jego błękitne oczy błyszczały. – Naprawdę rozjuszyłeś starego borsuka. Chciałbym, żeby tu był, ale w Karak Drazh spotkaliśmy pewną dziewczynę i cóż – dokładne poznanie się zabrało nam trochę czasu.

Wzruszył ramionami.

– I tak już był najwyższy czas, aby ta stara taca z jadalni poszła na opał. Nie było z niej żadnego pożytku, nie licząc tego, że teraz służy jako ozdoba brody.

Druric uniósł głowę. Jego oczy błyskały i miotaly gromy. – Tarcza Druttiego była wielkim i chwalebny m dziedzictwem. Jej kradzież przez klan Żelaznych Skór...

– Och, daj spokój, kuzynie – powiedział, krzywiąc się, Narin. – Nikt nigdy nie użył jej na wojnie. Wisiała na ścianie waszej sali uczt przez tysiąc lat, zanim zabrał ją mój pradziad, a potem przez tysiąc lat wisiała na ścianie naszej sali uczt. To była taca obiadowa.

Druric gapił się przez długą chwilę na Narina, a potem westchnął.

– Dobrze, zatem to była taca obiadowa, ale to nie ma najmniejszego znaczenia – powiedział, podnosząc głos, a inni się śmiali. – Kradzież to kradzież. Nieważne czy to sztabka złota, czy kromka chleba. Krasnolud, który ją zabrał nie ma honoru.

Narin uniósł dłonie.

– Rozmawiaj o tym z moim ojcem. To nie jest moja walka. Przed krasnoludami nie ma przyszłości, jeśli będziemy toczyć wewnętrzne bitwy trwające dwa tysiące lat.

– A jakąż to przyszłość osiągniemy bez honoru? – spytał Druric.

– Wystarczy – rzucił Gotrek, warcząc. – Wróćcie do tego w sali piwnej.

Minął Thorgiga i Kagrina, których znał i spojrzął na ostatniego krasnoluda siedzącego na odwróconym wiadrze, z kapturem od płaszcza naciągniętym tak mocno, że jego cała twarz była ukryta w cieniu.

– Ty tam, z tyłu, jak brzmi twoje imię? Pokaż się nam.

Krasnolud nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę i odrzucił płaszcz. Inni zaklęli i zaśmiali się. Nawet Gotrek zamrugał. Felix nie dziwił mu się, bowiem był to najdziwniejszy rodzaj krasnoluda, jaki kiedykolwiek widział.

– Czym ty jesteś? – spytał Gotrek, krzywiąc się.

Krasnolud rozprostował ramiona i spojrzął prosto na Gotreka. Jasnozielone oczy patrzyły z otworów okrywającej twarz maski ze skóry. Maską była na swój sposób dziełem artystycznego rzemiosła – pięknie wykończona i ukształtowana w kwadratową formę starych krasnoludzkich rzeźb.

Grube, zwężające się pasma zabarwionej na pomarańczowo skóry zwisały z jego policzków i szczęki, przypominając brodę. Nad kawałkiem skóry okrywającym czaszkę krasnoluda wznosiła się jasna końska grzywa w płomiennym odcieniu rudości i biegła do pasków na twarzy.

– Jestem Zabójcą – odezwał się niskim, zachrypniętym głosem. – Zabójca Skórczanobrody.

– Zabójca? Bez grzebienia włosów na głowie? – Gotrek uniósł krzaczastą brew. – Cóż to za...

Skórczanobrody położył dłoń na swym toporze. Miał, na modłę Zabójców, obnażoną pierś i nosił tylko, dla ochrony przed porannym chłodem, płaszcz z kapturem, narzucony na ramiona.

– Czy ja wypyuję o TWÓJ wstyd, bracie? – warknął. – Czy pytam o TWOJE powody, dla których szukasz śmierci?

Zęby Gotreka zatrzeszczały. Natychmiast spoważniał i skinął na Skórczanobrodego.

– Dobrze, zatem.

Odwrócił się gwałtownie od krasnoluda w masce i poderwał swój plecak.

– Ruszajcie, zatem. W górę i dalej. – Wyszedł ze stajni, nie patrząc za siebie.

Felix gapił się na Gotreka, gdy inne krasnoludy zbierały swoje pakunki i podążały za Gurnissonem, wychodząc w wilgotne, poranne powietrze. Zakrawało to niemal na przeprosiny!

Przez cały ranek podróżowali na północ i na wschód od Zamku Rodenheim, w górę i w dół gęsto zalesionych wzgórz, które wznosiły się, jedno po drugim, niczym fale zielonego morza. Biegła tamtędy droga do Karak Hirn – pozostałość jednego ze starych krasnoludzkich szlaków. Ale nie szli nią. Droga wiodła bowiem do frontowych wrót twierdzy i zapewne była pod obserwacją. Śmiało natomiast maszerowała nią armia Hammira. Przy odrobinie szczęścia orki nie spuszcza z oczu posuwających się kolumn i nie dostrzegą idącej bezdrożami niewielkiej, dziewięcioosobowej drużyny.

Przecinali kamieniste górskie strumienie i wdrapywali się na zbocza pokryte luźnym łupkiem. Przemierzali głębokie lasy i połoniny. Gdy wspinali się wyżej, w zacienionych kotlinach pojawiały się plamy na wpół stopionego śniegu, chociaż słońce mocno prażyło w plecy. Felix odrzucił w tył swój czerwony płaszcz i pocił się pod koszulą. Łydki bolały go jak przypiekane żywym ogniem, a jeszcze nawet nie zaczęli właściwej wspinaczki. Zbyt wiele miesięcy na morzu. Znow stał się miękki.

Krasnoludy kroczyły równym tempem – czy to na płaskim gruncie, czy na stromym podejściu. Nawet stary Matrak z drewnianą nogą dotrzymywał kroku, kulejąc i pomrukując monolog, którego nikt nie był w stanie dosłyszeć.

Felix żałował, że pozostali nie są tak cisi. Szczególnie Sketti Młotoręki nie potrafił się zamknąć na dłużej niż dwie minuty i stale rozprawiał na ten sam temat.

– To elfy stoją za wszystkim. Pragną śmierci krasnoludów, ponieważ to my stoimy im na drodze do zapanowania nad światem. Możecie być pewni, że to ich sprawka, ta rzecz z gobasami.

– Jakże mogą za tym stać? – spytał Thorgig.

Inni jęknęli, gdy oczy Skettiego się rozjarzyły. Czekał tylko, aż ktoś go zagadnie.

– Nie znasz elfów tak, jak ja, młodzieńcze. Spotkałem je i – zapewniam cię – nie chciałbyś leżeć martwy w rowie z jedną z tych podstępnych, postrzelonych tyczek. Nie ma podłości, do jakich by się nie posunęły. Żaden plan nie jest dla nich zbyt nikczemny. – Oblizwał wargi. – Powiadam ci, jak jest, chłopcze. Myślisz, że zielonoskórzy poczuli się mocni w swych gaciach, dlatego że tak wielu krasnoludów i ludzi poszło na Północ i nie ma komu trzymać ich w ryzach na Złych Ziemiach? To prawda, ale powierzchowna. A prawdziwy krasnolud nie ufa niczemu i nikomu na powierzchni. Krasnolud kopie głębiej.

Gotrek mruknął coś o tym, że prawdziwe krasnoludy wiedzą, kiedy się zamknąć, ale Felix nie

usłyszał tego dokładnie.

– Przede wszystkim musisz postawić sobie pytanie, chłopcze – ciągnął Sketti – dlaczego w ogóle ludzie z Północy atakują? Co ich poruszyło? Odkładając na bok fakt, że to elfy babrzące się w magii, której nie potrafiły opanować, otworzyły szczelinę Chaosu, co czyni z nich jego ojców, możesz być pewien, że to właśnie także elfy wrzuciły szerszenia za kołnierz Archaona. Teraz „szlachetni” lubią udawać, że nie mają nic wspólnego z ich mrocznymi kuzynami z Naggaroth, ale wszyscy wiedzą, że to sztuczka, aby zwalić złe uczynki na kogoś innego. Wiem to od krasnoluda, który podróżował z bretońskimi żeglarzami handlującymi z Ulthuanem. To mroczne elfy szeptały do ucha temu „wybrańcowi” i powiedziały mu o jego „przeznaczeniu”, które czeka na Południu. – Sketti rozłożył ręce. – A ten posłuchał ich słów i najechał na Imperium, a krasnoludy, które przysięgły w czasach Sigmara strzec ludzkości bez względu na to, jak często ludzie nas okradają i wbijają nóż w plecy, ruszyły na Północ, aby bronić niewdzięcznych słabeuszy. I tak oto gobasy „przypadkiem” wybrały ten właśnie moment, aby powstać i zaatakować! Nie próbuj mi wmawiać, że to nie jest jakaś intryga mrocznego elfa.

– Powiadasz, że mroczne elfy przekonały ludzi z Północy, aby zaatakowali Imperium tylko po to, żeby gobasy mogły zająć Karak Hirn? – spytał Narin, powstrzymując śmiech.

– A czemuż by nie? – odparł Sketti.

– Więc teraz to elfy wydają rozkazy gobasom? – zaśmiał się pogardliwie Thorgig.

– Nie bezpośrednio. Nie bezpośrednio – zapewnił Sketti. – Ale są w zмовie ze skavenami, każdy o tym wie, a skaveny...

Wszyscy znowu jęknęli. Felix zadrżał, przypominając sobie czas, gdy on i Gotrek napotkali koszmarny, człekopodobny pasożyt oraz ich upartego Szarego Proroka, który śledził ich nieprzerwanie podczas wędrówek po Starym Świecie. Nie potrafił sobie wyobrazić, by wielki Teclis spiskował z tamtymi.

– Złotoręki! – zawołał Narin, przerywając przemowę Skettiego. – Jest wśród nas człeczyna. Czy naprawdę chcesz ujawnić przed nim wszystkie tajemnice krasnoludów? Wszyscy wiedzą, że ludzie to pomagierzy elfów. Czy chcesz, by elfy wiedziały to wszystko, co wiesz ty?

Usta Skettiego zamknęły się jak zatrząsk. Odwrócił się i zerknął na Felixa dzikim wzrokiem.

– To prawda – mruknął. – To prawda. Być może, powiedziałem zbyt wiele.

Rzucił ostatnie podejrzliwe spojrzenie na Felixa i pomaszerował dalej w milczeniu.

Narin mrugnął do Felixa za plecami Skettiego, a reszta odetchnęła z ulgą.

Felix skinął głową w podzięcie i stłumił uśmiech. Dobry kompan z tego Narina. Nie tak sztywny, jak pozostali.

Tuż przed południem grupa wyszła z sosnowego lasu na grzbiet płytkiej doliny i ujrzała górujący szczyt wieży Karak Hirn. Długi, pierzasty szal zwiewanego śniegu ciągnął się od białego, postrzępionego wierzchołka przez jasnoniebieskie niebo. Reszta wzniesienia była równie czarna i ponura, jak toga sędziego. Thorgig, Kagrin i stary Matrak spojrzeli w górę z szacunkiem.

– Pomyśleć, że po salach, gdzieśmy przyszli na świat, biegają gobasy... – Thorgig splunął. – Pomyśleć, że plugawią nasze święte miejsca swoją obecnością. Pomścimy cię, Karak. Oczyszczymy cię z ich piętna.

Inni, w odpowiedzi, wyszeptali swoje przysięgi.

Po zachodniej stronie góry przeblyskiwał zakręt drogi, a nad nią, jakby ukryte za skałami, regularne płaszczyzny potężnych krasnoludzkich umocnień.

– To jest brama frontowa – Wrota Rogu – powiedział, wskazując, stary Matrak. – Którędy my... – słowa uwięzły mu w gardle. – Którędy my uciekliśmy przed milczącymi gobasami. Hamnir i inni

pójdą tam na nas czekać. My... – machnął ręką na prawo. – My pójdziemy tamtędy. Na Skarpę Zhufgrim.

Wzrok Felixa podążył za palcem inżyniera wymierzonym we wschodnią fasadę góry. Jej wznosząca się nad drzewami podstawa była postrzępiona, jakby jakiś krasnoludzki bóg wyciął toporem gigantyczne oparcie dla stóp. Nad wcięciem wznosiła się pionowa ściana, przekraczająca wysokością ponad połowę ośnieżonego szczytu i wyglądała, przynajmniej z miejsca, w którym stał Felix, na równie gładką jak arkusz pergaminu. Pośrodku ściany lśniła wąska, srebrna linia.

– Podstawa Kotła – powiedział Thorgig, stając obok starego inżyniera. – To głębokie jezioro zasilane wodospadami spływającymi z urwiska. To nasza droga.

Felix przełknął ślinę.

– W górę urwiska? Macie skrzydła w swoich plecakach?

Sketti parsknął.

– To nic wielkiego dla krasnoludów.

– Pssst – odezwał się Druric. – Orki.

Pozostali natychmiast zamilkli i odwrócili się w stronę, w którą patrzył. Niewielka kompania orków przedzierała się przez gęste poszycie obsypanych jagodami krzaków, pokrywających dno doliny poniżej. Krasnoludy cofnęły się znad krawędzi i przysiadły nisko, ledwie wyglądając ponad grzbietem zapadliska.

– Jest ich dwadzieścia – oznajmił Thorgig.

– A nas, tylko ośmiu – powiedział Sketti.

– Dziewięciu – zauważył Druric. – Z człowiekiem.

– Jak powiedziałem, ośmiu – odparł Sketti. – I tak damy radę.

Gotrek parsknął na te słowa.

– Sam ich pokonam! – rzucił Skórczanobrody niepewnym głosem.

– Wybaczcie, że się wtrącam – odezwał się Felix. – Ale czy celem naszej misji nie jest dotarcie do tajnych drzwi niezauważenie?

– Jeśli wszystkie zabijemy – warknął Narin, szarpiąc osmalone drewno w swojej brodzie – jakże opowiedzą, co widziały?

– Jeśli inne orki znajdą je posiekane na kawałki – odrzekł Felix – będą wiedziały, że tu jesteśmy. Ale jeśli chcemy otworzyć Wrota Rogu na czas i wpuścić Hammira, powinniśmy zaniechać spowodowanego walką przestoju, prawda?

Krasnoludy wahały się, wyraźnie złe, słysząc logiczne argumenty Felixa. Były spięte niczym wilki spoglądające na niczego nieświadome owce. Każde włókno w ich przysadzistych, potężnie zbudowanych ciałach chciało natrzeć w dół doliny i rozsiekać zielonoskórych.

W końcu Gotrek westchnął.

– Człeczyna ma rację. To nie jest czas na walkę.

Inni mruknęli gniewnie.

– Ile to może potrwać? – spytał Skórczanobrody.

– Cóż, również w twierdzy czeka nas mnóstwo walki – odparł Gotrek. – Wystarczy, żeby nas zabić. A w każdym razie WAS.

– Przysiągłem iść za tobą – powiedział zimnym głosem Thorgig. – Ale boli mnie myśl, że pozwalam przeżyć choćby jednemu orkowi.

– Nie tak czynią krasnoludy – dodał Sketti.

– Tak czynię JA – rzucił Gotrek. – Teraz czekajcie, dopóki nie przejdą.

Krasnoludy burknęły, ale wykonały polecenie, przyglądając się z ukrycia przechodzącym pod

nimi orkom.

Zielonoskórzy maszerowali w dwuszeregu. Ich przywódca szedł z przodu, obserwując okolicę. Nie rozmawiały ani nie kłóciły się między sobą, jak to zwykle orki. Nie było żadnego przepychania się ani bijatyk, żadnego picia czy jedzenia albo znużonego siekania zarośli bronią. Wykonywały swoje zadanie ze smętną rezygnacją, która nadawała ich brzydkim twarzom niemal komiczny wyraz. Tylko czasami coś przerywało tę apatię, gdy jeden z nich potrzasał głową i drżał, rycząc jak byk ukąszony przez osę, a jego ślepie przez moment płonęły zwykłą, orczą furją. Potem, tak nagle jak się rozpoczął, wybuch dobiegał końca i ork ponownie popadał w otępienie.

– Co je opętało? – spytał Thorgig.

Kagrin potrzasał głową, zbity z tropu.

– Co to za orki, które się nie wyklócają? – mruknął zaniepokojony Narin.

– Wyglądają zupełnie jak lunatycy – powiedział, marszcząc brwi, Sketti.

– Wobec tego potrafią zabijać przez sen – rzekł roztrzęsiony stary Marak. – Tak samo wyglądały, gdy upadł Karak – milczące, ale krwiożercze. Nie usłyszeliśmy ich, dopóki nas nie opadły. My nie... – słowa uwięzły mu w gardle, a oczy rozwarły się szeroko i zapatrzyły w dal.

Pozostałe krasnoludy, speszone, odwróciły od niego wzrok.

– Robota elfów, bez wątpienia – stwierdził Sketti. – Biała magia.

Narin zastanowił się nad tym.

– Czy jakikolwiek z żyjących obecnie czarnoksiężników zdołałby zapanować nad wolą całej twierdzy pełnej orków?

– Jeden by to potrafił – mądrząc się, pokiwał głową Sketti. – Teclis z Ulthuanu.

– On mógłby to zrobić – zgodził się Gotrek, z namysłem gładząc brodę.

– Widzicie? – ekscytował się Sketti. – Zabójca zgadza się ze mną!

– Zabójca myśli, że masz elfy zamiast mózgu – odparł Gotrek z kpiącym uśmiechem, a potem powrócił do obserwacji orków.

Gdy za zakrętem doliny zniknęły z pola widzenia, krasnoludy ruszyły dalej. Gotrek, idąc, marszczył czoło, pogrążony w myślach. Wydawało się, że w końcu zainteresował się zadaniem, którym obarczył go Hamnir.

## Rozdział 7

Po dwóch godzinach marszu po stromym, zalesionym zboczu Karak Hirn dotarli do granicy drzew i wyszli na ciemną, pociętą żyłami kwarcu, pokrytą zielonoszarymi porostami skałę. Droga stawała się coraz trudniejsza, zbocze bardziej strome i blokowane potężnymi skalnymi piargami, na których do wspinaczki musieli używać rąk równie często, jak nóg. Felix oddychał z większym trudem, niż się tego spodziewał. Powietrze było rzadkie, wiatr zimny, a on pod ubraniem spływał potem.

W kolejnej godzinie wędrówki, podczas której płaska ściana Skarpy Zhufgrim wznosiła się przed nimi coraz wyżej i szerzej, zaczęli słyszeć niski ryk. Stawał się coraz głośniejszy aż do chwili, gdy, przemierzając wąską przełęcz między dwoma wielkimi skalistymi kłami, wyszli na brzeg górskiego jeziora o stromych brzegach. Otoczone było z trzech stron przez niskie, postrzępione szczyty. Z czwartej, bezpośrednio z jego spienionych wód, wznosiła się gładka skarpa. Gdy podeszli bliżej, urwisko nie wydało się Felixowi ani trochę bardziej nierówne. Wciąż było płaskie jak mur fortecy. Jedynym przełomem był wodospad, który opadał przez jego środek wzburzonym, białym strumieniem, rozdzielającym się na dwa mniejsze. Huk wody spływającej do jeziora z katarakty był ogłuszający. Burzyła ona powierzchnię zbiornika, która wyglądała tak, jakby całe jezioro tańczyło, odbijając z tysiąca tysięcy wodnych zmarszczek refleksy słońca ku twarzom wędrowców. Krawędzie jeziora zamykały postrzępione pierścienie lodu. Wysoko nad nimi ze śnieżnej czapy spadały płatki śniegu.

Felix osłonił oczy i spojrzał w górę. Skarpa widoczna pod tym kątem była jeszcze bardziej przerażająca niż wtedy, gdy po raz pierwszy wskazał ją stary Matrak. Poczuł, że oblewa go lodowaty pot.

– To jest... To niemożliwe.

Narin parsknął.

– To tak łatwe, jak spadnięcie z łóżka.

Felix przełknął ślinę.

– Spadanie zawsze jest łatwe.

– Zjedzcie, zanim wyruszymy – powiedział Gotrek. – I przygotujcie swój sprzęt.

Krasnoludy rozproszyły się, siadając na czarnych głazach, aby zjeść solone mięso i owsiane suchary, które popiły piwem nalewanym z małych, drewnianych beczulek przytroczonych do plecaków. Kagrín, jak zwykle, wyciągnął swój sztylet i narzędzia, po czym zajął się pracą, ignorując wszystko wokół. Felix nie mógł oderwać od niego oczu. Jeden błąd, jedno niepewne poruszenie dłutem, a cała praca przepadnie. Ale Kagrín nie pomylił się. Jego dłonie poruszały się pewnie i bezbłędnie.

Narin pogryzał swój prowiant i wzdychał, jakby zdjęto z niego wielki ciężar.

– To jest życie – powiedział. – Grimnirze i Grungni, ależ mi tego brak!

– Życie, powiadasz? – odrzekł Sketti, mrużąc jedną powiekę. – Równie dobrze to może być twoja śmierć.

– Wobec tego przyjmę tę śmierć – odparł z uczuciem. – I to chętnie.

Skórzanobrody, słysząc to, uniósł głowę.

– Nie nosisz grzywy Zabójcy. Dlaczego szukasz śmierci?

Narin uśmiechnął się gorzko.

– Nie poznałeś mojej żony.

Thorgig odwrócił się.

– Twojej żony? Czy nie powiedziałaś wcześniej, że mizdrzyłeś się do jakiejś panny z Karak Drazh

wczoraj, gdy reszta z nas była na radzie?

– Jak rzekłem – ciągnął Narin. – Nie widziałeś mojej żony.

Większość na te słowa parsknęła śmiechem, ale Thorgig i Druric wydawali się oburzeni.

Narin postanowił nie zwracać na to uwagi. Westchnął, bawiąc się machinalnie spaloną drewnianą drzazgą zaplecioną w jego brodę.

– Ciągnęło mnie do podróży, gdy byłem krótkobrodym. Nosilem swój topór od Kisleva do Tilei jako najemnik i poszukiwacz przygód przez pięćdziesiąt lat i uwielbiałem każdą minutę tego życia. Zobaczyłem więcej świata podczas tej połowy wieku niż większość krasnoludów w pięć stuleci. – Zamilkł i zapatrzył się w dal. Na jego okolonych brodą ustach pojawił się blady uśmiech. Otrząsnął się niechętnie z zamyślenia. – Wszystko przepadło. Teraz, gdy mój starszy brat jest martwy.

– Zostałeś zawezwany do twierdzy, tak? – spytał Druric.

– Aye – potwierdził smutnym głosem Narin. – Drugi syn thana ma wszystko, co najlepsze – pytajcie tylko księcia Hamnira – złoto i okazje do przygód, i tyle obowiązków, co kot napłakał. Tyle, że teraz jestem pierwszym synem. Stary borsuk zapewne ma przed sobą jeszcze, co najmniej, jedno stulecie, ale i tak muszę wrócić do domu i uczyć się prowadzenia twierdzy, zapamiętać naszą księgę krzywd od deski do deski, być dobrym mężem i... – wzdrygnął się – spłodzić synów z moją... Hmm, żoną.

– Każdy krasnolud musi wykonać ten obowiązek – powiedział Skórczanobrody zza swojej maski. – Jesteśmy ginącą rasą. Musimy płodzić synów i córki.

– Wiem, wiem – odparł Narin. – Ale wolałbym podjąć twój obowiązek. Zabijanie trolli to przyjemniejsze zadanie niż spanie z jednym z nich... I trolle nie są aż tak gadatliwe.

– Z pewnością nie może być aż tak zła – odezwał się Thorgig.

Narin zmierzył go spojrzeniem bystrego, niebieskiego oka.

– Chłopcze, wszyscy możemy zginąć podczas tej małej wyprawy, nieprawdaż? Książę Hamnir powiedział, że to samobójcza misja.

– Aye, sądzę, że to możliwe – odpowiedział Thorgig.

– Cóż, ujmę to tak – byłbym rozczarowany, gdyby było inaczej.

– A ja będę rozczarowany, jeśli tak się stanie – powiedział Druric.

– Boisz się śmierci? – ostro spytał Thorgig.

– Ani trochę – odrzekł Druric. Skierował zimne spojrzenie w stronę Gotreka, który pochłaniał właśnie jedzenie i nie zwracał najmniejszej uwagi na pozostałych. – Ale jeśli Zabójca Gurnisson zginie, uraza Kruszących Kamień wobec niego pozostanie nierozstrzygnięta. Dopóki wiem, że on żyje, nie boję się własnej śmierci.

Gotrek na te słowa parsknął pogardliwie, ale nic nie odpowiedział.

Po posiłku nastąpiło ożywione grzebanie w pakunkach i rozwijanie lin. Każdy z krasnoludów przewiesił bandolier zakończony pierścieniami stalowych kolców przez jedno ramię i przypiął parę klinów do swych butów. Na szczęście, mimo że krasnoludy i ludzie tak bardzo różnili się rozmiarem i proporcjami, że nie mogli wymieniać się odzieżą, krasnoludy miały wielkie stopy, więc udało się znaleźć parę klinów dla Felixa. Stary Matrak zamienił swoją drewnianą nogę na długi kolec z czarnego żelaza.

Gdy wszystko zostało dopięte, krasnoludy opróżniły swoje fajki i stanęły, narzucając pakunki na ramiona. Kagrín był gotowy jako ostatni, niechętnie zbierając swoje narzędzia i sztylet o złotej gałce.

– Chodź, chłopcze – powiedział Narin. – Teraz jest robota dla drugiej strony tego nożyka na elfy.

Krasnoludy szły wzdłuż stromego brzegu Kotła, śliskiego od pokruszonego lodu i luźnego łupka, aż dotarli do fasady urwiska. Po prawej stronie dudniły wodospady, opryskując ich drobną,



lodowatą mgłą.

Urwisko tuż przed nimi nie było tak gładkie i jednolite, jak wydawało się wcześniej, ale nadal było przerażające – długa, niemal pionowa warstwa szarego granitu z nielicznymi pęknięciami i wystającymi fragmentami skały. Krasnoludy nawet nie zwolniły. Podeszły do ściany, wyciągnęły ręce, łapiąc za kamienne występy, których Felix nawet nie dostrzegwał, wbiły kłamry w skałę i podciągnęły się bez lin czy kołków tak łatwo, jakby wspinały się po drabinie.

Przyglądając się uważnie, gdzie Gotrek kładzie swoje dłonie i stopy, Felix był w stanie podążać za nim pod górę, ale była to ciężka praca. Musiał utrzymywać ciężar ciała na palcach, a daleko mu było do pewności ruchów krasnoludów. Nawet staremu Matrakowi, gdy wbijał swój żelazny kolec w granit, szło lepiej niż jemu.

Felix dziwił się szczerze, że krasnoludy z ich niskimi, pękatymi ciałami radzą sobie tak doskonale. Można by pomyśleć, że wspinacz o długich, pająkowatych kończynach i wiotkim korpusie – elf, na przykład – byłby lepiej przystosowany, ale, chociaż krasnoludy miały czasami problemy z dotarciem do następnego uchwytu lub oparcia dla stopy, nadrabiały niewielki zasięg ramion niebywałą siłą uchwytu i nadnaturalną, krasnoludzką znajomością samej skały. Wydawało się, że znajdują krawędzie i pęknięcia, w które mogą wsunąć swoje mocne palce, raczej dzięki instynktowi niż za pomocą wzroku czy dotyku. Felix nie dostrzegłby ich nawet wtedy, gdyby miał je przed nosem.

Niestety, zdolności i mocny chwyt, które umożliwiały krasnoludom wspieranie się na maleńkich krzywiznach powierzchni urwiska spowodowały, że, gdy krasnoludy znajdowały się już w połowie wspinaczki, Felix pozostał daleko pod nimi. Jego przedramiona nękały bolesne skurcze, a pot zalewał oczy. Z powodu hałasu wodospadu, ryczącego dziesięć metrów na prawo od niego, nie słyszał pozostałych.

Zatrzymał się na chwilę, aby rozprostować dłonie i spróbować strząsnąć ból z kończyn. Popętał błęd, gdy między nogami spojrział w dół. Zamarł. Był tak wysoko. Jedno obsunięcie... Jedno obsunięcie i... Nie był pewien, czy da radę utrzymać się dłużej. Opanowało go szalone pragnienie, aby się puścić i uwolnić od napięcia, spadając na łeb, na szyję.

Zwalczył je z trudem, ale stwierdził, że nie jest w stanie się poruszyć. Jęknął, zrozumiał, że będzie musiał poprosić o pomoc. Krasnoludy nienawidziły słabości i niedołęstwa. Nie miały szacunku dla kogoś, kto nie potrafi zatroszczyć się o siebie. Nawet gdy byli sami, Felix zawsze czuł się głupio, jeśli musiał prosić Gotreka o pomoc. Tu, gdy patrzyła na niego gromada innych krasnoludów, było jeszcze gorzej. Zostanie wyszydzony. Z drugiej strony – lepiej żyć i dać z siebie kpić, niż dosłownie umrzeć ze wstydu, nieprawdaż?

– Twój spamiętywacz się ociąga, Zabójco – dobiegł go z góry głos Narina.

Felix usłyszał burknięcie i krasnoludzie przekleństwo, a potem:

– Trzymaj się, człeczyno.

Do jego uszu dobiegło echo rechotu krasnoludów i uszy mu poczerwieniały. Później rozległ się odgłos uderzeń młota. Felix spojrział w górę, ale trudno było mu dostrzec, kto to walił i co się działo. Widział tylko podeszwy krasnoludzkich butów i szeroki, krasnoludzki zad.

– Weź to – zawołał Gotrek.

Opadł ku niemu zwój liny, uderzając Felixa w twarz niczym atakujący wąż. Uchylił się. Mały żelazny hak uderzył go w czubek głowy. Jęknął i niemal zwolnił uchwyt na skale.

– Uważaj na głowę – zaśmiał się Thorgig.

Hak pomknął w dół fasady urwiska między nogami Felixa i zatrzymał się pod jego stopami, rozkołysany na końcu liny, do której był przymocowany.

– Możesz zwolnić rękę? – spytał Gotrek.

– Aye – odpowiedział Felix. Mówiąc to, właśnie pocierał nią swą głowę.

– To zahacz linę o pas.

– Jasne.

Felix jedną ręką podciągnął linę, chwytając wreszcie za hak, następnie przesunął go dwukrotnie pod sobą i wokół swego pasa i ponownie zahaczył o linę.

– Gotowe! – zawołał.

Lina napięła się i zaczęła przesuwac się w górę urwiska.

– Ruszaj dalej – rzucił Gotrek.

Felix wznowił wspinaczkę. Lina luzowała się, gdy się wspinał, ale co pół metra napinała się ponownie. Felix spojrzał w górę i zobaczył Gotreka, który przeciągał ją przez pętlę na kołku i mocno trzymał.

Inne krasnoludy przyglądały się temu z szerokimi uśmiechami na brodatych twarzach.

– Cóż to za rybę złapałeś, Zabójco? – zapytał Sketti.

– Nie za wiele na niej mięsa, prawda? – dodał Narin.

– Aye – powiedział Thorgig. – Wyrzuć ją.

Gdy się zrównali, Felix zobaczył, że Gotrek przybił do urwiska dwa kołki. Jeden mniej więcej półtora metra nad drugim.

– Poczekaj chwilę, człeczyno – powiedział. – Oprzyj stopę na tym i przytrzymaj się tego.

Felix z wdzięcznością stanął na niższym kołku i uchwycił się drugiego. To nie było zbyt wiele, ale po wiszeniu przez ostatnią godzinę na końcach palców, poczuł wielką ulgę.

– Gdy odzyskasz trochę sił, ruszaj dalej. Zostawimy dla ciebie liny i kołki.

– Liny i kolki – parsknął Sketti. – Jak dla dziecka. Nic dziwnego, że ludzie wykradają wszystko krasnoludom. Sami niczego nie są w stanie zrobić.

– Wystarczy, Młotoreki – warknął Gotrek.

– Wybacz, Zabójco – kpił Sketti. – Zapomniałem. To twój „Przyjaciel Krasnoluda”. Musi być zaiste bardzo przyjacielski, skoro jest wart takiego zachodu.

Gotrek zmierzył Żelaznego Brata jedynym, błyszczącym okiem i uśmiech zamarł na ustach starego krasnoluda. Jego biała broda poruszyła się, gdy przełykał ślinę.

– Dobrze – powiedział Gotrek, odwracając się ponownie ku skalnej ścianie. – W górę.

Krasnoludy ponownie ruszyły w górę urwiska, podczas gdy Felix stał na kołku i rozprostowywał ramiona. Po pokonaniu kolejnych piętnastu metrów, Gotrek wbił w granit następny kołek, osadzając go w skale siłą ręki, a potem dobijając pewnie małym młotkiem. Przywiązał do niego linę Felixa i ruszył dalej. Od tej chwili w ten właśnie sposób kontynuowali wędrówkę. Upokorzenie Felixa z powodu konieczności używania ropy złagodziło stosunkowe bezpieczeństwo i ułatwienia we wspinaczce. Nie zostawał już w tyle i gdy spoglądał w dół, nie paraliżował go strach.

W trzech czwartych wysokości skarpy nawet krasnoludy musiały zacząć używać lin i kołków. Urwisko wypiętrzało się pod szczytem niczym stopiony wosk na górze świecy, a oni musieli pokonać tę przewieszkę. Gotrek poszedł pierwszy, sięgając tak daleko, jak zdołał, aby wbić kołek. Zawiesił na nim pętlę z liny i usiadł na niej, żeby przybić następny. Felix zadrzał na ten widok. Zabójca był ciężki, jego mięśnie mocne jak dębina, a kolce tak drobne! Spodziewał się, że ciężar Gotreka wyrwie je ze skały i lada chwila krasnolud runie ku ziemi.

Krasnoludy, czekając, rozmawiały swobodnie, z taką łatwością przywierając do lin i opierając się na kolkach, jakby właśnie rozsiadły się przy barze w miłej tawernie, podczas gdy wiatr świszcział wokół nich.

– Spójrzcie tam – powiedział Sketti Młotoreki, wskazując palcem i podnosząc głos, aby go

usłyszeli, pomimo huku wodospadu. – Widać stąd Karak Izor. To trzecia góra z tyłu, za rozszczepionym szczytem Karaz Varnrik. NASZEJ twierdzy gobasy nie zajmą. Mój ród to Żelazne Bractwo i Strażnicy Głębin od czasów pradziada mojego pradziada, i żaden zielonoskóry nigdy się przez nas nie przebił. Nigdy w historii nasza twierdza nie została podbita.

– Sugerujesz, że straciliśmy Karak Hirn z powodu naszej słabości? – spytał Thorgig groźnym tonem. – Powiadasz, że walczyliśmy nie dość ofiarnie?

– Nie, nie, chłopcze – odparł Sketti, unosząc wolną dłoń. – Nie chciałem obrazić twojej twierdzy ani odwagi klanu. Jestem pewien, że wszyscy walczyliście jak przystało na prawdziwe krasnoludy. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście, gdyby na miejscu był któryś z waszych królów, sprawy wyglądałyby inaczej.

– Teraz obrażasz króla Alrika – stwierdził Thorgig, podnosząc głos.

– Nie czynię tego – zaprotestował Sketti. – To nie jedyny krasnolud, który padł ofiarą tej, inspirowanej przez elfy, inwazji Chaosu. Jestem pewien, że jego serce było na swoim miejscu, gdy chciał pomóc ludziom Imperium w czasie potrzeby, ale pierwszym obowiązkiem krasnoluda jest dbanie o swoich. Zatem...

– Jeśli będziesz brnął dalej, Młotoręki – powiedział Thorgig, zaciskając pięści – nie ręcę za siebie.

– Cisza! – dobiegł ich głos Gotreka.

Krasnoludy przerwały kłótnię i spojrzały w górę. Gotrek wisiał nad nimi, wyciągając szyję, aby wyjrzeć nad krzywizną nawisu. Jedną rękę trzymał na trzonku swego topora.

Sponad szczytu urwiska dobiegł, ledwo słyszalny przez ryk wodospadów, odgłos poruszenia. Kilka kamyków minęło Gotreka i spadło w stronę jeziora.

Felixowi wydawało się, że słyszy komendę rzuconą wysokim, surowym głosem, ale nie mógł zrozumieć ani słowa. Cokolwiek to było, nie był to głos ani człowieka, ani krasnoluda.

Krasnoludy pozostawały nieruchome niczym posągi. Nasłuchiwały. Odgłosy poruszenia dobiegły znowu, słabsze i oddalone bardziej na zachód, a potem ucichły. Po chwili Gotrek wznowił wbijanie kołka.

– Patrol goblinów – powiedział Druric.

Narin skinął głową.

– Czy wiedzą, że tu jesteśmy? – spytał Sketti, patrząc z niepokojem w górę.

– Gdyby wiedziały, musielibyśmy teraz uchylać się przed kamieniami – zauważył Thorgig.

Skórczanobrody burknął.

– To nie byłaby śmierć godna Zabójcy.

– Oni wiedzą – powiedział stary Matrak pustym głosem. – Wiedzą wszystko. Wiedzą, gdzie są klucze. Wiedzą, gdzie są drzwi.

Inni spojrzeli na niego. Krasnolud patrzył w dal niewidzącymi oczami.

– Biedny starzec – powiedział Narin pod nosem.

Niedługo później Gotrek dotarł na szczyt i zrzucił linę. Stary Matrak poszedł pierwszy, przypinając dla bezpieczeństwa linę do pasa. Choć jego umysł był poruszony, nie stracił pewności ruchów. Puścił kołek i zwiesił się na linie bez wahania. Potem wspinał się po niej ręka za ręką, aż dotarł do przewieszki i ponownie mógł się zaprzeć zdrową stopą i żelaznym kolcem.

Felix ruszył w górę jako czwarty, za Druricem. Podczas swoich podróży z Gotrekiem wspinał się wielokrotnie i zmierzył się z wieloma niebezpieczeństwami, ale zwisanie nad tą przepaścią było jednym z najtrudniejszych wyczynów, jakich kiedykolwiek dokonał. Tylko sceptyczne pomruki krasnoludów czekających na swoją kolej pozwoliły mu utrzymać linę i nie poddawać się wahaniu,

kiedy ją puścić. Za nic nie chciał, aby uznali go za jeszcze większego słabeusza niż dotychczas.

Oczywiście, nadzieja, że tak się nie stanie, znikła, gdy jedna z klamer na jego butach ześlizgnęła się podczas akrobacji pod przewieszką. Stracił oparcie i rąbnął twarzą w skałę, rozkrwawiając sobie nos. Niemal natychmiast odzyskał chwyt i równowagę, ale nad i pod sobą usłyszał parsknięcia śmiechu. Twarz płonęła mu wstydem, gdy pokonał nawis i Gotrek podał mu rękę, żeby go wciągnąć.

– Dobra robota, człeczyno. To ty pierwszy przelałeś krew za Karak Hirn – powiedział, szczerząc się, Zabójca.

– Pierwszy, który przelał swoją własną krew – dodał za nim Thorgig, rechocząc.

– Z radością przeleję krew kogoś innego – burknął Felix, patrząc na Thorgiga. Młody krasnolud zaczął działać mu na nerwy. Felix rozumiał, że miał powody, aby nienawidzić Gotreka. Zabójca znieważał jego i Hamnira, ale Felix nie dał Thorgigowi żadnego powodu do gniewu. Żadnego powodu, poza swoją obecnością, pomyślał. Thorgig nie był taki jak Sketti, ale przejawiał krasnoludzką pogardę dla wszystkiego, co krasnoludzkie nie było.

Felix rozejrzał się. Szczyt urwiska, w połowie wysokości góry, stanowiła szeroka i płaska półka skalna, wyglądająca niczym łądowisko. Dalej nad nią, ku szczytowi wzniesienia, biała czapa śniegu odcinała się na tle oślepiającego słońca. Głęboki, czarny staw – spokojne odbicie wzburzonego kotła na dole – został wycięty w półce przez lata erozji. Z prawej strony staw przelewał się nad brzegiem urwiska, stając się wąską, szarą nicią wodospadów. Między wodą a krawędzią urwiska nie pozostawało zbyt wiele miejsca. Felix miał wrażenie, jakby on i krasnoludy stali na brzegu wielkiego kamiennego dzbana, z którego bezustannie wylewała się woda do kamiennego kubka poniżej. Na samej górze wodospad był na tyle wąski, że można go było przeskoczyć, ale na myśl o skutkach poślizgnięcia się Felix poczuł dreszcz biegnący po skórze.

Druric przyglądał się ziemi na krawędzi urwiska.

– To były gobliny – stwierdził.

– A zatem, szukają nas? – spytał zaniepokojony Sketti, rozglądając się wokół.

– Niekoniecznie – odpowiedział Druric. – Prowadzą tu regularne patrole. – Wskazał na ziemię. –

Nowe ślady na starych.

Gotrek, gdy tylko pomógł podciągnąć się Skórczanobrodemu, odwrócił się do Matraka.

– Którędy do drzwi?

Matrak machnął ręką, wskazując na wschód, za strumień, gdzie brzeg urwiska wznosił się stopniowo do przełęczy między korpusem góry, a mniejszym, postrzępionym wzniesieniem – szerokim barkiem przy dumnej głowie karazu. – W górę. Tamtędy.

– Tamtą drogą poszły gobasy – powiedział Gotrek. – Załóżcie swoje pancerze.

Krasnoludy zdjęły klamry z butów i wyciągnęły z plecaków kolczugi, puklerze i rękawice, wkładając na ich miejsce sprzęt do wspinaczki. Felix założył łuskowaną skórzaną kurtę i zapiął na ramionach swój stary czerwony płaszcz. Nikt nie nosił tarcz, zbyt ciężkich i nieporęcznych podczas wspinaczki.

Gotrek zostawił linę obwiązaną wokół głazu i przeskoczył przez ryczący wodospad. Krasnoludy, bez większego namysłu, podążyły za nim na drugą stronę. Felix, biorąc rozbieg, wstrzymał oddech i usiłował nie myśleć o skutkach swego upadku do wody...

Drużyna, bezpieczna po drugiej stronie, ruszyła wzdłuż półki wznoszącej się ku przełęczy między głową a barkiem góry. To była wąska, ocieniona dróżka, wijąca się leniwie między dwoma szczytami. Później otwierała się na zapadlisko pokryte gęstym śniegiem, którego złogi wznosiły się ku czarnym zboczom Karaz Hirn po lewej i opuszczały do stromej urwiska po prawej. Ostatnie jej metry pokrywał czarny lód – zamarznęte pozostałości zsuwającego się śniegu; tak szkliste i gładkie,

jak wylot butelki wina.

Gdy już mieli zejść z dróżki w śnieg, uwagę Felixa przyciągnęły plamy czerwieni i zieleni po drugiej stronie. Tuzin goblinów siekł na kawałki górską kozicę, a jej krew plamiła wokół śnieg. Podobnie jak orki, które widzieli wcześniej, gobliny utrzymywały bardzo osobliwą, jak na zielonoskórych, ciszę. Nie biły się o kąski ani nie pożerały na miejscu swoich porcji. Zamiast tego pakowały zakrwawioną rąbankę do swoich toreb, zostawiając ją na później.

– Stoją nam na drodze – powiedział trzęsącym się głosem Matrak, wskazując na ciemną szczelinę w fasadzie skały po drugiej stronie zaśnieżonego zbocza. – Drzwi są za tamtą przełęczą.

– Zatem będziemy musieli je usunąć – powiedział Narin.

– Dzięki za to Grimmerowi! – odparł Sketti. – Dzień, w którym schowam się przed goblinami, to dzień, w którym zgolę swoją brodę.

Skórczanobrody warknął z głębi gardła.

– Zamknij się i atakuj – rzucił Gotrek. Ruszył biegiem naprzód.

Krasnoludy natarły za nim tak szybko, jak potrafiły, co, na standardy Felixa, nie było rekordową prędkością. Truchtał, aby nie wysunąć się przed szereg.

Gobliny dostrzegły ich szarżę, ale nie wrzasnęły na alarm ani nie rozproszyły się w panice, jak należało się tego spodziewać. Zamiast tego, po prostu upuściły trzymane kawałki porąbanej kozicy i zwróciły się w stronę krasnoludów, milczące jak mnisi.

Druric zwolnił bełt, trafiając jednego goblina w pierś, a potem odrzucił kuszę i dobył topora. On i Felix oraz reszta krasnoludów wbili się w małych zielonoskórych niczym taran, powalając je samą swą masą. Cztery gobliny zginęły natychmiast z toporami zatopionymi głęboko w ich wychudłych piersiach i szpiczastych czaszkach. Trzy następne też ścięto z nóg. Gotrek przerąbał jednego na pół. Felix usiłował trafić w następnego, małą zębatą maskarę, która odtoczyła się jednak, unikając jego ostrza. Stary Matrak stąpnął na innego, przebijając go swoim żelaznym kolcem.

Lider goblinów, walcząc z Thorgigiem, skrzekliwie rzucił rozkaz i dwaj zielonoskórzy oderwali się od walki, po czym pobiegli w górę wznesienia. Skórczanobrody rzucił jeden ze swoich toporów, który pomknął, obracając się w powietrzu, za uciekinierami i powalił jednego z nich, ale drugi wciąż zbliżał się do szczytu zaśnieżonego zbocza.

– Za nim, człeczyno! – zawołał Gotrek. – Zrób użytek z tych długich nóg!

Felix ruszył sprintem pod górę, wybijając stopami dziury w twardej skorupie śniegu. Goblin przemknął przez ciemną szczelinę i pobiegł w dół skalistej ścieżki. Felix pognął za nim, nabierając z każdym krokiem szybkości. Goblin odwrócił się, spojrzał pozbawionym emocji rybem wzrokiem, a potem pobiegł dalej.

Zagłębienie w skale wypełniały skalne odłamki i luźny żwir. Felix, zbiegając, poślizgnął się i zsunął, dwukrotnie niemal skręcając sobie kostkę. Zbliżył się do goblina na odległość metra i zamachnął się mieczem, ale stwór uskoczył za wielki głaz i zniknął z pola widzenia. Felix obiegł głaz szerokim łukiem i nagle znalazł się na krawędzi szerokiej, opadającej w ciemność polodowcowej szczeliny. Z łomotem serca uskoczył w lewo i przyhamował, a jego szorujące po ziemi stopy zrzuciły w przepaść kilka kamyczków. W ostatniej chwili zatrzymał się przed urwiskiem.

Goblin wyskoczył zza skały. Felix rzucił się za nim, czując dreszcz na myśl o tym, jak niewiele brakowało do śmierci. Gdyby wpadł do przepaści nikt by go nie znalazł. Nikt nie dowiedziałby się, co się z nim stało. Straszna śmierć dla kronikarza.

Goblin, dobiegając do grzbietu wznesienia, poślizgnął się na luźnych kamieniach i upadł na twarz. Felix szybko zbliżył się do niego. Stwór znów się poderwał i dał nura do przodu. Felix skoczył i powalił go na ziemię. Stoczyli się, splątani, na drugą stronę grzbietu i zatrzymali u

podstawy zbocza. Goblin znalazł się na górze. Uniósł swój krótki miecz o zębatym ostrzu, aby dźgnąć Felixa, ale ten zrzucił go z piersi i przetoczył się na przeciwnika, tnąc go mieczem. Stał przebiła czaszkę goblina. Mały zielony potwór drgnął spazmatycznie i znieruchomiał.

Felix upadł na bok i dysząc ciężko, leżał z policzkiem przyciśniętym do zimnej skały. Patrzył na martwego goblina.

– Dorwałem cię w końcu, ty brudny...

W jego polu widzenia nagle pojawił się ogromny, futrzany but. Spojrzał w górę. Nad nim, gapiąc się w dół, w zbroi z kawałków metalu, stał wielki ork. Dwadzieścia kolejnych wychylało się zza jego pleców.

## Rozdział 8

Ork zamachnął się wielkim, dwusiecznym toporem. Człowiek krzyknął i się przetoczył. Topór utkwił głęboko w ziemi, kilka centymetrów od ramienia Felixa i przyszpilił mu płaszcz. Felix poderwał się, ogłuszony. Płaszcz, zanim się urwał, niemal go udusił. Zaatakował kolejny ork. Felix uskoczył i chwiejnie pobiegł, potykając się, z powrotem ku grzbietowi wzniesienia.

Orki popędziły za nim w denerwującym milczeniu. Felix runął w dół zbocza, w stronę czarnej przepaści, skręcając, tuż przed uskokiem, na wąską dróżkę ku skalistej przełęczy. Słyszał za sobą tupot orków, a potem niknący ryk poniżej; jeden z nich potknął się i zwałił w otchłań. Reszta ruszyła, nie poświęcając straconemu kamratowi choćby jednego spojrzenia.

Felixowi dokuczała kolka. Wspinał się po ścieżce i chwycił powietrze, sapiąc urywanie. Miał zadyszkę już w momencie, gdy złapał goblina. Teraz czuł się tak, jakby za chwilę miał umrzeć. Chciał zatrzymać się i zwymiotować, ale orki były tak blisko, że słyszał ich oddech i czuł zwierzęcy smród. Ziemia drżała pod ich stopami.

Światło zaśniewzonego pola lśniło na szczycie zacienionej przełęczy niczym latarnia nadziei. Wydawało się odległe o całe kilometry. Felix poślizgnął się na luźnej skale i tym razem rzeczywiście skręcił sobie kostkę. Ból przeszył go gwałtowną falą. Krzyknął i prawie upadł. Za nim świsnęła stal i topór odbił się od skalnej ściany tuż za jego głową.

Wdrapywał się dalej. Kostka promieniowała bólem przy każdym kroku. Nie mógł sobie pozwolić na luksus poddania się bólowi – po prostu wbijał stopę w ziemię i wytrzymywał ból najlepiej jak umiał. W końcu, na wpół omdlały, dotarł do szczytu przełęczy na centymetry przez orkami i runął na śnieżne pole. Cięcie tasaka drasnęło jego okryty łuską bark i rzuciło go na ziemię. Zsunął się w stronę urwiska po śnieżnym zboczu, twarzą w dół.

Krasnoludy maszerowały pod górę, zostawiwszy za sobą ciała goblinów. Widząc pędzącego w ich stronę człowieka, przygotowały broń. Spoglądały z ochoczym wyczekiwaniem na twarzach. Gotrek wysunął się naprzód i Felix zatrzymał się na jego kolanach. Zabójca podniósł go i postawił na nogi.

– Ech – stęknął Felix, dotykając pulsującego bólem barku. Ork przeciął skórę pancerza i zerwał z niej kilka łusek, ale rana nie krwawiła. – Dorwałem goblina.

– Dobrze – mruknął Gotrek i minął go, unosząc swój topór.

Orki rozciągnęły się w równe półkole i maszerowały tyralierą w dół, z bronią w gotowości. Felix zadrżał na ten widok.

– To nie są orki – odezwał się Sketti niespokojnym głosem, wypowiadając na głos myśl Felixa. – Nie mogą nimi być. To coś innego, przebrane w zieloną skórę.

– Może elfy? – podsunął Narin z ironicznym uśmiechem.

Druric spojrział przez ramię w dół zbocza.

– Zamierzają nas ustawić przed sobą. Chcą nas zepchnąć z urwiska.

– Niech spróbują – odparł Skórczanobrody.

Wódz orków rzucił rozkaz i stwory natarły, nie wypowiadając ani jednego słowa. Krasnoludy zebrały się i przyjęły atak niewzruszoną ścianą ostrej stali. Gotrek zablokował pierwszy cios wodza, rozbił jego topór bojowy powrotnym cięciem, a potem skosił pod nim nogi. Dwa następne orki wskoczyły na jego miejsce.

Narin i Druric, w pierścieniu trzech orków, walczyli oparci o siebie plecami. Skórczanobrody, z dwoma ociekającymi krwią dwusiecznymi toporami w potężnych dłoniach, przeszedł nad martwym wrogiem, aby dostać się do następnego. Sketti Młotoręki i stary Matrak walczyli z orkiem, który

władał żelazną maczugą przypominającą ogromną maselnicę. Thorgig i Kagrin usiekli innego swoimi toporami i odwrócili się, by zmierzyć się z dwoma następnymi.

Felix walczył z niskim, grubym jak beczka brutalem o łbie przypominającym zieloną dynię. Uchylił się przed cięciem topora, lecz sam nie trafił z kontratakami. Wydało mu się dziwne, że, chociaż poprawiły taktykę, odmienione orki nadal walczyły jak orki – uderzając wielkimi, niezbornymi cięciami, które mogłyby roztrzaskać dom, gdyby doszły celu, ale najczęściej nie dochodziły. Dlaczego zmieniły tylko jeden element swego zachowania? I przede wszystkim – co je zmieniło?

Pomimo skręconej kostki zrobił niezdarny krok naprzód i wszystkie myśli zniknęły, przegnane falą bólu.

Ork dostrzegł jego niepewne stąpienie. Zamachnął się. Felix zrobił unik i przebił zebra orka, ponownie narażając kostkę. Ork runął na ziemię, Felix ledwo utrzymał równowagę. Świat wokół niego – na zmianę – to bladł, to się pojawiał. Zaatakował kolejny ork, żyłasty i wysoki. Felix jęknął. Nie był gotowy. Zablokował cios i cofnął się, silnie kulejąc.

Połowa orków była już martwa. Nie padł jeszcze żaden krasnolud, ale swoją masą i liczebnością zielonoskórzy zepchnęli hardych wojowników w tył, niemal do granicy czarnego lodu, skuwającego krawędź urwiska. Gotrek zabił kolejnego przeciwnika, który, padając, minął go i obracając się, runął w otchłań.

Felix cofnął się raz jeszcze. Jego boląca stopa poślizgnęła się na lodzie. Z łupnięciem uderzył kolanem o śliską powierzchnię. Przed oczami miał tylko czerń i czerwień. Zsuwał się do tyłu. Wysoki ork naparł, chcąc wykończyć człowieka, ale zamiast tego gwałtownie usiadł na ziemi, gdy wyslizgnęły się spod niego nogi. Felix chwycił zielonoskórego za pas, bardziej po to, by się zatrzymać, niż zaatakować i pociągnął orka w stronę urwiska. Stwór na próżno drapał grubymi, żółtymi pazurami w twardy lód, a potem przepadł.

Felix zadrżał, przerażony. Ostrożnie wdrapał się z powrotem na śnieg, sycząc i pojękując. Wokół niego szalała bitwa.

Po jego prawej Narin kopniakiem przewrócił orka i rąbnął go w brodę, zrzucając z urwiska. Po lewej, Thorgig odskoczył, unikając cięcia tasakiem i potknął się o ciało martwego orka. Padł na lód plecami i zaczął się zsuwać głową w dół, w kierunku przepaści.

– Thorgig! – ryknął Kagrin i ruszył naprzód, ale sam stracił równowagę. Uchwycił się głazu, patrząc, jak jego przyjaciel stacza się ku otchłani.

Thorgig w ostatniej sekundzie oprzytomniał i uderzył o ziemię swoim długim toporem. Zakrzywiony hak na głowicy wbił się w lód i utrzymał ciężar. Krasnolud zatrzymał się ze stopami zwisającymi poza krawędzią, trzymając jedną ręką za koniec trzonka topora.

Ork Thorgiga zamierzył się na Kagrina, nadal przytulonego do głazu. Wziął zamach. Młody złotnik odepchnął się i topór orka skrzesał jedynie iskry na kamieniu. Kagrin ciał swoim toporem pod kolano wroga i ten zachwiał się na nogach. Padł na bok; warcząc i młóćąc rękami, zsunął się po lodzie. Zbliżył się niebezpiecznie do wiszącego Thorgiga, aż w końcu wypadł za krawędź.

– Trzymaj się mocno, Thorgig! – krzyknął Kagrin, otwierając swój plecak i wyciągając linę do wspinaczki. Zaczął obwiązywać jeden koniec wokół głazu, ale kolejny ork go zauważył i ruszył do walki. Kagrin upuścił linę i stanął.

Felix podciągnął się na nogi i spojrzał na Kagrina, ale kostka zaboląła go i znowu upadł. Nie zdoła dotrzeć do krasnoluda! Rozpaczliwie rozejrzał się wokół. Kagrin zablokował brutalny cios swoim toporem, lecz oszołomiony runął na ziemię.

Za Gotrekiem leżała odrąbana orcza głowa. Felix złapał ją za skalp i obrócił się, zataczając nią



koło. Ohydna rzecz była zdumiewająco ciężka; bez wątpienia – sama czaszka i maleńki mózdzek. Gdy Felix się odwracał, jego kostka i kolano promieniowały bólem.

– Hej! – krzyknął, wypuszczając głowę. – Brzydal!u!

Ork podniósł wzrok dokładnie w chwili, gdy łeb jego kamrata rąbnął go prosto w twarz. To nie był mocny cios, ale rozproszył go na tyle, że Kagrin zdążył się podnieść i zatopić swój topór w bebechach stwora. Ork cofnął się o krok, zaskoczony, a jego brzuch otworzył się, uwalniając wnętrzności, które z plaśnięciem upadły na lód. Poślizgnął się na nich i runął w śnieg. Kagrin stanął i siekł orka w kark. Stwór zadrgał spazmatycznie i umarł. Kagrin odrzucił topór i odwrócił się ponownie do swojej liny.

Felix, kulejąc, ruszył naprzód, aby osłaniać rozwijającego linę Kagrina, ale gdy się rozejrzał, zrozumiał, że nie było takiej potrzeby. Bitwa dobiegła końca. Pozostałe krasnoludy stały, dysząc, nad swoimi ofiarami. Śnieg wokół nich plamiła krew zarówno czerwona, jak i czarna. Gotrek wydostał się z kręgu martwych orków i wytarł swój topór garścią śniegu. Skórczanobrody miał długie cięcie biegnące przez obnażoną pierś, ale była to jego najpoważniejsza rana. Reszta miała tylko zadrapania i siniaki.

Kagrin rzucił koniec liny Thorgigowi.

Pozostałe krasnoludy odwróciły się.

– Ostrożnie, chłopcze – powiedział Narin. – Żadnych gwałtownych ruchów.

– To, właśnie dlatego krasnolud zawsze nosi ze sobą topór, a nie miecz – rzekł Sketti, patrząc z niechęcią na długą broń Felixa. – Miecz by cię nie zatrzymał.

Thorgig powoli sięgnął wolną ręką i wymacał za sobą linę. Znalazł ją i zacisnął mocno dłoń.

– Nie próbuj się wspinać – powiedział Gotrek. – Tylko się trzymaj.

Wziął linę od Kagrina i zaczął ją, ręka za ręką, delikatnie ciągnąć. Thorgig, wlokąc za sobą swój topór, przesuwał się po lodzie małymi skokami, aż Gotrek wciągnął go na śnieg. Kagrin chwycił dłoń przyjaciela i pomógł mu wstać. Twarz Thorgiga była ściągnięta i pozbawiona emocji, ale był blady, a jego ręce drżały.

– Dziękuję ci, Zabójco – powiedział. – Dziękuję ci, kuzynie. – Odwrócił się do Felixa i pochylił głowę. – I dziękuję tobie, człowiecze. Widziałem, co zrobiłeś. Ocaliłeś życie moje i mojego przyjaciela. Jestem twoim wielkim dłużnikiem.

Felix wzruszył ramionami, zażenowany.

– Zapomnij o tym.

– Możesz być pewien, że nie zapomnę.

– Zabójco – odezwał się Druric. – Powinniśmy zrzucić ciała w przepaść, a wraz z nimi zakrwawiony śnieg. Może nadejść kolejny patrol i byłoby lepiej, żeby nie dowiedział się, co się stało z pierwszym.

– Aye – zgodził się Gotrek, kiwając głową. – Do roboty.

Podczas gdy inni spychali orki i zbierali zaplamiony śnieg, Druric, który nosił apteczkę, opatrzył i obwiązał ranę Skórczanobrodego, a potem owinął bandażami spuchniętą kostkę Felixa.

– Nie jest złamana, jak sądzę – powiedział.

– I tak może mnie zabić – odparł Felix, myśląc o zejściu z góry przy powrocie.

Sketti zaśmiał się, gdy Felix, z bolesnym wyrazem twarzy, wpychał stopę do buta.

– Teraz może trochę zwolnisz i będziesz szedł we właściwym, krasnoludzkim tempie.

– A może, jeśli cię powieszę za szyję, urośniesz do właściwego, ludzkiego wzrostu? – odpalił Felix.

Sketti spurpurowiał i sięgnął po topór.

Gotrek łypnął na niego.

– Nigdy nie wdawaj się w słowne potyczki z poetą, Żelazny Bracie. Nie wygrasz.

Gdy wszystkie ślady walki zostały zepchnięte z urwiska i krasnoludy opatrzyły swoje rany, ponownie wyruszyli w górę wygiętego na kształt siodła śnieżnego zbocza, a później na dół, przez kamienistą przełęcz.

– Tam – powiedział Matrak po kolejnej półgodzinie marszu krętą drogą, wśród grzbietów skalnych i urwisk Karak Hirn. – Tam są drzwi Birrissona, które niegdyś wiodły na lądowisko żyrokopterów. – Wskazał na niepozorny fragment z czarnego granitu, który, według Felixa, nie różnił się niczym od reszty górskiego zbocza.

Druric przyjrzał się ziemi, gdy zatrzymali się przed skalną ścianą. Potrząsnął głową, sfrustrowany.

– Ziemia jest zbyt twarda i nie ma tu śniegu. Nie potrafię powiedzieć, czy gobasy użyły tych drzwi. – Pociągnął nosem. – Nie zostawiły w pobliżu żadnych śladów.

– Gdzie indziej mogłyby pójść? – spytał Narin.

– Krążyły wokół wejścia? – zasugerował Sketti.

– Tam nie ma żadnej drogi – powiedział stary Matrak.

– Żadnej.

– Jeśli użyły tych drzwi – rzekł Thorgig – czy zwalnia nas *to* z zadania? Musimy wejść do wnętrza nawet, jeśli jest strzeżone. Książę Hammir polega na nas.

– O ile w ogóle go użyli, nie jest zapewne mocno bronione – powiedział Narin. – Nie spodziewają się raczej ataku z tej strony.

– Otwórzcie, a się przekonamy – odezwał się Gotrek.

Matrak ruszył naprzód, ale zawahał się i zapatrzył pustym wzrokiem na ścianę.

– Nie mów mi, że przebyliśmy całą tę drogę, a ty zapomniałeś, jak się dostać do środka – powiedział Narin. Wyjął krzesiwo ze swojej torby i zapalił małą lampkę. Inni ruszyli za jego przykładem.

– Wiedzieli, że przychodzimy. Czekali na nas – rzekł Matrak. Drżał. – Wszyscy zginiemy.

– Dostyc tego, stary ponuraku – rzucił gniewnie Sketti. – Otwieraj drzwi!

Gdy krasnoludy zapaliły lampy, Matrak skinął głową i zrobił przy ścianie urwiska coś, czego Felix nie dostrzegł. Cofnął się o krok. Krasnoludy przyjęły pozycję obronną. Felix dobył miecza. W pierwszej chwili wydawało mu się, że nic się nie dzieje. Za chwilę jednak Felix zmarszczył brwi i potrząsnął głową, bo wszystko zakreśliło mu się przed oczami. Spróbował wyostrzyć wzrok. Zdawało mu się, że zaczął przesuwac się do tyłu, chociaż jego stopy tkwiły w miejscu. Nie, to oddalała się ściana urwiska! Wysoki, kwadratowy fragment ściany cofał się w głąb góry. Felix wysilił słuch, ale nie usłyszał jakiegokolwiek zgrzytu trybów.

Po chwili kwadratowa część skały zatrzymała się na głębokości, mniej więcej, piętnastu kroków we wnętrzu góry, odkrywając zarys ciemnej, wykutej w skale komnaty. Gdy przez drzwi nie wypadła horda orków, krasnoludy ruszyły naprzód.

– Stać! – zawołał Matrak. – Tu jest pułapka.

Przykucnął przy obniżeniu w podłodze, w którym zagłębiły się przesuwne drzwi i sięgnął w dół. Po chwili manipulacji nastąpiło szczęknięcie, które Felix raczej wyczuł, niż usłyszał. Matrak stanął.

– Teraz jest w porządku – zapewnił.

Miejsce nie wydawało się bezpieczne. Chociaż Felix nie dostrzegał niczego specjalnie niepokojącego, gdy wraz z Gotrekiem i pozostałymi przekroczył ostrożnie drzwi, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że coś nie jest w porządku. Na plecach czuł mrowienie i stale popatrywał przez ramię w

oczekiwaniu, że w ciemności dojrzy lśniące, złe oczy. Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Matrak zamknął za nimi drzwi. Po tej stronie poruszała je zwykła dźwignia. Komnata w środku była niewielkich rozmiarów, zgodnie ze standardami krasnoludzkiej architektury. Miała niski, łukowaty sufit, który przecinały drewniane belki podpierające żelazne przekładnie i podnośniki zawieszane na ciężkich łańcuchach. Ławy narzędziowe, kuźnie i biurka projektantów wypełniały całe wnętrze, a stare, niedokończone maszyny i urządzenia stały wszędzie. Gdy krasnoludy mijały je, niosąc swoje latarnie, cienie maszynierii poruszały się wzdłuż ścian warsztatu niczym szkielety dziwnych mechanicznych bestii. W kącie leżał rozmontowany żyrokopter.

Sketti potrząsał głową, rozglądając się.

– Inżynierowie są szaleni – wyszeptał. – Wszyscy.

Matrak zaprowadził ich do ocienionego łuku po drugiej stronie izby. Za nim ciągnął się krótki, wąski korytarz, wznoszący się serią długich, płtykich i nieco pochyłonych schodów, aż do kamiennych drzwi na drugim końcu.

– Bądźcie ostrożni – powiedział Matrak, stając przed nimi i unosząc dłoń. – To tutaj Birri zastawił wszystkie swoje pułapki i... – zamarł nagle, a potem cicho jęknął.

– Co znowu? – spytał z irytacją Thorgig.

Matrak odstąpił, drżąc na całym ciele.

– To nie jest w porządku. To nie jest w porządku – powiedział. – Zły zapach. Wszystko nie jest w porządku.

Krasnoludy uniosły swoje wydatne nosy i wciągnęły powietrze. Felix także niuchał, spodziewając się wyczuć znajomy smród orków, ale nie poczuł niczego. Krasnoludy jednak marszczyły czoła.

– Świeżo cięty kamień – oznajmił Kagrin.

– Aye – zgodził się Druric. – Nie dalej niż tydzień temu.

– To teraz orki zajęły się kamieniarską robotą? – spytał Thorgig.

Kagrin wysunął swoją latarnię za łuk, oświetlając korytarz i przyglądając mu się krytycznym okiem.

– Nie może być – mruknął. – To czysta prawda.

Felix skrzywił się.

– Potraficie stwierdzić na podstawie zapachu, jak dawno temu kamień był cięty?

– Oczywiście – odparł Sketti. – Ludzie tego nie potrafią?

Felix potrząsnął głową.

– Żaden, o jakim słyszałem.

– Człowiecze, należysz do żalostnej, słabej rasy – powiedział współczująco Sketti.

– Która rządzi światem – zaripostował Felix.

– Tylko dzięki sztuczkom i złodziejstwu – odpalił Sketti, podnosząc głos.

– Cisza! – rzucił Gotrek. Odwrócił się do Matraka, który wpatrywał się w korytarz wilgotnymi, przestraszonymi oczami. – Co to oznacza, inżynierze?

– Cięli kamień. Gobasy, które tną kamień! To... – jęknął. – To może oznaczać tylko jedno. Zmienili pułapki. – Odwrócił się do Gotreka. – Niech nas wszystkich Valaya strzeże! Wiedzieli, że nadchodzimy! Zastawili nowe pułapki!

Gotrek schwytał go za koleczą koszulkę na piersi.

– Przestań się mazgać, niech cię Grimnir przeklnie! – wyrzucił z siebie. – Jeśli coś jest nie w porządku, to napraw to!

– Stracił kręgosłup – zakpił, odwracając się, Sketti. – Zielonoskórzy ukradli mu go, kiedy uciekał

z twierdzy.

– Nie widziałeś tego! – zawył Matrak. – Nic nie wiesz! Dosięgnie nas zagłada!

– Może jest inne wyjaśnienie – odezwał się Narin. – To nie muszą być sprytne gobasy. Może uwięzionym klanom udało się odzyskać część twierdzy. Może dodały nowe zabezpieczenia.

– A może po prostu po drugiej stronie tych drzwi czekają zielonoskórzy i to właśnie ich smród czujemy – zasugerował Skórczanobrody.

– Tak czy inaczej – odezwał się Druric – musimy postępować ostrożnie. To byłby ponury żart, gdybyśmy zostali pocięci na kawałki przez pułapki zastawione przez tych, których przybyliśmy ocalić.

Gotrek puścił Matraka.

– Dobra. Ruszaj, inżynierze.

Matrak zawahał się, spoglądając nieszczęśliwym wzrokiem w głąb tunelu. Gotrek łypnął na niego, unosząc topór. Inżynier przełknął ślinę, lecz w końcu niechętnie ponownie podszedł do łuku, przyglądając się każdemu centymetrowi podłogi i ścian w pobliżu, aż wreszcie dotknął po kolei trzech kwadratowych wypustek w ozdobnej futrynie. Felix niczego nie usłyszał, ale krasnoludy skinęły głowami, jakby wyczuły, że pułapka została rozbrojona. Ruszyły naprzód.

Matrak uniósł dłoń.

– To dla pewności. – Zdjął swój plecak i upuścił go ciężko na kamienne płyty tuż pod łukiem. Krasnoludy cofnęły się o krok, ale nic się nie stało.

Matrak odetchnął głęboko, z ulgą.

– Dobrze. – Postawił dwa kroki w głąb korytarza i zamarł, unosząc w powietrzu drewnianą nogę. Cofnął się i machnął do innych, aby też się wycofali. – Tu JEST nowa pułapka! – Pocił się.

Przysiadł i przyjrzał się podłodze, przesuwając delikatnie palcami wzdłuż cienkiej jak włos linii, biegnącej pomiędzy dwiema idealnie wyciętymi, kamiennymi płytami. Rozejrzał się po ścianach. Coś wśród ozdób wzdłuż ściany przykuło jego wzrok. Potrząsnął głową.

– To robota krasnoludów? – spytał Narin.

Matrak żuł brodę.

– Nie może być niczyja inna, ale to... Żaden krasnolud nie przyzna się do tak lichej roboty. – Wskazał na sekcję w ścianie. – Spójrzcie, jak kiepsko jest osadzona.

Felix nie zauważał żadnej różnicy między tym fragmentem ściany a następnym, ale pozostałe krasnoludy kiwały głowami.

– Może się śpieszyli? – podrzucił Thorgig. – Może chcieli skończyć robotę, zanim gobasy znajdą przejście?

– Nawet w pośpiechu krasnolud przywiązywałby do tego więcej uwagi – odparł Matrak. – Coś jest nie w porządku. Coś jest nie w porządku... – Zgiął się i wcisnął inny fragment naściennej ozdoby, a później odetchnął, jakby wyczuł coś, czego Felix nie zdołał.

– Dalej, inżynierze – powiedział Gotrek łagodniejszym tonem. – Sprawdź to i ruszaj dalej. Nie możemy się spóźnić.

Matrak pokiwał głową i sprawdził nową pułapkę za pomocą plecaka. Nic się nie stało. Podniósł go i ponownie powoli ruszył naprzód, trzymając lampę nisko nad ziemią. Posuwali się korytarzem w powolny, nużący sposób. Matrak rozbrajał pułapki, o których wiedział, znajdował nowe, których nie znał i z każdą kolejną stawał się coraz bledszy i bardziej roztrzęsiony. Krasnoludy w napięciu obserwowały każdy jego ruch, gdy szukał następnej pułapki i odprężały się, gdy ją rozbrajał.

Gdy szli naprzód, Felix rozglądał się po ścianach i suficie, próbując dostrzec ślady obróbki kamienia w miejscach, gdzie powinny być osadzone pułapki, ale niczego nie zauważył. Nie było

żadnych otworów ani podejrzanych ozdób w kształcie topora czy młota. Kamienne bloki były tak dopasowane, a ich wzór tak regularny, że nie potrafił sobie wyobrazić, żeby kryły się za nimi jakiegokolwiek pułapki.

Podczas gdy Matrak robił się coraz bardziej przerażony, pozostałe krasnoludy wydawały się spokojniejsze, wierząc z każdą chwilą bardziej, że ich bracia wewnątrz twierdzy nadal żyją i prowadzą obronę odbitych hal i komnat.

– Trzymają gobasy z daleka – powiedział Sketti Młotoręki, gdy zbliżyli się do końca korytarza. – Widzę to tak wyraźnie, jak nos na własnej twarzy. Po drugiej stronie tych drzwi spotkamy krasnoludy, założę się o własną brodę! Powinniśmy przerwać te podchody i zawołać do nich, żeby nas wpuścili.

– Gdyby tam był mój ojciec – powiedział Thorgig – nie siedziałby w swojej twierdzy, nie robiąc niczego i czekając na ratunek. Walczyłby i atakował tych, którzy zaatakowali jego.

Matrak zatrzymał się przed postawieniem ostatniego kroku. Drzwi były oddalone zaledwie o dwa.

– Ostatni krok to ostatnia ze starych pułapek – oznajmił. Sięgnął do kinkietu na prawej ścianie i ze stuknięciem docisnął go do podstawy. Kinkiet obrócił się i Matrak odetchnął z ulgą.

– Gotowe – powiedział, odwracając się do pozostałych. – Teraz pozostaje tylko znaleźć nowe... Felix poczuł głuche tąpnięcie pod podłogą, a nad głową usłyszał trzask.

## Rozdział 9

Krasnoludy zamarły. Po sklepieniu coś się toczyło.

Matrak spojrział w górę, mrugając oczami.

– Sprytne łotry – sapnął, jakby z podziwem. – Założyli pułapkę na wyłącznik.

– W nogi! – ryknął Gotrek.

Krasnoludy odwróciły się, ale zanim zdążyły wykonać dwa kroki, wielki kwadrat sufitu nad drzwiami nagle opadł. Pierwsza krawędź uderzyła z hukiem w podłogę. Kagrin wrzasnął, gdy jego stopa uwięzła pod płytą, która zmiażdżyła w niej kości na papkę. W otworze na suficie rozległ się łomot.

– Kagrin! – zawołał Thorgig, odwracając się.

– Głupiec! – Gotrek chwycił go za kołnierz i pociągnął za sobą.

Z otworu wypadły kamienne kule wielkości dużych dyń i runęły w dół korytarza. Hałas był ogłuszający. Jedna z kul wylądowała prosto na głowie Kagrina, miażdżąc ją, a potem popędziła za krasnoludami, zostawiając na podłodze czerwone plamy przy każdym odbiciu.

Krasnoludy biegły tak szybko, jak mogły je unieść krótkie nogi. Nie dość szybko. Sketti został podcięty przez trzy kule. Rozgniotły go na miazgę. Kolejna uderzyła w jego zmasakrowane ciało i poderwała się w powietrze. Gotrek uchylił głowę i sfera tylko otarła się o jego skroń. Zachwiał się i potknął, zakrwawiony. Thorgig odzyskał oparcie dla stóp i przebiegł obok niego. Kula wyrwała drewnianą nogę spod Matraka, który wylądował płasko na plecach. Kolejna spadła na jego brzuch, rozgniatając go.

Felix wystrzelił naprzód przed krasnoludy, ignorując agonię swojej kostki, i rzucił się w lewo na końcu korytarza. Kamienna kula przeleciała obok, mijając go o centymetry. Spojrzął za siebie i zobaczył jak inna spycha Drurica na bok, do ściany pomieszczenia. Krasnolud upadł. Skórczanobrody porwał go w silne ramiona i wyskoczył z korytarza na prawo. Narin był tuż za nim. Thorgig uchylił się przed wirującą sferą i wylądował na twarzy za Felixem. Gotrek wypadł ostatni, chwając się i uchylając o centymetry przed dwoma kulami, aż wreszcie wpadł na leżącego Narina, łapiąc się za krwawiącą głowę.

Kule wytoczyły się z korytarza niczym szarżujące byki i wbiły w urządzenia i ławy narzędziowe Birriego, zmieniając je w stos drzazg i złomu, aż wreszcie straciły impet i zatrzymały się. Wysoki, miedziany zbiornik przechylił się powoli na pogiętych metalowych nogach i z metalicznym szczękiem runął na podłogę ze wzbierającą na sile eksplozją pyłu.

Felix i krasnoludy leżeli w miejscu, łapiąc oddech i odzyskując zdolność myślenia. Felix nie był pewien czy jest cały, czy ranny. Nie wiedział ilu z jego towarzyszy zginęło. Jego umysł nadal wypełniał wir biegu i uników oraz koszarne grzechotanie toczących się kul.

Jęk z głębi korytarza nareszcie otrzeźwił Thorgiga.

– Kagrin? – wstał.

– Porzuć nadzieję, chłopcze – powiedział Narin, siadając i poruszając karkiem. Ostrożnie dotknął swojego lewego ramienia.

Thorgig podszedł do wylotu korytarza. Felix i Narin wstali i dołączyli do niego.

Gotrek także stał, ale musiał wspierać się o ścianę.

– Kto pochylił podłogę? – mruknął.

Skórczanobrody podniósł się i stanął za innymi, poprawiając maskę, aby dobrze widzieć. Tylko Druric leżał na swoim miejscu, zwinięty w ciasny kłębek, z zaciśniętymi z bólu oczami.

Kolejny jęk dobiegi z Sali. Ruszyli naprzód. Cztery metry dalej znaleźli starego Matraka. Leżał,

półprzytomny, w kałuży własnej krwi. Jedna z kul zajmowała miejsce jego brzucha. Spojrzał na krasnoludy.

– Wiedziałem, że to nie jest w porządku – wymruczał. – Czyż nie mówiłem wam?

Thorgig ujął dłoń starego krasnoluda.

– Grimmir cię wita, Matraku Marnissonie.

– Czy zatem umieram?

Był martwy, zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć. Krasnoludy pochylały głowy, a potem Thorgig spojrział dalej, w głąb Sali. Sketti leżał trzy metry dalej. Jego ciało było rozbite, a niewidzące oczy spoglądały oskarżycielsko w sufit. Za nim leżało następne połamane ciało. Thorgig wpatrzył się w cienie.

– Nie, chłopcze – powiedział Narin. – Nie chcesz tego oglądać.

– Muszę! – zawołał Thorgig.

Ale zanim zdołał wykonać następny krok, na końcu korytarza powoli uchyliły się drzwi, na wpół schowane za granitową rampą sufitowej pułapki, która uwolniła kamienne sfery. W przejściu pojawił się tłum zwalistych sylwetek. Jedna z nich wyciągnęła rękę i dotknęła ozdoby framugi. W ścianach rozległ się odgłos poruszanych trybów i przeciwwag, a zapadnia, znad której wypadły kule, podniosła się do sufitu. Wzdłuż całego korytarza, za ścianami, słychać było stuki i łupnięcia.

– To nie są ocaleni – powiedział Narin, cofając się o krok.

– Ale... To niemożliwe – nalegał Thorgig. – Gobasy nie mogły zastawić tych pułapek!

– Może i nie – odparł Skórczanobrody. – Ale właśnie je rozbroiły.

Orki przepychały się w korytarzu, spoglądając na zmiażdżone ciało Kagrina.

– Zapomnijcie o pułapkach – wycedził przez zęby Gotrek. – Dorwijcie je.

Ruszył przed innymi, zataczając się jak pijany i uderzając trzonkiem topora w otwartą dłoń.

– Aye – odpowiedział Skórczanobrody, dołączając do niego. – Muszą zapłacić za wiele krzywd.

Przywódca orków dostrzegł w ciemności krasnoludy i rzucił rozkaz. Orki przeszły ponad ciałem Kagrina i ruszyły naprzód, milczące i czujne.

– Ach – odezwał się Felix, cofając się na piętach. – Nie chcę być znowu głosem rozsądku, ale nie zdołamy dotrzeć do frontowej bramy. Nie, jeśli poderwie się cała twierdza. Nie damy szans księciu Hammirowi.

– Człeczyna ma rację, Zabójco – przyznał Narin, wycofując się. – Musimy powrócić do Hamnira i ostrzec go przed tym atakiem.

Gotrek splunął i wycedził coś wściekle, ale cofnął się. Podniósł kulę, która zmiażdżyła starego Matraka, jakby była z drewna, nie z kamienia i rzucił ją niepewnie, ale silnie w stronę orków. Kula trafiła pierwsze dwa w łydki i odrzuciła je na pozostałe, przewracając niczym kręgle.

– Dobra – powiedział Gotrek, odwracając się. – Wychodzimy.

Gdy pozostałe krasnoludy spoglądały na chwiejącego się na nogach Zabójcę, Skórczanobrody podszedł i ukucnął obok półprzytomnego Drurica.

– Połóż mi go na plecy – zawołał do Narina. – Szybko!

Narin odwrócił się i podniósł Drurica, chwytając go pod ramiona. Strażnik krzyknął z bólu, pryskając krwią i śliną. Narin zignorował to. Nie było czasu na delikatność. Ułożył go na szerokich plecach Skórczanobrodego. Zabójca chwycił Drurica za nogi i wstał. Potem ruszył za innymi. W tunelu orki już się podnosiły i znowu parły do przodu.

Thorgig przesunął dźwignię i krasnoludy precyzyjnie się przez wolno otwierające się drzwi w górskim zboczu. Kierowały się w stronę drogi prowadzącej do Skarpy Zhufgrim. Gdy wszyscy wyszli, Thorgig przesunął dźwignię w dół i przebiegł przez drzwi, które zamykały się o wiele za

wolno.

Biegli dalej.

Słońce schowało się za horyzontem niczym krwawa, czerwona kula okaleczona przez postrzępione szczyty Gór Czarnych. Przepadło całe jego ciepło. Rzadkie górskie powietrze stawało się coraz zimniejsze. Pot na karku Felixa zamarzał. Nadeszła umówiona godzina ataku Hamnira (o ile już nie minęła), a oni nie mogli w żaden sposób przekazać, że róg się nie odezwie.

– Odplacę orkom po dziesięciokroć za śmierć Kagrina Głębokiej Góry – oznajmił Thorgig ze ściągniętą twarzą. – Zabiły wspaniałego rzemieślnika i jeszcze wspanialszego przyjaciela.

Który nie miał tu nic do roboty – pomyślał Felix, spoglądając przez ramię. Drzwi znowu się otwierały i orki wylewały się zza nich niczym zielona rzeka. Wydawało się, że nie ma końca. Orki nabierały szybkości.

– Nie ma sensu mnie nosić – stęknął Druric na plecach Skórczanobrodego. Jego twarz była biała i śliska od potu. Każdy ze sprężystych kroków Zabójcy w masce wywoływał nową falę straszliwego bólu. – Mam złamaną nogę i biodro. Nie zejdem z góry.

– Ba! – odparł Skórczanobrody. – Przywiążę cię do pleców. Zejdziemy razem.

– Spadniemy – powiedział Druric przez zaciśnięte zęby. – Kołki nie utrzymają nas obu. Zostawcie mnie z moim toporem i kuszą. Zyskam dla was trochę czasu.

– Chcesz chwalebnej zagłady, gdy ja jej nie mogę dostać? – prychnął Gotrek. – Nic z tego.

Felix zauważył, że Gotrek z trudem biegnie w linii prostej.

– Aye – powiedział Skórczanobrody. – Jeśli ktokolwiek ma zostać z tyłu, będę nim ja. To robota dla Zabójcy.

– Ha! – zaśmiał się Druric. Krew pociekła mu z ust. – Czy naprawdę chcesz zostać zapamiętany jako zwykły zabójca orków? Zostaw mnie i czekaj lepszej śmierci.

Nikt nie odpowiedział i wszyscy biegli w ponurym milczeniu.

– Niech was Valaya przeklnie, wy głupcy! – zawołał Druric. – Nie wylizę się z tych ran. Pozwólcie mi umrzeć tak, jak tego pragnę!

– Zostawcie go – odezwał się w końcu Gotrek. – Krasnolud powinien mieć prawo wyboru własnej śmierci.

Ponieśli Drurica dalej, do miejsca, gdzie ścieżka stała się wąską półką skalną między urwiskiem a zboczem góry. Krasnoludy ze swoimi szerokimi ramionami ledwo się na niej mieściły.

– Tutaj – rzucił Gotrek.

Skórczanobrody zatrzymał się i położył Drurica na ziemi. Felix odwrócił się. Orki były schowane za załomem góry, ale słyszał jak nadchodzą – tupot ciężkich buciorów i brzęczenie pancerzy.

Strażnik leżał w poprzek przejścia, krzywiąc się z bólu. Zdjął swój plecak i zestaw polowy.

– Kołki – powiedział, zaciskając zęby. – Nie mogę ustać. Przybijcie mnie do ściany.

Krasnoludy nie kwestionowały jego polecenia. Skórczanobrody podniósł go i przycisnął do ściany, podczas gdy Thorgig i Narin zrecznie przebili kołki przez plecy jego kolczej koszulki, na wysokości kołnierza i boków.

Druric skrzywił się. Jego zęby błyskały krwawo.

– Dobrze. W ten sposób zatrzymam je nawet, gdy będę martwy.

Gotrek ciągle miał problemy z trzymaniem się prosto. Wciąż potrząsał głową i mrugał jedynym okiem, opierając się ręką o ścianę góry.

– W porządku, Gotrek? – spytał zatroskany Felix.

Gotrek burknął, ale nie odpowiedział.

– Zrobione – powiedział Narin, cofając się o krok. Naciągnął i załadował kuszę Drurica, po



czym włożył ją w lewą dłoń strażnika, podczas gdy Thorgig wcisnął mu topór w prawą.

Orki pojawiły się w polu widzenia, pięćdziesiąt metrów dalej, biegnąc naprzód jak cierpliwe wilki.

– Miałem nadzieję, że to ja będę walczył z tobą o honor mojego klanu, Zabójco – rzekł Druric. – Żałuję, że to nie nastąpi.

Gotrek stanął prosto i spojrzał Druricowi w oczy.

– Ja także tego żałuję – powiedział. – Umrzyj dobrze, strażniku. – Odwrócił się i ruszył w dół ścieżki.

Pozostałe krasnoludy zasalutowały Druricowi na krasnoludzką modłę, przykładając pięści do serc. Ruszyły za Gotrekiem bez słowa. Thorgig zarzucił plecak Drurica na ramię. Felix chciał coś powiedzieć na pożegnanie, ale nic nie przychodziło mu na myśl poza słowem: „powodzenia”, a ono nie wydawało się zbyt odpowiednie. Odwrócił się, nieco zawstydzony, i potruczał za pozostałymi.

Pięćdziesiąt kroków dalej usłyszeli brzęk stali uderzającej o stal i ostre krzyki dobiegające z za ich pleców. Gotrek i Skórczanobrody niemal jednocześnie zakłękli. Thorgig wyszeptał krasnoludzką modlitwę.

Narin warknął.

– To był dobry krasnolud – powiedział. – Chociaż z Kruszających Kamień, ale dobry.

Przez niemal ćwierć godziny wydawało się, że Druric powstrzymał orki, bowiem krasnoludy nie słyszały żadnych odgłosów pościgu, ale później, w chwili gdy wdrapywali się po wąskim wzniesieniu na zdradzieckie pole śnieżne, znowu dobiegł ich tupot ciężkich butów. Felix pozostawał z tyłu, spowolniony przez pulsującą bólem kostkę, więc usłyszał je jako pierwszy. Przyspieszył, sycząc z każdym krokiem, i dogonił krasnoludy.

– Znowu się zbliżają – powiedział.

Gotrek skinął głową. Wydawało się, że odzyskał równowagę, ale lewa strona jego głowy była potłuczona, a skóra pod zaschniętą krwią zdążyła już nabrać purpurowej barwy.

– Będziemy mieli problemy na szczycie urwiska – odezwał się Narin. – Odetną pierwszą linę, zanim wszyscy zdołamy pokonać nawis i dotrzeć do kołków.

– Zostanę z tyłu i obronię linę – zaoferował Skórczanobrody.

– JA zostanę – warknął Gotrek. Zatrzymał się, gdy osiągnęli szczyt przełęczy. – Tu stanę. Gdy wszyscy znajdą się pod nawisem, zakołkujecie koniec pierwszej liny i zadmijcie w róg. Odetnę się i zeskoczę na linie. To uniemożliwi im pogoń.

– Zeskoczysz? – zdumiał się Thorgig. – Wyrwiesz kołek.

– No to zakołkujecie podwójnie.

Na dole przełęczy pojawiły się orki i Gotrek odwrócił się w ich stronę.

– Ruszajcie – rzucił. – Oni są moi.

Ale gdy Felix z krasnoludami wkroczył na pole śniegu, Skórczanobrody uniósł głowę.

– Co to takiego?

Felix nasłuchiwał. Nad nimi zatupotały buty. W pierwszej chwili pomyślał, że to echo orków na przełęczy, ale wkrótce zobaczył wielkie cienie pojawiające się na górskim zboczu, nad przełęczą.

– Rozdzieliły się! Znalazły inną ścieżkę.

Thorgig zaklął.

– Chcą obejść staw i zejść nas od tyłu. Znajdą linę i odetną je.

– Otoczyły nas – warknął Gotrek. – Do urwiska!

Popędził na przełęcz i powiódł ich w dół zaśnieżonego zagłębienia. Orki wypadły niecałe dwadzieścia kroków za nimi, wylewając się na białe zbocze zieloną plamą. Krasnoludy biegły

najszybciej, jak umiały, ale przez cały dzień maszerowały, wspinały się i walczyły. Były zmęczone i zdyszane. Felix syczał przy każdym kroku. Kostka była napuchnięta i sztywna. Zanim krasnoludy osiągnęły lustrzany staw, orki były tylko dziesięć kroków za nimi. Gdy pędzili wzdłuż brzegu w stronę krawędzi urwiska, pościg deptał im po piętach, a Felix widział drugą grupę schodzącą z grzbietu przełęczy i nadciągającą z przeciwnej strony stawu. Orki dotrą do lin zaledwie kilka sekund po krasnoludach.

– Żelazna Skóro – stęknął Gotrek, gdy przeskoczyli szumiący wodospad. – Schodzisz pierwszy.

Narin warknął.

– Nie chcesz się dzielić chwałą, prawda?

Gotrek przyskoczył do liny i odwrócił się w stronę orko w, które przekraczały strumień jak milcząca, zielona lawina śmierci.

– Ja zatrzymam tych z lewej – powiedział. – Reszta zajmie się prawą stroną. Potem zejdzicie. Na mój znak.

Zabójca z rykiem skoczył naprzód, aby zetrzeć się z nacierającymi orkami. Pierwszym cięciem powalił trzy, a kolejne dwa uderzeniem powrotnym. Orki otoczyły go, siekąc w jego obnażony tors w zaciętym milczeniu, ale nie potrafiły przebić się przez sieć błyskającej stali, jaką wysnuł wokół siebie. Orcze kończyny fruwały, a ich topory pękały, gdy Gotrek parował i uderzał, wściekle potrząsając pomarańczowym grzebieniem włosów.

Felix przetarł oczy. Widział to już tysiące razy, ale nigdy nie przestało go to zdumiewać. Zabójca w swoim żywiole stanowił przerażający widok. Wydawało się, że ma trzy pary ramion i trzy topory, wszystkie poruszające się tak szybko, że nie nadążał za nimi wzrok.

Druga grupa orków uderzyła na Felixa i pozostałych z lewej strony, niemal spychając ich z urwiska. Stali na samej krawędzi, blokując i tnąc z furją. Felix wybebeszył jednego orka i pociągnął drugiego w chwili, gdy ten pchnął go prymitywną włócznią. Ork zwałił się z nawisu i runął w przepaść. Narin i Thorgig powalili po jednym przeciwniku, a Skórczanobrody zarąbał dwóch.

– Na dół, Żelazna Skóro! – dobiegł głos Gotreka od strony krwawej bijatyki po ich prawej stronie.

Narin zaklął, zabijając kolejnego orka, ale wycofał się z walki zgodnie z poleceniem, podczas gdy Felix, Thorgig i Skórczanobrody zwarli szeregi. Narin chwycił linę i zaczął opuszczać się z urwiska.

– Nie śmiej tam umrzeć, Gurnisson! – przekrzyczał łoskot broni. – Jesteś winien walkę memu ojcu.

Felix i pozostali musieli zaprzeć się plecy w plecy, podczas gdy Gotrek i orki naciskali na nich, tworząc wzbierającą zieloną ścianę, z której wyskakiwały kłapiące kły, masywne pięści i topory z czarnego żelaza. Każdy wymach i przesunięcie ciężaru ciała wywoływał szarpnięcie bólu w kostce Felixa. Gotrek walczył z przywódcą, wielkim orkiem o mleczej skórze, którego kaprawe, czarne oczy z zimną zaciekłością wpatrywały się w walczącego Zabójcę. Felix zmarszczył brwi. Czy orki nie miały aby czerwonych ślepiów? Albo żółtych?

– Thorgig, na dół! – zawołał Gotrek.

– Co takiego? – krzyknął młody krasnolud. – Ja przed człowiekiem? Nie pójdę!

– Na dół, albo cię zrzucę – warknął Gotrek, tnąc swoim runicznym toporem przez szczękę czarnookiego orka i wbijając się w jego mózg. – Człeczyna walczył u mego boku przez ponad dwadzieścia lat. Zna się na tej robocie.

Przemyślenia na temat koloru orczych oczu zniknęły z umysłu Felixa, a ich miejsce zajęła дума, której przyływ poczuł po słowach Gotreka. Zbity z tropu Thorgig prychnął i niechętnie chwycił za

linę. Felix pomyślał, że chyba jeszcze nigdy wcześniej nie słyszał, by Gotrek komplementował jego bojowe umiejętności. Uskrzydłony tą pochwałą walczył z nową energią, chroniąc flanki i tył Gotreka, jak czynił to zawsze, podczas gdy krasnolud brutalnie zadawał śmierć na lewo, prawo i przed sobą.

Felix pomyślał jednak ze wstydem, że z drugiej strony nie miałyby absolutnie nic przeciwko temu, żeby Gotrek nie cenił go aż tak bardzo i pozwolił mu zejść po linie jako pierwszemu.

Martwe orki zaścielały ziemię, ale ich napór nie słabi, a gdy Thorgig i Narin schodzili z urwiska, Gotrek, Skórczanobrody i Felix musieli walczyć jeszcze zacieklej. Felix zastanawiał się czy Gotrek zdoła samodzielnie powstrzymać orki z dala od liny. Nagle tasak otarł się o nogę Felixa, otwierając wściekle czerwoną ranę, a martwy już ork, który ją zadał, zabity toporem Gotreka, niemal zwałił człowieka z urwiska. Kostka pulsowała, będąc już tylko jednym z wielu źródeł bólu. Felix czuł się oszołomiony i odrętwiały, podczas gdy przed nim gęstniała zielona horda. Ledwie był w stanie utrzymać miecz.

– Na dół, człeczyno – zawołał Gotrek. – Teraz to robota dla Zabójców.

Felix skinął głową. Z ulgą wycofał się, po czym ujął linę. Zobaczył, jak Skórczanobrody napuszył się z dumy, słysząc słowa Gotreka, podobnie jak chwilę wcześniej Felix, i wbił się żywiołowo w orki, zadowolony, że Gotrek uznał go za równego sobie. To niesamowite, jak ten ponury mizantrop potrafił zainspirować niedbale rzuconym słowem!

Opuszczając się ręką za ręką po linie i ostrożnie szukając oparcia dla swej obolałej stopy, Felix obserwował dwóch Zabójców walczących plecy w plecy. Ich topory błyskały purpurą w ostatnich promieniach słońca, a umięśnione piersi i karki ociekały potem i krwią. Grube nogi stały w szerokim rozkroku, powstrzymując napór dzikiej zielonej nawały. Ale najbardziej szalone było to, że obaj się śmiali. O kilkanaście centymetrów od krawędzi urwiska – gdzie jeden niepewny krok mógł posłać ich w otchłań. Walczyli z dziesiątkami dzikich potworów, które łaknęły ich krwi. I śmiali się.

Felix do pewnego stopnia to rozumiał. Sam też poddawał się euforii bitwy, szalonemu pędowi, który nadchodził wraz z momentem położenia własnego życia na szali, gdy ból, zmęczenie i wszelkie myśli o przyszłości znikaly, a walczący całkowicie oddawał się przemocy. Ale w jego przypadku dzika radość zawsze graniczyła z przerażeniem. Podniecenie zawsze dobrze pasowało do strachu. Zdawało się, że Zabójcy nie mają takich obciążeń. Wyglądali na w pełni zadowolonych.

Gdy Felix zniknął za nawisem, usłyszał Gotreka przerywającego to zadowolenie trzema krótkimi słowami:

– Skórczanobrody, na dół!

– Na dół? Nie! – wrzasnął drugi Zabójca zza swojej maski. – Tam nie ma chwały!

– Nie ma chwały w zabijaniu orków – odparł Gotrek. – Słyszałeś, co powiedział strażnik? Na dół!

– To nie jest szacunek, z jakim jeden Zabójca powinien traktować drugiego! – powiedział gniewnie Skórczanobrody, ale Felix wreszcie poczuł, jak lina nad nim się porusza i krasnolud w masce zaczął się opuszczać.

Chociaż Felix nie mógł obserwować walki, jej odgłosy dobiegały z urwiska niczym łomot z kuźni. Gardłowe okrzyki i brzęk stali niosły się echem w rzadkim górskim powietrzu. Spojrzał w dół. Narin i Thorgig czekali przy pierwszym kołku, każdy zwisając na własnej, przybitej linie. Patrzyli do góry. Lina z urwiska została, zgodnie z życzeniem Gotreka, podwójnie zakołkowana.

– Prędszej, człowieku – ponaglił Thorgig. – Zabójca nie utrzyma ich w nieskończoność.

– Zaczynam w to wierzyć – odezwał się zamyślony Narin. – Będzie groźnym przeciwnikiem. Jeśli mój ojciec umrze, walcząc z nim, a ja stanę się thanem, niech mnie Grungni ocali...

Gdzieś wyżej rozległ się huk. Ciało z grzywą Zabójcy przemknęło obok Felixa, spadając z

urwiska w mroczne cienie. Felix jęknął. Kto to był? Gotrek? Skórzanobrody? Spojrzał w górę.  
Lina zwiotczała w jego rękach.  
Odpadł od ściany.

## Rozdział 10

Felix, spadając, gapił się na luźną linę, ogłupiały od wstrząsu. Ktoś obok, krzycząc, też spadał. Felix, gdy mijał Thorgiga zauważył, że ten patrzy na niego. Zginę – pomyślał. Nagle lina napięła się i wyrwała z jego dłoni. Zawirował i rąbnąłby w urwisko z wielką siłą, gdyby nie został gwałtownie zatrzymany przez coś, co złapało jego lewą kostkę. Szarpnięcie niemal wyrwało mu nogę ze stawu.

Wciągnął gwałtownie powietrze. Serce łomotało w rozhuśtanym jak dzwon ciele. Z przerażenia dłonie miał mokre od potu. Świat był odwrócony i niewyraźny na brzegu pola widzenia.

Pomyślał, że jeszcze żyje, chociaż nie bardzo rozumiał, jak to możliwe. Powinien spadać z urwiska, wirując jak słomiana kukielka.

Ktoś pod nim jęknął. Felix odchylił do tyłu głowę, aby spojrzeć w dół. Sześć metrów niżej wisiał niepewnie na linie Skórczanobrody. Prawa połowa jego maski była podrapana i osmalona, a prawe ramię skrwawione.

Skoro Skórczanobrody wisiał na linie, to Gotrek musiał spaść. Gotrek był...

Myśl o krasnoludzie odegnał przeszywający ból w kostce. Cóż, w końcu ją skręcił. Nagle zdał sobie sprawę, że teraz bolała go DRUGA kostka. Z trudem na nią spojrział. Stopa utkwiała w pętli z liny – pętli, która zaciskała się coraz ciaśniej, obciążona podwójnym balastem. To był straszliwy ból, jasny ogień na szczycie tępego pulsowania wszystkich innych bólów.

– Skórczanobrody, zejdz z...

Natychmiast zatrzasnął usta, przerażony tym, co chciał powiedzieć. Tylko ciężar Zabójcy chronił Felixa przed upadkiem. Gdyby puścił linę i przywarł do ściany urwiska, pętla rozluźniłaby się, a Felix wyslizgnął.

– Trzymaj się mocno, człeczyno – dobiegł go głos Thorgiga i młody krasnolud opuścił się na linie i zatrzymał obok, podczas gdy Narin zsunął się do Skórczanobrodego.

Thorgig wyciągnął rękę.

– Chwyć się.

Felix sięgnął i złapał się mocno. Pod nim Narin pomagał Skórczanobrodemu, popychając swoją linę w jego stronę. Zabójca złapał ją i teraz z łatwością przywarł do ściany. Ucisk na kostkę zelżał i Felix znowu opadł, szorując po twardej powierzchni urwiska, aby zawisnąć na ręce Thorgiga.

– Teraz złap linę – powiedział krasnolud.

Felix chwycił linę Thorgiga wolną ręką, owinął ją wokół nóg i puścił rękę ratownika. Wszyscy wisieli na linach i łapali oddech. Słyszeli, jak nad nimi orki w milczeniu zbierały się do odejścia.

– Zabójca jest martwy? – spytał Thorgig, spoglądając w ciemność poniżej.

– Dowiemy się, gdy zejdziemy na dół – odpowiedział Narin.

– Nawet Gurnisson nie przeżyłby takiego upadku – stwierdził Thorgig.

Narin wzruszył ramionami.

– Jeśli ktokolwiek zdołałby tego dokonać, to właśnie on.

– Ale co go strąciło? – zapytał Thorgig. – Co to był za huk?

– Może mieli ze sobą szamana – odrzekł Narin.

– Nie widziałem żadnego szamana – odezwał się słabym głosem Skórczanobrody.

– Dalej – powiedział Narin. – Schodzimy. Nie ma sensu zgadywać. Jesteśmy spóźnieni do Hammira.

Zejsście poszło znacznie szybciej niż wspinaczka. Krasnoludy przez całą drogę korzystały z lin i kołków, zjeżdżając na linach długimi skokami.

Felix schodził wolniej. Jego kostka nie pozwalała mu na tak długie skoki. Opuszczał się w

milczeniu. Jego umysł zmagał się z myślą o tym, że Gotrek, u którego boku wędrował przez ponad dwie dekady, może być martwy.

Zbyt wcześnie było, by go oplakiwać – wciąż nie mógł uwierzyć w to, że Zabójca zginął. A na myśl o życiu bez niego, kręciło się Felixowi w głowie. Co teraz robi? Podążanie za Zabójcą zajęło Jaegerowi niemal całe dorosłe życie. Swój obowiązek zapisywania jego czynów wykonywał od tak dawna, że z trudem przypominał sobie, co robił wcześniej. , Jakie miał plany, zanim spotkał Gotreka? Chciał pisać wiersze i sztuki? Porzucić włóczęgę i pomóc bratu prowadzić rodzinny interes? Ożenić się? Mieć dzieci? Czy chciał tego teraz?

Ile miał lat? Czterdzieści? Czterdzieści dwa? Stracił rachubę podczas swojej podróży z Gotrekiem na Wschód. Czy było już zbyt późno, aby podjąć to, co zostawił? Czy czterdziestoletni żak to nie absurdalny pomysł? Oczywiście, nawet jeśli Gotrek był martwy, Felix nadal winien był mu pewną pracę, zanim będzie mógł zająć się własnym życiem. Jego przysięga nie wypełni się, dopóki nie napisze eposu o śmierci Zabójcy.

Na tę myśl serce mu zamarło. Gotrek byłby wściekły, wiedząc, że zostanie zapisane, iż zginął z rąk „zwykłych orków”. To nie była śmierć odpowiednia dla Zabójcy, który w swoim czasie zabijał demony i olbrzymy. To było sprzeczne z jego zamierzeniami. Gotrek nigdy nie pozwoliłby mu napisać takiego zakończenia. Tyle, że... Felix stłumił mimowolne chlipnicie, gdy ta myśl wreszcie do niego dotarła. Tyle, że Gotrek był...

– Tam jest – daleko pod nim odezwał się Narin, wskazując w dół.

Felix wpatrzył się w półmrok kotła, wysilając wzrok i wreszcie dostrzegł plamę jasnoczerwonych włosów na brzegu wzburzonego jeziora. Zabójca leżał nieruchomo na brzuchu, do połowy zanurzony w wodzie. Czy spadł tam z urwiska, czy wyczołgał się na brzeg? Felix niemal zwolnił chwyt i popędził na dół, w stronę ziemi.

Narin, Thorgig i Skórzanobrody znaleźli się tam przed nim, ale czując, że tak będzie należycie, poczekali, aż dołączy do nich Felix. Potem ruszyli wokół stromego brzegu kotłującego się jeziora w stronę rozciągniętej postaci. Z powodu utykania Felixa wydawało się, że trwa to wieczność, ale wreszcie dotarli na miejsce. W dolinie pozostało zaledwie tyle światła, aby dostrzec, że plecy i kark Gotreka pokryte były płonąca, wściekłą czerwienią, jakby uderzyła go dłoń olbrzyma. Jego jedyne oko było zamknięte, a grzebień włosów potargany i zgnieciony. Z nosa i ust płynęła mu krew, zbierając się na czarnej skale pod jego głową. Krwawiło także ramię. Obok spoczywał topór.

– Gotrek? – odezwał się Felix.

Nie było odpowiedzi.

Felix przysiadł i wyciągnął rękę w stronę Zabójcy, ale zawahał się. Jeśli go dotknie, dowie się prawdy, a bał się jej.

– Gotrek... Czy ty... ?

Oko Gotreka rozwarło się. Jęknął, a potem zakasłał gwałtownie. Wypluta woda zalała kamień.

Felix odetchnął z ulgą, a wraz z nim trzy krasnoludy.

Kaszel osłabł nieco.

– Niezguły – powiedział ledwie słyszalnym głosem. – Czemu to trwało... Tak długo?

Narin ukląkł obok niego.

– Czy możesz się poruszać, Zabójco? Jakies złamania?

Gotrek pomyślał przez chwilę z zamkniętymi oczami, a potem otworzył je ponownie.

– Nie – wymamrotał. – Tylko... Trochę kłuje. – Usiłował się odwrócić i usiąść, ale ramiona mu zadrżały i opadł z powrotem.

Thorgig i Skórzanobrody pomogli mu się podnieść i posadzili go na kamieniu. Syczał przy

każdym ruchu i dotknięciu. Felix zobaczył głęboką, krwawiącą ranę na jego lewym ramieniu.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując.

Gotrek mrugnął, patrząc na ranę.

– To? – Chciał unieść do niej dłoń, ale był zbyt wyczerpany. Opuścił ją. – To powód, dla którego opuściłem orki.

– Nie mów mi, że skoczyłeś celowo – parsknął Skórzanobrody.

– Oczywiście, że tak zrobił – powiedział Narin. – Wróbel obraził jego prapradziada i skoczył, aby go wyzwać do boju.

Thorgig zaśmiał się. Wszyscy byli rozradowani tym, że Gotrek żyje.

– Nazwą go Zabójcą Wróbli.

– Nie – odparł Gotrek, ciężko potrząsając głową. – Ustrzelili mnie. Zmiotli mnie z urwiska.

– Ustrzelili cię? – spytał zdumiony Thorgig. – Czym? To nie jest rana od strzały.

– Z muszkietu – odparł Gotrek.

– Orki nie mają muszkietów – zaperzył się Narin. – Ledwo potrafią krzesać ogień.

– To był krasnoludzki muszkiet – dokończył Gotrek.

Zapadła cisza.

– To naprawdę dziwaczne orki – powiedział w końcu Thorgig.

Felix przypomniał sobie nagle błyszczące, czarne oczy orczego porucznika. Musiał się zgodzić ze zdaniem krasnoluda.

Thorgig otworzył zestaw polowy Drurica i wyciągnął bandaż. Obwiązał ramię Gotreka najlepiej, jak umiał, podczas gdy pozostali zajęli się własnymi ranami.

Gdy wszyscy byli już opatrzeni, Gotrek spróbował wstać. Chwiał się jak snop siana na wietrze, więc usiadł ponownie.

– Cholera. Skórzanobrody, podaj mi rękę. Nie możemy czekać.

Skórzanobrody pomógł Gotrekowi wstać i wsunął rękę pod jego ramię.

Gdy ruszyli w drogę wokół stawu, Gotrek zerknął na Felixa.

– Wszystko w porządku, człeczyno? Jesteś trochę blady.

Felix odkaslnął.

– Ja... Ja się tylko cieszę, że nie muszę myśleć, jak dodać patosu wersowi „zrzucony z urwiska przez orki”.

– Chyba nie myślałeś, że umarłem, co?

– To... Przemknęło mi przez myśl.

Gotrek parsknął.

– Powinieneś mieć więcej wiary. – Syknął i potknął się. Skórzanobrody podtrzymał go i poszli dalej. – Dobrze jednak, że ten staw był wystarczająco głęboki.

Ruszyli tak szybko, jak potrafili wzdłuż podstawy Karak Hirn. Początkowo nie było to dobre tempo, ale po około półgodzinie Gotrek odzyskał siły i był w stanie iść samodzielnie. Potem szło im się lepiej, chociaż nadal był to uciążliwy marsz, przedzieranie się przez trudny teren i gęste poszycie sosnowych lasów, w niemal całkowitych ciemnościach. Krasnoludy, nie chcąc przyciągać uwagi kolejnych patroli gobasów, zrezygnowały z użycia latarni i poruszały się przez las, korzystając ze swego bystrego wzroku rasy zrodzonej w tunelach. Felix jednak stale uderzał głową o niskie gałęzie albo ponownie wykręcał kostkę na wystających korzeniach.

Po kolejnej godzinie ciężkiej wędrówki pięciu towarzyszy wyszło na dolinę, przez którą biegł stary krasnoludzki szlak, prowadzący do drzwi frontowych Karak Hirn. Gdy przedzierali się przez gęsty las, w stronę drogi, Skórzanobrody zatrzymał się i uniósł dłoń.

– Ktoś jest na drodze – szepnął.

Nasłuchiwali. Do ich uszu dobiegło podzwanianie i tupot maszerującej armii, a przez płataninę gałęzi tu i tam przebłyskiwały pochodnie.

– To nie może być Hamnir – powiedział Thorgig. – Przednia pozycja jest, co najmniej, o milę dalej na północ. Niemożliwe, żeby jeszcze tam nie dotarł.

– Któż inny może to być? – zapytał Narin, szarpiąc spalony kawałek Tarczy Druttiego w swojej brodzie. – Posiłki z innej twierdzy?

– Orki podchodzące z tyłu? – spytał Skórczanobrody.

– Nie dowiemy się, gadając – rzekł Gotrek. Przepchnął się naprzód, a inni ruszyli za nim ze wzmożoną ostrożnością, szykując w marszu swą broń.

Wkrótce las przerzedził się i wyjrzawszy z cienia na drogę, zobaczyli krasnoludzką armię maszerującą powoli na południe.

– To JEST Hamnir! – zdumiał się Thorgig. – Co się stało? Idzie w złym kierunku!

Skórczanobrody wskazał na tyły, gdzie za główną kolumną kuce ciągnęły na wozach i noszach rannych oraz zmarłych.

– Czy ten głupiec zaatakował bez naszego sygnału? – zapytał Narin.

– Księżę Hamnir nie jest głupcem! – rzucił gniewnie Thorgig.

– Jest nim, jeśli zaatakował zamkniętą twierdzę – powiedział Gotrek. – Idziemy.

Wyszli z lasu i ruszyli w stronę czoła znużonej kolumny. Po drodze spoglądały na nich różne krasnoludy o hardych i gniewnych twarzach. Niektóre z nich pluły na ich widok.

– Ach, powitanie bohaterów – powiedział Narin.

– Co mieliśmy zrobić? – pytał Thorgig.

Gdy zbliżyli się do czoła, znaleźli Hamnira, który maszerował w ponurym nastroju z Gorrilem i pozostałymi adiutantami. Hamnir miał ranę ciętą na czole, a jego kolczuga była wyszczerbiona w dwóch miejscach. Gorril i pozostali byli podobnie poobijani. Wyglądali na całkowicie wyczerpanych.

Hamnir zmierzył Gotreka pustym wzrokiem, równając się z nim w marszu.

– A zatem żyjesz. Przykro mi to widzieć.

– Mnie także – odparł Gotrek. – Chociaż nie mogę powiedzieć, że bym nie próbował umrzeć.

Hamnir zignorował go.

– Martwy stałbyś się bohaterem – śmiały Zabójca, któremu nie powiodła się próba przedarcia się do twierdzy, aby otworzyć bramy dla armii. Żywy... Żywy musisz za wiele zapłacić. – Spojrzał smutno na Thorgiga. – Podobnie jak ty, Thorgig.

– Księżę, odkryły nas gobasy – powiedział urażony Thorgig. – Nie zdołalibyśmy dotrzeć do drzwi frontowych, aby je otworzyć. Uczyniliśmy, co w naszej mocy, aby pozostać przy życiu i móc wrócić, by cię odwieść od ataku.

– Skoro zaatakowałeś bez naszego sygnału – powiedział Gotrek – to TY musisz za wiele zapłacić.

– Nie zaatakowaliśmy! – zawołał Hamnir. – My zostaliśmy zaatakowani! Zielonoskórzy najechali nasze pozycje, gdy czekaliśmy na zew rogu – łucznicy na wzgórzach, których nie zdołaliśmy dopaść, harcownicy, którzy uderzali i uciekali, jeźdźcy wilków. Nie ośmieliliśmy się ich ścigać z obawy przed rozproszeniem naszych oddziałów. I tak siedzieliśmy, czekając na sygnał, który nie nadszedł, podczas gdy tamci zdejmowali nas pojedynczo i dwójkami, a my zabijaliśmy jednego z nich na pięciu, których zabijali wśród naszych.

– Księżę – powiedział Thorgig. Jego młoda twarz była blada pod brodą. – Przebacz nam, nie



mieliśmy...

– W istocie, za wiele muszę zapłacić – kontynuował rozpalony Hamnir, przerywając. – Bowiem gdy Gorril i inni błagali mnie, abym wycofał się i dał sobie spokój na dziś, nie uczyniłem tego, ponieważ pokładałem wiarę w moim dawnym kompanie, Gotreku Gurnisssonie. Wielki Zabójca z pewnością nie zawiedzie. Z pewnością to tylko kwestia kilku następnych minut i usłyszymy róg. – Zwiesił głowę na piersi. – Z powodu mojej głupoty straciłem kolejnych pięćdziesięciu szlachetnych krasnoludów.

Gotrek parsknął.

– Oskarżasz mnie o to, że jesteś złym dowódcą?

Gorril i Thorgig najężyli się, słysząc te słowa, ale Hamnir zatrzymał ich gestem zmęczonej dłoni. – Nie jestem żadnym dowódcą, jak dobrze wiesz. Jestem kupcem, sprzedawcą dobrej stali, wybornego piwa i cennych kamieni. To los i obowiązek przywiodły mnie na tę przełęcz, a nie moje własne chęci. Staram się z całych sił. – Odwrócił ciężki wzrok w stronę Gotreka. – Podobnie jak ty przysiągłeś uczynić, co w twojej mocy.

– Myślisz, że tak nie czyniłem? – warknął Gotrek.

– Jesteś żywy, a wrota pozostają zamknięte. Czy możesz powiedzieć, że dałeś z siebie wszystko?

– Nasza śmierć nie otworzyłaby wrót, książę Hamnirze – odezwał się Narin. – Gobasy zostały uprzedzone o naszej obecności, gdy biedny stary Matrak uruchomił nową pułapkę. Zabiła go. Kagrina i Skettiego Młotorękiego też. Gobasy przeszły przez tajne drzwi i zaatakowały nas, i nawet gdybyśmy je pokonali...

– Nowe pułapki? – przerwał Gorril ostrym głosem. – Jak to, nowe pułapki?

Hamnir jęknął.

– Matrak i Kagrin nie żyją?

– W przejściu były pułapki, których Matrak nie znalazł, mój książę – wyjaśnił Thorgig. – Powiedział, że to krasnoludzka robota i że zostały założone w ciągu ostatniego tygodnia, sądząc po zapachu świeżo ciętego kamienia. Znalazł i rozbroił je wszystkie, poza ostatnią.

– Orki otworzyły tajne drzwi i dotknęły ukrytych dźwigni, które rozbroiły wszystkie pułapki. Zupełnie, jakby same je zbudowały – dodał Narin.

– Niemożliwe – powiedział Hamnir, popielejąc na twarzy.

– Aye – kontynuował Skórzanobrody – a jednak to prawda. Wszyscy to widzieliśmy.

– Nawet gdybyśmy pokonali orki, które przeszły przez tajne drzwi – ciągnął dalej Narin – alarm został już podniesiony. Musielibyśmy walczyć z całą twierdzą wściekłych zielonoskórych. Być może Zabójca Gurnissson zdołałby ich pokonać, ale reszta z nas nie przeżyłaby, aby pomóc mu w otwarciu drzwi.

Głowa Hamnira opadła. Przed długą chwilę wpatrywał się w ziemię, a potem wreszcie spojrzął na Gotreka. – Jeśli ta opowieść jest prawdziwa, przypuszczam, że muszę uwierzyć, iż zrobiliście wszystko, co można było zrobić.

Gotrek parsknął, wciąż dotknięty.

– Ale jak to być może? – kontynuował Hamnir, jakby sam do siebie. – Skąd się tam wzięły pułapki, o których Matrak nie wiedział? Skąd gobasy wiedziały, jak ich używać? To nie ma sensu.

– Obawiam się, że poznamy odpowiedzi na te pytania tylko wtedy, gdy odbijemy twierdzę, mój książę – powiedział Gorril.

– Aye – odrzekł Hamnir, zaciskając szczęki z frustracji. – Aye, ale cóż mamy na to poradzić? Zdaje się, że mają odpowiedź na każde nasze posunięcie! Myśleliśmy, że to jedyna możliwa droga. Czy możemy znaleźć inną?

– Może uda ci się ich przekonać, żeby przehandlowali twierdzę za trochę wybornego piwa i drogich kamieni – warknął Gotrek.

Pięści Hamnira zacisnęły się.

– Gdyby istniała szansa, że to by wystarczyło, zrobiłbym tak – powiedział. – A ty, Zabójco? Może zostawiłbyś twierdzę gobasom, ponieważ zwycięstwu z nimi brak należytej chwały? – ostentacyjnie odszedł od Gotreka i zaczął przyciszonym głosem rozmawiać z Gorrilem.

Gotrek przez długą chwilę wpatrywał się w Hamnira, a potem warknął i odwrócił wzrok.

Zabójca i książę pozostawali milczący i ponurzy przez resztę marszu. Felix ponownie zastanowił się, co sprawiło, że obaj nienawidzili się tak bardzo. Nawet jak na krasnoludy, uraza między nimi wydawał się wyjątkowo jadowita. Tak intensywną nienawiść widuje się jedynie pomiędzy braćmi, których drogi się rozeszły. Gotrek powiedział, że chodziło o złamaną przysięgę, ale co to była za przysięga? Czy miała coś wspólnego ze złożeniem przez Gotreka ślubów Zabójcy? Chodziło o zniewagę? O kobietę? Zabójca był tak małomówny, że Felix mógł tego nigdy się nie dowiedzieć.

Następnego dnia, po długim i zasłużonym śnie, Felix dołączył do Gotreka, zbierając się wraz z Hamnirem, Gorrilem, starym Ruenem i pozostałymi doradcami księcia w jego kwaterze. Wydawało się, że pomimo wielkiej wrogości między Gotrekiem i księciem, Hamnir nadal liczył na jego radę.

Przed spotkaniem Felixa odwiedził krasnoludzki medyk, siwowłosa i długobroda krasnolud w binoklach o złotych oprawkach, który zignorował wszystkie krzyki, stęknienia i przekleństwa, niemiłosiernie ostukując i wyginając napuchniętą kostkę. Zdawało się, że stary mruk łamie Felixowi stopę, która była tylko zwichnięta. Ale, ku zaskoczeniu pacjenta, po tym, jak krasnolud posmarował ją paskudnie śmierdzącymi maściami i zawiązał w bandaż, opuchlizna zniknęła i Felix mógł chodzić niemal bez utykania.

Felix i pozostali członkowie drużyny, która usiłowała przedrzeć się przez tajne przejście Birriego zostali zaproszeni na spotkanie, aby mogli zdać relację ze wszystkiego, co się wydarzyło. Opowiedzieli o każdej pułapce i każdym przełączniku, jakie znaleźli, i o wszystkich spotkaniach z dziwnymi orkami. Gdy skończyli, zebrane krasnoludy pokiwały głowami zdumione.

– Są tylko dwie możliwości – powiedział Hamnir. – A każda z nich bardziej nieprawdopodobna od drugiej. Tego nie mogli zrobić zielonoskórzy. Nie mają umiejętności. I nie mogły to być ocalone krasnoludy, ponieważ nigdy nie sprzymierzyłyby się z gobasami.

– Wybaczcie, że się wtrącam – odezwał się Felix – ale przychodzi mi na myśl kilka innych możliwości.

– Mów – zezwolił Hamnir.

– Cóż – zaczął Felix. – Być może jakaś podstępna grupa krasnoludów postanowiła obalić twoją rodzinę, książę Hamnirze i zająć twierdzę dla siebie, a zniewolonych orków użyła jako przykrywkę.

Krasnoludy wybuchnęły śmiechem.

Hamnir się skrzywił.

– To coś, czego krasnolud nigdy by nie zrobił. Krasnoludy nie prowadzą wojen między sobą. Jest nas zbyt niewiele. A nawet gdybyśmy tak czynili, żaden krasnolud nie nasłałby naszych najbardziej nienawidzonych wrogów na swoich rodaków, bez względu na to, co go sprowokowało.

– Czyż nie ma krasnoludów, które czczą bogów Chaosu? – spytał Felix. – Z tego, co o nich wiem, nie wahają się przed użyciem jakiejkolwiek broni.

– Aye – powiedział Hamnir. – Ale ich królestwo jest daleko stąd, za Górą Krańca Świata i na Północy. Byłoby niezwykle dziwne, gdyby zawędrowały tak daleko na południe.

– Znane są z tego, że niewolą gobasy – dodał Gorri. – Ale dokonują tego tylko mocą bicia i pałki. Zostawieni bez nadzoru zielonoskórzy buntują się i robią, co się im żywnie podoba. Gdyby

gobasy, które spotkaliśmy, były niewolnikami, zobaczylibyśmy wśród nich nadzorców Dawi Zharr, którzy popędzaliby ich do bitwy.

– A może to czarnoksięski sposób zniewolenia? – dopytywał się Felix. – A jeśli to jakiś czarodziej nagiął ich siłą swej woli?

Hamnir, myśląc nad tym, zmarszczył czoło.

– Czarnoksiężnik mógłby zniewolić gobasy w ten sposób. Jednak czy tak wielu i na taką odległość? Nie wiem. Krasnoludy są odporne na magiczne wpływy, więc musiałby to być w istocie bardzo wielki czarnoksiężnik, który złamałby wolę krasnoludów, jednocześnie zachowując kontrolę nad tymi wszystkimi gobasami. Nie sądzę, by we współczesnym świecie istniał ktoś taki.

– Sketti Młotoręki zasugerował elfiego maga, Teclisa – powiedział Thorgig.

Gotrek parsknął.

– Teclis może być równie podstępny jak każdy inny elf, ale nawet on nie zniżyłby się do wykorzystywania gobasów.

Hamnir westchnął i przez chwilę patrzył przed siebie pogrążony w myślach.

– Czarnoksiężstwo, zdrada czy zniewolenie – i tak musimy odbić twierdzę – powiedział w końcu. – I to natychmiast! Najbardziej się lękałem, że krasnoludy z klanu Diamentowych Mistrzów zostały wymordowane lub zgłodzone na śmierć, ale Herr Jaeger sprawił, że boję się, iż czeka je jeszcze gorszy los. Żaden krasnolud nie podda się na torturach, ale to nie znaczy, że gobasy tego nie spróbują. Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z czarnoksiężstwem, ich los może być jeszcze bardziej przerażający. Nie mogę znieść myśli, że Ferga... – urwał zawstydzony. – Wybaczcie, ale nie możemy kazać im cierpieć ani jednego dnia dłużej niż to konieczne.

– Zgoda – odezwał się stary Ruen. – Ich los to wstyd dla nas wszystkich.

– Pozostaje pytanie – powiedział Narin, odruchowo obracając kawałek drewna w swojej brodzie – jak do nich dotrzemy? Jak odbijemy twierdzę, gdy wszystkie wejścia są obserwowane i zabezpieczone pułapkami?

Krasnoludy siedziały w milczeniu, ponuro zastanawiając się nad tym pytaniem.

Po długim milczeniu Hamnir oparł głowę na rękach i burknął:

– Być może jest inna droga – powiedział w końcu.

Gotrek parsknął.

– Kolejne „tajne” drzwi, o których gobasy już doskonale wiedzą?

Hamnir potrząsnął głową.

– Nie mogą wiedzieć o tym przejściu, ponieważ ono jeszcze nie istnieje.

Krasnoludy uniosły głowy, marszcząc czoła.

– Co takiego? – zapytał Gromowładny Lodrim.

Hamnir wahał się tak długo, że Felix zastanawiał się, czy krasnolud nie usnął, ale potem książę westchnął i przemówił.

– Nie wspominałem o tej drodze wcześniej z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że wymaga przejścia pod ziemią do Duk Grungu, a potem powrotu głęboką drogą do naszych kopalni. Lękałem się, że nasi uwięzieni bracia umrą podczas tygodnia, jaki zabierze taka podróż, ale jeśli alternatywą jest pozostawienie ich na poniewierkę, niech będzie to i tydzień. Po drugie... – przerwał znowu, ale kontynuował. – Po drugie, to tajemnica, którą zaprzysiągłem ojcu. Obiecałem nigdy jej nie wyjawić, w żadnych okolicznościach. Jest to sekret, o którym wiedzą tylko trzy krasnoludy na tym świecie – ja, mój starszy brat i mój ojciec. Choćbym nawet, odkrywając go, ocalił twierdzę, wątpię, by mój ojciec kiedykolwiek mi wybaczył. Po jego wyjawieniu być może nigdy nie pozwoli mi mieszkać w Karak Hirn, ale nie potrafię wymyślić innego sposobu.

Gorrił był blady. Szarpał nerwowo brodę.

– Mój książę, może zdołamy odkryć inną drogę. Nie chcę widzieć, jak zostajesz wygnany z własnego domu. Nie chcę także rozgniewać króla Alrika.

– Jestem otwarty na propozycje – powiedział Hamnir. – Jeśli istnieje inny sposób, z radością go wykorzystam. Zdrada nie jest ruchem, który chciałbym wykonać.

Krasnoludy myślały, pomrukując do siebie.

– Być może... – odezwał się Gorrił po chwili. Wszyscy unieśli wzrok, ale on zamilkł, potrząsając głową.

– Gdyby tylko była droga do... – powiedział Thorgig chwilę później, ale on także nie dokończył zdania.

– Moglibyśmy... – rzekł Narin, a potem zmarszczył brwi. – Nie, to też by się nie udało.

Wreszcie Hamnir westchnął.

– Dobrze, zatem – powiedział. – Muszę więc zrobić to, co powinno być zrobione.

Usiadł i rozejrzał się wokół stołu, napotykał wzrok wszystkich swoich doradców.

– Mój ojciec jest prawdziwym krasnoludem i czerpie prawdziwą krasnoludzką dumę z utrzymywania swojego osobistego majątku z dala od ciekawskich oczu i chciwych rąk. Stawiając to sobie za cel, wybudował, z pomocą jedynie moją i mojego brata, skarbiec, o którego istnieniu nie wie nikt inny.

– Skarbiec twojego ojca znajduje się na trzecim poziomie jego twierdzy klanowej – powiedział długobrody. – Wszyscy wiedzą...

– To jest skarbiec, który pokazuje światu – odrzekł Hamnir. – Tu trzyma większość swojego złota i pospolitych skarbów. Ale nie znajdziesz tam Młota Barrina ani Pucharu Łez, ani Wojennego Sztandaru starego króla Ranulfa, naszego ojca klanowego, ani też dwudziestu bryłek krwawego złota, za które można kupić wszystkie pozostałe skarby w skarbcu klanu. Te nie są na pokaz. Są przeznaczone tylko dla jego oczu i tak być powinno.

Krasnoludy z Karak Hirn spoglądały na siebie zdumione.

– Krwawe złoto – mruknął stary Ruen.

– A zatem – spytał Gorrił, bezwiednie oblizując usta. – Gdzie to jest?

Hamnir uśmiechnął się chytrze.

– Tego nie powiem nikomu poza tymi, którzy muszą wiedzieć. Wystarczy powiedzieć, że wejście jest ukryte w pobliżu kwatery mojego ojca, a stamtąd mała grupa może dotrzeć do frontowych wrót.

– Stamtąd? – spytał skonfundowany Thorgig. – Ależ, książę, czy ma on więcej niż jedne drzwi?

– Nie, nie ma – odparł Hamnir. – Ale i tak istnieje droga, którą możemy podążać. Widzicie, skarbiec to stary szyb badawczy z czasów pierwszego króla, Ranulfa – zatopiony, a potem porzucony, gdyż nie znaleziono rudy. Mój ojciec odkrył go w młodości i utrzymywał to w tajemnicy, dopóki nie doczekał się synów, którzy pomogli mu przerobić szyb na skarbiec. Zrobił wszystko, co w jego mocy, aby zatrzeć wszelkie wzmianki o tym szybie, niszcząc wszystkie stare mapy i teksty, jakie udało mu się znaleźć. – Klasnął nerwowo w dłonie. – Chociaż skarbiec jest sekretny, nie jest odpowiednio zabezpieczony. My trzej nie byliśmy w stanie wzmocnić jego ścian ani wyryć na nich run ochronnych. Skarby spoczywają zatem po prostu na dnie szybu, do którego można się dostać po wykutych w ścianie schodach otoczonych surową skałą. Siła skarbcza polega na tym, że nikt nie zna jego położenia ani nie wie o jego istnieniu. – Zwiesił głowę. – Wraz z tym wyznaniem ta siła przepadła.

– Ehem, nie powiedziałaś nam, jak mamy tam wejść, mój książę – przypomniał uprzejmie Gorrił.

Hamnir skinął głową.

– Unikam tego. Wybaczcie. Oto, jak tego dokonać: szyb dociera do poziomu kopalni w pobliżu

korytarzy, które piętnaście stuleci temu porzucił mój wielki dziad, gdy okazały się bezwartościowe. Jeden z tuneli badawczych przechodzi w odległości trzech metrów od szybu skarbcza.

Krasnoludy patrzyły na księcia w milczeniu.

– A zatem, przekopimy tunel do skarbcza? O to chodzi? – spytał wreszcie stary Ruen.

– A potem, wspinając się na szczyt szybu, wyjdziemy ze skarbcza do twierdzy. Aye – wyjaśnił Hammir.

– Masz rację – powiedział Gorril. – Twój ojciec nie zgodziłby się na to. Nie tylko doprowadzisz drużynę do skarbcza, ale otworzysz do niego przejście, którego nie będzie łatwo zamknąć. Skarby króla mogą zostać zrabowane, gdy my będziemy zajęci odbijaniem twierdzy.

– A co z gobasami? Czy was nie usłyszą? – spytał Gotrek. – Pilnują także kopalni. A może spodziewasz się, że je powstrzymam, gdy wy będziecie dłubali łomami i łopatami?

– Tunel badawczy jest znacznie oddalony od aktywnych kopalni – wyjaśnił Hammir. – Dzielą je mile tuneli i kamienne drzwi. Gobasy nie mają krasnoludzkich zmysłów. Nie usłyszą nas.

Gotrek parsknął.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby czekały na nas w środku skarbcza, gdy przekopimy się przez ściany.

– To niemożliwe – powiedział gniewnie Hammir. – Do dzisiaj tylko trzy krasnoludy wiedziały o skarbcu: mój ojciec, mój starszy brat i ja sam, a żaden z nas nie przebywał w twierdzy, gdy zajęły ją gobasy. Nie mogą wiedzieć!

– Ostatnio wydarza się wiele niemożliwych rzeczy – powiedział z namysłem stary Ruen.

Krasnoludy w milczeniu obmyślały plan Hammira, pykając z fajek i dumając. Było jasne, że to im się nie podobało. Krasnoludzka twierdza, która straciła swój skarb, traciła także honor. Byliby postrzegani jako słabeusze – kiepscy budowniczości, którzy nie potrafią uchronić swojego majątku. Gdyby Hammir odbił twierdzę, ale stracił skarb, wielu krasnoludów uznałoby jego zwycięstwo za porażkę.

W końcu Gorril westchnął.

– Zdaje się, że to nasza jedyna szansa.

– Możemy poczekać na powrót króla Alrika z jego siedmiuset wojownikami – powiedział Gromowładny. – On będzie wiedział, co robić.

Felix usłyszał trzask kłykci Hammira. Twarz księcia stężała.

– To... Nie wystarczy. Przede wszystkim, nasi kuzyni uwięzieni w twierdzy nie mogą czekać tak długo. Po drugie, nie możemy pozwolić gobasom zajmować naszego domu ani o dzień dłużej, niż musimy. Po trzecie, nie pozwolę, by mój ojciec powrócił i zastał tak wielką tragedię nierozwiązaną. To złamałoby jego dumne serce.

Nie wspominając o tym, że w jego oczach wyszedłbyś na bezwartościowego głupca – pomyślał Felix. Wyglądało na to, że reszta myśli tak samo, ale nikt tego nie powiedział.

– Dobrze, zatem – rzekł Gorril. – Kto pójdzie?

– Ja pójdę – natychmiast zgłosił się Thorgig.

– Podobnie, jak ja – powiedział Gorril. – I będziemy potrzebowali kilku zdolnych kopaczy. – Zaśmiał się. – Problemem będzie powstrzymanie każdego krasnoluda w zamku przed zgłoszeniem się na tę wyprawę.

– Ty nie pójdiesz, Gorril – powiedział Hammir.

Gorril wyglądał na wstrząśniętego. – Ależ, mój książę...

– Nie – rzekł Hammir. – Wczoraj dowiodłeś, że na polu bitwy jesteś zdolniejszym dowódcą ode mnie. Gdybyś ty dowodził, dziś żyłoby wielu krasnoludów. Zostaniesz i poprowadzisz atak na główne wrota. Ja powiodę grupę do kopalni. Nie mogę obarczyć nikogo wiedzą o położeniu skarbcza.

Muszę być osobiście odpowiedzialny za jego otwarcie. Nikt inny nie przeżyje gniewu mego ojca. – Odwrócił się do Gotreka. – Ty, Zabójco, możesz tu zostać, albo wyruszyć na Północ do walki z Chaosem, jeśli tego chcesz. Zbliżyłeś się już niebezpiecznie do śmierci, wypełniając swoją przysięgę wobec mnie. Zwalniam cię z dalszych zobowiązań. Nie chcę narzucać ci swojego niemiłego towarzystwa na czas tej wyprawy.

Gotrek wpatrywał się w Hammira przez długą chwilę.

– Nie musisz troszczyć się o mój honor, Ranulfsson – powiedział wreszcie. – Przysiągłem pomóc w odbiciu Karak Hirn. W odróżnieniu od niektórych, nie łamię przyrzeczeń. Odejdę, gdy zasiądziesz na tronie swojego ojca w sali uczt. Potem porozmawiamy o innej umowie, którą kiedyś zawarliśmy. Do tego czasu trzymam się twego boku. Jeśli zamierzasz wyruszyć do Duk Grungu i z powrotem, idę z tobą.

## Rozdział 11

– To nie jest w porządku – mruknął Thorgig.

Felix, Gotrek, Hamnir i pozostali leżeli płasko w rowie, przyglądając się, jak w gęstej mgle poranka niewyraźne sylwetki patrolujących orków przechodziły niecałe dwadzieścia kroków dalej. Drużyna opuściła Zamek Rodenheim niespełna pół godziny wcześniej, wymykając się cicho przez tylną bramę, bez latarni i pochodni, kierując się ze wzgórz w stronę zielonych równin Złych Ziemi. Oprócz Hamnira, do tych, którzy przeżyli podróż do drzwi Birriego i z powrotem dodano czterech kolejnych – trzech braci z Karak Hirn, którzy w młodości kopali w Duk Grungu oraz krasnoluda z klanu Kruszających Kamień, zdolnego inżyniera górniczego.

– Biada nam, jeśli jakikolwiek inny Zabójca dowie się, że dwukrotnie chowałem się przed orkami – powiedział Skórczanobrody.

– A także uciekałeś przez nimi – szepnął przekornie Narin.

– Ciszej, do cholery! – rzucił Hamnir.

Orki obserwowały Zamek Rodenheim, odkąd powróciła do niego armia Hamnira. Nieprzerwanie prowadziły wokół niego patrole, pilnując każdej drogi i każdej górskiej ścieżki. To był kolejny dowód ich dziwnego zachowania. Powinny wypadać z przejętej krasnoludzkiej twierdzy w szalonych, próżnych próbach starcia się z ich odwiecznym wrogiem. Krasnoludy nie pragnęły niczego innego. Gdyby orki rzuciły się na mury zamku, można byłoby wystrzelać wrogów i przerzedzić ich szeregi, co ułatwiłoby ostateczny najazd na Karak Hirn. Ale oddziały orków przychodziły po cichu, obserwowały, nie atakowały i trzymały się z daleka od murów. To było osobliwe.

Wreszcie, gdy ciemne sylwetki oddaliły się, znikając ponownie we mgle, Hamnir powstał.

– Dobrze – powiedział. – Ruszamy dalej, ale miejcie oczy i uszy otwarte. Nie możemy zostać zauważeni.

Mgła im pomagała. Drużyna zesła z ostatniej półki skalnej na surową równinę nieusłyszana i niezauważona przez kolejny patrol. Hamnir skierował ich na wschód i nieco na południe, po czym pomaszzerowali w niespokojnym milczeniu.

W kolejnej godzinie mgła zaczęła się unosić, odsłaniając rzadkie sosny i skalisty grunt jałowej, pokrytej wzgórzami krainy; nieco później, pod niskimi, szarymi jak żelazo obłokami pojawiła się postrzępiona linia Gór Czarnych. Powietrze pozostawało chłodne i wilgotne, obejmując ich swoimi mackami. Felix drżał w starym, czerwonym płaszczu i spodziewał się w każdej chwili zmoknąć, ale deszcz nie nadchodził.

Hamnir szedł na przedzie wyprawy. Thorgig u jego boku rozglądał się uważnie wokoło. Gotrek został z tyłu. Jego czoło było zachmurzone tak, jak niebo. Zabójca i książę najwyraźniej nie mieli ochoty rozmawiać ani ze sobą, ani z nikim innym.

Po pewnym czasie inżynier górniczy, hardy weteran o szerokich barach, czerwonej twarzy i jeszcze czerwiejszym nosie oraz krzaczastej, rudawej brodzie z szarymi pasmami, podszedł do Gotreka, pocierając policzek, aż jego broda się najeżyła.

– Wiesz, dlaczego zgłosiłem się do tej drużyny, Zabójco? – zapytał głośno.

Gotrek nie zwrócił na niego uwagi, tylko gapił się przed siebie.

– Nazywam się Galin Olifsson – powiedział inżynier, uderzając się w pierś mięsistą dłonią. – Kruszący Kamień z klanu Kruszających Kamień, tego samego, co Druric Brodigsson. Pamiętasz go, Zabójco?

Gotrek splunął. Bystrzejszy od Galina krasnolud zauważyłby jego zaciśnięte kułaki.

– Wieść głosi, że zostawiłeś go za sobą, aby umarł, Zabójco – parsknął Galin – podczas gdy ty

uciekłeś niczym tchórz przed zwykłymi orkami.

Felix ledwie dostrzegł ruch Gotreka, ale nagle Galin leżał płasko na plecach z krwią ciekącą z nosa na jego wąsy i usta. Mrugał, patrząc w niebo. Gotrek szedł dalej, ale reszta drużyny odwróciła się.

– Bądź przeklęty, Gurnisson! – zawołał Hammir. – Czy każdy krasnolud, który maszeruje ze mną musi mieć złamany nos, zanim z tym skończymy? Wszyscy musimy być cali i gotowi, jeśli ma nam się powieść.

– Prosił się o to – odparł Gotrek, wzruszając ramionami.

– Nie byłem gotowy, ty przeklęty oszuście – narzekał Galin, siadając niepewnie i dotykając swojego zniekształconego nosa.

– Nazywasz Zabójcę tchórzem i nie jesteś przygotowany na to, że cię walnie? – zapytał Skórzanobrody, śmiejąc się. – W takim razie jesteś głupcem.

– Drucic pragnął zostać – powiedział Narin, podając rękę Galinowi. – A jeśli chcesz bitki z Zabójcą, lepiej poczekaj, aż ta sprawa się skończy, tak, jak reszta z nas.

Galina, prychnąwszy, odtrzącił rękę Narina i wstał samodzielnie.

– Mam ufać słowu Żelaznej Skóry? Z tych, którzy ukradli nam Tarczę Druttiego? Zapewne sam kazałeś Zabójcy, aby zostawił mojego kuzyna.

– Nikt niczego Zabójcy nie nakazuje – parsknął Narin, a potem, z chytrze jarzącymi się oczami, wyciągnął kawałek drewna zaplątany w brodę. – A ja mam Tarczę Druttiego tutaj, to, co z niej zostało. Jeśli chcesz, możesz ponieść.

– Kpisz sobie ze mnie, Żelazna Skóro? – spytał Galin, wypinając pierś. – Jesteś następny po Zabójcy, jeśli myślisz...

– Olifsson! – rzucił Hammir. – Jeśli dołączyłeś do nas tylko po to, żeby z nami walczyć, możesz wrócić do zamku. A teraz odstęp!

Galina rzucił mordercze spojrzenia Narinowi i Gotrekowi, ale w końcu odwrócił się, poprawiając zbroję i ocierając nadal krwawiący nos wielką chustką.

– Mogę poczekać – burknął. – Krasnolud musi być cierpliwy.

Pozostałe trzy krasnoludy, które przyłączyły się do drużyny, szczerzyły się za plecami Galina. To byli bracia Rassmussonowie, Karl, Ragar i Arn, tak do siebie podobni, że Felix miał problemy z ich rozróżnieniem – trio łysych, czarnobrodych górników, których skóra została na zawsze poczerniona ziemią i rudą. Ich twarze i popękane kłykcie były szare od brudu.

– To było niezłe – powiedział jeden z nich. Chyba Arn, pomyślał Felix.

– Nie co dzień widzi się taki cios – powiedział drugi, kiwając głową. Być może, Karl.

– Zaraz wam pokażę – warknął Galin, odwracając się i unosząc pięść.

Trzeci brat, który przez eliminację musiał być Ragarem, uniósł dłoń.

– Nie mówimy tego z braku szacunku, kuzynie – powiedział. – Nie mówimy, że na to zasłużyłeś.

– No i dobrze to przyjąłeś – dodał ten, którego Felix zdecydował się nazywać Arnem. – Żadnego kwilenia ani pojękiwania.

– I nie masz dość – zgodził się ten, który musiał być Karlem. – Szybko poderwałeś się na nogi, gotowy do następnego ciosu.

Galina przez chwilę przyglądał im się podejrzliwie, próbując zdecydować czy się z niego nie naigrawają.

– Dobrze, zatem – powiedział wreszcie i odwrócił się.

Bracia wymienili chytre spojrzenia.

– To naprawdę był niezły cios – powiedział Ragar.



– Aye – potwierdził Arn. – Taki cios widuje się raz w życiu.

– Ha! – zawołał Karl. – Taki cios może ZAKOŃCZYĆ życie.

Ramiona Galina napięły się, ale nie zareagował. Bracia wyszczerzyli się, jakby odnieśli zwycięstwo.

Felix pozostawał w tyle z powodu swojej kostki. Krasnoludzki medyk wykonał wspaniałą robotę i Felix nie czuł już bólu, ale stopa nadal była sztywna i stawiał kroki, lekko kulejąc. Gotrek szedł obok niego, najwyraźniej nie tylko po to, aby dotrzymać Felixowi towarzystwa, ale również po to, by trzymać się z daleka od Hammira.

– Na czym właściwie polega twoja uraza wobec Hammira? – spytał w końcu Felix. – Wy dwaj wyraźnie byliście kiedyś przyjaciółmi. Co was podzieliło? Dziewczyna? Zniewaga? Złoto?

Gotrek parsknął.

– Ludzie nie mogą zrozumieć honoru krasnoludów, ponieważ nie mają własnego. On złamał przysięgę. To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Jaką przysięgę? – naciskał Felix. – Co, aż tak złego, mógł uczynić? Wydaje się nader przyzwoitym krasnoludem, bardzo spokojnym i rozsądnym.

– Ha! – zachnął się Gotrek. – Lubisz go, bo zachowuje się jak człowiek! Z człowieczymi manierami i gładką gadką; ale ma także podstępłą ludzką naturę. Nie trzyma się danego słowa. Dla krasnoluda przysięga jest przysięgą, obojętnie czy chodzi o rzecz dużą, czy małą. Ale nie dla tego krasnoluda. – Skrzywił się w stronę czoła grupy. – Para ładnych ocząt albo lepsza oferta, a już odwraca się plecami do brata. Będzie się wił i wykręcał oraz cytował prawo, aby tylko wyslizgnąć się ze swych zobowiązań.

– Ach, więc to była dziewczyna – domyślił się Felix.

– Nie powiem nic więcej.

– Dobrze, zatem – odparł Felix.

Przez chwilę szli w milczeniu, ale ciekawość zwyciężyła.

– Kiedy to wszystko się stało? Czy byłeś już wtedy Zabójcą?

Gotrek rzucił mu ostre spojrzenie.

– Próbujesz to ze mnie wycisnąć, człeczyno?

– Nie, nie – zapewnił Felix. – Tyle, że jeśli tu zginiesz, będę musiał umieścić Hammira i innych w poemacie o twojej śmierci: „Śmiała drużyna, którą powiodł Zabójca”, i tak dalej. Muszę coś wiedzieć o tym, jak się poznaliście i co zrobiliście, aby nadać temu nieco głębi i wyrazu, aye?

Gotrek myślał przez chwilę, a potem skinął głową.

– Przypuszczam, że masz prawo poznać część tej historii. Wszystkie epickie opowieści, których słuchałem w sali uczt, zaczynały się od samego początku, a lepiej, żebyś usłyszał to ode mnie niż od tego złotoustego wiarołomcy. – Ponownie rzucił ostre spojrzenie na Felixa. – Nie, żeby zamierzał powiedzieć ci wszystko. Tylko to, co trzeba.

– To, co trzeba wystarczy, jestem tego pewien – powiedział Felix, starając się, aby jego głos nie zabrzmiał zbyt radośnie. Rzadko się zdarzało, żeby Gotrek wyjawiał cokolwiek ze swej przeszłości. – Mów.

Gotrek szedł dalej, marszcząc brwi, jakby zbierał myśli.

– Poznałem Hammira, gdy przybył do klanu moich ojców – odezwał się w końcu. – To było na długo, zanim zapuściłem grzywę; byłem jeszcze krótkobrodym. Wówczas w twierdzy panował spokój. Było tam zbyt spokojnie jak dla mnie. Chciałem walczyć. – Przesunął machinalnie ręką po brodzie. – Hammir także był niespokojny. Z tego powodu przebył całą drogę od Karak Hirn do Gór Krańca Świata. – Parsknął. – Przeczytałem zbyt wiele książek. Chciałem zobaczyć świat. – Gotrek

wzruszył ramionami. – W większości miejsc, o których opowiadał, nie brakowało walki – na Morzu Szponów, w Imperium, Bretonii – więc powiedziałem, że pójdę z nim.

– To była tylko wspólna podróż? – zapytał Felix. – Nie byliście przyjaciółmi?

– Ja? Ja miałbym się przyjaźnić z tym zdradzieckim... – Gotrek przerwał, a potem westchnął. – Ech. Przypuszczam, że byliśmy przyjaciółmi. Wtedy wydawał się dobrym krasnoludem. Trzymał mnie z dala od kłopotów, gdy miałem w nie wpaść i wyciągał z nich, gdy już się to stało. Pewnego razu uprosił księcia-elektora, żeby mnie nie wieszał. Do jakiegokolwiek armii wstąpiliśmy, załatwiał dla nas dobry żołd i nawet, gdy nasz dowódca próbował nas oszukać, Hamnir i tak zawsze odzyskiwał pieniądze.

Gotrek uśmiechnął się pod nosem i ponownie zerknął w stronę Hamnira, a potem burknął coś i odwrócił wzrok.

– Ale kiepski był z niego najemnik. Ledwo dawał sobie radę w walce i chociaż był dobrym taktykiem na papierze, gubił się, gdy coś szło nie tak. – Gotrek parsknął. – Nie miał w sobie ducha najemnika. Łupiliśmy zamki, a on brał tylko książki. Kiedyś walnął naszego kapitana, który rozbił posąg. Nie miał oporów przed zabijaniem ludzi, krasnoludów czy elfów, ale nie mógł znieść, gdy ktoś przy nim palił obraz.

– Jak długo wraz z nim podróżowałaś? – zapytał Felix.

Gotrek wzruszył ramionami.

– Dziesięć lat? Dwadzieścia? Nie pamiętam. Mogło być i pięćdziesiąt. Walczyliśmy w Imperium, Bretonii, ścigaliśmy piratów wzdłuż wybrzeża, w Księstwach Granicznych, Estalii, Tilei... – zawiesił głos.

– W Tilei? – nalegał Felix.

Gotrek wrócił do siebie i skrzywił się.

– Nie, człeczyno, już dość ci powiedziałem. Nie usłyszysz więcej.

– Ale jak możesz opowiadać historię i jej nie kończyć?

– Złamał przysięgę – warknął Gotrek. – To koniec. A teraz daj mi spokój.

Zabójca ruszył naprzód, doganiając ostatniego z krasnoludów. Felix został z tyłu, kuśtykając samotnie.

Felix przeklinał własną głupotę. Niemal to z niego wyciągnął. Gdyby pod koniec nie naciskał tak bardzo, Gotrek sam by mu wszystko opowiedział. Mimo to znał teraz fragment życia Gotreka, o którym wcześniej nie miał pojęcia. To już było coś.

Rankiem trzeciego dnia krasnoludy ponownie skierowały się na północ, wybierając drogę przez wąskie doliny i kaniony ku podstawom Gór Czarnych; Złe Ziemie zniknęły zasłonięte parawanem wzgórz porośniętych sosnowym lasem.

Gdy szli dalej, Hamnir pozwolił braciom Rasmussonom prowadzić, bowiem w swej młodości pracowali w Duk Grungu i odbywali tam podróż wiele razy. Trzy krasnoludy wspinały się pewnym krokiem na wzgórze pokryte górkim wawrzynem i parzącymi ostami, mijając bystre strumienie i jelenie ścieżki oraz piaszczyste drogi od dawna zarośnięte chwastami i dzikimi kwiatami. Przez cały czas rozmawiali.

– Czy nie jest to miejsce, w którym stary Erik upuścił samorodek i kazał nam przez sześć godzin przeszukiwać krzaki? – spytał Arn, gdy minęli przewrócone drzewo.

– Aye – zgodził się Ragar. – A przez cały czas miał go w swoim plecaku.

– Pamiętam – powiedział Karl, śmiejąc się. – Znalazł go, gdy ugryzł placek. Ukruszył sobie ząb.

– Zawsze myślałem, że Dorn miał z tym coś wspólnego – powiedział Arn. – Ale nigdy się do tego nie przyznał.

Nieco dalej Karl wskazał na granitową półkę skalną, wiszącą nad małym stawem otoczonym przez paprocie.

– Skąła pełnego księżyca! – zawołał.

Jego bracia ryknęli śmiechem, ale nie wytłumaczyli, co to oznaczało.

Gdy słońce dosięgło zenitu, zobaczyli przed sobą wejście do kanionu, odgradzone grubym murem z blankami, pośrodku którego tkwiła otwarta brama strzeżona przez dwie przysadziste wieże.

– No i jesteśmy – powiedział Arn, wskazując drogę. – Duk Grung.

Spoglądając na stare mury widoczne między drzewami, Felix po raz kolejny zadumał się nad długością życia krasnoludów. Chociaż bowiem mury stanowiły solidną krasnoludzką robotę i wytrzymały próbę czasu bez śladów zniszczenia, były gęsto zarośnięte pnączami, mchem i krzakami, a brama już dawno zardzewiała. To miejsce wyglądało na bardzo stare, a jednak Arn, Karl i Ragar pracowali tu, gdy jeszcze działało.

– Trochę zarosło, nieprawdaż? – rzucił Ragar. – Był tu swojego czasu ludzki ogrodnik, który zajmował się chwastami.

– Pamiętam go – powiedział Arn. – Wolfenkarg, czy coś takiego. Ludenholt? Jakiś ludzki bełkot. Miał słabą głowę.

– Ciekawe, co się z nim stało – powiedział Karl.

– Cóż, był człowiekiem – parsknął Arn. – Więc dawno jest już martwy, prawda?

– Ludzie są jak jętki – rzekł Ragar. I spojrzał zawstydzony na Felixa. – Bez urazy, człowieku.

Felix wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy.

To przecież była czysta prawda.

Zbliżywszy się do zardzewiałych pozostałości wrót, krasnoludy zobaczyły szeroką, głęboko wydeptaną ścieżkę, biegnącą wzdłuż muru i dalej, przez bramę. Zatrzymały się i umilkły, a ich ręce sięgnęły po broń. Dwaj Zabójcy przyglądali się uważnie śladom, podczas gdy inni rozglądali się, zaniepokojeni, po drzewach wokół.

– Troll – powiedział Skórzanobrody. – A ślady są świeże.

– Dwa trolle – powiedział Gotrek. – Co najmniej dwa.

– Po jednym dla każdego z nas – powiedział radośnie Skórzanobrody, ale gardło miał ściśnięte.

– Założyły sobie w kopalni dom? – zapytał Hamnir.

– Przekonajmy się – rzucił Gotrek.

Krasnoludy dobyły toporów i kusz, po czym, gotowe do walki, ruszyły za nim przez otwartą bramę. Felix wyciągnął miecz. Za murem kanion wznosił się i zwężał, ściśnięty między dwoma stromymi, skalistymi wzgórzami. Zawalone pozostałości starych budynków wyzierały spomiędzy skupisk młodych drzew po obu stronach wijącej się środkiem, wydeptanej przez trolle ścieżki.

– Stajnie mułów – szepnął Karl, machając na lewo.

– I szopa Lungmoldera – powiedział Arn, wskazując na prawo. – Problem z drewnem, że nie jest zbyt trwałe.

– To był Lungmolder? – spytał Ragar. – Myślałem, że nazywał się Berghoffer albo Baldenhelder czy...

– Ciszej, do kroćset – nakazał Galin. Miał wytrzeszczone oczy, a jego czerwona twarz spotniała.

Szli ostrożnie ścieżką do końca kanionu, przez zwężający się tunel między zboczami wzgórz. Na zachodnim stoku widniał czarny otwór, niemal zakryty przez gęste krzaki jeżyn. Krasnoludy zbliżyły się do niego powoli. Podchodząc, Felix dostrzegł, że otwór był nierówną dziurą wybitą w czymś, co wyglądało na wielkie drzwi. Ich zarys był ledwie widoczny pod gęstą roślinnością.

– Drzwi zostały przebite – zauważył Karl.

– To źle – powiedział Ragar.

Arn wzruszył ramionami.

– I tak kopalnia była pusta.

– Może nie przyszli tu po żelazo – zasugerował Narin.

– Może próbowali przedostać się do Karak Hirn – powiedział ponurym głosem Thorgig.

Galin parsknął.

– Jeśli tego próbowali, chłopcze, to było sto lat temu, a Karak Hirn przetrwało. – Wskazał na krawędzie wyłomu. – Każdy krasnolud, któremu Grungni dał oczy, widzi, że ta dziura została wybita już dawno. Wszystkie pęknięcia są zwietrzałe.

– Powiedz do mnie jeszcze raz „chłopcze”, a wcisnę ci w gardło język, który dał ci Grungni – zagroził Thorgig, łypiąc na inżyniera.

– Dopóki nie będziesz mógł zatknąć swojej brody za pas, będę cię nazywał, jak mi się podoba – odparł Galin.

– Zatknę ci tę brodę w twój...

– Dostyc! – syknął Hamnir. – Skończcie z tym obaj.

Skórczanobrody wskazał na głęboką ścieżkę. Wiła się między krzakami jeżyn i prowadziła do otworu.

– Być może dziura jest stara, ale to miejsce jest zamieszkane.

– Przynajmniej nie musimy szukać ukrytego zamka do drzwi – powiedział Ragar.

– Dobrze – rzekł Hamnir, biorąc głęboki wdech. – Zapalcie lampy i wchodzimy. Zabójcy przodem.

Krasnoludy odpięły mocne, rogowe latarnie od swoich plecaków, zapaliły je, używając krzesiwa i zawiesiły na pasach, aby mieć wolne ręce. Gotrek zapalił pochodnię, którą trzymał niczym broń, w drugiej dłoni. Gdy wszyscy byli gotowi, przecisnęli się przez zarośla do dziury. Chociaż, w porównaniu z zabudowanymi drzwiami, wydawała się mała, wyłom przewyższał dwukrotnie wzrost Felixa i był dwukrotnie szerszy od Gotreka. Zajrzeli do środka. Wewnątrz panowały absolutne ciemności.

Gotrek ruszył naprzód, trzymając pochodnię nieco z tyłu i z boku, aby się nie oślepić. Potem ruszył Skórczanobrody, a pozostali szli za nim po bokach. Zimny powiew przyniósł odrażający odór – gęstą mieszaninę smrodu odchodów, gnijącego mięsa, pleśni i ostrego, zwierzęcego piżma, jeszcze bardziej uderzającego niż bijące od orków.

Narin zmarszczył nos.

– Nic nie cuchnie gorzej od trolla.

– A dwa trolle? – odpowiedział Arn, a może Ragar.

– Cisza! – szepnął Hamnir.

Po drugiej stronie drzwi dziura otwierała się na szeroką komorę. Gdy oczy Felixa przywykły do ciemności, dostrzegł na każdej ze ścian monumentalne drzwi i wielkie kolumny podpierające wysoki sufit. Poniżej tej wspaniałej krasnoludzkiej architektury zalegały stosy śmieci: sterty kości, rozbite meble i maszyny, gnijące ścierwo, spalone drewno, a także warstwa brązowych liści i gałęzi, nawiana lub przyciągnięta z zewnątrz.

W jednym z kątów, w kamiennej podłodze, zostało urządzone palenisko, nad którym wisiał poszczerbiony żelazny gar, większy niż balia szlachcica. Palenisko otaczały toporne stołki i siedziska, a w pobliżu znajdowały się legowiska wyścielone liśćmi paproci. Zwiotczałe sylwetki zwisały z wbitych w ściany kolców – dwóch ludzi, ork, krowa i wilki – wszystkie oskórowane i

powieszzone do wyschnięcia. Kości i ubrania ofiar wcześniejszych uczt leżały rzucone niedbale niedaleko paleniska. Rozciągnięte skóry, przyłożone kamieniami, zaścielały podłogę.

– Zdaje się, że pana i pani trollów nie ma w domu – powiedział Narin.

– Trolle w starym Duku – zdumiał się Ragar, potrząsając głową. – Straszny wstyd.

– Aye – zgodził się Karl. – Serce mi się kraje, gdy widzę, jak zapaskudziły to stare miejsce.

– Nie są czyścioszkami, prawda? – rzekł Arn, pociągając nosem.

Hamnir rozejrzał się niespokojnie.

– Chyba wolałbym, żebyśmy znaleźli je w ich legowisku – powiedział. – Gorzej, że nie wiemy, gdzie teraz są.

– Kolejna zagłada przeszła bokiem – powiedział ponuro Gotrek.

– Którędy w głąbiny? – zapytał Hamnir, zwracając się do braci Rasmussonów.

Rozejrzeli się, gładząc brody. Odezwał się Arn.

– Kwatery są tam. – Wskazał na prawo. – Hala wytopu tam. – Wskazał prosto przed siebie. – A przodek tam. – Wskazał na lewo.

– W lewo, zatem – rzucił Hamnir.

Gotrek i Skórczanobrody ruszyli przez komorę w stronę łuku po lewej stronie. Po drodze, w pobliżu paleniska, minęli stos kości, butów i spodni, a gdy przechodzili blisko, coś błysnęło w świetle lampy.

Pierwszy zatrzymał się Galin, potem Ragar, aż wreszcie Hamnir. Pozostali odwrócili się, aby zobaczyć, na co patrzą tamci.

– Czy to... ? – zaczął Galin.

– Patrzcie tylko na to – powiedział Ragar.

– To jest... – odezwał się Hamnir.

– Złoto! – zawołał Arn i podszedł do stosu kości, odrzucając na bok coś, co niegdyś było klatką piersiową i przykucając. Pozostali podążali tuż za nim. Nawet Gotrek przeciskał się naprzód.

Felix spojrzał ponad ich ramionami. Ziemia między kośćmi i podartymi ubraniami zavalona była pierścieniami, łańcuchami na szyję, surowymi klejnotami, bransoletami, złotymi samorodkami i monetami różnych narodów. Krasnoludy chwyciły je naręczami. Narin urwał szkieletowi palec, aby ściągnąć z niego srebrny pierścień. Karl wyrywał złoty ząb ze szczerzącej się czaszki.

– Głupie trolle – zarechotał Ragar, zagarniając chciwie skarby. – Odrzucają fortunę dla mięsa na gulasz.

– To zwierzęta – stwierdził Narin. – Te stwory nie znają ekstazy złota.

– Czy mamy na to czas? – zapytał Felix, spoglądając niespokojnie za siebie. – Trolle mogą wrócić w każdej chwili.

Krasnoludy zignorowały go.

Thorgig odrzącił rękę Galina.

– To moje, Olifsson – rzucił ostro. – Ja tego pierwszy dotknąłem.

– Ale upuściłeś! – powiedział Galin. – Teraz jest moje.

– Bacz, gdzie sięgasz! – warknął Skórczanobrody do Narina. – To moja zdobycz.

– Nic na to nie poradzę, że mam dłuższe ręce niż inni – odpowiedział Narin z błyszczącymi oczami.

– I lepkie paluchy. – Skórczanobrody popchnął Narina, który upadł na zadek.

– Będiesz się przepychał? – warknął Narin, sięgając po swój sztylet.

– Kuzyni! Kuzyni! – zawołał Hamnir. – Zaprzestańcie! Zaprzestańcie! Co robicie?

Felix odetchnął z ulgą. Książę przemówi im do rozumu. Przynajmniej on pojął, jak niebezpieczne

jest ich położenie.

– Tak nie robią krasnoludy – powiedział Hamnir. – Nie rzucają się jak ludzie po okruchy chleba. Jesteśmy wojskowym oddziałem wypełniającym wojskową misję. A zatem skarb to łupy wojenne, które podlegają ścisłemu podziałowi. Teraz wyjmijcie wszystko ze swoich kieszeni i zrzućcie na stos pośrodku podłogi. Zobaczmy, co tu mamy i odpowiednio podzielimy. Dziesięć równych części.

Przerwało mu parsknięcie Gotreka.

– Równe części? To bardzo łaskawe z twojej strony, wiarołomco. – Odwrócił się do pozostałych. – Na waszym miejscu miałbym na niego baczenie. Gotów jest uszczknąć więcej dla siebie.

Thorgig poderwał się z zaciśniętymi pięściami.

– Zazucasz księciu Hamnirowi nieuczciwość? Posunąłeś zbyt daleko, Zabójco.

– Mówisz o naszym wodzu – powiedział Ragar, stając obok Thorgiga.

– Uważaj na słowa – rzucił Arn.

– Czerwona grzywa nas nie przestraszy – rzekł Karl.

– Daj spokój, Zabójco – powiedział Narin. – Czy naprawdę myślisz, że książe, znany wśród wielu twierdz jako uczciwy kupiec, będzie oszukiwał przy podziale łupów?

– I to mówi krasnolud, który zniszczył własność mojego klanu i nie zapłacił za to – zżymał się Galin.

– Ja nie myślę – powiedział Gotrek. – Ja to wiem. Robił to już wcześniej.

– Gurnisson – odezwał się Hamnir, marszcząc czoło.

– Och, znajdzie jakieś wytłumaczenie – ciągnął Gotrek.

– Jakąś wymówkę, dlaczego ten czy inny kawałek nie powinien przypaść reszcie w udziale. Jest mocny w gębie. To będzie brzmiało rozsądnie, ale tak czy inaczej nie wyjdziecie na swoje przy księciu Hamnirze Uczciwym.

– Nie znajdziecie także zrozumienia u Gotreka Gurnissona – odrzekł zapalczywie Hamnir. – Głowa i serce nie mają dla niego znaczenia, jedynie sakiewka. Czasami wydaje mi się, że więcej w nim kupca niż we mnie. To krasnolud, który zna wartość wszystkiego i niczego sobie nie ceni.

– A zatem przyznajesz, że to prawda, o czym on powiada? – zapytał Narin, unosząc brwi.

– Nie w sposób, w jaki to przedstawił – odparł Hamnir. – Nikogo nie oszukałem. W każdym przypadku pytałem wszystkie strony, czy są gotowe coś poświęcić. Poddawałem to pod głosowanie. Tylko Gotrek głosował na nie. Inni mieli sumienie, wiarę, że duch sprawiedliwości jest ważniejszy od litery prawa.

– Nie w każdym przypadku, wiarołomco – powiedział Gotrek. – W jednym przypadku po prostu wzięłeś sobie, co chciałeś.

– Ponieważ nie chciałeś usłuchać głosu rozsądku! – krzyknął Hamnir.

Jego głos odbił się od ścian i powrócił znacznie głośniejszym echem. Krasnoludy rozejrzały się, zaniepokojone, gdy echo zamarło.

– Gotrek, książe Hamnirze – powiedział Felix, przerywając ciszę. – Może powinniście powrócić do tej debaty i podziału łupów nieco później? Nie jesteśmy tu bezpieczni, a nadal mamy przed sobą daleką drogę.

– Wtóruję mu – rzekł Narin. – Powinniśmy ruszać dalej.

Po chwili Gotrek wzruszył ramionami.

– W porządku. Po wszystkim i tak może nas być mniej do podziału.

Hamnir skinął głową.

– Dobrze, zatem. A ponieważ moja uczciwość została podważona, nie wezmę tego. Ani nikt z

mojej twierdzy.

Krasnoludy rozejrzały się po sobie. Thorgig, Arn, Karl i Ragar pochodzili z Karak Hirn; pozostawali tylko Galin, Narin, Skórczanobrody, Gotrek i Felix.

Gotrek potrząsnął głową.

– Nie zabiorę tego wszystkiego. Będzie mnie spowalniało.

– Aye – odezwał się Skórczanobrody. – Nie, dzięki.

– Ani ja – rzekł Narin. – Znam swoje słabości. Wolę unikać pokusy.

– Eee – zaczął Galin. – To dla mnie zaszczyt ponieść ten łup. Uczciwość klanu Kruszących Kamień jest znana od Gór Krańca Świata do...

– A krasnolud, który pragnie zaszczytu, to krasnolud, na którego trzeba mieć oko – przerwał mu Thorgig. – Nie będziesz niósł mojej części, Kamieniarzu.

– Podważasz moją uczciwość! – oburzył się Galin, wstając. – Krasnoludy umierały za mniejszą obrazę!

– Cisza! – rzucił Hamnir. Spojrzał na Felixa. – Człowiek to poniesie.

– Człowiek? – sapnął Galin. – Ależ wszystkie krasnoludy wiedzą, że ludzie to chciwe, pazerne, małe...

Gotrek warknął groźnie.

Narin zaśmiał się.

– Oni mówią to samo o nas, ale zauważcie, że on, jako jedyny, nie zanurkował w stos, wyciągając obie ręce. A kogoś, kto związał swój los z Zabójcą na dwadzieścia lat, nie można oskarżać o to, że jest człowiekiem, który nade wszystko stawia własne korzyści.

– Ależ, książę – oponował Thorgig. – To towarzysz Zabójcy. Będzie faworyzował Gurnissona przed resztą.

– Jeśli to zrobi, zabiję go – powiedział Gotrek.

Hamnir skinął głową.

– Gurnisson może być nieugiętym, nieopanowanym berserkerem z humorami cierpiącego na niestrawność niedźwiedzia jaskiniowego, ale jest pełen honoru niczym przodkowie. To nie honoru mu brakuje, lecz serca. Nie pozwoli, by Herr Jaeger nas oszukał.

Arn wzruszył ramionami.

– Dobrze, zatem.

– Mnie to pasuje – powiedział Karl.

– Skoro książę tak powiada, kim jesteśmy, aby mu zaprzeczyć? – spytał Ragar.

– Skoro tak ma być – powiedział Galin, unosząc ramiona – niech tak i będzie.

Krasnoludy szybko opróżniły swoje kieszenie i sakiewki, wsypując wszystko do plecaka Felixa i przygotowały się do dalszego marszu. Felix jęknął, gdy wstał i narzucił toból na plecy. Chciwe kurduple dodały mu ciężkiego jak kamień bagażu – i to wtedy, gdy same potrafiły z łatwością unieść ciężar po dwakroć przekraczający ich własną wagę.

Drużyna ruszyła w stronę łuku po lewej stronie i zagłębiła się w korytarz, wzdłuż którego mieściły się od dawna nieużywane sale jadalne i wspólne izby. Zarysy mocnych mebli zmiękczał nagromadzony od stuleci kurz. To nie była prawdziwa twierdza, a jedynie posterunek, pomocnicza kopalnia, która miała zasilać kuźnie i warsztaty Karak Hirn. Mimo to wybudowano ją ze zwykłą krasnoludzką starannością i przestrzeganiem standardów jakości. W ciągu wieków, które upłynęły, odkąd krasnoludy opuściły to miejsce, nie nastąpiły żadne zawałiska. Na ścianach nie było widać zacieków. Pokrywające podłogę kamienne płyty nie popękały. Ozdobne ciągi na ścianach wyglądały tak, jakby wycięto je dopiero wczoraj.

Po przejściu kilkuset kroków doszli do zardzewiałych szyn toru wózków górniczych, które łączyły głębiny kopalni z halami wytopu. Błyszczące w ciemności tory rozdzielały się i zakręcały, przecinając korytarze. Tu i tam szyny były wyrwane, podobnie jak drewniane podkłady pod nimi, ale większość pozostała nienaruszona. Krasnoludy trzymały się głównego ciągu, który wkrótce doprowadził je do szybu starej krasnoludzkiej windy parowej, mogącej za jednym razem unieść tłumy krasnoludów, wozów, mułów i tony rudy.

Galin, jedyny inżynier pośród nich, przyjrzał się wbudowanemu z tyłu pomieszczenia silnikowi parowemu, który niegdyś zasilał ten mechanizm. Wszedł stamtąd, potrząsając głową. Z jego brody i brwi posypał się kurz i pajęczyny.

– Nie ma szans – powiedział. – Połowa trybów zardzewiała, a ktoś zniszczył łomem kocioł. Naprawa potrwałaby tydzień. Może dłużej.

– I tak nie wiem, czy liny by nas utrzymały – powiedział Narin, świecąc latarnią w głąb szybu. Wielkie, grube liny były przetarte i czarne od pleśni.

Felix również spojrział w dół. W ciemności poniżej nie dostrzegł kabiny, ale liny były napięte, więc musiała gdzieś tam być.

– I tak na to nie liczyłem – powiedział Hamnir. – Zejdziemy po drabinie.

Wąska półka prowadziła do kwadratowej niszy po lewej stronie szybu, wyciętej na głębokości, która umożliwiawała krasnoludom zejście w głębiny po drabinie, bez ryzyka strącenia przez kabinę windy. Skórczanobrody ruszył pierwszy. Inni ustawili się za nim.

– Czy jest jakaś inna droga w dół? – spytał Felix, czekając na swoją kolej. – Ostatnio dość już się nałaziłem po ścianach.

– Och, tak – odpowiedział Karl. – Możesz zejść w głębiny po rampie i schodach. – Chwycił za żelazny szczebel i zaczął opuszczać się w ciemność.

– Ale to mnóstwo chodzenia – powiedział Arn, ruszając za nim.

– Tędy będzie szybciej – rzekł Ragar.

– Nie mam nic przeciwko chodzeniu – stwierdził Felix, wzdychając, ale stanął na drabinie za Ragarem i zaczął schodzić po zardzewiałych szczeblach.

Gotrek ruszył ostatni, bowiem krasnoludy obawiały się, że trolle mogą wrócić do domu i pójść za nimi. Zamienił pochodnię na zawieszoną na pasku lampę, aby mieć wolne obie ręce.

Pomimo narzekań Felixa, zejście było łatwe. Drabina została zrobiona przez krasnoludy i chociaż liczyła sobie ponad dwieście lat nadal była mocna i porządnie przytwierdzona do ściany. W regularnych odstępach mijali szerokie, surowe tunele, wzdłuż których biegły tory wózków. Czasami u ich wylotu stały wagoniki. Z jednego wyskoczyło w ciemność coś większego od szczura. W innym tunelu leżały rozrzucone łomy i łopaty.

– To nie są narzędzia krasnoludów – zauważył Ragar.

– Nie są – zgodził się Arn. – Zabraliśmy ze sobą wszystko, zamykając ten interes. Krasnoludy niczego nie marnują.

– Ktoś inny szukał resztek – powiedział Karl, parszcząc. – Zapewne głupi ludzie. Powinni być mądrzejsi. Krasnoludy nie porzucają niewyczerpanych żył. – Spojrział w górę drabiny na Felixa. – Bez obrazy, człowieku.

Felix westchnął.

– Nie ma problemu.

W połowie między piątym a szóstym poziomem głębin znaleźli kabinę windy – poobcieraną stalowodrewnianą klatkę, wiszącą pewnie w szybie, zupełnie jakby zatrzymała się tu tylko na chwilę. Felix, mijając windę, spojrział na nią tęsknym wzrokiem. To byłby luksus – móc wejść do kabiny i



zjechać na sam dół, ale bliższe oględziny wzbudziły podejrzenie, że mogłaby to być bardzo szybka jazda. Liny blisko stalowych pierścieni, do których były przywiązane, wyglądały na przetarte i cienkie, jakby żuły je szczury. Całość sprawiała wrażenie, jakby najłżejsze piórko upuszczone na kabinę wystarczyło do zerwania liny i zrzucenia żelastwa w głębinę.

– Jestem zadowolony, że silnik nie działa – powiedział sam do siebie.

Na kolejnym poziomie, Skórczanobrody uniósł dłoń.

– Coś się rusza na dole – powiedział.

## Rozdział 12

Zatrzymali się, nasłuchując. Początkowo Felix nie słyszał niczego, ale potem wyłapał ciche drapanie i szelesty odbite echem w kominie szybu. Było coraz głośniejsze.

- Co to takiego? – spytał Thorgig. – Szczury?
- To nie są trolle – powiedział Arn. – To pewne.
- Cokolwiek to jest – odparł Hamnir – idzie w tę stronę.

Narin wyciągnął pochodnię z plecaka, zapalił ją od lampy na pasku i upuścił do szybu. Krasnoludy patrzyły, jak kula światła spada, szybko się od nich oddalając. Serce Felixa zamarło, gdy dwa poziomy niżej żagiew mignęła obok kłębiącej się masy bezwłosych potworów rozmiarów psa, przez chwilę oświetlając ich poszczerbione kły i wybałuszone czarne ślepia oraz ostre jak brzytwy pazury, których używały do wspinaczki po ociosanych ścianach szybu. Potem pochodnia spadła niżej i ciemności powróciły. Potworów były dziesiątki.

- Co to jest? – stęknął Felix.
- Zębacze jaskiniowe – splunął Karl. – Gobaskie szczury.
- Myślałem, że wybiliśmy je wszystkie – powiedział Ragar.
- Tak nam się wydawało – odparł Arn. – Dwieście lat temu.
- Trudno będzie z nimi tutaj walczyć – rzekł Thorgig, marszcząc czoło. – Oderwą nas od ściany.

Felix zadrzał. Po tylu latach z Gotrekiem nie obawiał się podejmowania walki. Na powierzchni mógłby bez lęku zmierzyć się z tym stadem koszmaków, ale wisząc na drabinie ponad bezdenną przepaścią, mając do obrony tylko jedną wolną rękę? Nie, tego było za wiele. Już niemal czuł, jak ich zęby i pazury wbijają się w niego, odrywając brutalnie od szczebli.

- Poczekajcie tutaj – powiedział Gotrek. Zaczął szybko wspinać się z powrotem po drabinie.
- Mamy tutaj czekać? – spytał Felix.
- Dokąd on idzie? – warknął Galin.

Felix wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

Zębacze zbliżały się szybko, znacznie szybciej niż krasnoludy zdołałyby wspiąć się po drabinie. Felix słyszał ich głodne postękiwanie, a w ciemnościach dostrzegał poruszenie. Większość wspinała się po ścianie szybu, ale kilka weszło na szczeble. Przypominały Felixowi karaluchy wybiegające ze studzienki rynsztoka.

Krasnoludy dobyły broni i wisały, zaczepione jedną ręką o drabinę, ponuro oczekując na zagładę. Felix zacisnął dłoń na mieczu i modlił się do Sigmara, aby Gotrek, cokolwiek zamierzał uczynić, pośpieszył się z tym. Skórczanobrody rozpiął pas i przesunął go przez szczebel drabiny, aby ponownie zapiąć wokół talii tak, by mógł na nim wisieć i mieć wolne obie ręce.

Tuziny błyszczących ślepi odbijały światło lamp, a kształty stworów stały się widoczne – były to napuchnięte, zniekształcone, bezwłose cielska, same paszcze i zęby, z długimi, pazurzastymi nogami przyczepionymi do nich jakby w ostatniej chwili. Prawdopodobnie były to najpaskudniejsze stwory, jakie Felix kiedykolwiek widział, a oglądał już sporo koszmaków.

- Trzymajcie się – zalecił im Hamnir, całkiem niepotrzebnie.
- Zdaje się, że końcu umrzemy w Duku – powiedział Ragar.
- Zawsze myślałem, że tak się stanie – odparł Karl.
- Do zobaczenia w salach Grimmira, bracia – rzekł Arn.
- Uwaga, tam na dole! – ryknął Gotrek ponad nimi.

Nastąpił niski brzęk, jakby ktoś szarpnął za strunę kontrabasu, a potem nagle szyb wypełniła ogłuszająca kakofonia trzasków i zgrzytów.

Felix spojrział w górę, a później przycisnął się do drabiny tak mocno, jak potrafił. Krasnoludy zrobiły to samo. Z gwałtownym powiewem i drapaniem stali o kamień kabina windy runęła w dół, minęła ich, wyginając się i rozpadając po drodze. Jej odpadające podpory i deski wyrzynały białe rowy w ścianach szybu.

Felix spojrział w dół, śledząc jej upadek i zauważył, w krótkim przeblysku, zębaczę. Ich ślepia były rozszerzone przerażeniem, a ropusze pyski rozwarte. Kabina, spadając z rykiem, rąbnęła w nie i runęła w ciemność.

Po niesamowicie długim oczekiwaniu usłyszeli potężny grzmot, który wstrząsnął ścianami. Kabina wreszcie uderzyła o dno.

– Droga wolna? – dobiegł z góry głos Gotreka.

– Prawie! – zawołał Skórczanobrody.

Kilka zębaczy, nieporuszonych losem pozostałych, nadal wchodziło po drabinie. Ich zęby łaknęły kęsów krasnoludzkiego mięsa. Przypięty paskiem Zabójca w masce czekał na nie, trzymając w gotowości swoje dwa topory. Stwory skoczyły na niego, wyjąc z głodu. Siekł wściekle, trafiając jednego między oczy i odrąbując nogę drugiemu. Stoczyły się, porywając za sobą inne, ale nie wszystkie. Skórczanobrody uderzył w następną falę. Thorgig i Narin wystrzelili z kusz ponad jego ramieniem. Pozostałe krasnoludy warczały, sfrustrowane, że wąska drabina nie pozwala im dołączyć do walki. Felix był zadowolony, że może się temu tylko przyglądać.

Dokładnie w chwili, gdy Gotrek znowu pojawił się nad nimi, walka dobiegła końca. Ostatnie z zębaczy ze skrzekiem poszybowały w ciemność, ciągnąc za sobą smugę czarnej posoki, a Skórczanobrody wisiał, dysząc ciężko, na swoim pasie.

– Dobra robota, Skórczanobrody – powiedział Hamnir.

– Walczyłeś dzielnie – zgodził się Narin.

– Aye – rzekł Gotrek. – Dobra robota, Zabójco Zębaczy.

Skórczanobrody warknął, wycierając swoje topory i odpinając się od drabiny.

– Nie wszyscy z nas mieli szczęście napotkać demona. Jeszcze dostanę swoją szansę.

– Nie, jeśli będziesz podróżował z Gurnissonem – odezwał się Hamnir. – Być może nalega na równy podział łupów, ale sam zbiera całą chwałę dla siebie. – Spojrział w górę. – Nieprawdaż, Jaeger?

Felix otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Chciał zaprzeczyć słowom Hamnira, ale nie do końca mógł. Gotrek rzeczywiście pierwszy ruszał naprzód, gdy pojawiały się kłopoty; to nie Felix był wzywany do odbijania twierdz ani nie on rozpoczynał wędrówki na nieznanie ziemie. Oczywiście, było tak, ponieważ Gotrek MÓGŁ dokonać tych rzeczy. Nie odbierał Felixowi żadnych okazji. Felix, walcząc z demonem, zginąłby w ciągu paru sekund.

– Nie mieszaj do tego człeczyny! – zawołał Gotrek. – A teraz ruszajcie!

Krasnoludy schowały broń i kontynuowały zejście. Minęły kolejne siedem poziomów, zanim ujrzały wrak kabiny windy połyskujący na dnie szybu – stos strzaskanego drewna i poskręcane metalu, wymieszany ze zmiażdżonymi zębaczami i wyblakłymi kośćmi, które wskazywały, że ohydne bestie nie były pierwszymi żywymi istotami, które spadły w otchłań.

Drużyna przekroczyła szczątki i wyszła z szybu do niskiego tunelu górniczego, znacznie mniej pieczołowicie wykutego niż te na wyższych poziomach, ale przejście było dobrze obrobione, choć dość niskie.

– To jest głęboka droga? – zapytał Felix, schylając się. Nie mógł się wyprostować.

Krasnoludy roześmiały się.

– Nie, Herr Jaeger – odpowiedział Hamnir. – To nadal kopalnia. Rozpoznasz głęboką drogę, gdy

ją ujrzysz.

- On myśli, że to jest głęboka droga – rechotał Karl.
- Zostało jeszcze kilka poziomów w głąb – wyjaśnił Arn.
- Idźcie za nami – rzucił Ragar.

Krasnoludy kroczyły ciemnym tunelem. Ich latarnie tworzyły poruszające się wokół nich kałuże światła. Felix kuśtykał za nimi, przygarbiony niczym starzec. Miał nadzieję, że przejście wkrótce się otworzy. Już doskwierał mu skurecz w karku. Gdyby mieli tu z czymkolwiek walczyć, musiałby to robić na kolanach.

Gotrek szedł za nim przez chwilę, mrużąc pod nosem i rzucając ostre spojrzenia w stronę Hammira. Potem, gdy drużyna w milczeniu pokonała kolejne trzy poziomy, ruszył naprzód i zrównał się ze Skórczanobrodym.

– Dobrze tam sobie poradziłeś, Zabójco – powiedział. – Znajdziesz dobrą zagładę. Nie wątpię w to. – Spojrzał przed siebie i podniósł głos tak, aby słycać go było z przodu. – I nie ma znaczenia, z kim podróżujesz, bowiem chwała to jest coś, czym się dzielisz. To coś, co zdobywasz.

Felix zmarszczył czoło. Taka poufałość nie pasowała do Gotreka. Co w niego wstąpiło?

– Nie powinieneś się martwić, że będziesz walczyć z nic niewartymi wrogami podczas tej podróży – powiedział krasnolud jeszcze głośnie. – Nawet Zabójca może odłożyć na bok swój honor, aby wypełnić przysięgę. To znaczy, o ile jest HONOROWYM krasnoludem.

Teraz to miało sens. Gotrek mógł przemawiać do Skórczanobrodego, ale słowa kierował do Hammira. Felix był wstrząśnięty. Tak niebezpośrednie podejście było niesłychane w przypadku Zabójcy. Gotrek był zazwyczaj brutalnie szczery i mówił otwarcie, co myślał, walił jak pięścią w nos. Felix zastanawiał się, czym tak bardzo Hammir zalazł za skórę Gotrekowi.

– Kto nie ma honoru? – spytał Hammir, chwytając przynętę. Odwrócił głowę, nadal maszerując. – Obrażasz mnie. Uderzasz we mnie, wiedząc, że nie mogę oddać ciosu, bo potrzebuję cię w tym przedsięwzięciu. Czy to jest honorowe?

– Bardziej honorowe niż wzywanie krasnoluda do wypełnienia przysięgi, gdy samemu nie dotrzymuje się własnej – odgryzł się Gotrek.

Drużyna weszła do olbrzymiej sali – skrzyżowania wielu torów. Wszystkie prowadziły do platformy w centrum, gdzie ładunek wózków przesypany do wielkich wagonów na rudę. Poobijane, stare wózki stały tam, gdzie zostały porzucone – na pordzewiałych torach, a stosy szyn i drewnianych podkładów spoczywały pod pobliską ścianą. Sklepienie niknęło poza zasięgiem światła lamp krasnoludów.

– Tylko ty powiadasz, że jestem wiarołomcą! – zawołał Hammir. – Tylko ty powiadasz, że bez honoru. Wszyscy pozostali znają mnie jako krasnoluda, który trzyma się swych słów. – Jego głos dobiegał z ciemnych czeluści komory.

– Tylko dlatego, że ja wiem, jaki jesteś naprawdę – warknął Gotrek. – Tylko ja znam twoje sztuczki. Nosisz grubszą maskę niż Skórczanobrody.

– To nie była sztuczka – powiedział Hammir, zatrzymując się i odwracając w stronę Gotreka. – To było nieporozumienie. Powiedziałeś, że to powinno być włączone do łupów. Ja się nie zgodziłem. I tak było bezwartościowe.

– Ha! – Gotrek odwrócił się do pozostałych. – Widzicie. Zawsze ma wymówkę. Bezwartościowe, powiada.

– Inni zgodzili się ze mną – odparł Hammir.

– Tylko dlatego, że masz język bardziej giętki niż ambasador elfów! – warknął Gotrek. Ha! Może o to chodzi. Może twoja matka spędziła noc z jakimś elfim lordem w zacisznej alkowie.

W powietrzu zaszumiało, gdy krasnoludy jednocześnie wciągnęły powietrze, a Hamnir zamarł, wbijając wzrok w Zabójcę. Wreszcie złamał się, upuścił swój topór i zaczął ściągać plecak.

– Dobrze – powiedział. – Niech tak będzie. Załatwimy to tu i teraz, bo, jak się zdaje, tego właśnie chcesz. Uchylę twój obowiązek pomocy mi w odbiciu Karak Hirn i stoczmy walkę, jak krasnolud z krasnoludem.

– Nie chcę z tobą walczyć – kpił Gotrek. – Chcę, żebyś zapłacił, co jesteś mi winien. Chcę, żebyś oddał moją część łupu, którą zabrałeś.

– Niczego nie jestem ci winien poza łomotem – powiedział Hamnir. – Może wreszcie dotrze to do twego twardego łba. – Odrzucił plecak i uniósł pięści. – A teraz walcz.

– Nie jesteś wart walki – powiedział Gotrek. – Po prostu zapłać mi, a zakończymy tę urazę bez bólu. Tak, jak mogłeś uczynić to sto lat temu, w Tilei.

– Tchórz – splunął Hamnir. – Tak, jak się tego od dawna spodziewałem. Nie bijesz się bez swego topora w garści. Bez niego jesteś nikim.

– Coś powiedział? – spytał Gotrek, zbierając się w sobie.

– Powiadam, że to twój topór zasługuje na chwałę, którą sobie przypisujesz – odparł z pogardą Hamnir. – Dowolny krasnolud, który nosiłby taką broń, mógłby stać się wielki. Bez niego jesteś po prostu zwykłym krasnoludem, może nawet gorszym niż większość.

– Tak myślisz? – ryknął Gotrek, odrzucając na bok topór i plecak. Uniósł wielkie jak połcie szynki pięści. – Chodź tutaj, elfi pomocię. Zapoznam cię z podłogą.

Hamnir ruszył w stronę Zabójcy, ale Narin i Galin zastąpili mu drogę.

– Książę Hammirze – rzekł Galin. – Nie czas na to.

– Aye – zgodził się Narin. – Musisz być cały i zdrowy, aby nas prowadzić, a Nie pobity...

Hamnir wyprostował się gniewnie.

– Kto powiedział, że będę pobity?

Galin i Narin zerknęli na Gotreka, spoglądając na jego potężnie zbudowane ciało i porównując je sceptycznie z miękkim ciałem kupca. Felix musiał zgodzić się z tą niemą oceną. Hamnir nie miał żadnych szans. Gotrek był szerszy i lepiej umięśniony niż jakikolwiek inny krasnolud, jakiego widział Felix, a także niesamowicie odporny. Potrafił odzyskiwać siły po ranach i ciosach, które okaleczyłyby lub zabiły innego. Nie dalej jak pięć dni wcześniej został postrzelony i spadł z, bogowie wiedzą, jak wysoka, wychodząc z tego jedynie z bandażem na ramieniu, który zupełnie mu nie przeszkadzał.

Narin zakasłał.

– To bardzo śmiało z twojej strony, książę Hammirze, ale nie musisz udowadniać...

– Nie walczę, aby dowieść swojej śmiałości – przerwał mu Hamnir. – Ale po to, aby bronić honoru swego i mojej nieodżałowanej matki.

Ruszył naprzód.

– Ale, książę – powiedział Galin, jeszcze raz zachodząc mu drogę. – Nie wygrasz. To oczywiste. On...

– Zatem umrę. Nareszcie umrę w słusznej sprawie. – Przepchnął się przez nich i walnął Gotreka w żebra najmocniej, jak potrafił.

Gotrek nawet nie jęknął. Zatopił pięść w brzuchu Hamnira i książę zwalił się jak pusty worek, padając na kolana i kuląc się.

Gotrek spojrzał na niego z góry.

– Masz. Wystarczy ci?

Hamnir potrząsnął głową oszołomiony i próbował podnieść się na nogi. Stracił równowagę i

upadł ponownie. W ciemności rozległ się charkotliwy rechot. Brzmiał tak, jakby ktoś mełł żwir między młyńskimi kamieniami.

Krasnoludy podniosły wzrok, chwytając za broń. Felix spojrzał w stronę krawędzi. Dwa masywne trolle stały w drzwiach, przez które niedawno przeszły krasnoludy i przyglądały się walce z kretyńskimi uśmiechami na ich brzydkich, brudnych twarzach.

## Rozdział 13

Troll po lewej ryknął coś niezrozumiale i uderzył pięściami o siebie, jakby wskazując, że Gotrek i Hamnir mają kontynuować. Stwór po prawej, trollica, jeszcze paskudniejsza od swego partnera, klasnęła w dłonie i zawyła.

– Nasi gospodarze wrócili do domu – powiedział Narin.

– To nie jest ich dom – warknął Arn.

– Godna zagłada, nareszcie – odezwał się Skórczanobrody, dobywając swoich dwóch toporów.

Hamnir uniósł głowę, mamrocząc, ale nie mógł wstać. Thorgig stanął nad nim, chroniąc go i spoglądając wściekle na Gotreka. Wyglądał jak bohater z obrazu.

Gotrek podniósł swój topór. Runy na broni lśniły. Nikt wcześniej tego nie zauważył.

– Rozpal ogień, człeczyno – rzucił i ruszył naprzód, przesuwając kciukiem po ostrzu topora. Pocięła krew.

Trolle burknęły rozczarowane i ponownie wskazały na Gotreka i Hamnira, zagrzewając ich do walki.

– Ogień – powiedział Galin, odsuwając się od trolli strachliwie. – Dobry pomysł. Człowiek będzie potrzebował pomocy.

Inni spojrzeli na niego krzywo, rozsuwając się i szykując broń oraz tarcze.

– Kolana ci się trochę trzęsą, inżynierze? – zakpił Narin.

– Potrzeba czegoś więcej niż topór, aby zabić trolla – powiedział, broniąc się Galin. – Powinniście mi dziękować, że wam oddaję tę chwałę. – Przeszedł przez wielką salę. – Chodź, człowieku. Te podkłady powinny wystarczyć.

Gdy Felix ruszył za nim do stosu drewnianych podkładów kolejowych, jego umysł nawiedziły wspomnienia z katakumb pod Karakiem Osiem Szczytów – ohydneho, zmutowanego trolla, który strzegł krypty ze skarbami i jego ran, które zamykały się niemal tak szybko, jak Gotrek otwierał je swoim toporem, a także rozpaczliwych własnych prób, by podpalić stwora. Cieszył się, że Narin i inni najwyraźniej wiedzieli, z czym mają do czynienia. Odpinali od pasków latarnie i trzymali w wolnych dłoniach, gotowi je rzucić.

Trolle ryknęły na podchodzące krasnoludy i walnęły w podłogę maczugami wielkości pni drzew. Nawet z odległości dwudziestu kroków, Felix poczuł wstrząs pod stopami.

– Spokojnie – Felix usłyszał głos Narina. – Niech nikt się zanadto nie wysuwa naprzód.

– Za chwałę i śmierć! – zawołał Skórczanobrody i ruszył biegiem na trolla, wymachując wściekle swymi dwoma toporami.

– Ty szalony idioto! – krzyknął Narin.

Pozostali, z Gotrekiem na przedzie, pobiegli za nim.

Troll zaryczał i zamachnął się w kierunku głowy Skórczanobrodego. Zabójca w masce dał nura w prawo i przetoczył się przed trollicę, uderzając ją szybkim cięciem. Ta wrzasnęła i rąbnęła w niego swoją maczugą, a jej wnętrzności wylały się z krwawej rany. Skórczanobrody uniknął uderzenia, ale został zwalony z nóg impetem uderzenia, gdy maczuga rozbiła kamienne płyty obok niego. Trollica cofnęła się, wpychając pęta swoich bebechów z powrotem do rany. Rozcięcie już się goiło.

Reszta krasnoludów zbliżyła się, wymachując toporami i młotami, lecz natychmiast odskoczyli z powrotem, gdy troll potężnym zamachem na odlew niemal pozbawił ich głów.

– Zepchnijcie je tutaj! – zawołał Galin, przyklękając obok podkładów kolejowych i grzebiąc w swoim plecaku. Wyciągnął garść błyszczących, czarnych brył węgla i rozłożył je wokół stosu drewna.

Felix spojrzął w tył, na walczących. Krasnoludy odskakiwały, bo troll bluznął żrącymi wymiotami. Na podłodze, w miejscach, gdzie rozprysnęła się ciecz, pojawiły się dymiące dziury. Arn odrzucił swoją rozpadającą się tarczę. Samica trolla ponownie uderzyła w Skórzanobrodego. Rozcięcie na jej brzuchu było teraz ledwie widoczne. Wyglądało na to, że to raczej trolle zepchną krasnoludy. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby mogli doprowadzić ogień do...

Felix zatrzymał się. Tor górniczy. Krasnoludy i trolle walczyły tuż przy nim, a szyny przebiegały obok stosu podkładów.

Felix pośpieszył do pobliskiego wózka i zaczął go pchać.

– Olifsson, tutaj! Wrzuć tutaj podkłady! – Zardzewiałe koła zaskrzypiały, ale w końcu zaczęły się poruszać.

Galin podniósł oczy, zobaczył wózek, przebiegł wzrokiem od niego wzdłuż szyn, aż do walczących i wyszczerzył się.

– Dobrze pomyślane. Zdaje się, że nabrałeś nieco zdrowego, krasnoludzkiego rozsądku po tylu latach podróży z Gurnissonem.

Felix niemal się zadławił. Gotrek miał wiele zalet, ale Felix nie powiedziałby, że zdrowy rozsądek jest jedną z nich. Zatrzymał wózek przy stosie i wraz z Galinem zaczęli wrzucać doń ciężkie podkłady, nie spuszczać oka z walczących.

Trollica ponownie zamachnęła się na Skórzanobrodego. Krasnolud uchylił się i siekł wściekle na odlew, odrabując jej dłoń przy nadgarstku. Ręka i maczuga odpadły, zwalając z nóg Ragara i Karla.

Narin rzucił zapaloną latarnią. Troll odbił ją maczugą, ale Arn rzucił swoją lampę sekundę później. Rozbiła się na ramieniu potwora, oblewając go oliwą.

– To go załatwiło! – zawołał Karl, wstając.

Oliwa nie zapaliła się.

Ragar warknął.

– Jeszcze nie.

Gotrek przebiegł pod maczugą stwora i siekł w jego lewą nogę na wysokości bioder, niemal ją odrabując. Troll zaryczał z bólu i zamachnął się na niego. Zabójca sparował cios. Topór i maczuga zderzyły się z traskiem, który poraził uszy Felixa. Gotrek spróbował cofnąć broń do kolejnego ciosu, ale nie zdołał. Ostrze utkwiono w drewnie maczugi.

Troll uniósł ją oburącz, a wraz z nią podniósł Gotreka, który nadal mocno zaciskał dłonie na trzonku uwięzłego topora. Przelatując nad ramieniem trolla, Zabójca stracił uchwyt i poszybował w powietrze, aby rąbnąć plecami w podłogę, dziesięć metrów dalej. Jego topór pozostał.

Pozostałe krasnoludy dały nura w przód, tnąc i siekąc stwora w tuziny miejsc i odskoczyły, gdy troll wrzasnął i odpędził je swoją maczugą z wbitym toporem. Trzonek topora śmignął obok łomu Arna, wyrywając krasnoludowi broń i powalając go na ziemię.

Skórzanobrody nadal atakował trollicę, starając się odrabąć jej drugą dłoń. Zwymiotowała na niego, ale zręcznie odskoczył i zabójcza breja go nie trafiła.

Gotrek podniósł się chwiejnie, mrugając i potrząsając głową jak byk i niepewnie ruszył w stronę odwróconego plecami trolla.

– Oddawaj mój topór – warknął.

– To wystarczy, Herr Jaeger – powiedział Narin, gdy wrzucili ostatni podkład do wózka. Zapalił bryłki błyszczącego węgla od knota swojej latarni i wrzucił je do środka, a potem rozbił lampę, uderzając nią o drewno. Oliwa rozlała się i płomień rozbłysły gwałtownie.

Felix zaczął spychać wózek, ale Galin zatrzymał go.

– Poczekaj, aż się dobrze zajmie.



– Czekać? – Felix spojrział z napięciem na walczących. – Czy oni mogą sobie pozwolić na czekanie?

Gotrek rąbnął trolla barkiem pod kolano, a inni uskakiwali i uchylali się przed bestią. Stwór zwałił się na plecy, rycząc zaskoczony, i machnął w kierunku Gotreka swoją maczugą. Gotrek uskoczył w bok i troll trafił we własną stopę. Wrzasnął z bólu. Gotrek wdrapał się na stwora i brutalnie wyrwał mu oręż.

Trollica kikutem przycisnęła Skórczanobrodego do ziemi i skoczyła na niego, próbując odgryźć mu głowę. Przynajmniej ręka jej nie odrosła, pomyślał Felix, chociaż przy rozcięciu już formowała się nowa tkanka i kości. Chwała Sigmarowi za to, że samica nie regenerowała się tak szybko jak zmutowany troll.

Ten wstał i próbował pochwycić Gotreka. Zabójca odskoczył w tył, zmagając się, aby wyrwać swój topór z maczugi. Stwór ruszył za nim, ale bez broni nie był w stanie powstrzymać krasnoludów. Te siekły i uderzały ze wszystkich stron, zadając mu głębokie rany na nogach, bokach i plecach oraz łamiąc mu kości szybciej, niż się regenerowały. Troll zaczął ustępować.

– Teraz, człowieku! Teraz! – krzyknął Galin, pchając wózek.

Felix i Galin toczyli płonący wózek wzdłuż torów, w stronę walczących. Ogień i dym buchnęły prosto w twarz Felixa, który zakasłał i zaklął.

Troll usłyszał rumor i odwrócił się. Na widok płomieni w jego ślepiach błysnęło przerażenie i stwór odskoczył na bok. Nie trafią w niego!

Gotrek uwolnił wreszcie swój topór i rycząc, skoczył na trolla.

– Zdychaj, niech cię Grimnir przeklnie!

Jednym potężnym cięciem przerąbał się przez oba kolana stwora. Troll krzyknął przeraźliwie i zwałił się, przewracając górniczy wózek i rozrzucając płonące podkłady.

Gdy stwór próbował wyczołgać się z płomieni, Gotrek odrąbał mu głowę, a potem wrzucił do ognia jego nogi. Mruknął z satysfakcją.

– Trolle pachną najlepiej, gdy się palą.

Inni ruszyli w stronę Skórczanobrodego nadal szamoczącego się pod trollicą. W zdrowej łapie wzięła jego prawą rękę, lewą przyciskał kościsty kikut. Usiłowała odgryźć krasnoludowi głowę. Skórczanobrody stracił jeden ze swoich toporów.

Spojrział na pobratymców zza jej ramion i obwisłych, rozbujanych piersi.

– Zostawcie mnie! – zawołał.

Krasnoludy z ociąganiem zrobiły, jak kazał, przyglądając się z napięciem jego zmaganiom. Krasnolud uwolnił jedną nogę i kopnął w trollicę w brzuch najmocniej, jak potrafił. Jego kark, ukryty pod maską, był karmazynowy i naprężony z wysiłku. Żyłki napinały się pod skórą.

Gotrek ruszył naprzód.

– Chyba nie zamierzasz się wtrącić? – spytał Felix.

Gotrek łypnął na niego. .

– Oczywiście, że nie, ale jeśli ona zwycięży... – Uniósł swój topór.

Szyja trollicy wyduła się i rozległ się ohydny charkot. Zaraz zwymiotuje i Skórczanobrody zamieni w musującą papkę! Zabójca w masce rozpaczliwym szarpnięciem wyrwał prawą rękę spod łokcia bestii i rąbnął ją toporem w głowę. Nie sięgnął celu i cios trafił w ramię, ale samica odchyliła się, obryzgując paskudnymi wymiocinami kamienie za nim. Kilka kropel padło jednak na maskę i kark.

Ciał ponownie. Trollica puściła jego rękę, aby chwycić za topór. Krasnolud wepchnął jej palec w ślepie. Upadła na kolana, rycząc i łapiąc się za twarz. Zabójca poderwał się i skoczył na nią, zatapiając topór w jej czaszce i impetem wtrącając w płomienie. Wrzasnęła i uderzyła w niego

pazurami. Rozległ się trzask, gdy poleciał w tył i runął twarzą na ziemię.

Trollica usiłowała wygramolić się z ognia, ale rozcięcie na jej głowie nie regenerowało się, a kończyny ledwie drgały. Martwa runęła w tył, czerniejąc w ogniu.

– Dobra robota, Zabójco – powiedział Narin, zwracając się do Skórczanobrodego.

Gotrek zgodził się, kiwając głową.

Skórczanobrody, stękając, podniósł się, oszołomiony. Wszyscy wpatrywali się w niego, zszokowani.

Patrzac na nich, zamrugacł.

– Czego?

Nikt nie odpowiedział.

Wyciągnacł dłoń i dotknacł swojej twarzy. Była odstłonięta.

– Moja maska! – zawołał i spojrzacł do tyłu, na martwą trollicę płonacą w ogniu. Skórczana twarz na zerwanych paskach zwisała jej z łapy. Brzegi się tliły.

– Nie! – Skórczanobrody skoczył naprzód i wyrwał maskę z płomieni. Szybko naciagnacł ją z powrotem, ale było już za późno. Wszyscy widzieli.

Zabójca nie miał brody. Jego policzki były gładsze niż u Felixa. Po prawdzie, był całkowicie bezwłosy – miał łysą głowę i brakowało mu zarówno brwi, jak i rzęs. Wygladał na różowe, rozwścieczone dziecko.

– Teraz wiecie – prychnacł, na próżno próbując zapiacć poszarpane paski. – Teraz znacie moją hańbę. Teraz wiecie, dlaczego złożyłem przysięgę Zabójcy.

– Aye, widzieliśmy, chłopcze – powiedział delikatnie Narin.

– Ale... – Galin zajacł się, wzburzony. – Co jest z tobą nie tak? Czy jesteś prawdziwym krasnoludem? Czy urodziłeś się taki?

– Grminirze broń! – Maska nie chciała się trzymacć. Skórczanobrody zerwał ją ponownie, sfrustrowany. W jego oczach płonęły ból i wściekłość. – Zeszłego roku walczyłem ze skavenami w Undgrinie wraz z moimi braćmi z klanu. Te stwory miały dziwną broń. Jeden z tych wynalazków wybuchł mi w twarz, gdy go rozbiłem. Następnego ranka obudziłem się taki, jaki jestem teraz. Uciekłem z twierdzy, zanim ktokolwiek mnie zobaczył. Kapłani w salach Zabójców pomogli mi uszyć tę maskę, a teraz... Teraz jest zniszczona. Jak mogę być Zabójcą bez grzywy? Jak mogę żyć dalej, gdy wszyscy znają moją hańbę?

– Mam w apteczce igłę i nitkę – odezwał się za nimi Hamnir. – Możesz z nich skorzystacć.

Wszyscy odwrócili się. Książę siedział niepewnie, ostrożnie obmacując swój brzuch. Wskazacł słabym gestem na swój plecak.

– Dziękuję ci, książę Hamnirze – powiedział Skórczanobrody, podszedł do plecaka, odwrócili się i otworzył go, grzebiacć w środku. Inni zajęli się opatrywaniem swoich ran.

Thorgig pomógł Hamnirowi podnieść się na nogi. Książę ledwo mógł ustać. Spojrzacł na Gotreka.

– Niech no tylko zbiorę siły, Gurnisson, a wrócimy do tamtego.

– Chcesz więcej? – Gotrek wzruszył ramionami.

– Nie, książę – powiedział Narin, odrywając się od bandażowania rozcięcia na ramieniu. – Wystarczy już tego. To musi się skończyć.

– Aye – odpowiedzieli chórem bracia Rassmussonowie.

– Proszę, mój książę – powiedział Thorgig. – Przynajmniej poczekaj, aż odbijemy Karak.

– Chcecie powstrzymacć krasnoluda od walki o jego honor? – spytał oburzony Hamnir.

– Nigdy, książę – odrzekł Narin. – Ale SUGERUJEMY, abyś to przerwał. To szaleństwo.

– Tylko, gdy Gurnisson przyzna, że się mylił – odparł Hamnir. – Wtedy przestanę.

– Gdy Ranulfsson zapłaci mi za to, co mi ukradł, wtedy skończymy – powiedział Gotrek.

– Jeśli to kwestia złota – odezwał się Felix. – Zapłacę Gotrekowi to, co uważa za należne. Tylko ruszajmy dalej.

– Nie bądź głupcem, człeczyno – warknął Gotrek. – Nic nie zmieni, gdy ty mi zapłacisz. Tylko on albo nikt inny.

– Ale o co tu chodzi? – krzyknął Felix, tracąc cierpliwość. – Czy tak trudno jest podzielić łupy? Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiesz – powiedział Gotrek. – Nie jesteś krasnoludem.

– Problem – powiedział Hamnir – polega na DEFINICJI łupów.

Gotrek przerwał mu:

– Problem polega na tym, że ty i ja złożyliśmy przysięgę krwi, iż będziemy dzielili się wszystkimi łupami po równo! WSZYSTKIMI! Żadnej ze stron nie wolno było niczego zatrzymywać dla siebie ani ukrywać. Złożyliśmy tę przysięgę pierwszego dnia naszej wyprawy, a ty ją złamałeś.

Hamnir westchnął i przysiadł ciężko na kole starego wagonika.

– Oto, co się stało. Gurnisson i ja najęliśmy się do armii tileańskiego szlachcica, który wojował z innym tileańskim szlachcicem. Zwykle sprzeczki między ludźmi.

Felix prychnął, słysząc te słowa, ale Hamnir nie dostrzegł ironii. Kontynuował.

– Walczyliśmy w całej krainie, odbijając wioski, które splądrował i zajął rywal naszego pracodawcy. W jednej z nich znajdowała się krasnoludzka oberża, w której córka gospodarza okazała mi swoją wdzięczność za uwolnienie miasta, dając mi... – Hamnir zarumienił się. – Cóż, była to bardzo nadobna panna i w ciągu tygodnia naszego tam pobytu bardzo się polubiliśmy. Potem dała mi prezent na pożegnanie. – Zerknął na Gotreka. – To był podarunek – mała książka starych, krasnoludzkich wierszy miłosnych. – Spojrzał na Felixa. – Gdy przyszło do podziału bitewnych łupów, Gurnisson chciał włączyć książkę do puli. Ja nie chciałem. Nie została zdobyta na wojnie, a dana z miłości, stąd nie była łupem.

– Została zdobyta na wojnie – warknął Gotrek. – Dała ci ją za zwycięstwo w bitwie i uwolnienie miasta. Ja dostałem złotą monetę i nowy hełm od kowala, ponieważ powstrzymałem ludzi Intera przed spaleniem jego kuźni. Włożyłem to do puli. Nie ma żadnej różnicy.

– Jest, o ile nie całowałeś tego kowala w usta i nie spędziłeś nocy w jego ramionach – powiedział oschle Hamnir.

Narin zarechotał.

– Czy ta książka była cenna? – beznamiętnie spytał Felix.

Hamnir wzruszył ramionami.

– To była kopia kopii, warta co najwyżej kilka imperialnych pensów. – Spojrzał w stronę swego plecaka. – Gdyby nie wartość sentymentalna, wyrzuciłbym ją dawno temu.

– Kilka pensów? – Felix mimowolnie podniósł głos. – Kilka pensów! Wy dwaj maniacy nie odzywaliście się do siebie przez sto lat z powodu kilku pensów! – Uderzył się w czoło i odwrócił do Hamnira. – Dlaczego po prostu nie zapłaciłeś Gotrekowi połowy wartości książki i nie skończyłeś z tym? – Obrócił głowę do Gotreka. – A ty, dlaczego nie powiedziałeś Hamnirowi, że kilka pensów nic nie znaczy między przyjaciółmi i nie zapomniawszy o tym?

– To kwestia zasad – powiedziały jednocześnie oba krasnoludy.

– On stawia żalosne sentymenty ponad prawem – rzekł Gotrek.

– A on stawia prawo przed przyzwoitością – odrzekł Hamnir.

– Obaj stawiacie upór przed zdrowym rozsądkiem – powiedział Felix. Odwrócił się do pozostałych krasnoludów. – Czy żaden z was nie uważa tego za szaleństwo?

Krasnoludy wzruszyły ramionami.

– Nie odezwałem się do mojego kuzyna Riggiego przez niemal pięćdziesiąt lat, ponieważ nie spytał mnie, czy chcę się napić, gdy on miał postawić następną kolejkę – powiedział Karl.

– Mój klan zerwał wszelki handel z innym klanem, z powodu chusteczki do nosa – rzekł Skórczanobrody.

Felix jęknął. Zapomniał, z kim rozmawia, ale musiał coś zrobić. Jeśli tego nie uczyni, będą trzymali się tej głupoty do końca świata.

– Czy mogę ją zobaczyć? – spytał Hamnira. – Chciałbym spojrzeć na książkę, która rozdzieliła dwóch przyjaciół na sto lat. Musi wyglądać zachwycająco.

Hamnir otworzył swój plecak, pogrzebał w nim i wyciągnął z samego dna niewielki tomik.

– Nie ma się czym zachwycać – powiedział, wręczając ją ostrożnie Felixowi. – Jak to zwykle upominkami.

Felix spojrział na książeczkę. Był to oprawny w skórę pergamin tak wytarty na rogach po stu latach spoczywania na dnie plecaka Hamnira, że nabrał niemal owalnego kształtu. Felix otworzył książkę pośrodku. Słowa wypisane były koślawymi runami w Khazalidzie.

– Jak miała na imię? – spytał. – Córka oberżysty, która ci to dała?

– Ech... – zaczął Hamnir. – Ja... Morga? Nie... Margi? Drus? Zaraz sobie przypomnę...

Felix parsknął i rozerwał książkę na pół. Wyciągnął obie połowy w stronę Hamnira i Gotreka. – Macie – powiedział. – Teraz jest podzielona po równo. Wasze urazy dobiegły końca.

Krasnoludy sapnęły. Nawet Gotrek patrzył zdumiony.

Hamnir gapił się na swoje stopy.

– Coś ty uczynił, człowieku?

Chwycił za topór. Thorgig był już za nim. Jego oczy płonęły.

– Przeklęty, wtrącający się głupiec! – krzyknął Gotrek, ruszając na niego. – Właśnie dostarczyłeś mu wymówki, żeby nie musiał mi zapłacić!

Felix cofnął się przerażony, przełykając ślinę. Nie zastanowił się, jakie będą konsekwencje zniszczenia książeczki. Oni zamierzali go zabić.

A potem Narin zaczął się śmiać. Śmiał się do rozpuku. Po sekundzie dołączył do niego Galin. Gotrek i Hamnir odwrócili się do nich, łypiąc oczami.

– To was śmieszy? – warknął Hamnir.

– Nadal będziecie się śmiali, jak wbiję wam zęby w gardła? – spytał Gotrek, unosząc swoje pięści.

Galin wskazywał to jedną połowę książki, to drugą, próbując się odezwać, ale śmiał się zbyt mocno. Łzy ściekały po jego policzkach na brodę.

– Tarcza Druttiego! – wystękał Narin między paroksyzmami śmiechu. Wyciągnął osmalone drewno ze swojej brody i potrząsnął nim w ich stronę. – Człowiek rozbił waszą Tarczę Druttiego!

On i Galin wybuchnęli na nowo śmiechem.

– To już nie jest takie śmieszne, gdy się przytrafia tobie, Zabójco? – zawołał Galin.

Hamnir i Gotrek wyrwali połówki książki z rąk Felixa i odwrócili się do siebie z płonącymi wściekłością oczami. Potrząsali ku sobie stronicami, prychnając i mamrocząc w poszukiwaniu słów. Stary pergamin popękał i rozpadł się. Kawałki pożółkłego konfetti opadły na podłogę niczym brudny śnieg.

Gotrek patrzył na opadające drobiny, a potem łypnął na Hamnira.

– Kiedy ostatni raz czytałeś tę książkę?

Hamnir spojrział na rozpadające się w jego dłoni stronicę.

– Ja... – parsknął. – Ja... – wybuchnął śmiechem, który wstrząsnął całym jego ciałem.

– Co cię przekłęło? – zawołał wściekły Gotrek. – Co w tym takiego zabawnego?

– Nigdy jej nie przeczytałem! – krzyknął Hamnir, wywracając oczami. – Była okropna!

Gotrek stał przez chwilę bez ruchu, przyglądając się Hamnirowi, jakby zamierzał odrąbać mu głowę. Nagle, z odgłosem eksplodującego kotła parowego, on także zaczął się śmiać, gwałtownie wdychając powietrze.

Narin i Galin śmiali się bez przerwy, ale Thorgig i bracia Rasmussonowie gapili się, niewzruszeni i skonfundowani. Felix był szczęśliwy, że najwyraźniej zapomnieli o chęci zabicia go.

– Ty uparty, mały... – zawył Gotrek, wskazując na Hamnira. – Nigdy tego nie przeczytał! Nie pamięta jej imienia! Trzymał to przez cały czas tylko dla...

– Dla zasad! – zarechotał histerycznie Hamnir.

Zabójca i księżę rzucili się ku sobie, przyciskając głowy do swoich ramion, trzęsąc się ze śmiechu i klepiąc po plecach.

– Może... – zakrztusił się Gotrek. – Może jednak jesteś krasnoludem.

– A może... Może ty, to coś więcej niż tylko topór – jąkał się Hamnir.

Ich śmiech trwał długo, podczas gdy inni stali wokół, aż w końcu rozbawienie osłabło.

Hamnir cofnął się, ocierając oczy.

– To było ciche sto lat, bo nie mogłem z tobą się wyklócać, Gurnisson.

– Aye – odparł Gotrek, potrząsając swoją grzywą i głośno pociągając nosem. – To była ulga, nie musieć słuchać, jak narzekasz na wszystko pod słońcem, dniem i nocą. Gdy podróżowałem z tobą, zapominałem, czym jest cisza. – Wzruszył ramionami. – Nawet najlepsze rzeczy się kończą.

Zaczęli zbierać swoje rzeczy i szykować się do wymarszu.

Thorgig zmarszczył brwi.

– A zatem... Zatem wasze urazy zostały anulowane? – zapytał. – Już nie jesteście wrogami? – Wydawało się, że wcale mu się to nie podoba.

– Aye – potwierdził Hamnir. – Człowiek to zakończył i to nader zgrabnie. – Obrócił się i łypnął na Felixa. – Chociaż... Jesteś mi winien książkę z bardzo złymi wierszami, człowieku. Inaczej będziemy mieli nową urazę.

– A mnie jesteś winien bardzo DOBRY wiersz – warknął Gotrek. – Za tę psotę lepiej, by epicka pieśń o mojej śmierci była najlepszym kiedykolwiek napisanym poematem.

Felix uklonił się, maskując uśmiech. Poszło lepiej, niż się tego spodziewał. Pomyślał, że będą nienawidzili się dalej, ale odsuną swe urazy, aby nienawidzić jeszcze bardziej człowieka.

– Zrobię, co w mojej mocy, aby spełnić wasze żądania.

Hamnir skinął głową i odwrócił się do braci Rasmussonów.

– Chodźcie – powiedział. – Zmarnowaliśmy tu już dosyć czasu. Prowadźcie nas do Undgrinu, górnicy.

– Aye, księżę – odparł Ragar.

– To już tutaj – powiedział Karl, wskazując na drugą stronę sali.

– Prawie tutaj – dodał Arn.

Krasnoludy skończyły opatrywanie ran, zarzuciły na ramiona swoje plecaki, łomy i topory, podczas gdy trolle obracały się w czarny popiół w ryczącym ogniu. Skórzanobrody naciągnął naprawioną maskę. Została niewprawnie zszyta i nie pasowała tak dobrze, jak wcześniej, ale okrywała jego hańbę i krasnolud wydawał się zadowolony. Gdy wszyscy byli gotowi, ruszyli za Rasmussonami przez wielką salę, w bardziej towarzyskim nastroju niż wcześniej. Nawet Galin i Narin zapomnieli o urazach swoich klanów wobec Gotreka, rozmawiając o tym i owym. Tylko

Thorgig pozostawał ponury, gapiąc się na plecy Gotreka z nieukrywaną pogardą.

## Rozdział 14

Zeszli do Undgrinu u podstawy długiej, opadającej rampy, której środkiem biegły dwa tory wózków. System przekładni i wyciągarek, który podnosił i opuszczał wózki wzdłuż rampy, nadal stał, zakurzony i zardzewiały, ale same wózki przepadły.

Gdy przeszli przez szeroki łuk na dole pochylni, Felix zapatrzył się, otwierając usta ze zdumienia. Skala tego miejsca była oszałamiająca – był to gargantuiczny tunel, szeroki na, co najmniej, dwanaście metrów i na osiemnaście wysoki. Jego granitowe ściany były tak wypolerowane, że lampy krasnoludów odbijały się w nich jak w lustrach. Podwójny ciąg szyn, lśniąc niczym ostrza mieczów, biegł środkiem korytarza i znikał dalej w ciemności. Po obu stronach torów wznosiły się chodniki, którymi mogły maszerować dwa krasnoludy, ramię w ramię. Podłogę pokrywała gruba warstwa nieporuszanego od wieków kurzu. Nikt nie podróżował podziemną drogą od dziesięcioleci.

Bracia Rasmussonowie wyszczerzyli się do Felixa.

– Powiedzieliśmy ci, że rozpoznasz to miejsce, gdy je zobaczysz – powiedział Ragar.

– Niezłe, co? – spytał Arn.

Myśl, że tak wielki tunel został wybudowany nie tylko między Duk Grungiem a Karak Hirn, ale między niemal każdą krasnoludzką twierdzą od Gór Krańca Świata do Gór Czarnych, nie mieściła się Felixowi w głowie.

– To jest... To jest zdumiewające – wydusił z siebie w końcu.

– To tylko droga boczna – powiedział Galin. – Prawdziwy Undgrin jest dwukrotnie większy.

– Szkoda, że Duk Grung już nie działa – odezwał się Karl. – Wtedy jeździł tędy pociąg parowy, który zabierał rudę do wytopu w Karak Hirn. Moglibyśmy wskoczyć do niego i być w Karaku w ciągu jednego dnia.

Ragar westchnął.

– To były czasy. Dziesięć dni na przodku, dzień drogi do Karak Hirn, dobra kąpiel i dwa dni zabaw z Tyldą, dzień na dole przez Undgrin i z powrotem do pracy.

– Aye – powiedział Arn. – Dwa dni z panną to tyle, ile trzeba.

– Z przerwą dwunastu dni między spotkaniami – zgodził się Karl.

– Gdy kopimy w Karaku, widzimy się z nimi każdego wieczora – powiedział ponuro Ragar.

– Jak się z nimi widzieć codziennie, to zaczynają gadać o różnych rzeczach – ciągnął Arn.

– Na przykład o ślubie – powiedział Karl.

– I o dzieciach – dodał Ragar, przełykając.

– Miejmy nadzieję, że szef wkrótce znajdzie nową kopalnię – rzekł Arn.

Pozostali bracia skinęli żywo głowami i ruszyli w prawo szybkim tempem, chybocząc latarniami przy paskach. Zaczęli śpiewać starą krasnoludzką pieśń marszową; wkrótce przyłączyli się do nich inni. Po szesnastej zwrotce, Felixa zaczęła boleć głowa.

– Czy oni nie boją się zwracać na siebie uwagi jeszcze bardziej? – spytał Gotreka półgębkiem.

– Nic tu nie żyje – odparł Gotrek. – Zbyt głęboko, nie ma wody i niczego do jedzenia. Nawet owadów.

Zachwyt Felixa nad Undgrinem zbladł szybko, gdy drużyna kilometr za kilometrem maszerowała wzdłuż monotonnego, niekończącego się tunelu. To była, jak dotąd, najbezpieczniejsza i najłatwiejsza część ich podróży – płaska, sucha, gładka droga bez zakrętów i skrzyżowań – w rezultacie, była najnudniejsza, przynajmniej dla Felixa.

Gotrek i Hamnir nie mieli problemów z zabiciem czasu. Mury wieku milczenia między nimi nareszcie runęły i wspomnienia oraz przyjacielskie przytyki wylewały się z nich niczym wody

powodzi. Szli obok siebie na czele i reszta grupy tylko czasem słyszała rzucone „a pamiętasz...”, albo „a co się stało z...” oraz wybuchający od czasu do czasu śmiech, który niósł się echem w tunelu.

Felix stwierdził, że jest zazdrosny o przyjaźń Hamnira z Gotrekiem. Gotrek i Felix przeżyli przygody po stokroć bardziej dramatyczne niż te, które Gotrek dzielił z księciem, ale czy kiedykolwiek śmiał się on tak, jak teraz, wspominając o nich? Czy kiedykolwiek naprawdę je z nim dzielił? Zdawało się, że pomimo wszystkich sporów i walki, Gotrek i Hamnir byli prawdziwymi przyjaciółmi. Walczyli z przeciwnikami ramię w ramię, a Hamnir nie trzymał się z tyłu i trochę na prawo, jak to czynił Felix. Bawili się razem, żartowali razem i razem knuli szalone intrygi.

Czego Gotrek i Felix dokonali wspólnie? Podróżowali, to prawda, ale czy rozmawiali ze sobą, podróżując? Gotrek zbywał to słowami: „Tędy, człeczyno” lub „Chodź, człeczyno”, „Zostaw to, człeczyno” i temu podobnymi. Często pili razem, ale też nie mówili wiele więcej – nie było przyjacielskiego dzielenia się troskami, nie było żartów, nie było przyjaznych przytyków. Nawet najbardziej pijany Gotrek nie otwierał się przed Felixem. Nie byli przyjaciółmi. Nie byli sobie równi. Byli *Zabójcą* i spamiętywaczem, to wszystko.

Czy to dlatego, że należeli do różnych ras? Gotrek miał niewiele szacunku dla ludzi, to była prawda, ale w ciągu lat zaczął liczyć na niezawodność i skuteczność szermierczą Felixa, a także polegać na jego opiniach, Nieważne, z jaką niechęcią go słuchał, w końcu jednak robił tak, jak podpowiedział mu Felix – zazwyczaj. A może problem polegał na tym, że Felix był spamiętywaczem? Zabójca był, w pewnym sensie, jego pracodawcą, a pracodawcy rzadko nawiązują prawdziwe przyjaźnie ze swoimi pracownikami.

Ale gdy o tym myślał, Felix nie potrafił przypomnieć sobie nikogo innego, kogo Gotrek potraktowałby kiedykolwiek jak prawdziwego przyjaciela – dopóki nie pojawił się Hamnir. Nawet innych Zabójców, których znali – Snorriego Gryzonosa, Bjorniego i Ulliego. Och, pili i hałasowali w każdej tawernie i każdym mieście, jakie odwiedzili, ale Felix nie pamiętał, by Gotrek kiedykolwiek zwierzył się im ze swoich problemów albo śmiał się z nimi, wspominając stare dzieje czy choćby nienawidził ich tak mocno, jak nienawidził Hamnira, zanim pogrzebali swe urazy.

A potem Felix zrozumiał, o co chodziło. Gotrek znał Hamnira, zanim stał się Zabójcą. Cokolwiek sprawiło, że Gotrek złożył przysięgę, nie wydarzyło się to w ciągu lat, gdy podróżowali z Hamnirem. Gotrek był wtedy innym krasnoludem, krasnoludem przed tragedią, która sprawiła, że odwrócił się od rodziny, twierdzy i wszelkich życiowych planów, po czym wyruszył w świat, szukając dobrej śmierci.

To dlatego Gotrek mógł żartować i walczyć z Hamnirem z taką swobodą. Hamnir przypominał mu czasy sprzed jego hańby, czymkolwiek by nie była i sprawił, że znowu poczuł się krasnoludem, jakim wtedy był – młodym poszukiwaczem przygód, który bił się i żeglował wzdłuż wybrzeży Starego Świata. To były lata, gdy serce Gotreka było otwarte na przyjaźń. Te lata przeminęły. Teraz serce Zabójcy tkwiło zamknięte za murami grubszymi niż te, które otaczały skarbiec krasnoludzkiego króla.

Felixowi nagle zrobiło się żal Gotreka. Może nawet w pewnym stopniu rozumiał, dlaczego Zabójca szukał śmierci. Bycie samotnym przez resztę długiego krasnoludzkiego życia to stan zbyt ciężki, aby go znieść. Skoro Hamnir przywrócił Gotrekowi nieco jego utraconego szczęścia, dlaczego Felix miałby mieć mu to za złe? Wyglądało na to, że i tak wszyscy mogą zginąć na końcu tego tunelu. Niechaj Zabójca wcześniej trochę pożyje.

Krasnoludy rozbiły obóz na noc wokół ogniska ułożonego z tych samych błyszczących bryłek węgla, których Galin użył do podpalenia podkładów kolejowych. Zaledwie kilka bryłek rzuconych na ziemię płonęło jasnością i ciepłem normalnego ogniska z drewna, i niemal równie długo. Cienie krasnoludów na wielkich ścianach Undgrinu poruszały się w świetle ognia niczym olbrzymy. Felix,



patrząc na lewo, prawo i w głąb niekończącej się, podziemnej drogi, czuł się bardzo mały.

Wszyscy wypili po kilka kubków mocnego piwa, zjedli twarde suszone mięso i suchary, a krasnoludy zaczęły przechwalać się na wyścigi. Każdy próbował przebić innych, opowiadając o niebezpieczeństwach i szalonych przygodach, których doświadczyli. Gotrek był zadziwiająco skromny, biorąc pod uwagę, że zmierzył się z demonem. Opowiadał tylko historie z czasów jego podróży z Hamnirem, na długo, zanim znalazł swój runiczny topór i wyrosła mu grzywa Zabójcy. Felix pomyślał, że być może nie miało to jednak nic wspólnego ze skromnością.

– Cóż, założę się, że nikt z was nie wspinał się tak wysoko, jak ja – powiedział Galin, pociągając piwo.

– Ha! – zachnął się Narin. – Wspiąłem się na stary Szczyt Młota tylko po to, aby popatrzeć na zachód słońca. Wspiąłeś się wyżej?

Galin uśmiechnął się zadowolony i otarł usta.

– Byłem jednym z młodych głupców, którzy przyłączyli się do Firrikssona, gdy zdobywał Warkocze Dziewicy.

Thorgig sapnął.

– Wspiąłeś się na Warkocze? Z takim brzuszyskiem?

Pozostali roześmiali się.

Oczy Galina zabłyśły, ale odprężył się i zarechotał, klepiąc się po brzuchu.

– Wtedy jeszcze nie miałem własnej piwniczki z piwem. Prawdę mówiąc, byłem młodszy niż ty, krótkobrody, i myślałem, że Firriksson jest największym poszukiwaczem przygód, jaki kiedykolwiek żył. Oczywiście, później przekonaliśmy się, że był równie szalony jak zębacz w ukropie, ale wówczas... Cóż – przez chwilę w zamyśleniu pykał fajkę – widzicie, usłyszał starą bajkę o tym, że Oko Dziewicy, które mruga ze szczytu podczas wschodu i zachodu słońca, to diament tak wielki, jak wózek górniczy i postanowił go zdobyć. Zatem ruszyliśmy, gromada niedorośliwych krótkobrodych i Firriksson, zwariowany Gromowładny, który każdego ranka przed złożeniem obozu zwykł tańczyć wiejskie tańce w swoim namiocie. Powiadał, że to dla utrzymania formy. Podczas wspinaczki straciliśmy trzech z nas. Spadli w szczelinę na polu lodowym. Połamali sobie wszystkie kości. Przykra sprawa. – Zmarszczył czoło, ale otrząsnął się z tego wspomnienia i wyszczerzył zęby. – Gdy dotarliśmy na szczyt, po pięciu najzimniejszych dniach w moim życiu, Firriksson znalazł Oko Dziewicy. Rzeczywiście, było wielkie jak wózek górniczy i czyste niczym źródłana woda tyle, że całe... z soli!

Krasnoludy sapnęły.

Galin wzruszył ramionami.

– Więc wycieliśmy w niej swoje imiona, polizaliśmy na szczęście i wróciliśmy na dół.

– Skoro myślisz, że Kolin Firriksson był szalony – odezwał się Hamnir – spróbuj służyć pod człowiekiem. – Spojrzał na Felixa, nagle przypominając sobie o jego obecności. – Ech, z całym szacunkiem, Herr Jaeger.

Felix zacisnął zęby.

– Oczywiście.

Gotrek parsknął.

– Niegdyś walczyliśmy dla takiego, który był bardziej szalony niż skaven w spaczeniowym hełmie.

Hamnir, śmiejąc się, spojrział na niego.

– Myślisz o Channelacu!

– Aye – potwierdził Gotrek. – Diuk Channelac z Cres, pirat i łowca z Bretonii, wściekły jak

borsuk...

– I niemal równie inteligentny – powiedział Hamnir. – Ale, gdyby można było myśleć wąsami, byłby magiem. Miał kręcone wąsiska, na których można było wieszać kotły do gotowania.

Gotrek pochylił się naprzód.

– Ścigaliśmy Lodowe Oko, starego łupieżcę z Norski, który nękał wówczas bretońskie wybrzeże i wreszcie doścignęliśmy go na południe od Sarosy, na wyspie znanej z tego, że jest schronieniem piratów.

– To była trudna podróż – powiedział Hamnir, kontynuując opowieść. – Ciężki sztorm przez trzy dni, starcie z tileańskim korsarzem, w którym zginęła dwudziestka krasnoludów i ludzi, a rany odniosła czterdziestka kolejnych; Channelac tak się śpieszył za Lodowym Okiem, że nie wyposażył się odpowiednio. Brakowało jedzenia i wody pitnej, nie było medyka. Channelac, w roztargnieniu, nie zabrał go ze sobą.

– Nie trzeba dodawać, że jego załoga nie była zbyt zadowolona – podjął Gotrek. – Byliśmy zbyt słabi, aby zaatakować Lodowe Oko w jego kryjówce i zapewne umarlibyśmy, nawet odnosząc zwycięstwo, z powodu braku bandaży. Mówiło się buncie. Kilku oficerów poszło do niego i błagało, aby zawrócił.

– Channelac odmówił – powiedział Hamnir. – Nazwał ich tchórzami. Nie chciał pozwolić, by Lodowe Oko uciekł. Zakotwiczył statek pod drugiej stronie wyspy, w pewnym oddaleniu od drewnianego fortu Lodowego Oka i nakazał ludziom wyjść na brzeg pod pretekstem nabrania świeżej wody i upolowania czegoś do jedzenia. – Wyszczrzył się. – Gdy to zrobili...

Gotrek się zaśmiał.

– Gdy to zrobili, podłożył ogień pod własny statek! Spalił go niemal doszczętnie.

– Co takiego? – zdumiał się Arn. – Ludzie są szaleni.

– Widzę w tym sens – powiedział Thorgig. – Jego ludzie wahali się. Nie chciał dawać im żadnego wyboru poza atakiem. Powrót do domu mogło im zapewnić tylko zabicie Lodowego Oka i przejęcie jego statku. Żadnego odwrotu. Żadnego poddawania się.

– Jestem pewien, że to bardzo odważne – odezwał się Narin – ale nawet najodważniejszy dowódca powinien zostawić sobie drogę wyjścia, jeśli to możliwe.

– Czy to zadziałało? – spytał Ragar. – Czy wygrał?

Gotrek i Hamnir wymienili chytre spojrzenia.

– Oh, tak – powiedział Gotrek. – Channelac wygrał. Zajął wyspę bez walki.

– Bez walki? – spytał Galin. – Jak to możliwe?

– Ponieważ... – powiedział Hamnir, a potem zaniósł się śmiechem. – Ponieważ Lodowe Oko zobaczył dym z płonącego statku Channelaca i wiedział, że nadchodzi, i... – Nie zdołał powstrzymać śmiechu.

Gotrek wyszczrzył się dziko.

– Odpłynął. Lodowe Oko odbił ze wszystkimi statkami i pozostawił Channelaca z rozdziawioną gębą na brzegu!

– Odpłynął? – spytał zdumiony Thorgig. – Ale to oznacza, że Channelac...

– Nie mógł wydostać się z wyspy! – zarechotał Narin, bijąc się w kolano. – Uwięził sam siebie!

Co za głupiec!

Thorgig zmarszczył czoło.

– A zatem, hmm, jak się stamtąd wydostaliście? Zbudowaliście tratwę?

Hamnir potrząsnął głową.

– Było zbyt daleko od stałego lądu. Utknęliśmy na dobre. W końcu, gdy upłynęły trzy miesiące i

byliśmy bardziej ciency niż ludzkie piwo, inny pirat, Estalijczyk, zarzucił tam kotwicę, aby nabrać wody.

– Czy Chammelac zajął wtedy jego statek? – spytał Ragar.

Gotrek pokazał zęby.

– Chammelac był martwy, zamordowano go tej samej nocy, gdy przybiliśmy do brzegu. Podobnie jak połowę jego oficerów. Nie, podpisaliśmy zaciąg i przyłączyliśmy się. Cała załoga Chammelaca. Większość z nich została w tej służbie, o ile wiem.

– Biedny, stary diuk! Stworzył więcej piratów, niż kiedykolwiek pokonał – powiedział Hammir, potrząsając głową.

Gotrek pociągnął łyk piwa.

– Trzy miesiące na wyspie z bandą brudnych Bretończyków i tylko jagody oraz mewy do jedzenia... Zniszczyły mi brzuch na cały rok.

– Mieliście łatwo – powiedział Narin. – Ja byłem uwięziony w szalasiemyśliwego na prowincji Kisleva przez dwa miesiące, w samym środku zimy, mając za towarzystwo dwa ogry, a do jedzenia tylko gnijącą w piwnicy rzepę.

– Krasnolud może przeżyć na rzepie – powiedział Galin. – To nie takie straszne.

– Krasnolud może, aye – zgodził się Narin. – Niestety, ogry nie potrafią. Och, jedzą rzepę. Jedzą wszystko, ale to tylko sprawi, że będą chciały zjeść wreszcie coś bardziej... mięsnego. Konkretnie, mnie.

Pozostali się roześmiali.

Felix zauważył, że Gotrek spoglądał na Skórczanobrodego, gdy Narin opowiadał swoją historię. Młody Zabójca nie brał udziału w przechwałkach. Siedział nieco dalej od innych, wpatrując się w ogień przez otwory w jego prowizorycznie naprawionej masce. Gotrek zerknął na niego jeszcze kilka razy podczas opowieści Narina. Potem, gdy bracia Rasmussenowie próbowali przebić jego relację, opowiadając bardzo zawikłaną historię o tym, jak doprowadzili, by ich towarzysz zjadł łajno trolla, Gotrek wstał i podszedł do Skórczanobrodego.

– Wszystko w porządku, Zabójco? – spytał, przysiadając.

Skórczanobrody wzruszył ramionami.

– Chyba nie przejmujesz się nadal tym, że widzieliśmy twoją twarz?

Skórczanobrody potrząsnął głową.

– Nie o to chodzi. Zupełnie nie o to.

– Dobrze, zatem, w czym rzecz? Nie co dzień krasnolud awansuje z Zabójcy Zębaczy na Zabójcę Trolli.

Felix dostrzegł, że kąciki ust młodego Zabójcy uniosły się smutno za szczeliną jego maski.

– Jestem rad, że zdobyłem to imię, aye – powiedział. – Ale... Ale nie umarłem. Nie zmazałem swego wstydu. Zamiast tego straciłem maskę, co jeszcze pogorszyło sytuację.

Gotrek zaśmiał się pustym, ponurym śmiechem.

– Teraz znasz prawdziwy ból bycia Zabójcą, chłopcze – powiedział. – Każde zwycięstwo jest porażką, bowiem tylko przez śmierć możemy wypełnić nasze przeznaczenie. Jeśli nie będziemy próbowali zwyciężyć, jeśli odrzucimy nasze topory i pozwolimy, by troll nas rozszarpał, wówczas Grungni nie przyjmie nas do sal naszych przodków, bowiem nie dba o samobójców. – Westchnął. – Jestem w tym od osiemdziesięciu lat. Ból nie odchodzi, ale można się do niego przyzwyczaić. – Wstał. – Piwo pomaga. Łyknij sobie jeszcze.

Powrócił do pozostałych i opowieści potoczyły się dalej.

Następnego ranka – o ile w nieprzeniknionych ciemnościach podziemi Undgrinu było coś takiego

jak ranek – w kilka godzin po założeniu obozu, przybyli do miejsca, które wyglądało tak, jakby tunel został zmiażdżony ręką olbrzyma. Podłoga była rozbita i wybrzuszona, a ściany i sufit skruszone i zapadnięte. Głazy wielkie jak domy zaścielały podłogę, miażdżąc pod sobą poskręcane torowisko. Inne głazy upadły na nie, niektóre zatrzymując się w niepewnej równowadze. Sklepienie powyżej stanowiło masę spękań i wyrw. Miejscami zwieszało się groźnie.

– Wiedziałeś, że to tutaj jest? – spytał Gotrek, przesuając wzrokiem po rumowisku.

– Słyszałem, że nastąpiły jakieś uszkodzenia po trzęsieniu ziemi, które wydarzyło się sześćdziesiąt lat po zamknięciu kopalni – odparł Hamnir. – Ale przejście miało trwać.

– Widzę stąd wyjście – powiedział Narin, obracając kawałek drewna w swojej brodzie. – Ale to nie będzie miła przechadzka.

– Koszmar górnika – powiedział Galin, spoglądając z niepokojem na sufit. – Te bloki mogą spaść w każdej chwili. Wystarczy, że jeden z nas podniesie głos albo za mocno postawi stopę i... Bum!

– Mój ojciec miał to naprawić – powiedział Hamnir, przelitykając nerwowo ślinę. – Ale zawsze było coś pilniejszego do roboty bliżej domu.

– Słyszałem, że pozostawił to celowo – powiedział Karl.

– Aye – rzekł Ragar. – Aby żadna armia nie mogła się tędy przedostać, nie zrzucając sobie tego wszystkiego na głowy.

– Gotowa pułapka – powiedział Arn.

– Pułapka na nas – stwierdził niespokojnie Skórzanobrody. – Zmiażdżenie przez skałę to nie jest śmierć dla Zabójcy.

– Olifsson – powiedział Hamnir. – Spróbuj znaleźć dla nas drogę.

– Ja? – spytał Galin, wybałuszając oczy. – Chcecie mnie zabić?

– Jesteś inżynierem – odparł Hamnir. – Dlatego właśnie poszedłeś. Chciałbym zasięgnąć twej rady w tej sprawie.

Galin przełknął ślinę.

– Moja rada – odezwał się – jest taka, aby znaleźć inną drogę.

Hamnir skrzywił się.

– Dobrze wiesz, że nie ma innej drogi. Albo przejdziemy tędy, albo wracamy.

– A więc jednak jesteś tchórzem, Olifsson? – spytał Thorgig. – Wyglądasz trochę blado.

To była prawda. Twarz Galina, normalnie zarumieniona, była szara jak błoto.

– Jestem inżynierem górniczym – powiedział. – Tak, jak Zabójca zna swój topór, a księżę Hamnir swoje rynki kupieckie, ja znam się na ścianach, sklepieniach i ciężarze, który mogą podźwignąć. Ten sufit wisi na pajęczych niciach. Nie przedostaniemy się tędy.

– Musimy to zrobić – powiedział Hamnir. – A ty jesteś krasnoludem, który nas poprowadzi.

– To pewna śmierć – odparł Galin, nie odrywając wzroku od kruszejącego sklepienia.

Hamnir podszedł do niego i spojrzał mu w oczy.

– Słuchaj mnie, inżynierze. Muszę ocalić twierdzę. Nie zawrócę. Zgłosiłeś się z własnej woli. Nie nakazałem, abys szedł za mną. Możesz odejść. Reszta z nas spróbuje przejść przez tę zabójczą pułapkę bez ciebie.

Galin potrząsnął głową.

– Nie uda wam się.

– Nie uda nam się bez ciebie – powiedział Hamnir i odwrócił się, aby stanąć obok Gotreka, który przyglądał się zawałskowi.

Inni także się odwrócili. Galin stał za nimi z zaciśniętymi ustami i spuszczoną głową. Felix dołączył do pozostałych, chcąc jednocześnie oszczędzić inżynierowi wstydu, jak i go napiętnować.

– Dobrze więc, do kroćset – rzucił Galin po długim milczeniu. – Dobrze więc, rzucę na to okiem. Nie mogę pozwolić, żebyście się, głupcy, pozabijali. – Przepchnął się między nimi, miotając wściekle spojrzenia. Podeszedł do brzegu zawaliska, zdjął swój plecak i odłożył młot.

Hamnir położył dłoń na jego ramieniu.

– Dziękuję ci, inżynierze.

Galin strząsnął jego dłoń z warknięciem, a potem przełknął ślinę i wziął głęboki oddech. Felix miał wrażenie, że inżynier znowu stracił odwagę, ale ten w końcu ruszył naprzód, centymetr za centymetrem. Po trzech krokach spojrzął za siebie.

– Bądźcie cicho.

Pozostałe krasnoludy czekały, a Galin kroczył ostrożnie między głazami, starannie stawiając kroki, badając podłogę i gruzy drżącymi palcami stóp i dłoni. Wkrótce zniknął za zwalonymi głazami i Felix oraz pozostałe krasnoludy wstrzymali oddech i wyciągnęli szyje. Po chwili, która zdawała się wiecznością, zwiadowca się pojawił. Jego nogi dygotały, a zaczerwieniona twarz była mokra od potu. Powrócił do nich w taki sam powolny i metodyczny sposób, jak odchodził. W końcu odetchnął głęboko, a potem zatrzymał się za ostatnim fragmentem pokruszonego granitu.

– Cóż, jest przejście – powiedział, ocierając brwi. – Ale będziecie musieli stawiać stopy dokładnie tam, gdzie ja stanę i dotykać tylko tego, czego ja dotknę. Poruszenie kamyczka albo drobny poślizg – i to wszystko nas pogrzebie. Są tam takie części sufitu, które... – zadrżał. – Cóż, nie wiem, co je podtrzymuje.

– Czy nie moglibyśmy narobić teraz hałasu i zawalić tego wszystkiego, a potem przejść? – spytał Felix.

Krasnoludy spojrzały na niego pobłaźliwie.

– To rzeczywiście byłoby najbezpieczniejsze rozwiązanie – odparł Narin z uśmiechem. – Ale czy jest gwarancja, że przejście będzie nadal istniało, gdy to zawalimy?

– Mogę zagwarantować, że nie będzie – odrzekł Galin.

– Ach, tak. Oczywiście. – Felix zarumienił się. Czuł się jak głupiec.

– Dobrze – odezwał się Hamnir, odwracając się do innych. – Wszyscy w jednej linii, blisko siebie. Stawiajcie kroki dokładnie tam, gdzie stawia je krasnolud przed wami. Galin, ty prowadzisz. Jaeger, idziesz ostatni.

Serce Felixa załomotało.

– Dlaczego ja jestem ostatni?

– Ponieważ masz najdłuższe nogi, na których możesz uciec, jeśli strop się zacznie walić – wyjaśnił Hamnir. – I wybacz, że powiem otwarcie, ale to raczej ty postawisz źle stopę, nie krasnolud.

Felix zacisnął pięści. Kolejne zniewagi.

– To prawda, człeczyno – powiedział Gotrek. – My, krasnoludy znamy od urodzenia tunele i zapadliska. Wiemy, gdzie stawiać kroki.

– Aye, aye, w porządku – odpowiedział Felix. Chciał walnąć tych wszystkich pyszałków w nos, ale powstrzymał się. To zapewne spowodowałyby zawalenie się sklepienia. Zdjął swój czerwony płaszcz i wepchnął go do plecaka, aby o nic nie zawadzić.

– Idźcie tuż za mną – powiedział Galin. – I ani słowa.

Krasnoludy ruszyły naprzód niczym gąsienica, krocząc jeden za drugim. Każdy trzymał rękę na ramieniu krasnoluda przed nim. Wydawało się, że robiły to już wiele razy. Felix położył dłoń na ramieniu Gotreka i wpatrując się pilnie w stopy Zabójcy, robił, co mógł, aby nie pomylić kroku.

Szli powoli. Na czele linii Galin badał drogę trzonkiem swojego młota bojowego, upewniając

się, że żaden kamień ani skalna płyta, na której stawia stopę, nie uniesie się ani nie obsunie. Wykonywał krok i badał, stawiał stopę i badał ponownie. Następny krasnolud stawiał swoją stopę tam, gdzie Galin postawił swoją i tak dalej. Na początku nie było to trudne, ale gdy zaczęli błędzić w labiryncie monolitycznych głazów i wspinać się w miejscach, gdzie podłoga wyrzuszała się i stromo wznosiła, stawianie kroków stało się większym wyzwaniem. Krasnoludy trzymały się nawzajem, wchodząc i schodząc, upewniając się, że żaden z nich nie zsunie się w tył ani nie wyrwie do przodu.

Serce idącego za Gotrekiem Felixa uderzało głośno, aż wystraszył się, że ten odgłos zwali mu na głowę sufit. Był spocony, jakby się wykąpał w fontannie. Każdy strumyczek obsypującego się kurzu, każde skrzypnięcie podeszwy buta na skale sprawiało, że kulił ramiona ze strachu. Napięty kark bolał.

Patrzył, jak Gotrek przestępuje ponad wystającą krawędzią podłogi i ostrożnie opuszcza stopę po drugiej stronie, dokładnie tam, gdzie postawił ją krasnolud przed nim. Felix uniósł nogę ponad krawędzią i postawił ją ostrożnie, nie spuszczając oczu z miejsca, gdzie Gotrek miał za chwilę stanąć i...

ŁUP! Walnął głową w nisko zwieszającą się skałę. Zacisnął dłoń na ustach, aby stłumić jęk. Świat oddalał się i stawał żółtoczarny. Pod Felixem ugięły się kolana. Tak bardzo skupił się na stopach Gotreka, że nie zauważył wiszącego bloku granitu, pod którym Gotrek po prostu przeszedł. Chciał krzyknąć i podskakiwać, ale jedno i drugie byłoby samobójstwem. Stał bez ruchu. Tunel przed nim wirował. Wiedział, że zaraz upadnie.

Żelazny chwyt zacisnął się na jego ramieniu. Otworzył oczy. Gotrek trzymał go mocno, przykładając gruby palec do ust. Felix skinął głową i zaraz tego pożałował. To go niemal przewróciło. Spojrzał za Gotreka. Pozostałe krasnoludy zatrzymały się i spoglądały na niego z minami, które wyrażały pożałowanie, pogardę, aż do rozbawienia. Galin spoglądał rozszerzonymi oczami na sufit. Jego usta poruszały się w niemej modlitwie.

Po chwili tunel ustabilizował się i zawrót głowy minął. Felixa nadal silnie bolała głowa, a z nosa ciekła strużka krwi, ale odzyskał równowagę na tyle, by móc iść. Wskazał Gotrekowi, żeby szedł dalej. Zabójca odwrócił się, inni również i wykonali następny krok. Felix schylił się pod wystającą płytą i ruszył za nimi.

Nie tylko Felix popełnił błąd. W połowie drogi przez rumowisko, trzonek młota, którym Galin próbował drogę, poruszył kamień wielkości czaszki. Ten stoczył się i odbił od pochylonego fragmentu podłogi. Krasnoludy zamarły i spojrzały w górę, kuląc ramiona. Z sufitu posypały się strużki pyłu, ale sklepienie pozostało na miejscu. Nieco dalej Thorgig wyciągnął rękę, aby podeprzeć się na zwalonym bloku skalnym. Kamień zaczął się przechylać. Krasnolud sapnął i zrobił krok w tył, a pozostali rozejrzeli się niespokojnie. Blok wielkości wagonu stał niepewnie, w niezwykły sposób zachowując równowagę na mniejszej skale. Jego punkt podparcia znajdował się dokładnie nad jej krawędzią. Krasnoludy stały bez ruchu, patrząc jak odłam przechyla się powoli i wraca do poprzedniego położenia z cichym stukotem. Znowu zaczęły oddychać.

W końcu Galin przeprowadził ich przez pokruszoną podłogę pod zwisającym sufitem i wszyscy mogli odetchnąć z ulgą.

Felix otarł pokrwawione czoło chusteczką i spojrzał za siebie. Jego kończyny drżały z napięcia.  
– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli tędy zawracać. Nie sądzę, żebym dał radę zrobić to drugi raz.

– Zawracać? – spytał Gotrek, marszcząc czoło.

On i Hamnir wyszczerzyli się i spojrzeli na siebie. Jak jeden mąż podeszli i podnieśli ciężkie

kamienie.

– Nie ma powrotu – powiedział Hamnir.

– Za Chamnelaca! – zawołali, rzucając kamienie z powrotem w popękany tunel. – Spalić statek!

Oba kamienie odbiły się hałaśliwie od szczytu masywnego, chwiejnego bloku, który Thorgig niemal przewrócił dotykem.

Pozostałe krasnoludy gapiły się na to.

– Wy szalone durnie! – sapnął Felix, gdy skała zaczęła się przechylać.

– Szalone krasnoludy – poprawił go Gotrek.

Blok się zakołysał i wyglądało na to, że znowu wróci do pozycji spoczynkowej tak, jak wcześniej, ale w tym momencie krawędź spodniej skały pękła pod olbrzymim ciężarem i górny odłam przesunął się o kilka centymetrów do przodu, tracąc równowagę, po czym rąbnął z hukiem, który wstrząsnął całym tunelem.

Na górze rozległ się długi trzask, jakby ktoś darł wielkie, nakrochmalone płótno i cała sekcja sufitu zaczęła pękać, spadając na podłogę.

– Biegnijcie! – zawołał Galin.

Pierwsze bloki wyrznięty w gruzowisko z siłą armatnich kul. Wstrząs zwałił krasnoludy z nóg. Poderwały się ponownie i w szalonym pędzie odbiegły od zawaliska, podczas gdy tunel trzął się i huczał. Felix, biegnąc, spojrzał za siebie. Spadało coraz więcej bloków, miażdżąc te, które upadły wcześniej. Ściany ugiwały się i waliły. Kamień wielkości sera z Marienbergu przemknął obok niego, o włos mijając Ragara, aby potoczyć się i zatrzymać dalej.

Kolejny rzut oka. Wzbierający kłęb pyłu zasłaniał gruzowisko i pędził za krasnoludami szybciej, niż mogły uciec. Felix zakrztusił się gdy ogarnął go pył, obsypując mu język, oczy i nozdrza sproszkowanym granitem. Lampy krasnoludów stały się niewyraźnym, pomarańczowym lśnieniem, które podskakiwało wokół niego w szarudze, podczas gdy ryk spadających skał nadal atakował jego uszy.

Po pięćdziesięciu krokach wypadli poza kłęb pyłu i zwolnili. Nieustanny grzmot ustępował pojedynczym łomotom i hukom. Krasnoludy zatrzymały się.

Gotrek i Hamnir rechotali niczym psotni uczniacy, krztusząc się i śmiejąc jednocześnie, a lzy rysowały różowe ślady na ich pokrytych pyłem policzkach. Oni i reszta krasnoludów wyglądali, jakby zostali zanurzeni w beczce z mąką. Felix wyglądał tak samo. Kichali, kasłali i spluwali, zgięci w pół po ostrym biegu.

– Niewiele brakowało – powiedział Hamnir, chichocząc.

– Aye, niewiele – przyznał Gotrek.

– Mogliście rzucić nam jakieś ostrzeżenie! – warknął Narin.

– To nie było zbyt rozważne taktycznie – wystękał Galin. – Łatwo powiedzieć: „Nie ma odwrotu”, ale...

Gotrek spojrzał na niego groźnie.

– Nigdy nie miało być żadnego odwrotu. To tylko wyjaśniło sytuację. Jedyne prowadzi naprzód.

Hamnir także spoważniał.

– Nie ma innej drogi do twierdzy. Przejdziemy tędy albo zginiemy, próbując. Tak, jak przysięgliście, zgłaszając się do tej misji. Jeśli zmieniliście zdanie, cóż... – zaśmiał się złośliwie. – Jest już nieco zbyt późno. – Rozejrzał się. – Dobrze, czy jesteście gotowi do drogi?

Krasnoludy skinęły głowami. Otrzeptały się z pyłu, zebrały swoją broń i pakunki, po czym drużyna wznowiła marsz. Felix ponownie narzucił na siebie swój czerwony płaszcz. W niekończącym się

tunelu było zimno.

Hamnir spojrzął za siebie, idąc, chociaż zawałona sekcja była niewidoczna w pyle i ciemności. Uśmiechnął się ponuro.

– Birrisson będzie szczęśliwy – o ile nadal żyje. Od stuleci nie było naprawdę dużej roboty przy odbudowie.



## Rozdział 15

Drużyna osiągnęła podziemne wejście do kopalni Karak Hirn późnym popołudniem drugiego dnia spędzonego na głębinowej drodze. Tak zapewniły Felixa krasnoludy, bo zupełnie stracił poczucie czasu. Wydawało mu się, że spędził tu miesiąc, nie oglądając słońca. Zaczynał się zastanawiać czy świat na powierzchni nie był tylko złudą, która kiedyś mu się przyśniła. Niektóre krasnoludy przeżywały większość życia, nie widząc dziennego światła. Na samą myśl o tym Felixa przechodziły dreszcze.

Jego towarzysze osłonili latarnie i posuwali się ostrożnie w stronę wejścia. Nie mieli zamiaru ponownie zlekceważyć orków. Skład olbrzymich wagonów na rudę, wybudowanych w skali Undgrinu, stał na torach w pobliżu wejścia, a oni skradali się za nim, wykorzystując go jako osłonę. Na końcu pociągu przykucnęli i wyrzeli zza ostatniego wagonu. Zgodnie ze stylem reszty Undgrinu, otwór, który prowadził do Karak Hirn był olbrzymi – trzypiętrowej wysokości łuk w ścianie tunelu tak szeroki, że wybiegało z niego osiem torów, rozjeżdżając się na prawo i lewo, i łącząc z innymi liniami. Wokół nich pozostawało jeszcze wiele wolnego miejsca. Wielkie, kamienne figury krasnoludów stały na straży po obu stronach łuku. Grube kamienne dłonie spoczywały na wysokich na sześć metrów toporach bojowych.

Niewielka kula światła toczyła się powoli między ponurymi strażnikami z granitu. Sześć orków, unosząc pochodnie, patrolowało wahadłowo całą szerokość przejścia.

Hamnir wpatrywał się w przestrzeń za łukiem. Widoczna tam była szeroka rampa wznosząca się we wnętrzu kopalni oraz osiem torów kolejki. Szczyt rampy oświetlał migotliwy, pomarańczowy poblask ognia. Do uszu wędrowców dobiegało ciche porykiwanie i szuranie.

– Zdaje się, że zajęli niższe kuźnie – powiedział książę. – Przez tę szóstkę przebijemy się z łatwością, ale jeśli sala kuźni jest dobrze oświetlona...

– To nie będzie potrzebne, książę – powiedział Arn.

– Aye – odezwał się Ragar. – Tuż za przejściem, po lewej, biegną schody, które prowadzą prosto do izby strażniczej na ósmym poziomie.

– Dzięki temu chłopaki przy drzwiach nie muszą przechodzić naokoło całej drogi do głównego szybu, gdy kończą zmianę.

– Doskonale – powiedział Hamnir. – A zatem, tamtędy pójdziemy. Stary tunel badawczy znajduje się tylko pięć poziomów wyżej.

Krasnoludy poczekały, aż patrol orków zbliżył się do prawej strony wielkiego łuku, a potem na palcach wybiegły zza pociągu i cicho przekroczyły tunel, aby schować się w cieniu posągu po lewej. Poczekały ponownie, aż strażę z powrotem pomaszerowały powoli na drugą stronę i przebiegły ponownie. Felix i pozostali znowu dostrzegli dziwne zachowanie orków – ich beznamiętny spokój, który podkreślały tylko krótkie porykiwania, milknące niemal tak samo szybko, jak się zaczynały. Orki przypominały Felixowi gryzione przez pchły psy bojowe.

Gdy orki zbliżyły się do drugiej strony przejścia, Hamnir gestem ponaglił resztę. Prześlizgnęli się wokół posągu i pod łukiem. Bracia Rasmussonowie wskazali na mały, czarny otwór w lewej ścianie. Krasnoludy przebiegły przez niego i wyrwały po schodach na górę; gdy wszyscy znaleźli się w środku, poczekali, nasłuchując, czy nie podniesiono alarmu. Panowała cisza.

– Dobra robota – szepnął Hamnir. – Ruszamy dalej. Na wschodni kraniec trzeciego poziomu.

Krasnoludy ruszyły w górę ciemnych jak smoła schodów, idąc cicho i nasłuchując uważnie. Felix słyszał tylko własny oddech i kroki, ale po kilku sekcjach schodów zaczął zauważać poruszające się czerwone światło.

– Gotrek – odezwał się. – Twój topór.

Zabójca uniósł topór i spojrzał na niego. Runy na głowicy lśniły blado. Zmarszczył czoło. – Nigdy wcześniej nie świeciły się przy gobasach – mruknął. – Trolle, demony, czarnoksiężstwo – tak. Ale nie gobasy.

Hamnir nastroszył brwi.

– Czy za tym wszystkim mogą stać mroczne moce? Teraz wezbrały w siłę na Północy.

Gotrek wzruszył ramionami.

– Cokolwiek to jest, zabijemy to, gdy będzie trzeba.

Ale lśnienie run słabło wraz z wysokością, a gdy wreszcie osiągnęli ósmy poziom, topór był ponownie całkiem ciemny.

Pomarańczowe światło przebłyskiwało między kratami bramy na szczycie schodów. Gotrek podszedł ostrożnie, by zbadać teren, podczas gdy inni czekali w cieniu, trzymając w gotowości broń. Gotrek przywarł płasko do ściany, zajrzał w głąb przejścia, a później spróbował otworzyć bramę. Była zamknięta. Zaklął pod nosem i chwycił za kraty, ciągnąc je ze straszliwą siłą.

– Gotrek, zostaw to! – syknął Hamnir, wchodząc po schodach i wyciągając srebrny klucz z woreczka u pasa. – Jestem księciem tej twierdzy, jeśli pamiętasz. Mam klucz.

Gotrek mruknął i odstąpił, dopuszczając Hammira do drzwi. Felix i pozostali stanęli za nimi. Stróżówka nadal była stróżówką. Wszędzie leżała rozrzucona broń i fragmenty topornych pancerzy orków, a na stole – obrzydliwe pozostałości ich posiłku. Na ścianach migotały krasnoludzkie latarnie.

– Brudne bydlęta – rzucił Thorgig. – Plugawią nasz dom.

– Spokojnie, chłopcze – powiedział Hamnir.

Gotrek przeszedł przez izbę i zajrzał w korytarz za nią.

– Droga wolna.

Hamnir powiódł drużynę korytarzem i zaczęli skradać się przez sale i komnaty wielkiej kopalni. Wszędzie wokół słyszeli odgłosy orków: tupanie ciężkich stóp, trzask ognia w wielkich piecach oraz łomot młotów i łomów. Krasnoludy były przerażone tymi dźwiękami, a gdy osiągnęły galerię wychodzącą na otoczony rusztowaniami głęboki dół wydobywczy, zobaczyły setki orków i goblinów, które kopały w ścianach w niepokojącym milczeniu. Patrzyły na to ze zdumieniem i wściekłością.

– To szaleństwo – powiedział Narin. – Orki nie kopią. Nie wytapiają metali.

– Aye – zgodził się Galin. – Te bydlaki nie przepracowały uczciwie ani jednego dnia w całej swojej historii. Całe żelazo wykradają krasnoludom.

Hamnir skinął głową.

– Obawiałem się, że znajdę skute kajdanami krasnoludy pracujące pod batem orczych nadzorców, ale to...

– To jest niepojęte – powiedział zdumiony Skórzanobrody.

– To nie jest w porządku – dodał, gapiąc się Thorgig. – Wszystko jest nienaturalne.

– I pomyśleć, że dożyłem chwili, gdy widzę orki chodzące po kopalni, jakby do nich należała – zdumiał się Karl.

– Aye – odrzekł Ragar. – To ponury dzień.

– Porąbamy je na kawałki, bracia – powiedział Arn. – Nie martwcie się. Gdy otworzymy drzwi frontowe, wszystko wróci do normy.

Ruszyli dalej, unikając milczących patroli, które się do nich zbliżały, trzymając się z dala od wzroku pracujących ekip, zajętych na każdym poziomie kopaniem i ładowaniem rudy. Krasnoludy pograżyły się w ponurym milczeniu, widząc dziwne zachowanie orków oraz cierpiąc z powodu

samej ich obecności w prastarych sztolniach.

Felix także poddał się przygnębieniu. Od chwili, gdy weszli do kopalni, opanowały go smutek i rozpacz, które zdawały się narastać z każdym krokiem. Miał wrażenie, jakby serce pompowało w jego żyły lodowatą wodę. Nie potrafił doszukać się źródła tego niepokoju. Jak dotąd misja infiltracyjna przebiegała gładko. Nie groziło im większe niebezpieczeństwo niż zwykle, a jednak ledwo powstrzymywał się od łkania. Miał wrażenie, że ich przeznaczeniem jest porażka, że czeka ich zagłada, której nie zdołają uniknąć. Mogli porzucić wszelką nadzieję na sukces. Powinni się poddać, pobiec prosto na pierwszy patrol orków, który zobaczą i skończyć z tym wszystkim.

Otrząsnął się. Co to było? Nigdy wcześniej nie dopuszczał do siebie myśli o śmierci. To było brzemię Gotreka, nie jego. Co się z nim działo? Czy udzielał mu się niepokój krasnoludów widzących niezwykle zachowanie orków? Czy to dlatego lśnił topór Gotreka? Porzucił ponure myśli i zmusił się do spokoju. Ostatnim, czego potrzebował, było zrobienie z siebie pośmiewiska przed krasnoludami, gdy zaczną rzucać się na cienie. Wokół było dość namacalnych zagrożeń.

Na czwartym poziomie, aby przejść ponad obszarem zajęтым przez orki, musieli wspiąć się na szczyt szybu wentylacyjnego. Zamknięte kratami wyloty wzdłuż całej długości szybu lśniły czerwienią od światła w pomieszczeniach za nimi, barwiąc twarze krasnoludów upiornym szkarłatem. Krasnoludy zaglądały przez kraty, przeklinając pod nosem. Jeden z wylotów otwierał się na wielką kuźnię, skąd dobiegało sapanie setek miechów, a setka kowadeł dzwoniła pod młotami orczych kowali.

– Używają naszych młotów! Naszych świętych kowadeł! – powiedział Thorgig, podnosząc głos. – Musimy je zabić. Nie można im pozwolić na...

– Spokojnie – załagodził Hamnir. On także trząsnął się cały, nie mogąc oderwać oczu od widoku za kratą.

Galin potrząsnął głową, wyglądając przez wylot.

– Nigdy nie widziałem tak pracujących orków. Topory, włócznie, pancerze. I to znośnej jakości.

– A jak dziwnie wyglądają – zauważył Narin. – Nie widziałem takich wcześniej. Zupełnie jak części pająka.

Czerwone światło zabłysło w jedynym oku Gotreka, gdy zajrzał do kuźni.

– Po co to robią? Oto pytanie. Wygląda na to, że szykują się do wojny z całym światem.

Krasnoludy spojrzały na niego szeroko rozwartymi oczami.

– Na brodę Grimmira – rzucił Thorgig. – CO one zamierzają zrobić? Czy Karak Hirn to pierwsza z wielu twierdz, które chcą zająć?

– Nie – powiedział ponurym głosem Hamnir. – Ostatnia.

– To ich grób – dodał Gotrek.

Felix zadrżał, czując nagły przypływ strachu. Otrząsnął się z trudem.

Krasnoludy ruszyły dalej, wychodząc z szybu do ciemnej komory na trzecim poziomie. Hamnir poprowadził ich na wschód, przez labirynt sal do sortowania i wytopu, kuźni i spiżarni. Im bardziej oddalali się od głównego szybu, tym mniej mijali orczych patroli, korytarze i izby pustoszały, aż wkrótce wydawało się, że są zupełnie sami. Dotarli do starej sekcji kopalni, wykopanej, gdy tylko zbudowano twierdzę. Dawno temu założono tu magazyny i warsztaty, teraz splądrowane przez orki i opuszczone.

Hamnir wreszcie zbliżył się do wielkich kamiennych drzwi w zakurzonej i nieużywanym korytarzu.

– Drzwi do tunelu badawczego – powiedział.

W kurzu przed nimi widoczne były odciski orczych butów.

Gotrek spojrzął na dziurkę od klucza, przybliżając pochodnię.

– Niedawno je otwierano – powiedział. – Z użyciem klucza.

Hamnir jęknął. Wybrał klucz spośród zawieszonych na pierścieniu i wsunął go do zamka. Krasnoludy przygotowały broń. Zamek ustąpił łatwo i Hamnir pchnął drzwi. Krasnoludy zajrzały do środka. Ślady orków biegły w ciemność, w dół starego tunelu, mniejszego i bardziej surowego niż reszta kopalni.

– Czy oni znaleźli WSZYSTKO? – spytał gniewnie Hamnir.

Weszli do środka i Hamnir zamknął za nimi drzwi. Poruszali się cicho po starej kopalni, wpatrując się w cienie i idąc za śladem orków. Wkrótce jednak tropy zatrzymywały się i zawracały, a krasnoludy nie spostrzegły, aby prowadziły dalej.

Hamnir odetchnął z ulgą.

– Zdaje się, że stwierdzili, iż nie ma tu nic do zabrania. Dobrze. Teraz tędy.

Prowadził ich, idąc szybko, z niezwykłą, charakterystyczną dla krasnoludów orientacją pod ziemią. Wiódł ich przez labirynt przecinających się korytarzy, aż zatrzymał się za fragmentem ściany, na pozór nieróżniącym się od innych, w tunelu badawczym.

– Tutaj – powiedział. – Skarbiec mego ojca znajduje się dziesięć stóp za tą ścianą.

Galin podszedł i uderzył w ścianę kłykciami.

– Czy mogę zbadać pogłos, książę?

– Jak najbardziej – pozwolił Hamnir.

Galin odwrócił się do Narina, który niósł młot bojowy.

– Uderzysz w ścianę, Kruszący Kamień?

Narin skinął głową i przygotował broń.

– Na twój znak.

Galin zdjął hełm i przycisnął ucho do ściany.

– Uderz.

Narin zamachnął się i młot rąbnął w mur.

Galin wsłuchiwał się z napięciem w pogłos, a potem przesunął się o kilka metrów dalej i ponownie przycisnął ucho.

– Jeszcze raz.

Narin znowu uderzył, a Galin skoncentrował się na nasłuchiwaniu. Gdy echo przebrzmiało, inżynier zmarszczył brwi i odstąpił, pocierając brodę i potrząsając głową.

– Obawiam się, że omyliłeś się w ocenie, książę. Tam jest wnęka, to prawda, ale dzieli nas od niej raczej dwadzieścia stóp.

Hamnir jęknął.

– Dwadzieścia stóp? Czy zdążymy przekopać się na czas? – spytał, przygryzając wargi.

Galin potarł ścianę dłonią.

– Hmm, to piaskowiec, ale przenika przez niego nieco gnejsu i najpierw będziemy musieli się przebić przez ten twardszy materiał. – Wzruszył ramionami. – Zahartowany górnik, dając z siebie wszystko, powinien być w stanie wykopać dziurę w piaskowcu głęboką na stopę, wysoką i szeroką jak on sam, w ciągu półtorej godziny, ale nie zdoła tak pracować dłużej niż trzy godziny, nie zwalniając tempa.

Rozejrzał się po krasnoludach.

– W swoim życiu sporo się nakopałem i wiem, że tak samo te chłopaki – powiedział, kiwając na braci Rasmussonów. – Ale Gromowładni, Zabójcy i Młociarze być może nie mieli w rękach łomu od stulecia albo i dłużej. Jeśli czterech z nas będzie pracowało na zmianę... – Przerwał, dokonując w

głowie obliczeń. – Trzydzieści godzin, zapewne więcej, biorąc pod uwagę zmęczenie.

– Ja mogę kopać – powiedział Gotrek.

– Podobnie i ja – odezwał się Skórczanobrody. – Walczyłem ze skavenami, będąc górnikiem.

– To i tak zajmie trzydzieści godzin – rzekł Galin. – Chociaż przy sześciu kopiących będziemy mniej zmęczeni, gdy się przebijemy.

– Musimy zrobić to szybciej – powiedział Hamnir, marszcząc brwi. – To noc piątej doby, a powiedzieliśmy Gorriłowi, że otworzymy Wrota Rogu jutro o zachodzie słońca. To nie może zająć więcej niż dwadzieścia godzin. Jego armia nie może czekać. Gobasy rozszarpiają ich na kawałki, jak już to robiły wcześniej.

– On poczeka, książę – powiedział Thorgig. – Nigdy nie porzuci naszej sprawy.

– Wiem – powiedział Hamnir. – Wiem.

– No to przestańcie gadać i zacznijcie kopać – rzucił Gotrek.

Bracia Rasmussonowie skinęli głowami, zdjęli swoje plecaki i zbroje, chwycili za łomy i bez dalszej zwłoki zaczęli uderzać w ścianę w wyćwiczonym rytmie. Hałas był ogłuszający. Kawałki piaskowca zaczęły spadać na podłogę.

– Pierwsza stopa czy dwie pójdą szybciej – powiedział Galin do Hamnira – Teraz jednocześnie może pracować trzech, ale gdy dziura będzie głębsza, tylko jeden krasnolud będzie w stanie dotrzeć do przodka.

Hamnir skinął i odwrócił się do Thorgiga, wręczając mu pierścień z kluczami.

– Kuzynie, pójdz do drzwi i sprawdź, czy nie słychać stamtąd kopania. – Spojrzał na Felixa. – Idź z nim, Herr Jaeger. Jeśli nie będzie nas słychać, zejdz do kopalni. Będziemy potrzebowali taczki oraz piwa albo wody pitnej. Tak wiele, jak zdołasz unieść.

– I jedzenia – powiedział Galin. – Kopanie to ciężka praca, a my zjedliśmy już prawie wszystkie zapasy.

– Żadnego jedzenia – powiedział ponurym głosem Hamnir. – W każdym razie – nie mięso. Gobasy mogą jeść krasnoludy.

Felix i młody krasnolud wyruszyli w drogę, podczas gdy pozostali zaczęli rozbijać obóz w pobliżu miejsca pracy. Ułożyli swe posłania i wbili w ścianę kołki, na których powiesili latarnie.

Wysłana na zwiady dwójka dotarła do drzwi i zamknęła je za sobą, bez ruchu nasłuchując stukotu łomów na skale.

Thorgig zaklął pod nosem.

– Słabe, ale wyraźne. To źle.

– Niczego nie słyszę – powiedział Felix.

Thorgig rozpromienił się.

– To dlatego, że jesteś człowiekiem. Dobrze. Słuch orków jest równie słaby jak ludzki, więc, być może, jesteśmy bezpieczni.

Felix mruknął ponownie rozeźlony swobodnie rzuconą obelgą.

Thorgig spojrział na niego, czerwieniąc się.

– Moje przeprosiny, Herr Jaeger. Wiem, że nie lubisz słuchać o ludzkich niedostatkach. Ocaliłeś życie Kagrina i moje. Jestem ci winien więcej szacunku. Powstrzymam się przed mówieniem o tych słabościach w twojej obecności.

Felix spał się, powstrzymując chęć, by rzucić Thorgigowi w twarz kilka słów o niedostatkach krasnoludów, ale na co by to było? Krasnolud nie chciał go obrazić. Prawdę mówiąc, chyba usiłował być uprzejmy. To nie czas ani miejsce, aby uczyć go właściwych manier.

Felix skłonił się, ukrywając krzywy uśmiech.

– Jestem zaszczycony twoim wyczuciem, Thorgigu Helmgardzie – powiedział.

Thorgig skinął głową, zadowolony.

– Dziękuję ci, Herr Jaeger. Zdaje się, że nabierasz dobrych, krasnoludzkich manier. Tędy.

Felix ruszył za nim w głąb sali, potrząsając z niedowierzaniem głową.

Skradali się cicho w stronę bardziej uczęszczanego obszaru kopalni. Udało im się zdobyć niemal wszystkie rzeczy z listy Hammira, nie zwracając uwagi orków. Wyjątkiem było piwo. Każda baryłka, jaką znaleźli, została otwarta, rozbita lub osuszona. Udało im się jednak znaleźć trochę zeschniętego, płaskiego krasnoludzkiego chleba, który najwyraźniej nie zasmakował orkom. Wrzucili wszystko do taczki, włącznie z dwoma wielkimi bukłakami wody, kilkoma szuflami i garncem oliwy do lamp. Potem pospieszyli z powrotem do tunelu badawczego.

Felix był zdumiony, widząc, jak wielki otwór wykopali bracia podczas ich nieobecności. Dziura w ścianie miała prawie półtorej stopy głębokości, czyli pół metra, i chociaż była za niska, by Felix mógł w niej stanąć wyprostowany, była szersza od krasnoluda. Trzech braci najwyraźniej nie zwalniało, podtrzymując bez przerwy swój stały, monotony rytm. Pozostali odsuwali wykopany materiał najlepiej jak potrafili, a Felix wraz z Thorgigiem zajęli się szuflowaniem go i wrzucaniem do taczki. Potem Felix odwiózł ją w głąb korytarza i wyrzucił urobek na stertę.

W ciągu następnych dziesięciu godzin zajmował się wyłącznie tą pracą. Podczas gdy krasnoludy kruszyły ścianę i otwór stopniowo się powiększał, Felix nabierał szuflą okruchy skalne, wrzucał je do taczki, a potem odwoził. Tylko tak mógł się przydać. Gdyby chwycił za łom, tylko by spowolnił tempo. W najlepszym razie zdołałby wykopać kilka centymetrów w ciągu godziny.

Po upływie kolejnych dwóch godzin bracia wkopali się tak głęboko, jak mogły to uczynić trzy krasnoludy stojące ramię w ramię i wyczerpani oderwali się od ściany. Galin przejął ich działkę sam, rozebrany do pasa, uderzając w równym tempie, które dowodziło wielkiego doświadczenia. Hammir i Narin pracowali za nim, poszerzając dziurę i wydobywając urobek na korytarz, gdzie zabierał go Felix.

Po dwóch godzinach Galin wyszedł z płytkiej dziury, wykopawszy kolejne pół metra. Ociekał potem i trząsał się. Jego miejsce zajął Skórczanobrody. Zdjął swoją maskę, aby łatwiej oddychać, ale dopiero wtedy, gdy schował się w dziurze. Dwie godziny później, po wykopaniu prawie pół metra, w ścianie zmienił go Gotrek, który ruszył na skałę, jakby to była horda orków. Posypały się kamień i pył.

– Spokojnie, Zabójco – powiedział Galin, unosząc głowę ze swego legowiska. – Nie wytrzymasz takiego tempa.

– Znam swoje możliwości – odrzekł Gotrek i kontynuował pracę w tym samym, wściekłym rytmie.

Przez pewien czas pracował szybciej niż pozostali, wycinając pół metra ściany w ciągu godziny, ale gdy rozpoczął drugą, postępy zwolniły, a odsłonięte plecy krasnoluda spłynęły potem. Nawet wtedy utrzymywał tempo Skórczanobrodego i wyglądało na to, że tak już będzie do końca zmiany. Chociaż inni chwalili go i zagrzewali, wydawał się niezadowolony; warczał i pomrukiwał.

Wreszcie wyszedł z otworu, krzywiąc się i ocierając czoło.

– Gotowy do zmiany? – spytał Ragar, wstając. Miał za sobą sześć godzin odpoczynku i wyglądał na dość świeżego.

Gotrek potrząsnął głową, podniósł drugi łom i bez słowa ponownie zniknął w otworze.

Pozostałe krasnoludy stłoczyły się przy wylocie, patrząc z otwartymi ustami, gdy Gotrek zaatakował przodek dwoma łomami, wymachując nimi z taką łatwością i zręcznością, z jaką jego towarzysze używali jednego. Wszędzie sypały się iskry i kawałki piaskowca.

Oczy mu błyszczały.

– Teraz zaoszczędzimy trochę czasu – warknął i podjął rytm. Jego masywne mięśnie pobłyskiwały od potu w świetle lampy. Urobek gromadził się wokół stóp Gotreka z zadziwiającą prędkością.

– On jest szalony – powiedział Galin.

– Zamęczy się na śmierć – rzekł Narin.

Hamnir spoglądał ciężko na plecy Gotreka, jakby chciał rozkazać Zabójcy, aby przerwał, ale cofnął się tylko do tunelu i odwrócił się.

Gotrek pracował przez kolejne trzy godziny i wykopał ponad metr – był to wyczyn, który wzbudził niemałą zazdrość wśród pozostałych, szczególnie braci Rasmussenów.

– Wykop nie ma właściwej formy – narzekał Karl, gdy podszedł do ściany podczas swojej drugiej zmiany i zamachnął się łomem.

– Nie nadałby się do prawdziwego wydobycia – zgodził się Ara, trzymając za nim latarnię.

– Prawdziwego wydobycia na dłuższą metę – skinął głową Karl.

Felix stawał się coraz bardziej zmęczony i czuł się winny z tego powodu. Podczas gdy krasnoludy heroicznie pracowały, on nie robił nic więcej poza nabieraniem kamienia na szufłę i wrzucaniem go do taczki, ale po dwunastu godzinach tej roboty nie był w stanie unieść głowy. Zaraz po tym, jak Karl rozpoczął drugą zmianę, oddał taczkę Thorgigowi i położył się na swoim pościeliu w ciemności za latarniami, układając głowę na starym płaszczu.

Zasnął niemal natychmiast, ale był to niespokojny sen. Poczucie obezwładniającej rozpacz, jaka ogarnęła go po wejściu do kopalni, nie zniknęło, bez względu na to, jak usilnie starał się je stłumić. Rozkwitło w jego snach niczym nocne kwiaty, blade i zepsute. W podświadomości czaiły się bezkształtne lęki, napierając na niego ze wszystkich stron i grożąc, że go zgniotą. Owadzie szepty, niczym wibracja przejrzystych skrzydeł, bzycały w jego uszach, wyrażając paskudne pragnienia. Czuł się tak, jakby przez ciasne przejścia kopalni ścigało go niewypowiedziane zło. Było wszędzie i nigdzie jednocześnie, ale zbliżało się do niego z każdą chwilą. Cokolwiek to było, zamierzało go zabić. Miał umrzeć tutaj. Nigdy nie wyjdzie z tych przeklętych tuneli. Nigdy nie ujrzy słońca. Ręce, które nie były rękami, sięgały z ciemności, aby zacisnąć się na jego gardle. Czuł twarde, zimne pazury na swojej szyi.

Felix rozbudził się, dysząc. Lodowaty pot zraszał jego brwi. Zaczerpnął głęboko powietrza i rozejrzał się z dudniącym sercem. Z postrzępionej dziury w ścianie dobiegało migotanie lamp i monotonny odgłos łupania w skałę. Wokół niego krasnoludy spały na swoich pościeliu, a ich głośne chrapanie przypominało rechot żab.

Spojrzał na nie z nagłą odrazą. Ludzie, którzy nigdy nie spotkali krasnoludów, często myśleli o nich jako o pewnej rasie niskich ludzi, ale po tak wielu latach z Gotrekiem Felix wiedział, jak jest naprawdę. To nie byli ludzie. Nie byli nawet kuzynami ludzi. To był inny gatunek – dziwna rasa niewysokich, kopiających w ziemi zwierząt o stadnych instynktach szczurów i upartych jak muły. Spojrzał na Thorgiga, który chrapał obok niego. Jak mógł kiedykolwiek myśleć o tych potworach, jak o podobnych ludziom? Wystarczy na nie spojrzeć – te ich płaskie, owłosione twarze, wielkie łapska, chropowata skóra w kolorze gliny i grube, pękate nosy, które przypominają raczej świńskie ryje.

To dziwne, że nie dostrzegał tego wcześniej, ale teraz nie mógł już znieść ich widoku. Żadnego z nich. Napawali go odrazą. Wszystko w nich było odrażające – co jeszcze pogarszał fakt, że w odróżnieniu od skavenów, orków czy innych potworów, udało im się zwieść ludzi tak, by uznali ich za równych sobie, a nawet lepszych od siebie! Nie! Nie można na to pozwolić. To były paskudne pokurcze, krety grzebiące w ziemi, zjadające ziemię i wydalające złoto. Poświęcali ludzi dla

kamiennych, demonicznych bogów, rozbijając ludzkie miasta. To oni zmusili go do tej długiej hibernacji.

Wzdrygnął się. Nie mógł dłużej znieść ich obecności. Dławił go ich smród. Nie mógł pozwolić, by żyli. Skoro nie zdoła złamać ich woli, muszą być zniszczeni. Stali na jego słusznej drodze do władzy nad światem. Dobył sztyletu i stanął, spoglądając na Thorgiga. To głupie zwierzę nie wiedziało, że zaraz spotka je śmierć. Felix schylił się i zatopił swój sztylet w arterii pod jego szczęką – trudnej do znalezienia przez przeklętą szczecinę tego bydłęcia.

Krasnolud szarpnął się i zaraz potem zwiotczał. Felix rozejrzał się. Żaden z pozostałych się nie obudził. Dobrze. Podeszedł do Narina, skulonego na boku. Zasłonił mu usta i wbił sztylet pod ucho jasnowłosego krasnoluda. Ten zadrżał i szarpnął się, ale tylko przez sekundę.

Za Narinem był Gotrek. Serce Felixa przyspieszyło. Stanął nad śpiącym Zabójcą, przypatrując mu się. Ten był mu jeszcze bardziej wstrętny od innych – umięśnione dziwadło o skórze przypominającej różowy granit i sztywnym grzebieniu włosów, jak u koguta. Wiedział z doświadczenia, że ten krasnolud ma siłę dziesięciu. Felix sięgnął w dół szybko i cicho. Zabójca był zbyt niebezpieczny. Musi go zabić pierwszym ciosem albo zostanie rozerwany na kawałki. Zakrył dłonią usta Gotreka, wymierzył ostrze sztyletu w podstawę szczęki, podobnie jak zrobił to z poprzednimi. Jedno szybkie pchnięcie i...

Jedyne oko Gotreka rozwarło się, a jego dłoń z błyskawiczną prędkością zacisnęła się na nadgarstku Felixa. Felix szarpnął się w tył, usiłując się oswobodzić, ale chwyt krasnoluda był żelazny. Walczył, usiłując się wyrwać, bijąc i kopiąc, ale krasnolud trzymał go dalej, przyjmując ciosy człowieka jak padające płatki śniegu. Gotrek chwycił go za drugi nadgarstek.

– Człeczyno – powiedział. – Człeczyno, obudź się.

Felix spróbował rąbnąć głową w krasnoluda. Nie zdołał go dosięgnąć. Miotał się w niesłabnącym uchwycie Gotreka. On...

Obudził się.



## Rozdział 16

Felix zamrugał oczami, skonfundowany. Gotrek nadal trzymał go za nadgarstki, ale to Felix leżał na plecach, a krasnolud nad nim wykrzywił twarz. Felixowi świat zawirował przed oczami.

– Wymachiwałaś sztyletem przez sen, człeczyno – powiedział Gotrek, puszczając go. – Zrobisz sobie krzywdę.

Zrobi SOBIE krzywdę? Zrobi o wiele więcej!! On... Felix usiadł z łomoczącym sercem i gonitwą myśli. Na Sigmara, zamordował dwa z...

Thorgig i Narin spoglądali na niego ze swych posłań mętным wzrokiem wyrwanych ze snu. Inne krasnoludy gapiły się na niego z cienia.

– Zapewne nie zechcesz zachować swoich koszmarów tylko dla siebie? – powiedział kwaśno Narin.

– I tak mamy za mało snu – dodał Thorgig i położył się ponownie.

Sen! Serce Felixa zalała fala ulgi. To był tylko sen!

– Przepraszam – mruknął. – Ja... Walczyłem z, ehem... Z demonami. Na przyszłość spróbuję robić to ciszej.

Położył się znowu, a Gotrek wrócił na swoje posłanie. Felix nie chciał próbować wyjaśniać im, co naprawdę robił w swoim śnie. Nie potrafił sam sobie tego wytłumaczyć. Skąd się wzięły te myśli? Nigdy nie zaznał tak dziwnego snu. Ani tak rzeczywistego. Nigdy w całym swoim życiu. Z pewnością miał mnóstwo powodów, żeby być poirytowanym przez krasnoludy, które były ponure, niewrażliwe i tak przekonane o swojej wyższości nad ludźmi, że obrażały go nieświadomie za każdym razem, gdy otwierały usta. Ale czy do tego stopnia, żeby próbować je pozabijać? Nie.

Usiłował przypomnieć sobie, co wpędziło go w ten morderczy szał, ale sen już zbladł, stając się niejasnym wspomnieniem. Zamykając oczy, widział tylko w pełnych barwach – żywych barwach – uczucie wszechogarniającego szału i obraz końca sztyletu zatapianego po rękojeść pod uchem Thorgiga.

Zadrżał i otworzył oczy, a potem usiadł i odpiął swój miecz i sztylet, aby trudno było ich dobyć we śnie. Pomimo tych kroków niełatwo mu było zasnąć ponownie, z obawy, co może uczynić.

Gdy się obudził ponownie, jego umysł był zamroczony, a serce ciężkie od zapomnianych snów. Karl właśnie kończył swoje drugie dwie godziny przy kamiennej ścianie, pracując po Arnii i Ragarze. Trzy krasnoludy wykopały prawie półtora metra otworu, a teraz toczył się spór o to, kto spośród krasnoludów powinien stanąć do pracy.

– Posuwamy się nie dość szybko – mówił Hammir. – To połowa popołudnia siódmego dnia. Armia Gorrila opuściła Rodenheim dwie godziny temu i jeśli wszystko poszło jak planowaliśmy, są już w połowie drogi. Przed upływem trzech godzin będą czekali na pozycji do ataku, aby usłyszeć zew rogu wojennego, a jeśli Galin ma rację, nadal pozostały cztery stopy ściany do przebicia. To kolejne sześć godzin kopania.

– Dajcie mi znowu kopać – powiedział Gotrek. – Jestem najszybszy.

– Nawet ty nie będziesz wystarczająco szybki – powiedział Galin. Westchnął. – Musisz być sprawny i gotowy do walki po drugiej stronie, a nie ledwo żywy z wycieńczenia.

– Przedostanie się do twierdzy jest ważniejsze – odparł Zabójca. – Ja to zrobię.

Podniósł dwa łomy i wkroczył do tunelu. Natychmiast rozległ się ostry łoskot stali o kamień rozbrzmiewający w niesłychanym tempie. Gotrek przechodził sam siebie, pracując jeszcze szybciej niż poprzednio.

Narin potrząsała głową.

– Nie wytrzyma. To niemożliwe.

Hamnir zarechotał.

– Wytrzyma, choćby po to, żeby ci tego dowieść.

Nie pozostało już nic poza wyczekiwaniem, podczas gdy nieustający, terkotliwy stukot łomów Gotreka rozlegał się w ich uszach. Jednak krasnoludom, pomimo powszechnego przekonania o krasnoludzkiej cierpliwości, czekanie nie przychodziło z łatwością. Być może ta ciężka atmosfera, która mąciła umysł Felixa wywierała wpływ także na opanowanie krasnoludów. Były nerwowe i opryskliwe; to opierały się o ściany korytarza, to niespokojnie krążyły w miejscu. Narin i Galin chodzili wzdłuż przejścia, pomrukując na siebie, gdy ocierali się ramionami. Skórczanobrody usiłował spać, ale tylko miotał się i obracał. Nawet bracia Rasmussonowie kłócili się między sobą, walcząc o ostatni kawałek płaskiego chleba.

Niewiele ponad godzinę później, Galin podskoczył z roziskrzonymi oczami.

– Słyszeliście? – zawołał, wskazując na tunel.

Inni patrzyli na niego tępym wzrokiem.

– Słyszeliśmy, co? – spytał Hamnir.

– Huk! – odparł podekscytowany Galin. – Łomy Zabójcy huczą, uderzając w skałę. Jesteśmy blisko. Bardzo blisko. Zostały może dwie stopy. – Wszedł do tunelu.

Hamnir poderwał się i ruszył za nim. Felix i krasnoludy stłoczyli się przy wejściu.

Galina ocenił odległość, którą Gotrek pokonał w ciągu ostatniej godziny.

– Nieco ponad stopę – mruknął, drapiąc się w głowę.

– Powiedziałaś, że zostało jeszcze sześć stóp, co najmniej.

– Ja... Ehem... Może nieco zawyżyłem ocenę. Dla pewności.

– Wynocha – rzucił Gotrek. – Dajcie mi miejsce.

Krasnoludy wycofały się. Zabójca sphywał potem. Jego jedyne oko było zaszkłone i niewidome, a idealna kontrola nad ciałem, jaką zawsze zachowywał, opuszczała go. Jego zamachy były dzikie i chwiał się na nogach, ale nie zwalniał tempa. Wyglądało na to, że jeśli się zatrzyma, upadnie, więc nie ośmielał się zatrzymywać.

– Jeśli utrzyma to tempo – powiedział Galin. – Przebijemy się w ciągu godziny.

– Wspaniałe wieści! – zawołał Hamnir. – Będziemy mieli pół godziny, aby przedrzeć się przez twierdzę i dotrzeć do bramy. Bardzo mało czasu, ale lepsze to od czterogodzinnego spóźnienia.

Oczekiwanie stało się jeszcze trudniejsze, ponieważ krasnoludy nie potrafiły się odprężyć, wiedząc, że cel jest tak blisko. Chodziły i przystawały, wyciągając, a potem chowając ponownie swoją broń i tak w kółko. Przeklinały się, że są tak niecierpliwe i przeklinały Gotreka za to, że jest tak powolny.

Niecałą godzinę później rozległ się trzask i sapnięcie zadowolenia, gdy Gotrek zawołał z głębi tunelu.

– Przebiłem się!

Krasnoludy wpełznąły się do wykopu, a Gotrek wznowił pracę. W ścianie widniała czarna dziura wielkości pięści, którą Gotrek każdym uderzeniem łomu poszerzał. Krasnoludy wiwatowały i żadne słowa Gotreka nie zdołały wypędzić ich z tunelu. Wszyscy zaglądali mu przez ramię.

Piętnaście minut później dziura osiągnęła nieco ponad pół metra szerokości i dostrzegli przez nią błyszczące w ciemności obiekty. Galin ruszył naprzód.

– Poczekajcie. Człowiek przecisnie się przez ten otwór. Wpuśćcie go i niech pracuje z drugiej strony.

Gotrek skinął głową i cofnął się. Galin wezwał gestem Felixa i uniósł latarnię. Felix wsunął się

w otwór i rozejrzał. W świetle migoczącego płomienia zamrugały do niego stopy na wpeł widocznych skarbów. Kryptę stanowił kwadratowy szyb, mający około sześciu i pół metra szerokości, który wznosił się w ciemność. Z pomocą Galina i Hamnira, Felix przecisnął się przez dziurę i stanął po drugiej stronie. Wziął latarnię i łom, które Hamnir podał mu przez otwór i zabrał się do pracy.

Z każdym uderzeniem nabierał ponownie szacunku dla siły i wytrzymałości krasnoludów. Był zmęczony po dziesięciu minutach, a one pracowały całymi godzinami. Ale nawet *niewprawne uderzenia* Felixa przyspieszały pracę i w końcu, po kolejnych piętnastu minutach, dziura była wystarczająco szeroka, aby przeszedł przez nią krasnolud. Krasnoludy zakrzyknęły radośnie, a potem, jeden po drugim, przelazły do krypty. Felix pomagał im stawać na nogi.

Gotrek przeszedł ostatni i usiadł ciężko na okrytym tkaniną kufrze, ocierając czoło i patrząc pustym wzrokiem przed siebie. Felix nie pamiętał czy kiedykolwiek widział Zabójcę tak wyczerpanego. Jego wielkie ramiona drżały ze zmęczenia.

Pozostałe krasnoludy uniosły latarnie i rozejrzały się w zachwycie po skarbach zgromadzonych w tej surowo wykutej krypcie. Na drewnianych stojakach spoczywały piękne pancerze ze złota i gromrilu, a ponad nimi rogate hełmy. Sprawiało to wrażenie, jakby skarbcza strzegły duchy krasnoludzkich wojowników. Zawile zdobione puzdra ze złota i srebra piętrzyły się jedno na drugim. Były niemal równie cenne jak skarby, które zawierały. Na ołtarzyku z czarnego marmuru spoczywał kielich ze złota i gładzonego kamienia. Wielki młot z kamienną głowicą, pokryty z każdej strony runami, wisiał na ścianie. Prastary zielony sztandar bitewny, z wyszytym na nim złotą nicią rogiem Karak Hirn, stał oparty o wazę z Kataju, niemal dwukrotnie przewyższającą wzrost krasnoluda. Krasnoludzkie księgi zostały złożone w kątach, a zwinięte pergaminowe mapy zatknięte w złote i srebrne tuby.

Ale nic nie przyciągnęło uwagi krasnoludów bardziej niż wyłożone aksamitem srebrne puzdro, które stało otwarte na stole. Jego zawartość lśniła w świetle latarni czerwopomarańczowym blaskiem.

- Krwawe złoto – wyszeptał Narin, oblizując usta.
- Spójrzcie, jak błyszczą – mruknął Galin.
- Nigdy nie widziałem tak wiele w jednym miejscu – powiedział Karl.

Felixa nie oszołomiła ta ilość. W pudle znajdowało się zaledwie dwadzieścia sztabek o połowę mniejszych niż zwykle, ale wywierały hipnotyzujące wrażenie na krasnoludach. Nie mogły oderwać od nich oczu.

- Piękne – powiedział Skórczanobrody. – Warte, by za nie zabić.
- Aye – dodał Arn. – Czerwone jak krew.
- Na górę, po schodach! – zawołał Hamnir, zatraskując pudło. – Nie powinniście tego widzieć.

Mamy mniej niż pół godziny. Gorril jest już na pozycji.

Krasnoludy zamrugały i opornie wróciły do siebie. Felix spojrzął w górę ciemnego szybu, gdzie wił się ciąg surowych schodów, wykutych w ścianach pod kątem niczym gwint śruby. Więcej wspinaczki. Cudownie.

Gdy inni zbliżyli się do schodów, Gotrek, opierając się ciężko na swoim toporze, ruszył powoli za nimi. Pot nadal parował z jego skóry.

Hamnir zatrzymał się, spoglądając z wyraźną rozpaczą za siebie, na dziurę w ścianie.

- Zostawiamy niestrzeżone wejście do skarbcza mojego ojca. Może moglibyśmy to zablokować...
- Zaklął i zmusił się do wspinaczki po schodach za innymi. – Nie ma czasu.

Felix ruszył za krasnoludami, przyciskając się do ściany wąskiego szybu najmocniej, jak potrafił.

Stopnie były dobrze wycięte i pewne, jak należało się tego spodziewać po robocie krasnoludów, ale brakowało poręczy, a gdy wspięli się na wysokość ośmiu, a potem dziesięciu poziomów Felix poczuł, że drżą mu kolana i żołądek podchodzi do gardła. Tutaj nie było żadnych lin ani kołków, a krasnoludy wyśmiałyby go niemiłosiernie, gdyby zdecydował się czołgać na rękach i kolanach albo poprosił o linę na tej „matce wszystkich schodów”. Zatem zachował swoje przerażenie tylko dla siebie.

Po siedmiu kolejnych okrążeniach, schody skończyły się małą platformą bez żadnych widocznych drzwi. Była tam tylko gruba kolumna z wypolerowanego marmuru. Tkwiła osadzona w jednej z surowych ścian. Za nią, na wysokości wzrostu krasnoluda, znajdowała się dźwignia z brązu i coś, co wyglądało na soczewki lunety. Hamnir podszedł i spojrział przez nie. Zamarł, a potem cofnął się, na przemian blednąc i czerwieniejąc z gniewu.

– W komnatach mojego ojca urzędują gobasy. Splugawiły... wszystko.

– Czy możemy przejść przez drzwi niezauważeni? – spytał Narin.

Hamnir skinął głową.

– Nie ma ich w komnacie sypialnej, ale widzę poruszenie w sali audiencyjnej. – Położył dłoń na dźwigni. – Thorgig, kiedy otworzę to przejście, przekradniesz się do drzwi po drugiej stronie i sprawdzisz, ilu ich jest. Musimy usunąć ich po cichu.

Thorgig naciągnął i załadował swoją kuszę.

– Gotowe – powiedział.

Pozostali dobyli sztyletów i toporów.

Hamnir pociągnął za dźwignię i gruba kolumna zsunęła się w podłogę bez najmniejszego dźwięku, odkrywając mroczną sypialnię, która cuchnęła niczym stos śmieci usypany nad szaletem. Krasnoludy skrzywiły się i zakrztusiły. Sterty gnijącego jedzenia i połamanych mebli, pogiętej broni, ścierwa zębaczy, rozbite naczynia i puste beczułki po piwie wznosiły się usypane do wysokości pasa – albo, w przypadku krasnoludów, ramion – na całej podłodze komnaty. Wielkie łóżko z baldachimem króla Alrika było zagrzebane tak głęboko, że tylko cztery słupki wystawały ponad odpadki. Wszystkie inne meble zostały rozbite i pocięte.

Krasnoludy zatrzęsły się z wściekłości, widząc to pobojuwisko.

– Zielone dzikusy! – burknął Galin.

– Zapłacą za to – zapewnił Thorgig.

– Cisza – rzucił Hamnir i wskazał mu następną komnatę.

Thorgig ruszył przez stos śmieci najciszej, jak potrafił. Z dalszych pokojów dobiegały odgłosy jakiejś pracy, trzaśnięcia, stukoty i szelesty, których Felix nie potrafił zidentyfikować. I skąd pochodził ten odór ekskrementów?

Thorgig przysunął się do ściany sali audiencyjnej i wyjrzał. Felix widział, jak jego oczy rozszerzyły się, gdy zobaczył wewnątrz. Cofnął się i wrócił do Hamnira.

– Przerobili salę na garbarnię! – szepnął.

– Na... Co? – spytał Hamnir.

– Garbarnię! – sapnął wzburzony Thorgig. – Stoi tam wielka kadź... Płynnych odchodów w miejscu, gdzie stał stół króla Alrika. Gobliny zanurzają w niej skóry i tłuką je, a później rozwieszają w całej komnacie.

– Jak wiele goblinów? – spytał Gotrek.

Thorgig zmarszczył czoło.

– Ehem, sześć i dwa orki przykucnięte nad kadzią. I jeszcze jeden z tyłu, czekający na swoją kolej.

– Drzwi na korytarz są zamknięte? – spytał Hamnir.

– Aye, ale nie na klucz.

Hamnir pomyślał.

– Poczekamy, aż orki wyjdą, a potem zabijemy gobliny tak cicho, jak to możliwe. – Rozejrzał się po pozostałych. – Postarajcie się je zdjąć od pierwszego ciosu, aye?

Skinęli głowami.

Hamnir zwrócił się do Gotreka.

– Ty w to nie wchodzisz – powiedział.

– Spróbuj mnie powstrzymać – odrzekł Gotrek. Nadal był śliski od potu i dyszał ciężko.

– Rozkazuję ci – powiedział Hamnir. – Musisz się oszczędzać na Wrota Rogu.

Gotrek mruknął, ale skinął głową.

Krasnoludy wkroczyły do sypialni i zaczęły się ostrożnie posuwać naprzód przez góry śmieci. Gotrek i Felix ruszyli ostatni. Gdy wszyscy przeszli przez drzwi, Hamnir odwrócił się w stronę ozdobnego reliefu stykającego się z kolumną i wcisnął jakiś drobny element. Gruba kolumna uniosła się ponownie równie cicho, jak się opuściła. Wyglądała tak, jakby nigdy nie ruszała się z miejsca.

Krasnoludy przemierzyły komnatę i rozstawiły się na krawędziach kwadratu światła, które wpadało przez drzwi sali audiencyjnej. Wnętrze wyglądało tak, jak opisał je Thorgig. Pośrodku sali stała wysoka na ponad metr drewniana kadź, wypełniona półpłynnymi odchodami orków. Drewniane schodki prowadziły do ławki wychodka z dwoma otworami otwierającymi się nad kadzią. Ork właśnie wciągnął spodnie i zaczął schodzić po schodach.

Przy brzegu kadzi stał goblin, który mieszał paskudną breję drewnianym drągiem i wpychał do niej surowiec. Po jednej stronie kadzi zostały ustawione ramy do suszenia i naciągania. Wisiały na nich rozciągnięte skóry. Na niektórych widniały krasnoludzkie tatuaże. Gobliny używały drewnianych młotów, którymi ubijały skóry na kwadratowych blokach skalnych. Inne nacinały je zakrzywionymi nożami. Dwa siedziały ze skrzyżowanymi nogami na królewskich, krasnoludzkich meblach, zszywając pocięte skóry na kształt czegoś, co wyglądało jak skórzane pancerze. Pomieszczenie było całkowicie zaśmiecone na wpół ogryzionymi pościami szynek i czarne od brudu.

Hamnir zadrżał.

– To zbrodnia – powiedział pod nosem. – Mój ojciec byłby... – Otrząsnął się i zamilkł.

Orki wyszły przez drzwi na korytarz. Gobliny nawet nie podniosły wzroku, nie oderwały się od swojej pracy. Były tak skupione jak urzędnicy księgowi.

Hamnir uniósł dłoń. Pozostali chwycili przygotowaną broń. Opuścił rękę. Krasnoludy natarły przez drzwi. Felix ruszył za nimi. Tylko Gotrek czekał z tyłu.

Cztery gobliny zginęły na miejscu, ścięte, zanim zdążyły wydobyć z siebie jakikolwiek odgłos. Ten z zakrzywionym nożem zaskrzeczał, gdy Skórczanobrody biegł w jego stronę i rzucił się w stronę pomieszczenia, które dawniej mogło być jadalnią. Skórczanobrody popędził za nim. Felix uderzył w goblina z mieszadłem, ale stwór dał nura za kadź. Ostatnie dwa gobliny wydały jedynie cichutki skrzek zaskoczenia i już nie żyły. Były tak samo ciche i pozbawione werwy jak inne gobasy, które spotkali.

– Brać ich! – syknął Hamnir.

Narin i Galin ruszyli na goblina z mieszadłem, ale ten przemknął między nimi, a czołowe zderzenie omal nie pozbawiło ich głów. Karl, Ragar i Arn pobiegli za stworem, który schował się za ramami. Ragar poślizgnął się na mokrej skórze i upadł na zadek. Ramy zwały się. Z sali jadalnej dobiegło głucho łupnięcie.

– Na matkę Grimmira! – warknął Hamnir. – Cicho!

Goblin od mieżadła wyskoczył z płataniny ram i wspiął się na krawędź kadzi, a potem wskoczył na żyrandol, który nad nią wisiał. Wymachiwał swoją absurdalną bronią w kierunku krasnoludów, które usiłowały do dopaść.

– Mam go – powiedział Felix i pobiegł po drewnianych schodkach, zamachując się mieczem. Goblin uskoczył mu drogi i uderzył Felixa w ramię mieżadłem. Felix zachwiał się, niemal wpadając do kadzi. Utrzymał równowagę, a serce waliło mu jak młotem. Był niedaleki od zwieńczenia wszelkich upokorzeń.

W piersi goblina pojawił się belt kuszy. Stwór zaskrzeczał i padł, tonąc do połowy w kadzi i ochlapując nogi Felixa deszczem paskudnej ciecży. Żyrandol chwiał się gwałtownie w tył i w przód.

– Mały podlec! – burknął Felix i ciął stwora, który próbował uchwycić się krawędzi sagana. Odciął mu głowę, a ciało zważyło się na podłogę od siły uderzenia. Łeb przez chwilę unosił się w kadzi niczym zgniłe jabłko, a potem zatonął.

– Pssst! – szepnął Galin. Stał przy drzwiach na korytarz. – Ktoś nadchodzi. To chyba patrol.

Krasnoludy zamarły, wszystkie poza Skórczanobrodym, który nadal ścigał swojego goblina wokół stołu w jadalni. Stukot maszerujących stóp dobiegał wyraźnie przez kamienne ściany.

– Thorgig, pomóż mu! – wyszeptał Hammir. – Karl, Ragar, Arn, ukryjcie ciała, a potem sami się schowajcie. Galin, Narin, zakryjcie krwawe plamy. Jaeger...

Ostatni goblin wybiegał z jadalni, lecz krasnoludy już ruszyły wykonać rozkazy Hammira. Skórczanobrody rzucił się za uciekającym malcem i przybił go do podłogi swoim toporem.

– Wynoście się! – syknął Hammir, machając ręką. – Nadciąga ich więcej.

Maszerujące stopy zatrzymały się za drzwiami. Skórczanobrody wciągnął swojego goblina z powrotem do jadalni, podczas gdy bracia Rasmussonowie rzucili pozostałe Gotrekowi, który upchnął je za drzwiami sypialni. Narin i Galin narzucili luźne skóry na kilka plam krwi, które pokrywały podłogę. Felix zeskoczył ze schodów i pobiegł w stronę drzwi sypialni, ale Hammir wystawił głowę z alkowy i na coś wskazał.

– Jaeger! Żyrandol!

Felix odwrócił się. Przeklęta rzecz nadal się huśtała. Zaklął i wskoczył z powrotem na schodki od kadzi. Krasnoludy zniknęły za drzwiami i chowały się za meblami. Felix wyciągnął rękę i zatrzymał żyrandol. Gałka w drzwiach już się obracała. Zaklął ponownie. Nie zdąży dobiec do żadnych drzwi. Był na widoku.

## Rozdział 17

Drzwi na korytarz zaczęły się uchylać. Felix zeskoczył z drewnianych stopni i przetoczył się, wciskając w ciasną przestrzeń pod schodami. Jego plecy opierały się o kadź. Podpora uciskała go boleśnie w uda. Mokre spodnie przywierały do skóry. Cuchnęły.

Przez szczeliny między stopniami Felix widział żylaste, zielone kolana ogromnego orka w nabijanej ćwiekami skórni i ciężkich buciorach, który wszedł do sali i zbliżył się do kadzi. Za drzwiami, w ordynku, stała kompania orków.

– Och, nie – mruknął Felix.

Nacisk buciorów wywołał skrzywienie stopni. Buty zatrzymały się dokładnie nad głową Felixa. Felix wstrzymał oddech. Jeśli choćby drgnie, ork go usłyszy.

Usłyszał krótkie poruszenie nad sobą, a potem głębokie, zadowolone westchnienie i coś plusnęło w kadź. Felix modlił się o szybki koniec, ale ork musiał się nażreć, bowiem chlupoty i plaśnięcia nie chciały ustać. Po wyjątkowo gwałtownym wyładowaniu, kilka kropel prysnęło na deski ponad głową Felixa. Łezka cuchnącego, brązowego płynu uformowała się pod jedną z desek i zawisła dokładnie nad jego głową.

Felix spojrzał w górę, przerażony. Nie ośmielił się ruszyć. Najmniejszy ruch zaalarmowałby orka.

Ork stęknął i zmienił pozycję. Kropła spadła. Felix zamknął oczy. Upadła na powiekę jego prawego oka, a potem powoli spłynęła. Felix spał się, tłumiąc w sobie krzyk. Ciecz paliła jak ocet. Chciał tłuc rękami i kopać.

Ork stanął, zapewniając Felixowi widok na te części swojej anatomii, bez których widoku Felix mógł się całkowicie obejść, a potem podciągnął spodnie i ruszył w dół po schodkach. W połowie drogi zatrzymał się i rzucił jakieś pytanie. W jego głosie pobrzmiwał dziwny świergot, niepodobny do zwyczajnego powarkiwania orków.

Felix jęknął w duchu. Ork wreszcie zauważył, że nie było goblinów. To był koniec. Będą musieli walczyć z całym oddziałem, a później z całą twierdzą. Powtórzy się sytuacja spod drzwi Birrissona. Felix spojrzał w bok zbolalymi oczami i zobaczył Gotreka oraz braci Rasmussonów w cieniu sypialni, przygotowanych do ataku z bronią w ręku.

Ork ponownie rzucił pytanie, a potem podszedł do drzwi i odezwał się do swego kapitana. Kapitan wsunął głowę do środka, a ork wskazał pomieszczenie machnięciem dłoni.

Dowódca przez długą chwilę marszczył czoło, ale tylko wzruszył ramionami i nakazał orkowi powrót do szeregu. Jego głos także był wysoki i świergotliwy. Ork wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

W całym pomieszczeniu rozległo się chóralne westchnienie krasnoludów. Wyszły zza drzwi i mebli, oddychając z ulgą.

Narin skrzywił się, widząc Felixa wypełzającego spod schodków.

– Nieczęsto człowiek widzi coś takiego i żyje.

– Nieczęsto człowiek widzi coś takiego i CHCE dalej żyć – oparł Felix. Otarł powiekę i rozejrzał się za czymś, w co mógłby wytrzeć swoje spodnie. – I nie tylko to wpadło mi w oko. Pali żywym ogniem.

– To ci dopiero znamię godne prawdziwego bohatera! – zaśmiał się Galin.

– Bawi cię to? – spytał Gotrek, wychodząc z sypialni. – Ciekaw jestem, czy ty byś zdzierzył.

– Czy bohater ma siedzieć bez ruchu? – spytał Galin. – Ja bym wyskoczył i zabił stwora, zanim spadłaby choć jedna kropła.

– I zabiłbyś nas wszystkich – powiedział oschle Hamnir.

– Bardzo bohaterskie.

Odwrócił się do drzwi.

– A teraz, śpieszmy się, zanim więcej z nich przyjdzie napełnić kadz. – Przyłożył ucho do panelu na ścianie, a reszta zebrała się za nim. – Idziemy w lewo – oznajmił.

– A potem w górę. Wrota Rogu są oddalone zaledwie o trzysta jardów na wschód, ale to jest poziom wielkich sal. Tu będzie zbyt tłoczno. Dwa poziomy wyżej znajdują się spichrze na ziarno. Przejdziemy tam przez całą długość twierdzy, a potem wrócimy na dół drugim ciągiem schodów w pobliżu wrót. Gotowi?

Krasnoludy skinęły głowami. Ich skryte pod brodami twarze były zacięte i ponure.

Hamnir ponownie wyteżył słuch, powoli uchylił drzwi i wyjrzał. Oświetlony pochodniami korytarz rozbrzmiewał echem poruszenia w oddali, ale nic nie działo się w pobliżu. Hamnir skierował się w lewo i cicho wślizgnął do sali. Krasnoludy ruszyły za nim, jeden z drugim. Felix szedł na końcu, czując dyskomfort z powodu wilgotnych spodni. Pomimo tego, co powiedzieli Gotrek i Hamnir, trudno było czuć się bohaterem, będąc mokrym od orczych wydaliny.

Schody na wyższy poziom znajdowały się nie dalej niż o dwadzieścia metrów, po drugiej stronie sali, ale trzy razy musieli zatrzymać się i ukrywać, aby przepuścić patrole orków i robotników. Za każdymi drzwiami, które mijali, dostrzegali gobliny i orki pochłonięte pracą. Cięły i obrabiały drewno, budowały maszyny do tortur i trebusze, zarzynały i skórowały zwierzęta, przygotowując jedzenie, tkwały.

– Tkają? – szepnął zdumiony Galin. – Gobasy nie zajmują się tkactwem!

– To przypomina bardziej pszczeli ul niż gniazdo orków – mruknął Gotrek.

– I co się stało z ich głosami? – spytał Narin. – Świergoczą i paplają niczym... Niczym...

– Małpy? – podsunął Thorgig.

– Mutanci, to chciałem powiedzieć – odparł Narin.

Hamnir zatrzymał się przy schodach i wyjrzał na nie ostrożnie, po czym skinął na pozostałych. Wspięli się o dwa poziomy i wyszli na szeroki, nieoświetlony korytarz. Krasnoludy odsłoniły swoje latarnie i ruszyły dalej. Powietrze wypełniał ciężki, duszący zapach gnijącej pszenicy. Hamnir węszył, marszcząc brwi.

– Chyba nie otworzyły silosu, żeby zamókl? W tym roku nie mamy zbyt wiele ziarna na zmarnowanie.

Wzdłuż całej długości korytarza, dokąd sięgał wzrok w świetle latarni, widniały wielkie drzwi. Wszystkie były otwarte. Hamnir zajrzał do pierwszych po prawej. Pomieszczenie wewnątrz było małe i pod jego lewą ścianą piętrzyły się beczki oraz puste płócienne worki. W tylnej ścianie osadzone były okute żelazem drzwi wyposażone w wychodzącą z nich rynnę. Rynna była jednak ledwie widoczna, ponieważ żelazne drzwi zostały otwarte i wysypało się z nich złote ziarno, tworząc coś na kształt malej wydmy. Smród pleśni nasilił się, a nad hałdą poruszyły się czarne cienie – szczury, dziesiątki szczurów.

– Niech ich Valaya przeklnie! – warknął Hamnir. – Pomimo tego szczebiotu i tkania, to nadal bezmyślne dzikusy!

Spojrzał przez drzwi po lewej. Ten silos także był otwarty i pszenica wysypywała się na podłogę niemal po same drzwi. Jeszcze więcej szczurów tłoczyło się na górze ziarna.

Hamnir zadrzał.

– Dwa zbiorniki zepsute? To będzie chuda zima. To... – Spojrzał w głąb sali, powoli poddając się trwodze, a potem ruszył pośpiesznie naprzód.



Inni szybko poszli za nim. Hamnir zajrzał za kolejne drzwi. Dwie następne izby wyglądały tak samo jak pierwsza – żelazne drzwi otwarte i hałdy gnijącego ziarna oblezione przez szczury. Hamnir sapnął i pospieszył do następnych drzwi. Te silosy także zostały otwarte, podobnie jak para kolejnych.

Hamnir oparł się ciężko o ścianę, kryjąc twarz w dłoniach.

– Grimmirze – powiedział, dławiąc się. – Zabili nas. Nawet, jeśli odbijemy twierdzą i wypędzimy ich, zwyciężyli. Umrzemy z głodu. Nie będzie chleba. Nie będzie piwa. Twierdza nie przetrzyma zimy. Czy oni poszaleli? Dlaczego to zrobili? To samobójstwo, także dla nich.

– Coś się zbliża – odezwał się Skórczanobrody.

Krasnoludy zasłoniły latarnie i weszły do spichrza. Wyjrzały przez drzwi. Blask pochodni i wielkie, paskudne cienie zamajaczyły za rogiem, daleko przed nimi. Potem pojawiła się dziwna procesja – dwa wielkie orki pchały wózek górniczy, przed nimi biegł tuzin goblinów, wszystkie uzbrojone w ząbkowane włócznie oraz worki. Gobliny wbiegały do silosów, skąd rozbrzmiewały odgłosy szamotaniny i piski. Potem pojawiały się ponownie z nabitymi na włócznie szczurami. Pakowały je do swoich worków i biegly do następnych pomieszczeń.

Gdy wyszły z izby, worek jednego z goblinów był już pełen. Opróżnił go do wózka, a potem wrócił do swoich kompanów w głębi sali.

Hamnir wpatrywał się w to z otwartymi ustami, ale Narin sapnął cicho.

– Używają ziarna do hodowli szczurów! – szepnął. – Genialne!

– Głupcy! – powiedział Hamnir, potrząsając głową. – Bezmózdzcy idioci.

– Idą tutaj, książę – powiedział Thorgig, spoglądając na szczury kłębiące się w ziarnie u ich stóp.

– Racja – odparł Hamnir. Rozejrzał się. Pod jedną ze ścian ustawione były beczki. – Chowajcie się za nimi. Prędko.

Krasnoludy ruszyły przez rozsypane ziarno i ukryły za beczkami.

– Znowu chowamy się przed goblinami – mruknął z odrazą Skórczanobrody, ale wraz z pozostałymi wstrzymał oddech, gdy do pomieszczenia wbiegły trzy gobliny, dźgając szczury małymi włóczniami. Szczury zapiszczały i rozbiegły się po kątach. Gobliny nie ściagały ich zbyt zajadle. Było tak wiele szkodników, że bez większego wysiłku każdy z łowców nadział trzy albo cztery. Wpakowały je do worków i wybiegły ponownie.

Krasnoludy pozostały na miejscu, nasłuchując. Turkot kół wózka nasilił się, po czym osłabł w oddali. Gdy zbieracze szczurów przeszli, Hamnir wyszedł z ukrycia.

– Musimy się pośpieszyć. Mogą tu wrócić. Zgaście lampy.

Krasnoludy podeszły do drzwi i spojrzały na lewo. Orki i gobliny były pięćdziesiąt metrów dalej, wyszły więc i ruszyły w prawo. Hamnir przeklinał za każdym razem, kiedy mijali kolejny zrujnowany silos.

Korytarz na końcu skręcał w prawo, otwierając się na schody, które prowadziły w dół i w górę.

Hamnir odwrócił się do pozostałych.

– Schodząc, będziemy bardzo blisko głównego korytarza. Bądźcie uważni.

Poprowadził ich powoli po schodach i dwa poziomy niżej weszli do ocienionego bocznego przejścia. Blask lamp z głównego korytarza, ledwie dziewięć metrów po prawej, odbijał się w ostrzach ich toporów. Słyszeli gardłowe, świergotliwe głosy. Docierało do nich także echo ciężkich kroków. Wielka kompania orków, uzbrojona w krasnoludzkie muszkiety przeszła z prawej strony na lewą.

Gdy orki ich minęły, Hamnir poklepał Thorgiga po ramieniu i nakazał mu gestem, aby ruszył dalej. Młody krasnolud cicho podbiegł do głównego korytarza i wyjrzał, rozglądając się na obie

strony. Nagle skulił się i przycisnął do ściany, bo ponownie rozległ się odgłos kroków i drugi oddział orków przeszedł za pierwszym. Tym razem były uzbrojone w łuki i topory. Thorgig patrzył za nimi, kiedy znikwały w głębi sali, a później wrócił do Hammira i reszty.

– Pierwsza grupa poszła do stróżówki. Druga ruszyła w stronę wyjścia dla harcowników.

Hammir skinął głową.

– Strzelcy do wieżyczek i zwiadowcy, którzy mają nękać kolumnę marszową Gorrila. To oznacza, że już jest na pozycji. Dobrze.

– Dla mnie to nie brzmi dobrze – powiedział, krzywiąc się Galin. – Jeśli orki rozstawiają strzelców na wieżyczkach, twoja armia zostanie wystrzelana, gdy się zbliży.

Hammir skinął.

– To dlatego Gorril musi mieć możliwość ataku na wprost, aby nasi bracia nie musieli przyjąć więcej niż jednej salwy, czekając, aż my otworzymy bramę. Problem w tym, że jeśli mamy rozewrzeć wrota, będziemy musieli powstrzymać orki na wieżyczkach od... Czekać. – Zmarszczył czoło i rozejrzał się. Tuż za nimi znajdował się pusty pokój. – Chodźcie – powiedział. – Narysuję to wam. Trzeba sporo opowiedzieć, a nie mamy wiele czasu.

Wprowadził wszystkich do pustego, mocno zakurzonego pomieszczenia i przykucnął. Pozostali nachylili się nad nim.

– Wygląda to tak – powiedział, rysując w kurzu grubym palcem. – Do Wrót Rogu można się zbliżyć przez wąski kanion o stromych ścianach. Nasi przodkowie wbudowali w te ściany osiem wieżyczek, po cztery z każdej strony, aby można było ostrzelać ogniem krzyżowym dowolną armię, która spróbuje zaatakować kamienne wrota. Dwadzieścia stóp za pierwszymi drzwiami znajdują się drugie. Nad nimi i po obu bokach rozmieszczone są otwory strzelnicze, skąd nasi obrońcy mogą wylewać wrzący olej i ostrzeliwać z kuszy tych napastników, którzy przedostali się przez pierwsze drzwi i usiłują sforsować drugie. – Kanion, wieżyczki i wrota nabrały kształtu po kilku wprawnych ruchach palca Hammira. Potem zaczął rysować plan pomieszczeń za wrotami. – Po prawej i lewej stronie głównego korytarza, tuż za wrotami, znajdują się dwie wartownie. Drzwi w każdej stróżówce prowadzą do wieżyczek i wykuszków dla strzelców powyżej. Gdy drzwi w obu pomieszczeniach zostaną zamknięte, orki w wieżyczkach i wykuszkach nie będą mogły wrócić.

– O ile nie rozwalą drzwi – dodał Narin.

– Ehem, owszem – powiedział Hammir i kontynuował. – Izby, w których znajdują się otwierające wrota dźwignie także mieszczą się w wartowniach. Aby wrota zostały otwarte, dźwignie w obu pokojach muszą być pociągnięte jednocześnie. Są dwa takie mechanizmy w każdym pokoju – jeden do bramy zewnętrznej i drugi, do wewnętrznej. Oba pokoje łączy tuba, przez którą mogą rozmawiać obsługujący dźwignie, aby zgrać swoje działania. Jest tam także luneta, która pokazuje kanion za wrotami. Czy wszystko jasne?

Krasnoludy skinęły głowami. Felix chciałby wysłuchać tego wszystkiego jeszcze raz, ale nie odważył się poprosić o powtórzenie.

– Nie jest to tak dobrze pomyślane, jak wrota Karak Varn – powiedział, pociągając nosem Galin – ale wystarczająco solidne. Dobry system.

– Cieszę się, że spotkał się z twoim uznaniem – odrzekł oschle Hammir. Odwrócił się ponownie do mapy. – Oto, co musimy zrobić. Musimy zaatakować jednocześnie obie stróżówki, unieszkodliwić wszelkie straże, jakie tam spotkamy i zablokować drzwi do wykuszków i wieżyczek, nie alarmując reszty twierdzy. Gdy to zostanie zrobione, Thorgig... – przerwał i spojrzał na młodego krasnoluda wzrokiem łączącym smutek i gniew. – Thorgig zdecydował, że przejdzie do pierwszej wieżyczki i zadmie w róg bitewny, aby powiadomić Gorrila, że jesteśmy na pozycji.

– Ale... Ale wieżyczki są pełne orków – zauważył Narin. – Zabiją go.

– Aye – odparł Hamnir, spuszczać oczy. – Tak się stanie.

Klepnął się w nogę.

– Do kroćset, chłopcze. Czy naprawdę chcesz porzucić swój żywot? Skórczanobrody jest Zabójcą, podobnie jak Gotrek. Oni szukają chwalebnej śmierci. Oni...

– Czy znowu musimy się o to kłócić? – spytał, przerywając mu, Thorgig. – Jestem strażnikiem Wrót Rogu od dziesięciu lat. Wtedy moim obowiązkiem było dąć w róg. Teraz to też mój obowiązek.

– Ale...

– Książę, proszę – odrzekł Thorgig. – Oni nie wiedzą, jak dąć w róg.

– Ehem... – zaczął Skórczanobrody. – Ja... Mógłbym spróbować.

Thorgig spojrział zuchwale na Hamnira.

– Sam widzisz. To muszę być ja. Nikt inny nie może być pewien, że go usłyszą.

Hamnir westchnął.

– Na to wygląda.

– A zatem – powiedział Gotrek. – Thorgig zadmie w róg, my otwieramy wrota, Gorril naciera z armią i po krzyku. Zgadza się?

– Cóż, to będzie troszkę trudniejsze – odparł Hamnir.

Felix jęknął. Dlaczego nic nie mogło pójść łatwiej, niż się spodziewał?

– Mów dalej – odrzekł Gotrek.

– Marsz Gorrila z wysuniętej pozycji do wrót potrwa piętnaście minut – powiedział Hamnir. – Nie możemy otworzyć bramy, dopóki nie ujrzymy, jak wchodzi do kanionu, inaczej orki uformują się przed wrotami i zablokują wejście. Będziemy musieli utrzymać stróżówki przez te piętnaście minut, aby uniemożliwić orkom odbicie ich i powstrzymanie nas przed pociągnięciem za dźwignie. To byłoby łatwe, gdyby reszta twierdzy nie została zaalarmowana, ale gobasy zapewne usłyszą róg Thorgiga i przybiegną tutaj, a wówczas...

Gotrek i Skórczanobrody wyszczerzyli się.

– A wówczas będziemy mieli pełne ręce roboty.

– Aye – potwierdził Hamnir. Wyglądał na znacznie mniej zadowolonego z tej perspektywy. Pogrzebał w swojej sakiewce i wyciągnął pierścień z kluczami, który rozchylił i zsunął zeń cztery klucze. – Podzielimy się na dwie grupy. Jedna weźmie wartownię po lewej, a druga tę po prawej. Trzech w każdej grupie zabije w środku strażników, podczas gdy pozostałych dwóch utrzyma zamknięte drzwi na schody prowadzące do wykuszów strzeleckich, dopóki ich nie zablokujemy. – Spojrzał na nich. – Gotrek, Jaeger, Narin, Karl i Ragar, weźmiecie lewy pokój. Kto zajmie się kluczami?

– Ja – odezwał się Narin.

– A których dwóch przytrzyma drzwi, gdy inni będą walczyli?

– Ja będę walczył – powiedział Gotrek. – Podobnie jak człeczyna.

– My chcemy walczyć! – zawołał Karl.

– Aye – odrzekł Ragar. – Niech Zabójca stoi przy drzwiach! Nadal jest zmęczony po kopaniu!

– Chcesz się przekonać? – warknął Gotrek.

– Mówcie ciszej! – syknął Hamnir.

Gotrek rzucił Ragarowi i Karlowi zimne spojrzenie.

– Wystarczy walki dla nas wszystkich, zanim to się skończy. Założę się, że posmakujecie jej więcej, niż byście chcieli.

Bracia łypnęli na niego, a potem wzruszyli ramionami.

Hamnir wręczył Narinowi dwa klucze. – Ten z kwadratowym otworem jest do drzwi na wykusze i wieżyczki. Ten z okrągłą pętlą jest od pokoju z dźwigniami.

– Kwadratowy – wykusze. Okrągły – dźwignia – powiedział Narin. – Zrozumiałem.

Wepchnął klucze do swojej sakiewki.

Hamnir odwrócił się do pozostałych krasnoludów.

– Ja zatrzymam klucze od naszej strony. Galin i Thorgig będą trzymali drzwi od wykuszu.

Wszystko jasne?

Pozostali skinęli głowami.

– Dobrze – Hamnir wstał. – A teraz prędko. Pamiętajcie tylko, że musimy utrzymać dwie stróżówki, nie wpuszczając nikogo za wszelką cenę, dopóki nie nadejdzie armia Gorrila. – Podeszedł do drzwi. – Ruszajmy.

Felix poszedł za krasnoludami, które skierowały się bocznym przejściem w stronę głównego korytarza. Przełknął ślinę, usiłując uspokoić żołądek. Wszystko to brzmiało bardzo składnie i bohatersko, ale nie dawało wielkiej szansy na przeżycie.

Nawet gdyby zdołali się utrzymać do przybycia armii Gorrila, to był tylko początek walki. Później będą musieli podbić całą twierdzę. Felix wyobraził sobie Gotreka stojącego samotnie wśród morza orków, podczas gdy wokół niego wszyscy towarzysze leżą martwi, włącznie z Felixem. Trudno było wyrzucić z umysłu tę wizję.

Trzy metry przed głównym korytarzem zatrzymali się, słysząc kroki i świergotliwe głosy zbliżające się od strony bramy. Skulili się w cieniu, gotowi do walki. Potężny ork, największy, jakiego Felix kiedykolwiek widział, przeszedł obok nich, rzucając urywane rozkazy wysokim, świszczącym głosem, całkowicie niepasującym do jego rozmiarów, świecąc swoich poruczników i towarzyszącym im goblinom. Ale to nie głos orka był najdziwniejszy.

Jego oczy były błyszczącymi, czarnymi gałkami, a skóra blada i woskowa niczym wysmarowana łojem. Z jego czaszki i przedramion wyrastały nieregularne, białe narośle, jakby pod skórą rosły guzy, które ją wypychały. Stwór cuchnął, ale nie tak, jak ork, ale kwaśno i dusząco, jak pozostawione na tydzień mleko. Nosił dziwną, jakby chitynową zbroję, taką, jak te wykuwane przez orki w kopalni. Pancierz był czarny, połyskliwy i pokryty zawiłą płataniną wypustek i krawędzi.

Osobliwie ukształtowana złota obręcz spoczywała wokół jego masywnego, bladozielonego karku. Niczym trzecie oko lśnił w niej oszlifowany, czarny klejnot. Dłoń o rozmiarach nadzwyczajnie wielkiej dyni zaciskała się na toporze o dziwacznym kształcie, większym niż jakikolwiek inny tasak orków, ale wykonanym z niemal krasnoludzką precyzją. Najbardziej jednak niepokojący był fakt, że pomimo wojowniczego wyglądu, dzika twarz ze sterczącymi kłami była beznamietna i nieruchoma jak u lunatyka.

Krasnoludy, kręcąc nosami z powodu ohydny zapachu, patrzyły jak ten dziwaczny stwór przeszedł dalej w głąb sali.

– Ciekawe, kim jest u siebie? – szepnął Ragar.

– To ich szef albo jestem niziołkiem – powiedział Arn.

– Ale co się z nim stało? – spytał Karl. – Wyglądał... Śmierdział... Niezdrowo.

– To kolejny dowód, że dzieje się coś niepojętego – odparł przyciszonym głosem Hamnir. – Nowe pułapki w hangarze Birriego, wydobywanie tkanin, niezwykle dla orków świergoty, ta dziwna zbroja z wypustkami – to nie jest w porządku. Nic a nic.

Gotrek skinął głową, spoglądając na swój topór. Runy na jego głowicy znowu lśniły.

– Dzieje się coś dziwnego, to prawda. – Zmarszczył czoło, patrząc za wielkim orkiem, który zniknął w głębi twierdzy, po czym wzruszył ramionami. – Ruszajmy.

Hamnir pokiwał głową. Korytarz wiodący do wrót był wolny.

– Dobrze – powiedział. – Bełty na cięciwy i biegiem. Nie dajcie im czasu na reakcję. Naprzód!

## Rozdział 18

Krasnoludy wybiegły i, rozdzielając się, popędziły w stronę stróżówek. Wielki blok skały, który stanowił wewnętrzne drzwi Wrót Rogu, wznosił się na końcu szerokiego korytarza niczym monolit, zwarta skała bez pęknięć i zawiasów. Dwie pary drzwi były osadzone w ścianach korytarza tuż obok. Z ich wnętrza wydobywał się blask pochodni.

Krasnoludy pokonały niewiele ponad połowę odległości, gdy ze stróżówki po prawej stronie wyszedł ork i skierował się do lewej. Odwrócił się, dostrzegając poruszenie kątem oka. Thorgig i Narin wystrzelili ze swych kusz. Ork zwałił się z łupnięciem. Jeden bełt uwiązł mu w gardle, a drugi w piersi.

Z wartowni dobiegły pytające warknięcia. Krasnoludy puściły się biegiem w ich stronę. Gotrek prowadził po lewej, Skórzanobrody po prawej.

Orcze głowy wychyliły się zza drzwi niemal w tej samej chwili, w której dotarły do nich krasnoludy. Gotrek zatopił swój topór w czole orka po swojej stronie i ruchem ramienia wepchnął go do pokoju. Skórzanobrody zrobił to samo po swojej i krasnoludy wbiegły za nimi.

Gdy do środka wbiegał Felix, jeden z orków wyskoczył zza stołu pośrodku lewej stróżówki. Usiłował dobyć broni. Gotrek skoczył na niego. Zabójca odrąbał stworowi łeb, zanim ten zdołał wyciągnąć tasak. Karl i Ragar minęli go biegiem i zamknęli drzwi do wykuszów strzeleckich i wieżyczek. Zaparli się o nie ramionami.

Gotrek rozejrzył się z odrazą. Pod jedną ze ścian stał stojak z muszkietami, pod drugą – wielki gong alarmowy z brązu. Drugie drzwi blokowali bracia Rassmussonowie, a w pomieszczeniu nie było żadnych orków.

– Gdzie moja walka? – zapytał.

W drugim pokoju zabrzmiał szcęk broni.

– Ha! – Gotrek rozpromienił się i pospieszył do drzwi. – Stójcie tutaj i blokujcie drzwi.

– Aye, Zabójco – powiedział Karl, wykrzywiając usta. – Ruszaj.

– My tu zostaniemy i damy ci się zabawić – dodał Ragar. Narin podszedł do nich, wyciągając klucze Hamnira ze swojej sakiewki.

Felix podążył za Gotrekiem przez korytarz. Stróżówka po prawej stronie stanowiła lustrzane odbicie drugiej, włącznie ze stojakiem na broń palną i gongiem. Na podłodze leżały cztery martwe orki, a Hamnir, Skórzanobrody i Arn zajęci byli pozostałymi sześcioma, podczas gdy Thorgig i Galin trzymali zamknięte drzwi do wykuszy i wieżyczek. Najwyraźniej woleliby włączyć się do walki.

– To już lepiej – stwierdził Gotrek. Wpadł do środka, natychmiast zabijając dwa orki, podczas gdy Skórzanobrody i Hamnir powalili po jednym.

Ork, który zamierzał się na Arna, widząc śmierć swoich kompanów, skoczył w stronę gongu alarmowego. Arn zamachnął się na niego, ale nie trafił.

– Uważajcie na niego! On...

Felix rzucił się na orka i ciał go w kostkę, powalając stwora na twarz, kilka centymetrów od gongu. Gotrek zawirował i wbił swój topór w plecy stwora.

– Ha! – burknął.

Ostatni ork cofnął się chwiejnie od Skórzanobrodego. Wnętrznosci wylewały mu się z brzucha. Zanim ktokolwiek przewidział niebezpieczeństwo, ork potknął się o ciało zabitego kamrata i padł martwy, uderzając hełmem w gong.

Rozległ się ogłuszający brzęk, od którego zatrzęsł się cały pokój. Felix przycisnął dłonie do uszu. Gotrek doskoczył do gongu i stłumił go.

– To po sprawie – odezwał się Arn.

W wykuszu strzelniczym powyżej rozległy się świergotliwe głosy orków, a na schodach zatupały buty. Thorgig i Galin zaparli się barkami o drzwi.

– Szybko! – zawołał Hamnir, machając ręką.

Dwa krasnoludy odskoczyły, gdy orki rąbnęły w drzwi z drugiej strony. Hamnir wyciągał klucze, śpiesząc w ich stronę.

– Trzymajcie mocno!

Gotrek i Skórczanobrody dołączyli do pchających drzwi i dzięki połączonej masie swoich ciał zamknęli je ponownie. Hamnir wepchnął klucz z kwadratowym otworem do zamka i przekręcił go. Klucz ani drgnął.

Książę zbladł.

– Chyba się nie pomyliłem?

– Szybciej, do cholery! – krzyknął Galin, gdy drzwi drgnęły się pod jego ramieniem.

Hamnir wsunął drugi klucz do zamka, ale w tym momencie wbiegł Narin, trzymając w dłoni czarny, żelazny pierścień z kluczami i dwa inne klucze w drugiej.

– Zamienili zamki – powiedział i rzucił klucze Hamnirowi. – Spróbuj tych. Ja znalazłem swoje.

Hamnir schwycił pierścień, posapując. Na pierścieniu był, co najmniej, tuzin kluczy. Wepchnął jeden z nich do zamka. Nie obrócił się. Spróbował z następnym. Ten także nie drgnął. Drzwi odskoczyły i trzasnęły, a krasnoludy siłą domknęły je ponownie.

– Orki nie wyrabiają kluczy – mruknął Galin.

Ragar wystawił głowę na korytarz.

– W twierdzy usłyszeli! – krzyknął. – Nadchodzą!

– Ilu ich? – zawołał Hamnir.

– Wygląda na to, że cała przeklęta horda! – rzucił Karl nad ramieniem brata.

– Zostało im sto jardów! – wołał Ragar.

Hamnir odwrócił się do Thorgiga, próbując kolejnego klucza. Jego oczy były smutne i ponure.

– Teraz albo nigdy, chłopcze. Biegnij po drugich schodach, zanim pomyślą, żeby dopaść nas z tyłu.

– Ale są już zaalarmowani – powiedział Narin. – Zabiją go, zanim zdoła zadać w róg.

– Nie zrobią tego – rzekł Skórczanobrody, odchodząc od drzwi. – Rassmusson, zajmij moje miejsce. Zdobęde dla niego trochę czasu.

Jego oczy błyszczały za otworami w masce niecierpliwym wyczekiwaniem walki z przeważającymi siłami wroga. Felix tak często widział ten błysk w oczach Gotreka, Snorriego Gryzonosa, Malkaia Makaissona oraz innych Zabójców, których znał.

Hamnir zacisnął szczęki. Jego broda zjeżyła się.

– Dobrze. Ruszaj.

– Tak, mój książę – powiedział Thorgig.

Arn docisnął ramię do drzwi, gdy Thorgig i Skórczanobrody zasalutowali Hamnirowi, kładąc pięści na sercach, a potem wraz z Narinem pobiegli przez korytarz do drugiej stróżówki. Thorgig odpiął od pasa róg bitewny Karak Hirn.

– Przeklęty świat – wściekał się Hamnir. Wepchnął kolejny klucz do zamka. Ten także nie chciał się obrócić.

– Siedemdziesiąt jardów! – zawołał Ragar od drzwi.

Felix słyszał już orki – był to łomot odległej lawiny. Spojrzał przez korytarz, w głąb drugiej wartowni. Narin otworzył drzwi do wykuszków i wieżyczek po lewej stronie, a potem rozwarł je

szeroko. Skórczanobrody natychmiast ruszył przed siebie. Thorgig zawahał się przez ułamek sekundy, ale pobiegł za nim, zaciskając w ręce róg wojenny. Narin zatrzasnął drzwi i zamknął je za sobą na klucz.

W pokoju powyżej rozległ się stłumiony krzyk orków, a później wyraźny głos rogu, rozbrzmiewającego krasnoludzkim sygnałem bitewnym. Felix usłyszał ryk Skórczanobrodego i trzask topora uderzającego o tasak. Róg odezwał się ponownie i jeszcze raz. Jego głosowi towarzyszyły stłumione powarkiwania i brzęki.

Hamnir znalazł w końcu właściwy klucz i obrócił go, dokładnie w chwili, gdy zew rogu Thorgiga załamał się nagle i zamilkł.

– Przeklęty świat – rzucił jeszcze raz Hamnir. Opuścił głowę, a jego czoło dotknęło drzwi.

– Mam tylko nadzieję, że usłyszeli – powiedział Galin, odstępując od drzwi z Gotrekiem i Arnem.

– Czterdzieści jardów! – krzyknął Ragar z korytarza. Tupot butów był tak wyraźny, że niemal go zagłuszył.

Orki zaczęły łomotać bronią w drzwi do wykuszków. Hamnir nadal klęczał bez ruchu.

– Chodź, Ranulfsson – powiedział surowym głosem Gotrek. – Czeka nas robota.

Hamnir skinął głową i uniósł czoło. Jego twarz była ponura.

– Dobrze. – Podszedł do drzwi pokoju z dźwignią. – Rassmussonowie, trzymajcie drzwi w drugiej stróżówce. – Zaczął próbować kluczy w zamku. – A jeden z was niech zamknie Narina przy dźwigni, na wypadek... Na wypadek, gdyby się przebili.

– Aye, książę – powiedział Arn, salutując. Popędził wraz z braćmi do wartowni po lewej. Grzmot biegnących obutych stóp zatrzęsł pokojem.

– Trzydzieści! – wrzasnął Ragar, gdy bracia rozstawili się przy swoich drzwiach.

– Galin – odezwał się Hamnir, nie odrywając oczu od zamka. – Gdy znajdę klucz, zamkniesz mnie w środku, a potem pomożesz Zabójcy.

Galin skinął głową.

– Tak jest.

– Wiesz, co robić, Gurnisson? – zawołał Hamnir.

Gotrek pokiwał głową.

– Pilnuj swojej żalosznej skóry, jak zwykle. – Ruszył ciężko do drzwi na korytarz. – Człeczyno, do mnie.

– Dwadzieścia!

Felix zajął pozycję po lewej stronie drzwi i spojrzał na Gotreka. Zabójca, stojąc, chwiał się nieznacznie.

– Wszystko w porządku, Gotrek? – spytał.

– Nigdy nie było lepiej – odparł Gotrek i zerknął w tył, na Hamnira. – Piętnaście minut powiadasz, Ranulfsson?

– Aye – potwierdził Hamnir.

Gotrek skinął głową i spojrzał na drzwi, unosząc swój topór.

– Przez piętnaście minut mogę zatrzymać wszystko.

Z ogłuszającym łoskotem horda orków wypełniła koniec korytarza niczym zielona fala. Gdy wrogowie spróbowali przecisnąć się przez drzwi do stróżówki, Gotrek ryknął i ciał, rąbiąc nadchodzących. Napór orków z tyłu pchał te z przodu prosto pod topór Gotreka, chciały tego czy nie. Siekał je na fruwające, zielone kawałki.

Felix wbił się w napastników z boku, podcinając im nogi i oślepiając ich. Przez wezbraną masę



żyłastych, zielonych ramion i opancerzonych zielonych korpusów dostrzegał braci Rasmussenów wymachujących poczerńiałymi łomami w drzwiach drugiej stróżówki, wbijających się w ciała orków tymi samymi monotonnymi uderzeniami, jakimi wcześniej atakowali ścianę skarbcza.

Na końcu korytarza stłoczyła się, co najmniej, setka orków, a przynajmniej druga setka wypełniała długą salę za nimi, próbując włączyć się do walki. Na szczęście, drzwi do stróżówki miały szerokość jednego krasnoluda i orki wciskały się do środka pojedynczo lub, co najwyżej, po dwóch. Gotrek stał cofnięty o krok, aby zapewnić sobie swobodny zamach i rozcinał głowy i piersi, podczas gdy Felix dźgał w stopy, nadgarstki i oczy, nim przeciwnicy zdołali się wdrzeć głębiej.

Rozległ się okrzyk triumfu, gdy Hamnir wreszcie znalazł klucze do pokoju z dźwignią. Felix był zbyt zajęty, aby spojrzeć do tyłu, ale usłyszał otwierające się drzwi, a potem trzask, gdy zostały zamknięte. Chwilę później Galin dołączył do nich, tnąc po prawej stronie drzwi, podobnie jak Felix czynił to po lewej.

Piętnaście minut? Oczy Felixa przyglądały się z niepokojem Gotrekowi. Czy Zabójca zdoła tego dokonać, będąc tak zmęczonym? Czy poradzą sobie z tym bracia Rasmussenowie? Topór Zabójcy nie ustawał, ale Gotrek ciężko stał na nogach, ociekając posoką orków, a na jego ustach nie widniał zwykły dziki, obnażający zęby uśmiech. Jego miejsce zajął grymas ponurej determinacji i zaciśnięte szczęki.

I czy wystarczy tylko piętnaście minut? A jeśli Gorril napotkał nieprzewidziane przeszkody? A jeśli jego armia wpadła w zasadzkę orków? A jeśli, Sigmarze broń, Gorril w ogóle nie usłyszał rogu? Może się zdarzyć, że nie nadejdzie żadna pomoc. Wówczas, bez względu na to, jak wiele Gotrek wytrzyma, wytrzyma zbyt krótko. Napływ orków nie ustawał. W końcu wdrą się do wartowni i wyrzną ich wszystkich.

Felix zaśmiał się gorzko. Orki czy nie, to była śmierć, za którą tęsknił Gotrek – heroiczna walka w szlachetnym celu przeciwko przeważającym siłom wroga. Oczywiście, jak zawsze, Felix miał takie same szanse na śmierć jak Gotrek, a prawdopodobieństwo przetrwania, aby mógł napisać epicki poemat o jego legendarnej zagładzie było niemal zerowe. Pewnego dnia będzie musiał wymyślić jak być świadkiem śmierci Gotreka i samemu nie zginąć – o ile nadejdą jakieś następne dni.

W korytarzu rozległ się krzyk bólu, a potem zawołanie:

– Ragar!

Felix spojrzał przez gęstwą orków na stróżówkę po drugiej stronie. Ragar padał, z na wpół rozrąbaną głową i krwią plamiącą brodę. Jego bracia zasiekli orka, który go zabił i walczyli dalej.

Felix robił to samo; nie było czasu na żal. Sapał ze zmęczenia. Miał wrażenie, jakby minęły całe godziny, nie minuty. Ramiona bolały go od cięcia i pchnięć. Orki tłoczyły się nad ciałami swoich zabitych kamratów, usiłując zaatakować Gotreka. Działyły beznamiętnie, ze stoicką obojętnością, jakby ich własne życie nic nie znaczyło – jakby wiedziały, że są tylko kroplami wody, które drażą skałę. Ciała przed drzwiami piętrzyły się na wysokości ramion Gotreka.

Gotrek z każdym ciosem chwiał się coraz bardziej. Felix oraz Galin musieli coraz częściej parować za niego.

– Jak długo? – wystękał chwilę później Zabójca.

– Minęło dziesięć minut, jak sędzę – wydyszał Galin, odbijając pałkę. – Może więcej. – Spojrzał przez ramię na drzwi do pokoju z dźwignią, w którym mieściło się zakratowane okienko. – Widać ich, książę?

– Ani śladu – dobiegł głuchy głos Hamnira.

W sali nastąpiło poruszenie – głos orka wydał rozkazy i stwory zaczęły się przegrupowywać.

Gotrek prychnął śmiechem.

– Na Grimmira, tylko tego potrzebujemy!

Felix zaryzykował rzut oka ponad framugą drzwi i rozdziawił usta. Dziesięć orków, uzbrojonych w krasnoludzkie muszkiety, ustawiało się, opierając się o siebie plecami, pośrodku szerokiego korytarza. Po pięciu skierowało lufy w stronę drzwi obu stróżówek. Ich pobratymcy schodzili im z drogi.

– Znajdź sposób, żeby ich zabić, człeczyno – mruknął Gotrek. – Jeśli tam wyjdę, reszta wedrze się do środka, a jeśli tu zostanę...

– Mam pomysł – rzucił Galin. Cofnął się od drzwi i podbiegł do stojaka z bronią po drugiej stronie. – Poczekajcie tam.

– A ty, dokąd się wybierasz? – Gotrek rzucił pytanie przez zęby.

Felix spojrzął w tył i zobaczył, że Galin zbiera rogi z prochem.

Orki szykowały i ładowały swoje muszkiety niczym chłopcy podczas pierwszego dnia musztry dla strzelców – niezgrabnie i powolnie, wszędzie rozsypując proch. Ale w końcu były gotowe. Ich dowódca rzucił rozkaz. Uniosły muszkiety do ramion i wymierzyły.

– Olifsson! – zawołał Gotrek.

– Jedna chwila!

– Nie mamy przeklętej...

Kapitan orków opuścił dłoń i stwory wystrzeliły w Gotreka i Rassmussonów, całkowicie ignorując swoich kompanów, którzy znaleźli się na linii strzału.

Dwa z muszkietów eksplodowały. Ich lufy rozerwały się przy zamku, bluzgając odłamkami i płomieniami w twarze strzelających. Cztery orki padły z rozłupanymi czaszkami. Trzy muszkiety spaliły na panewce i nie wystrzeliły w ogóle, ale pięć oddało strzał. Dwie kule świsnęły w stronę Rassmussonów, trzy w kierunku Gotreka. Jedna wbiła się w plecy orka. Jedna pomknęła ponad grzywą krasnoluda. Gotrek machnął w górę toporem i ostatni pocisk odbił się od niego, po czym rąbnął w gong.

Przy drzwiach po przeciwnej stronie Karl zachwiał się do tyłu, chwytając się za ramię. Ork ciął ponownie, zanim odzyskał równowagę. Arn zginął sekundę później, przytłoczony masą przeciwników.

– Rassmussonowie padli! – zawołał Felix. – Orki wzięły drugą stróżówkę.

Hamnir zaklął z pokoju dźwigni.

Po oczyszczeniu jednych drzwi wszyscy pozostali strzelcy orków odwrócili się w stronę Gotreka i zaczęli przeładowywać, a ich kamraci wdarli się do lewej wartowni i zaczęli rąbać w drzwi pokoju z dźwignią.

– Szybciej, do cholery, Olifsson! – krzyknął Gotrek.

– Już idę! – odpowiedział Galin. Podbiegł do nich, trzymając parę rozków prochowych z dziurami po bokach, z wepchniętymi w nie kawałkami papieru. Potrząsnął. Rogi zagrzechotały. – Dodałem coś od siebie.

Od swojej lampy zapalił papier w jednym z rogów i rzucił go przez drzwi, ponad głowami orków. Róg upadł na podłogę obok orczych strzelców i wybuchł z głośnym hukiem, wyrzucając z siebie dym i płomień. Orki padły, wyjąc i kaszląc. Miały dziury w nogach i w brzuchach, ale nie tak wiele, jak życzyłyby sobie Felix. Pięciu strzelców nadal stało, chociaż jeden z nich palił się i młócił wokół rękami. Kapitan zarażał go i odepchnął na bok, rycząc do innych, aby dali ognia.

Ork siekł w Galina, który usiłował odpalić drugi granat. Krasnolud odskoczył i spróbował ponownie.

– Rzucaj to! – krzyknął Gotrek.

Papier do upychania prochu zajął się ogniem. Galin rzucił róg dokładnie w chwili, gdy trzy orki skończyły ładowanie i uniosły swoją broń. Granat eksplodował pomiędzy nimi.

Spóźnił się o sekundę. Orki zdążyły wystrzelić.

Gotrek zachwiał się i opadł na kolano, podpierając się toporem. Przez jego udo biegła krwawa pręga.

## Rozdział 19

Felix desperacko sparował cios orka zamierzającego się na odsłoniętą głowę Zabójcy. Tasak ześlizgnął się po mieczu i minął twarz Gotreka o grubość włosa. Felix wolną ręką chwycił Gotreka pod ramię i usiłował go podnieść. Krasnolud był niesamowicie ciężki. Zbliżało się coraz więcej przeciwników. Galin walczył z dwoma.

Gotrek ponownie odzyskał oparcie dla stóp i zarąbał orka z tasakiem, ale szkoda została już poczyniona. W pokoju znalazło się aż pięć orków, a kolejne wpychały się za nimi. Obrona drzwi była przegrana. Felix, Gotrek i Galin cofnęli się i walczyli w szeregu, usiłując nie dać się otoczyć. Lewa noga Gotreka ociekała krwią.

Felix usłyszał pobrzmiewający metalicznie okrzyk z wnętrza pokoju z dźwignią – Narin krzyczał przez tubę z drugiej strony korytarza.

– Są już niemal u mnie! Drzwi długo nie wytrzymają!

– Odwagi, Żelazna Skóro! – zawołał Hamnir. – Nasi będą tu lada minuta.

Za Felixem rozległ się trzask. Spojrzał w tył. Ostrze tasaka przebiło się przez drzwi do wykuszy strzeleckich i wieżyczek. Orki z góry atakowały. Wkrótce zostaną okrążeni.

– Gdzie, w imię Grungniego, jest Gorril? – warknął Galin, blokując miecz orka.

– Nie tutaj – odparł Gotrek. Chwiał się jak pijany, ledwie mogąc ustać na swojej pokiereszowanej nodze. Zamachnął się na orka i chybił. Felix omal nie upuścił miecza ze zdumienia. Gotrek nigdy nie chybiał. Ork naparł. Felix pchnął go w kark. Gotrek wybebeszył stwora, ale cztery inne przedarły się obok niego. Gotrek, Felix i Galin walczyli z orkami atakującymi z trzech stron. Byli zbyt zmęczeni. Wrogów było zbyt wielu.

Wówczas, ponad łoskotem walki, usłyszeli bardzo słaby zew rogu, niemal natychmiast zagłuszony przez stłumione wystrzały.

– Róg! – zawołał Galin.

– Są w kanionie. Biegną! – krzyknął Hamnir z pokoju dźwigni. – Narin! Na mój znak!

– Gotowy – rozległa się metaliczna odpowiedź.

– Och, Grimmirze, to krzyżowy ogień! – wykrztusił z siebie Hamnir. – Tak wielu z nich padło. Oni... Otwieraj zewnętrzne drzwi. Ciągnij! Ciągnij!

Głośny chrobot i zgrzyt wstrząsnęły pokojem, gdy zewnętrzne drzwi zaczęły powoli się opuszczać. Rozległ się ogłuszający huk, gdy zatrzymały się otwarte. Orki w stróżówce, słysząc ten hałas, spojrzały po sobie, a Gotrek, Felix oraz Galin powalili pięć z nich. Łomotanie za drzwiami do wykuszków ustało i usłyszeli orki biegnące na górę po schodach, na stanowiska w wieżyczkach.

Ścianami kanionu wstrząsnęła druga salwa dział i muszkietów.

– Teraz wewnętrzne! Ciągnij, Narin! – dobiegł głos Hamnira. – Uciekajcie chłopaki, uciekajcie!

Nastąpił kolejny zgrzyt i ryk zasysanego powietrza. Wartownia wypełniła się zimnym powietrzem i zapachem strzelniczego prochu. Gdy drugie drzwi zatrzymały się z hukiem, wiatr nasilił się. Ogłuszające wycie rozbrzmiało w całym korytarzu, jakby stał się wylotem olbrzymiego rogu. Orki zadrżały i skuliły się, słysząc ten hałas.

Hamnir ryknął od dźwigni.

– Róg Hirn! Teraz się nas ulękna!

Orki w korytarzu odwracały się, cofały od otwartych wrót, choć ich dowódcy krzyczeli, każąc im się przeformować. Było już na to za późno.

Przy wtórce dmących rogów i wśród powiewających sztandarów, krasnoludy z Karak Hirn natarły przez otwarte wrota – po ośmiu w rzędzie, z Młociarzami na przedzie; pchali

zdezorganizowane orki niczym strzelec ubijający nabój w lufie działa.

Gotrek, Felix i Galin zarabali w stróżówce pozostałe pięć orków. Armia Gorrila, szereg za szeregiem zahartowanych wojowników wyjących o krew orków, nie przestawała wdzierać się do środka.

Gdy ostatni ork padł, Gotrek cofnął się chwiejnie i zwałił się na stołek przy stole w stróżówce. Głowica jego topora łupnęła o kamienną podłogę.

– Na Grungniego, muszę się napić! – powiedział. Jego lewa noga, poniżej smugi, którą wyciął pocisk, była czerwona od krwi aż po but.

– Galin! – zawołał Hamnir z pokoju z dźwignią. – Otwórz drzwi!

Galin pośpieszył do drzwi i wypuścił Hamnira. Księżę omiótł spojrzeniem stosy orczych ciał w pomieszczeniu i potrząsnął głową. Spojrzał na nich trzech.

– Wasze dzisiejsze czyny zostaną zapisane w księdze Karak Hirn. Przysięgam to.

Gorril wynurzył się z gęstwy krasnoludów przebiegających obok wartowni, prowadząc kompanię braci ze swojego klanu. Zasalutował Hamnirowi, kładąc pięść na sercu.

– Mój księżę – powiedział poważnym głosem. – Cieszę się, że widzę cię żywego. Twoja armia usiłuje zdobyć przyczółek w Wielkiej Sali. Oczekujemy twoich rozkazów.

– A ja cieszę się, że widzę ciebie, kuzynie – odpowiedział Hamnir, oddając salut. – Będziemy tu potrzebowali krasnoludów do otwarcia drzwi do wykusów oraz wycięcia orków, które tam siedzą. Muszą także zamknąć wrota, gdy armia wejdzie do środka. Tu nie zyskają takiej chwały jak w Wielkiej Sali, ale musimy strzec naszych tyłów.

– Oczywiście, księżę – powiedział Gorril. Odwrócił się do swoich klanowych braci. – Słyszałeś go, Urlo. Podziel chłopaków i weźcie wykusze.

– Aye, Gorrilu. – Urlo zasalutował i zaczął komenderować swoimi towarzyszami.

Hamnir spojrzał na Galina.

– Kruszący Kamień, podejmij klucze z ciała Arna i wypuść Narina z drugiego pokoju z dźwignią.

– Aye, księżę. – Galin zasalutował i wkroczył do korytarza.

– A ty, Gurnisson – kontynuował Hamnir, zwracając się do Gotreka. – Rozkazuję ci, abyś nie brał dalszego udziału w tej bitwie. Medycy opatrzą twoje rany i pójdziesz na dobrze zasłużony wypoczynek. Ty także, Herr Jaeger.

– Pff! – odburknął Gotrek.

– A teraz, Gorrilu – powiedział Hamnir, podchodząc do drzwi wraz z wysokim krasnoludem. – Czy wysłałeś Gromowładnych na balkony na drugim piętrze? I czy Żelazne Bractwo idzie przez boczne tunele, aby wypaść na flanki orków? Czy górnicy zapieczętowali wejścia do kopalń?

– Wszystko jak rozkazałeś, księżę Hamnirze – odpowiedział Gorril. – Po drodze mają zabezpieczać wszystkie przejścia, aby orki nie mogły dostać się na nasze tyły.

Hamnir zatrzymał ciągnięty przez muły wóz, który właśnie wjeżdżał przez główne wrota.

– Medycy! Tutaj! Opatrzcie tych w stróżówkach. Zabójca został postrzelony i traci krew.

– Aye, księżę.

Wóz stanął i do wartowni wbiegło dwóch krasnoludzkich chirurgów, trzymając w dłoniach apteczki. Jeden zajął się opatrywaniem pomniejszych nacięć i zadrapań, które zebrał Felix, podczas gdy drugi oczyścił i zabandażował ranę na nodze Gotreka. Gdy pracowali, Urlo i bracia klanowi Gorrila odblokowali drzwi do wykuszy strzeleckich i wieżyczek, i pobiegli po schodach w górę. Rozległy się odgłosy wałki.

– Masz szczęście, Zabójco – powiedział chirurg opatrujący Gotreka, kiedy bandażował mu nogę. – Pocisk ominął kość. Unikaj chodzenia przez miesiąc lub dwa, unikaj zabrudzenia rany, a zagoi się

jak należy.

– Miesiąc? – burknął Gotrek. – Dam ci jeszcze jedną MINUTĘ, zanim użyję twoich bebechów, żeby to obwiązać. Ruszaj się. Czeka mnie bitwa.

– Naprawdę, Zabójco – powiedział medyk. – Odradzam ci.

Mimo to, w rekordowym czasie opatrzył ranę.

Gotrek poderwał się niemal w tym samym momencie, w którym medyk zaciągnął ostatni węzeł i pokuśtykał ze stoickim spokojem w stronę sali.

– Chodź, człeczyno – powiedział. – Chcę znaleźć tego zębatego o woskowej skórze. W czarnej zbroi. Taki ork to godziwe wyzwanie.

– Nie zamierzasz posłuchać Hamnira? – spytał Felix, chociaż wiedział, że to na nic. Ruszył znużony za Zabójcą.

– Przysięgłem, że będę go chronić – odparł Gotrek – a nie, że będę wykonywał jego rozkazy.

Galin i Narin dołączyli do nich, wychodząc z drugiej stróżówki, także już opatrzeni. Wszędzie wokół medycy i dostawcy żywności rozładowywali swoje wozy i rozstawiali posłania oraz stoły na kozłach, szykując się do pomocy rannym i zmęczonym.

Gotrek, mijając wóz wypełniony beczkami i skrzyniami, pochwycił niewielką baryłkę, palcami wyrwał szpunt i przechylił antałek wprost do ust, przełykając strumień złotego płynu, który spływał mu po brodzie i włosach. W końcu opuścił baryłkę z zadowolonym westchnieniem i wyciągnął ją do innych.

– Ktoś jeszcze?

Galin i Narin, obaj, po kolei chwycili i podnieśli beczkę, chociaż z większą trudnością, i napili się. Felix przejął ją po nich, zadowolony, że była już niemal pusta, bowiem nigdy nie zdołałby unieść pełnej. Gdy skończył pić, Gotrek przejął baryłkę od niego, pociągnął kolejny łyk, a potem cisnął ją na wóz i pokuśtykał dalej, mlaskając.

Korytarz kończył się wysokim łukiem wspartym na kolumnach, za którym szerokie, płytkie schody opuszczały się ku olbrzymiej sali o marmurowej podłodze. Była to Wielka Sala Karak Hirn, centralna hala, z którą stykały się wszystkie komnaty użytku publicznego i te o ceremonialnym znaczeniu. Wysoka na trzy piętra, miała kolumny wielkie i okrągłe jak zamkowe wieże. Wznosiły się po obu jej stronach, podtrzymując zawile zdobiony sufit o krzyżowym sklepieniu.

Hala roiła się od orków.

Armia krasnoludów utrzymywała obszar w pobliżu schodów. Jej podstawę stanowiły rzędy twardych wojowników, Żelaznych Braci i górników, podczas gdy Gromowładni stali i klęczeli w dwóch szeregach na wyższym stopniu, strzelając ponad głowami swoich braci. Wróg przeważał liczebnie, a coraz to nowe zastępy orków wlewały się do sali przez dziesiątki przejść.

Za miejscem bitwy rozległ się huk eksplozji. Felix spojrzął w górę i zobaczył, że kolejni Gromowładni zajęli pozycje na dwóch balkonach, jednym na prawej ścianie Wielkiej Sali, drugim na lewej; ponad i za główną gęstwą orków. Od salwy padło dwadzieścia stworów, a zaraz potem nastąpiła kolejna – drugi rząd krasnoludów podszedł do balustrady, a pierwszy cofnął się, aby przeładować. Trzeci rząd zajął miejsce drugiego. Pierwszy był znowu gotowy. Orki padały jak koszone zboże. Prędkość i celność Gromowładnych były zdumiewające.

Dokładnie pod miejscem, gdzie Felix stał wraz z Gotrekiem, Hamnirem i innymi, wielki, błydy ork o mlecznej skórze i w dziwnym pancerzu, w otoczeniu podobnie odzianej świty, rąbał na kawałki Długobrodych z Karak Hirn. Bijący od bestii odór był niemal namacalny. Białobrode krasnoludy walczyły z nimi zacięcie. Oczy im łzawiły od smrodu, gdy uderzali raz po raz, ale orki były nieprawdopodobnie silne, a co gorsza, zdyscyplinowane. Na każdego pokonanego białego orka,

trzech krasnoludów padało z rozbitymi głowami. Długobrodzi nie łamali szeregu, ale wyglądało na to, że orki także nie mają zamiaru ustąpić. I nikt nie potrafił choćby tknąć wielkiego wodza. Trzech Długobrodych rzuciło się na niego, okładając ciosami. Wziął ich na siebie i odpowiedział, mordując napastników. Jeden z krasnoludów zachwiał się do tyłu, chwytając się za kark. Jego długa, biała broda zabarwiła się szkarłatem. Był to stary Ruen. Padł na twarz przed schodami.

– Odstąpcie – powiedział Gotrek, kuśtykając naprzód.

– Nie, Gurnisson – nakazał Hamnir, wychodząc przed Zabójcę. – On jest mój. Odebrał mi twierdzę. Ja go zabiję. Poza tym, nie jesteś w stanie walczyć.

– Ja zawsze jestem w stanie walczyć! – najeżył się Gotrek, ale zatrzymał się, powarkując. – Ba! To twoja twierdza. Jak sądzę, masz prawo rzucić mu wyzwanie, niech cię Valaya przeklnie!

Hamnir i Gorril już zbiegali po schodach, aby dołączyć do szeregu Długobrodych. Gotrek patrzył za nimi wściekły i, być może, zatroskany. Felix nie potrafił go rozszyfrować.

– Chodź, człeczyno – powiedział Zabójca, odwracając się. – Znajdziemy inne miejsce do roboty.

– Dlaczego nie posłuchasz rady Hamnira i nie przeczekasz tego? – spytał Felix. – Nie jesteś w najlepszej formie.

– Dlaczego wszyscy to powtarzacie? – warknął Gotrek. – Potrzebowałem tylko się napić.

– Słuchajcie – odezwał się Narin, próbując przebić wzrokiem dym z wystrzałów, który wypełniał salę niczym mgła. – Gromowładni na prawym balkonie przestali strzelać.

– Są atakowani – powiedział Galin, wyciągając szyję. – Orki zaszły ich od tyłu.

Gotrek skierował się w głąb korytarza.

– W takim razie my zajdziemy od tyłu orki.

– Tylko nas czterech? – spytał Felix.

Gotrek spojrział na bitwę. Krasnoludy były atakowane z każdej strony.

– Nie ma czasu do stracenia.

Pokuśtykał z powrotem w stronę korytarza. Felix, Narin i Galin wymienili spojrzenia, a potem wzruszyli ramionami i podążyli za nim.

Po kilku krokach dotarli do schodów bronionych przez szereg krasnoludów z Karak Hirn.

– Niech jeden z was, chłopaki, zaprowadzi nas na prawy balkon ponad salą – powiedział Gotrek. – Wasi Gromowładni mają kłopoty.

– Jeden z nas? – odparł krasnolud. – Wszyscy pójdziemy!

– I opuścicie swój posterunek? – warknął Gotrek. – To nie spodobałoby się waszemu księciu. Tylko jeden.

Krasnolud, który się odezwał, hardy weteran imieniem Dolmir, ruszył wraz z nimi, prowadząc szybko po schodach i przez przejścia na wyższe piętro. Gotrek stękał boleśnie z każdym stąpieniem, usiłując dotrzymać kroku pozostałym.

Wkrótce weszli do wysokiego i szerokiego korytarza, który otaczał Wielką Salę. Na zewnętrznej ścianie krużganka widniał szereg wspaniale zdobionych drzwi. Ponad każdymi widoczne były, wycięte w kamieniu, klanowe insygnia. Były to wejścia do majątków klanów, które zamieszkiwały Karak Hirn. Wiele z tych drzwi było rozwartych albo wyrwanych z zawiasów, a korytarz zawałały stopy kamienia i materiałów budowlanych, jakby orki próbowały dokonywać napraw. Wewnętrzną ścianę krużganka przeszywały liczne zakratowane okna, balkony i galerie z widokiem na Wielką Salę. Dobiegały przez nie odgłosy bitwy, ale głośniejsza była walka tocząca się nieopodal. Kompani skręcili.

Wejście na balkon, z którego strzelali Gromowładni, znajdowało się w połowie korytarza. Otaczał je tłum orków. Gromowładni odwrócili się i walczyli z nimi za pomocą toporów i sztyletów.

Ciała zarówno orków, jak i krasnoludów słały się u stóp walczących, ale krasnoludy ponosiły cięższe straty. Przeciwnicy mieli dwukrotną przewagę liczebną. Jeszcze moment, a będzie miażdżąca.

– Niech to Grimmir porwie! – zaklął Gotrek, ruszając naprzód nierównym krokiem. – Nie mogę biec. – Rozejrzał się, wściekły, a potem wskazał na miejsce, gdzie dokonywano napraw. – Człeczyno, tamta taczka!

Felix podbiegł do gruzowiska i wyciągnął drewnianą taczkę. Podtoczył ją do Gotreka. Zabójca wspiął się do środka, najpierw układając ranną nogę. Z toporem w gotowości zwrócił się twarzą naprzód.

– Pchaj!

Felix spróbował, ale krasnolud był niemożliwie ciężki, znacznie bardziej niż powinien ważyć ktoś z krwi i kości o takich rozmiarach.

– Narin, pomóż mi.

Narin chwycił za jedną z rączek taczki i razem pobiegli w głąb korytarza. Galin i Dolmir ruszyli za nimi. Gromowładni zbyt byli zajęci walką z orkami, aby zauważyć, że zbliżają się posiłki.

– Na miłosierdzie Valayi, Gurnisson! – stęknął Narin. – Czy ty zjadasz kamienie na śniadanie?

– Zamknij się. Pchajcie mocniej!

W odległości czterech i pół metra od walczących, koło taczki uderzyło w luźną cegłę i podskoczyło gwałtownie. Gotrek wyleciał w przód, mamrocząc coś, zaskoczony. Mamrotanie przeszło w krwiożercze zawołanie bojowe, gdy lecący krasnolud uniósł swój topór.

Tylny szereg orków, słysząc okrzyk, odwrócił się i w tym samym momencie padł na podłogę w kawałkach, bo przerąbał się przezeń topór Gotreka, tnąc pancerze i kości równie łatwo jak ciała. Felix i Narin pchnęli taczkę w orki, po czym dobyli broni i natarli wraz z Galinem i Dolmirem, tnąc i siekąc.

Gromowładni zakrzyknęli radośnie i wsparci widokiem posiłków zaatakowali z nową furją. Orki walczyły w tym samym beznamiętnym milczeniu, jakiego Felix się spodziewał.

Dolmir był jednak zaniepokojony.

– Dlaczego one nie krzyczą? Dlaczego się nie załamują?

– Nie wiem, kuzynie – odrzekł Narin. – One również nie uciekają. Musimy je wybić do nogi.

I tak zrobili. Chociaż Gotrek był niemal unieruchomiony z powodu rany, nie miało to znaczenia. Orki podchodziły, zamachując się tylko po to, by paść od jego wszechobecnego ostrza. Tłum orków szybko został przetrzebiony.

– Wielkie dzięki, Zabójco – powiedział kapitan Gromowładnych, gdy jego krasnoludy otrząsnęły się i ponownie chwyciły za swoje muszkiety. – Były twardsze niż się tego spodziewaliśmy.

Zwarli szyki na balkonie i ponownie zaczęli strzelać w masę orków.

Gotrek, Felix i pozostali patrzyli na toczącą się na dole bitwę. Krasnoludy i orki walczyły w zwarcu wzdłuż zakrzywionej linii przed schodami. Wyglądało na to, że każdy ork z twierdzy usiłował dopaść krasnoluda, a pośrodku...

– Niech go Grimmir przeklnie! – rzucił Gotrek, gdy to zobaczył. – On pewnie myśli, że jest Zabójcą!

W środku nadal walczyli Hamnir i wódz orków. Otaczały ich zdziesiątkowane oddziały. Zaledwie kilka dziwnych, bladych orków i nie więcej niż garść Długobrodych. Hełm Hamnira był odkształcony, a jego kolczuga z gromrilu rozerwana w wielu miejscach. Twarz miał czerwoną od krwi i wysiłku. Pancerz wodza także został rozbity i rozerwany, ale, co dziwne, na jego bladozielonej skórze nie było widać śladów obrażeń.

Felix i Gotrek patrzyli w napięciu. Hamnir ciął swoim toporem w odkryte kolano wielkiego orka.



W pierwszej chwili wydawało się, że cięcie trafiło w cel. Felix mógłby przysiąc, że zobaczył jak ramiona Hammira zadrżały od wstrząsu, ale musiało to być złudzenie, bowiem jego topór wirował nadal nieskrwawiony, a ork nie miał nawet zadrapania. Ledwie zauważył atak, kontrując swoim wielkim jak tarcza toporem tak szybko, że krasnoludzki książę musiał odskoczyć w bok, aby uniknąć rozplątania.

– Nigdy nie był stworzony do bitki – burknął Gotrek. Wspiął się na balustradę. – Trzymaj się, mądralo! – ryknął i bez namysłu zeskokczył na podłogę, siedem i pół metra poniżej.

## Rozdział 20

– Gotrek! – wrzasnął Felix. Przepchnął głowę między słupkami balustrady. Narin i Galin, z rozszerzonymi przerażeniem oczami, zrobili to samo.

– W porządku – powiedział z przekąsem Narin. – Upadek złagodziło dziesięć orków.

To była prawda. Gotrek stał pośrodku gromady tłoczących się orków, siekąc wokół niczym wir z czerwonym grzebieniem włosów i przebijał się w stronę Hamnira i wodza. Bandaż na jego nodze był szkarłatny od świeżej krwi.

Felix na przemian otwierał i zamykał usta.

– Cholera! Ja... Ja... Połamię sobie nogi... Ja... – Z przekleństwem odwrócił się i pomknął w głąb korytarza, w stronę schodów. Narin i Galin pobiegli za nim, ale szybko zostali w tyle.

Felix zeskoczył ze schodów, przepchnął się między krasnoludami na dole i pomknął korytarzem do Wielkiej Sali. Z poślizgiem zatrzymał się na schodach za Gromowładnymi i próbował dojrzeć wśród walczących Gotreka.

Zabójca właśnie dotarł do wodza, zostawiając za sobą szeroką ścieżkę z rozbitych i rozczłonkowanych orków. Ciął go w plecy. Cios zerwał poszarpane resztki czarnej zbroi i zrzucił je na podłogę. Gdy brutal odwrócił się, aby uderzyć na Gotreka, Felix nie zauważył na jego plecach śladu rany. Jęknął. Gotrek chybił dziś już po raz drugi. Nie dziwota – powinien leżeć bez ruchu w łóżku.

Korzystając, że uwaga wodza skupiła się na Gotreku, Hamnir i Długobrodzi zaatakowali go ze wszystkich stron. Ciosy nie przyniosły żadnego efektu. Felix pobladł. Czy to możliwe, by WSZYSCY chybili? Działo się coś niezrozumiałego. Wielki ork nawet nie próbował blokować ciosów. Siedem toporów uderzyło w jego plecy, nogi i ramiona, a on nawet ich nie poczuł. Choć walczył w skórzanych szczątkach pancerza i łachmanach, nie miał najmniejszego skaleczenia.

Felix pomyślał o magii, o zaklęciu ochronnym. Zresztą to nie miało znaczenia. Gotrek szybko sobie poradzi! Swoim toporem zabijał już smoki i demony. Magiczne maszyny obłąknicze rozpadały się przy najłżejszym dotyku tej niesamowitej broni.

Gotrek odbił w bok wielki topór potwora o woskowej skórze i skoczył naprzód, wykonując czyste cięcie na jego brzuch. Ork ryknął z bólu i chwiejnie postąpił trzy kroki do tyłu, a Felix uniósł pięść w geście radości. Pomyślał, że jest już po wszystkim. Ale wódz wyprostował się i Felix dostrzegł tylko blednącą linię na jego brzuchu, podobną do śladu paznokcia na skórze. Ork bez szwanku przyjął cios, który powinien przebić go na wylot.

– Przekłeta, cuchnąca bestia! – zaklął Gotrek. – Z czego jesteś zrobiony?

Ork natarł na niego, zasypując go gradem ciosów, podczas gdy Zabójca blokował, chwiejąc się na swej chorej nodze i przeklinając z bólu i frustracji.

Felix przepchnął się przed szereg Gromowładnych i zaszarżował na plecy potwornego orka. Wiedział, że to głupie. Skoro topór Gotreka nie dawał efektu, cóż ON mógł działać? Ale nie mógł tak po prostu stać z boku i patrzeć. Uderzył swoim długim mieczem dokładnie w tym momencie, gdy Hamnir i Długobrodzi uderzyli toporami. Żaden cios nie zrobił krzywdy. Wszystkie ześlizgnęły się po bladej, zielonkawej skórze, jakby była naoliwionym marmurem.

Ork machnął leniwie na odlew w kierunku Felixa, Hamnira i pozostałych, rozbijając klatkę piersiową Długobrodego i powalając go, martwego, na podłogę. Felix odskoczył w tył, ledwo unikając tego samego losu.

Gotrek dał nura, tnąc z całej siły w prawą goleń orka – taki cios mógłby odrąbać nogę żelaznego posągu. Ork warknął, a jego noga ugięła się, ale odzyskał równowagę i zawirował do tyłu. Jego

wielki topór ściał kosmyk z pomarańczowego grzebienia Gotreka.

Felix odrzucił miecz. Może nie zdoła zranić stwora, ale być może uda mu się go oślepić. Wskoczył na jego potężny grzbiet, chwytając go za kark i mocując się, aby wspiąć się wyżej. Dławił go smród. Skóra potwora była śliska od jakiejś paskudnej mazi. Niemal się zsunął.

Ork warknął rozeźlony i spróbował go zrzucić. Felix zaparł się nogami o jego szerokie bary i zacisnął dłonie na oczach orka.

– Dobrze, człeczyno! – zawołał Gotrek. – Siedź na nim!

Rąbnął w pierś orka z impetem, który powinien rozciąć bestii mostek.

Ork, rycząc z bólu, zatoczył się do tyłu, ale jego skóra pozostała nietknięta. Siekł na ślepo uzbrojoną ręką, a drugą próbował wymacać Felixa.

Ten usiłował umknąć szukającym go paluchom, ale ork złapał go za ramię.

Felix, desperacko szukając oparcia, chwycił się złotej obręczy umieszczonej wokół szyi orka. Potwór strząsnął go wprost na Gotreka, powalając obu na podłogę.

– Do kroćset, człeczyno! – burknął Zabójca spod Felixa. – Mówiłem ci, żebyś tam siedział.

Kątem oka Felix dostrzegł cień gwałtownego ruchu i instynktownie przetoczył się na bok. Gotrek przeturlał się w drugą stronę. Olbrzymi topór orka wbił się między nich, zatapiając się w głęboko w marmurową podłogę.

Gotrek powstał chwiejnie, utykając, i ponownie unosząc swój topór, ciął z całej siły w rękę orka. Odrąbał masywną, zieloną kończynę na wysokości łokcia.

Zamrugnął zdumiony, a ork zawył i cofnął się. Z kikuta tryskała czarna krew.

– Co jest, w imię Grungniego?

Widząc chwiejącego się orka, który próbował zebrać się w sobie, Hammir i Długobrodzi rzucili się naprzód. Ich topory wbiły się głęboko, podobnie jak broń Gotreka. Porąbali stwora na kawałki.

– Co się stało? – spytał Hammir, gdy spojrzeli na zmasakrowane ciało. – Dlaczego nagle stał się wrażliwy na ciosy?

– Nie mam pojęcia – powiedział Gotrek, pocierając dłonią swój przycięty grzebień włosów i marszcząc brwi.

– Ehem – odchrząknął Felix i wyciągnął rzecz, którą zaciskał w dłoni – złotą obręcz orka.

Felix oddał obręcz Hammirowi, a bitwa z orkami potoczyła się dalej. Cieszył się, że mógł się jej pozbyć. Być może jego także uczyniłaby niezniszczalnym, ale skóra mu cierpła od samego dotyku tej rzeczy. Błyszczący czarny klejnot w jej środku zdawał się na niego spoglądać, umysł Felixa wypełniły mroczne podszepty, nakłaniające go, aby założył obręcz. Pomyślał, że krasnoludy są mniej podatne na takie pokusy, więc lepiej było, że wziął to Hammir.

Liczne bitwy Felixa z orkami nauczyły go, że gdy zabije się ich wodza, walka dobiega końca. Porucznicy zaczynają się wyklócać i wszelkie pozory dyscypliny wśród hordy pryskają w eksplozji wewnętrznych walk i paniki. Chociaż on i krasnoludy mieli oczywiste dowody, że orki, z którymi teraz walczą, nie przypominają innych. Nie zachęcał do walki fakt, że po śmierci niezniszczalnego wodza potwory walczą nadal z równym zacięciem.

A zatem, przez kolejną męczącą, okupioną krwią godzinę orki rzucały się na szereg krasnoludów z tępą, mechaniczną zaciekłością mrówek broniących swego gniazda. Gotrek i Hammir walczyli w tym morzu oparci o siebie plecami, pokrzykując i żartując oraz wymieniając między sobą swobodne uwagi, zupełnie jakby zasiedli za barem, a nie wyrzynali zielonoskórych.

– Ten nie był dziewiąty, mądralo – burknął Gotrek, szczerząc zęby. – Miałeś tylko ośmiu. Ja wykończyłem przedostatniego, więc on się liczy dla mnie, nie dla ciebie. Czy tak rachujesz w swoich księgach handlowych?

– Zabiłem tego, którego zostawiłeś za sobą – zripostował Hamnir, uśmiechając się. – Myślisz, że każdy twój cios jest ostateczny? Ktoś musi za tobą sprzątać. Tak bywało od zawsze.

Felix, przyglądając się im, ponownie poczuł niespodziewane ukłucie zazdrości. Podróżował z Gotrekiem od dwudziestu lat i nie przypominał sobie ani jednego przypadku, by ten zachowywał się w jego obecności z taką swobodą i lekkością.

Wreszcie padł ostatni ork, echa brzęku stali o stal ucichły i w Wielkiej Sali zapadła cisza. Nie licząc jęków rannych i umierających. Felix ledwie unosił swój miecz, a Gotrek wyglądał na bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek wcześniej, lecz zarazem bardziej szczęśliwego.

Krasnoludy rozglądały się wśród stosów zabitych i jezior krwi, które rozciągały się na wypolerowanej, marmurowej podłodze. Niektórzy z ocalałych oplakiwali zabitych braci i przyjaciół. Niektórzy klepali się po plecach i wznosili toasty, pijąc z flaszek. Niektórzy byli tak zmęczeni, że usiedli jak stali, nie bacząc na trupy i smród.

Hamnir niepewnym krokiem wszedł na schody i odwrócił się w stronę swoich wojowników. Całego pokrywały go nacięcia i siniaki, a zbroja z gromrilu wisiała na nim niczym łachmany.

– Synowie i przyjaciele Karak Hirn, dziś odnieśliście wielkie zwycięstwo!

Krasnoludy wydały radosny okrzyk z głębi gardeł.

– Ta sprawa zaczęła się od mojego błędu, ale skończyła naszym zwycięstwem. Dziękuję wam za waszą pomoc i poświęcenie. Przenieście naszych zabitych i rannych do świątyni Grungniego, ale gobasy zostawcie tam, gdzie leżą. Jutro zaczniemy porządkować twierdzę. Dzisiejszej nocy, w sali uczt, będziemy jedli i pili na chwałę naszych walecznych poległych!

Rozległy się kolejne wiwaty i krasnoludy rozeszły się, aby zaopiekować się swoimi okaleczonymi i zabitymi towarzyszami. Gdy Hamnir zszedł na podłogę, z każdego przejścia zaczęły nadbiegać krasnoludy, przynosząc wieści.

– Książę – zawołał pierwszy. – Zapieczętowaliśmy wejścia do kopalni. Być może na dole nadal są gobasy, ale dzisiaj się tu nie przebijają.

– Książę Hamnirze – powiedział inny. – Oczyszcziliśmy górne galerie i poziom spichlerzy, ale kilkadziesiąt goblinów zamknęło się w trzeciej zbrojowni.

Urlo i krasnoludy z klanu Gorrila wróciły ze stróżówek, zakrwawione i poobijane. Brakowało połowy. Urlo sztywno przyklęknął i wyciągnął do Hamnira bitewny róg Karak Hirn. Róg był rozszczepiony i popękany.

Hamnir, biorąc go, westchnął ciężko.

– Thorgig.

– Zginał, przyciskając go do ust, książę – powiedział Urlo. – Nie dobył nawet topora.

– A Skórczanobrody? Zabójca?

– Otoczyło go dziesięć orków – odparł Urlo. – I tyleż ciosów go powaliło.

Hamnir opuścił głowę.

– Uratowało nas ich poświęcenie. Zostaną uczczeni.

Gotrek ponuro pokiwał głową.

– To była dobra śmierć.

Zbliżało się coraz więcej krasnoludów i napływały raporty z całej twierdzy. Tu siedliska oporu gobasów, tam decydujące zwycięstwo, zniszczone zapasy, zrujnowane pokoje, magazyn pełen gnijących ciał krasnoludów, które zabarykadowały się w środku i zagłodziły na śmierć, splądrowane skarbcie.

Hamnir przyjmował wszystkie wieści, dobre i złe, ze znużonym spokojem, wydając rozkazy i rozdając podziękowania oraz gratulacje tym, którzy na to zasłużyli. Szedł powoli w stronę łuku

prowadzącego do sali uczt, ale nadeszły wieści, które go zatrzymały.

– Książę – zawołał wojownik z Karak Hirn, podbiegając na czele tuzina krasnoludów. – Klan Diamentowych Mistrzów! Ich część twierdzy nie została przejęta! Wygląda na to, że gobasy usiłowały rozbić drzwi, ale one nadal są całe! Mogą jeszcze żyć!

– Ferga... – wyszeptał Hamnir. Spojrzał na Gorrila i Gotreka błyszczącymi oczami. – Chodźcie, musimy się przekonać!

Przeszedł przez salę, zapominając o wyczerpaniu. Inni pospieszyli za nim.

– Nie miej wielkich nadziei, książę – powiedział Gorril. – Minęło dwadzieścia dni. W halach nie było zbyt wiele jedzenia, gdy zamknęli drzwi.

– Aye, mądralo – powiedział, pochmurniejąc, Gotrek. – Bądź przygotowany na najgorsze. Za tymi drzwiami mogą być orki.

– Jestem przygotowany – powiedział Hamnir, ale nadal wyglądał na rozradowanego.

Wspięli się po szerokich schodach na krużganek z balkonami, który opasywał Wielką Salę i minęli sześć splądrowanych siedzib klanowych, aż zbliżyli się do wysokich drzwi z kamienia i żelaza, nad którymi widniały insygnia w kształcie diamentów. Drzwi były osmalone oraz naruszone, podrapane od wystrzałów i ciosów młota, ale wciąż pozostawały zamknięte.

Hamnir spojrzał na nie tęsknym wzrokiem. Podeszedł, a potem zwrócił się do tłumu krasnoludów, które przyszły tu za nim.

– Czy jest wśród nas ktoś z klanu Diamentowych? Czy któryś posiada klucz lub zna klanowy sekret, który otwiera te drzwi?

Nie odezwał się żaden z krasnoludów.

– Książę, z twierdzy nie uciekli żadni Diamentowi, poza Thorgigiem i Kagrinem – powiedział Gorril. – Reszta, co do jednego krasnoluda, zamknęła się w środku.

Hamnir skinął głową i odwrócił się ponownie do drzwi, dobywając topora. Odwrócił go i wybił głowicą dziwny rytm na drzwiach. Po latach towarzyszenia krasnoludom Felix wiedział, co to było, chociaż nigdy nie był tego świadkiem – górniczy kod krasnoludów, system umożliwiający komunikację przez kilometry tuneli przy użyciu jedynie młota. Kod był pilniej strzeżony niż język krasnoludów, bowiem dzięki niemu mogli rozmawiać przez ściany.

Hamnir skończył krótką serię uderzeń i zebrane krasnoludy czekały na odpowiedź. Ta nie nadchodziła. Książę ponownie zastukał w drzwi. Znowu bez odpowiedzi. Gorril wiercił się niespokojnie. Gotrek zakasłał. Hamnir zacisnął szczęki i jeszcze raz uniósł swój topór, ale w chwili, gdy miał ponownie uderzyć, zza drzwi dobiegł słaby odgłos. Brzmiał tak, jakby nadawca wiadomości stał tuż po drugiej stronie.

Hamnir sapnął i podekscytowany wybił na drzwiach rytm odpowiedzi.

– Spokojnie, mądralo – powiedział Gotrek. – Jąkasz się.

Po pełnej wyczekiwania chwili usłyszeli odzew.

– Chwała niech będzie Valayi! – zawołał Hamnir. Odwrócił się do pozostałych. – Odstąpcie. Otwierają drzwi.

Tłum cofnął się, szemrząc zdumiony. Hamnir i Gorril uśmiechali się szeroko, poklepując się po plecach i chichocząc, ale Felix widział, że Gotrek z napiętą twarzą trzyma dłoń na rękojeści swego topora. Felix rozumiał tę ostrożność. Skoro orki nauczyły się zakładać krasnoludzkie pułapki i strzelać z muszkietów, mogły nauczyć się wszystkiego.

Przez długą chwilę nie wydarzyło się nic, a potem rozległ się głuchy stukot odsuwanych bolców i drzwi powoli zaczęły się uchylać w stronę korytarza.

Krasnoludy wstrzymały oddech i niejednen poszedł za przykładem Gotreka, opierając dłoń na

swym toporze, ale gdy wielkie, zwieńczone lukami drzwi z hukiem otworzyły się na oścież, przed Hamnirem, Gotrekiem, Felixem i pozostałymi pojawiła się garstka krasnoludów. Tak obszarpanych i wychudłych, że trudno było uwierzyć, iż nadal żyją. Felix usłyszał za sobą pełne przerażenia sapnięcia, gdy wyzwoliciele ujrzeli wyzwolonych.

Felix nigdy nie widział tak chudych krasnoludów. Nawet w najtrudniejszych okolicznościach pozostawały stosunkowo krępe, ale te biedne dusze wyglądały tak, jakby stały u progu śmierci. Krasnolud z przodu, trzymając w trzęsących się dłoniach topór, był obciążonym skórą szkieletem. Jego kości policzkowe wystawały z przodu i brudnej brody niczym półki skalne nad przepaścią. Dublet zwisał mu z kościstych ramion jak wór, luźny i brudny. Włosy i broda były splątane i matowe.

Hamnir zawołał i postąpił krok naprzód, ujmując dłoń krasnoluda.

– Than Kirhaz Helmgard! Ty żyjesz!

– Książę Hamnir – wyszeptał Kirhaz, głosem słabym jak światło świecy w głębi czarnej nocy. – Przybyłeś.

– I, na Grimmira, Grungniego i Valayę, jestem wdzięczny ponad wszelkie pojęcie za to, że nie przybyłem za późno! Chyba, że... – urwał nagle. – Chyba, że ocalała tylko wasza garstka...

Kirhaz potrząsnął głową.

– Niektórzy umarli, ale większość ocalała. Pozwolono nam przeżyć.

Felix pomyślał, że dziwnie to zabrzmiało, ale Hamnir najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi.

– A Ferga? – spytał niecierpliwie. – Czy ona żyje?

– Aye, Ferga żyje – odpowiedział Kirhaz.

– Chwała niech będzie przodkom! – ucieszył się Hamnir. Odwrócił się do pozostałych. – Wezwijcie medyków i chirurgów! Przynieście jedzenie i picie! Nasi kuzyni potrzebują pomocy.

W Sali, za Kirhazem, pojawiło się więcej obszarpanych krasnoludów, które, szurając stopami, szły naprzód powoli niczym duchy.

– Na przodków – powiedział, patrząc na nich Hamnir. – Cóż żeście wycierpieli!

Wkroczył do siedziby Diamentowych Mistrzów. Inni ruszyli za nim, nawołując starych przyjaciół wśród ocalonych i śpiesząc do nich z radosnymi okrzykami, aby delikatnie ich uściskać. Ocalałe krasnoludy przyjmowały te powitania ze słabym uśmiechem i pustym wzrokiem. Zdawało się, że ocalenie jeszcze do nich nie dotarło. Ich błędne oczy wpatrywały się w pustkę.

Felix i Gotrek przeszli wraz z Hamnirem i Kirhazem oraz pozostałymi do centralnej komnaty klanu. Spod łuków i drzwi wokół jej obrzeża wychodziły osłabione krasnoludy, mrugając niczym niedźwiedzie budzące się ze snu.

Nagle Hamnir zawołał i pośpieszył przez salę do wygłodzonej krasnoludzkiej panny. Jej długie włosy były matowe i splątane, a suknia wisiała na niej niczym namiot.

– Ferga! – krzyknął Hamnir, podejmując ją za dłonie i całując je. – Ferga, ukochana.

Przez chwilę patrzyła na niego niepewnie, po czym wyciągnęła rękę i pogładziła go po twarzy, marszcząc czoło.

– Hamnir, książę. Przybyłeś? A może to tylko kolejny sen?

– Przybyłem, Fergo. Jesteś wolna. Twoje cierpienie dobiegło końca.

– Dobrze. Dobrze.

Jej dłoń opadła do boku.

Hamnir przełknął ślinę. Jego twarz wyrażała połączone z bólem zmieszanie. Najwyraźniej nie była to scena łzawego powitania, jaką wyrysował w swojej głowie.

– Ukochana, jesteś słaba. Musimy dopilnować twojego powrotu do sił. Ja... – urwał i spojrzał na

Kirhaza, który do nich podchodził. – Obawiam się, że muszę wnieść smutek do tej radosnej chwili.

Uniósł róg bitewny i spojrzął na nich oboje. Zwiesił ramiona.

– Wasz syn i brat, Thorgig, jest martwy, zabity przez orki. Ale jego poświęcenie nie poszło na marne. Ocalił nas i doprowadził do waszego uwolnienia. Umarł, wzywając nasze wojska.

– Thorgig.

Ferga uniosła brwi, jakby usiłowała sobie przypomnieć, co oznacza to słowo.

– Thorgig nie żyje?

– Mój syn – powiedział pustym głosem Kirhaz. – Aye. To źle. To źle.

Felix zmarszczył czoło. Odpowiedź Kirhaza i Fergi była, nawet jak na krasnoludy, bardzo stoicka. Wydawało się, że nie rozumieją, co się do nich mówi.

Hamnir był wstrząśnięty, ale nadrabiał miną jak umiał.

– Wybaczcie mi. Nie powinienem obarczać was takimi wieściami, nie dając wam szansy na odzyskanie sił. Nic będę was więcej kłopotał, dopóki nie zostaniecie nakarmieni i otoczeni opieką. – Odwrócił się i z wysiłkiem maskując swój ból, odezwał do krasnoludów z klanu Diamentowych Mistrzów:

– Dzisiejszej nocy będziemy ucztować w Wielkiej Sali. Wasza odwaga i upór zostaną tam uczczone. Jeśli czujecie się na siłach, błagam was wszystkich, abyście do nas dołączyli. Niechaj rogi zostaną napełnione, a talerze ugną się pod ciężarem jedła! Dziś świętujemy cud!

Wyzwoliciele zakrzyknęli na wiwat. Ocaleni przyjęli wieści z tępą obojętnością. Wiwaty zamilkły.

Hamnir skłonił się przed Kirhazem i Fergą, po czym odwrócił się i wyszeptał do Gotreka.

– Pęka mi serce. Widziałeś kiedykolwiek tak zatracone krasnoludy?

– Nie – odparł Gotrek. – Nie widziałem.

Jego dłoń nadal spoczywała na toporze.

## Rozdział 21

Pomimo zapewnień Hamnira obiecującego górę jadła, uczta była skromna. Krasnoludy nie mogły i nie chciały ufać jedzeniu dotkniętemu przez orki ani korzystać z kuchni, zanim nie zostaną porządnie wyszorowane. Dlatego musiały ograniczyć się do prowiantu, który armia Gorrila sprowadziła ze sobą z Zamku Rodenheim. Na szczęście Hamnir i Gorril przewidzieli tę sytuację i wozy zostały zapakowane po brzegi, chociaż i tak ledwo tego wystarczało.

Nie brakowało natomiast piwa. Krasnoludy ze zdumieniem odkryły całe dwa magazyny wypełnione nietkniętymi baryłkami – kolejny dowód (jakby trzeba było ich więcej!), że orki, które zajęły twierdzę, były nader niezwykle.

Wznoszono toast za toastem: za Hamnira, za Thorgiga, za ocalałych, za Gotreka. Nawet Felix otrzymał uprzejme podziękowanie. Ocaleni Diamentowi – tych kilku na tyle silnych, by wziąć udział w uczcie – siedzieli wśród swoich pokrzykujących i pijących kuzynów, sącząc piwo i skubiąc jedzenie oraz uśmiechając się słabo przy każdym toaście. Patrzyli szklistym wzrokiem i wydawali się wyobcowani.

Hamnir zasiadał pomiędzy thanem Kirhazem a swoim starym przyjacielem, inżynierem Birri Birrissonem przy królewskim stole u szczytu sali, usiłując dowiedzieć się od nich, co się działo od rozpoczęcia najazdu orków. Bez względu na to, jak Birrisson wyglądał wcześniej, teraz przypominał szkielet w binoklach. Jego rzadka, szara broda zwisała z zapadniętych, pergaminowych policzków.

– Ale, Birri – zagadnął inżyniera, który mechanicznie wpychał szynkę do ust drżącą ręką – Gotrek doniósł, że przejście z hangaru żyrokopterów zostało zabezpieczone nowymi pułapkami, krasnoludzkiej roboty. Te pułapki zabiły Matraka, twojego starego kolegę oraz dwóch innych. Czy jesteś pewien, że żaden krasnolud nie pomógł w ich konstrukcji? A może to jeden z twoich czeladników został złapany i poddany torturom? Czy nikt nie zaginął?

Birri, nie podnosząc oczu, potrząsnął swoją łysą głową.

– Nie zaginęli żadni czeladnicy. W każdym razie żaden z tych, którzy przeżyli. Nie w naszej siedzibie. – Zmarszczył czoło. Trzymany przez niego widelec zatrzymał się. – Ale... Miałem sen, że zastawiam nowe pułapki w tej sali, choć... – przerwał, uciekając wzrokiem w dal.

– Sen? – spytał Hamnir, otwierając szeroko oczy. – Jaki sen?

Birri znowu długą chwilę marszczył czoło, a potem wzruszył ramionami.

– Sen. Tylko sen. – Nie można było z niego wycisnąć nic więcej.

Hamnir westchnął i potrząsnął głową, ponownie napełniając swój kufel. Pochylił się ku Gotrekowi i szepnął mu do ucha:

– Nadal są zbyt zmęczeni po tym, co wycierpieli. Poczekam, aż odzyskają siły.

– Oni nie są tak po prostu zmęczeni – warknął Gotrek, wbijając spojrzenie jedyne go oka w Birriego, który gapił się przed siebie w milczeniu, zapominając o posiłku. – Coś jest z nimi nie tak. Krasnoludy ulepione są z mocniejszej gliny.

– Nawet krasnolud może osłabnąć, głodując przez dwadzieścia dni – odparł Hamnir.

Gotrek burknął coś podejrzliwie, ale nie odezwał się tylko osuszył kolejny kufel.

Wkrótce ocaleni z klanu Diamentowych Mistrzów zaczęli kiwać się na swoich krzesłach, senni od jedzenia i piwa w ilościach, od których odwykli. Pojedynczo i dwójkami przepaszali i wracali do swojej siedziby, a wyzwoliciele wznosili toasty za każdego odchodzącego. Gdy odszedł ostatni, w pozostałe krasnoludy wstąpił nowy duch i zaczęły upijać się w sztok.

Felix, przyglądając się Gotrekowi i Hamnirowi, którzy stukali się kuflami, pomyślał, że to dziwne, iż honorowi goście uczty powstrzymali się przed prawdziwą zabawą. Cicha żalność



ocalonych sprawiała, że zwycięska armia czuła się nieswojo i zachowywała z dużą rezerwą. Przyciszali głosy i grzecznie próbowali włączać ocalałych do swoich rozmów, ale teraz, gdy tamci poszli, znikły wszelkie ograniczenia. Salą uczt wstrząsnęły krasnoludzkie pieśni marszowe, a przy każdym stole rozgrywały się zacięte pojedynki na rękę i wymiana przechwałek.

Felix wiedział, do czego to doprowadzi. Widywał to już wcześniej. Tradycją krasnoludów było upijanie się na umór po wielkim zwycięstwie i zanosilo się, że to zwycięstwo nie będzie wyjątkiem. Już teraz niektóre krasnoludy zwiotczały na swych krzesłach, chrapiąc z kuflami wciąż zaciśniętymi w dłoniach, a ci, którzy wędrowali z Hamnirem padli szybciej niż reszta – nareszcie dopadło ich zmęczenie po forsownym marszu, kopaniu i walce.

Gotrek cedził słowa i opierał się ciężko na łokciach, rozmawiając z Hamnirem. Narin i Galin, siedząc za długimi stołami swoich klanów, spali z odrzuconymi w tył głowami, głośno chrapiąc. Felix także zasypiał. Jego powieki stawały się coraz cięższe, aż odpłynął w niebyt na swoim krześle.

Głowa Felixa oderwała się od stołu. Zamrugął, próbując się rozejrzeć, tak nieprzytomny od snu i piwa, że przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Sala uczt. Teraz sobie przypomniał. Było ciemno. Po ogniu w wielkim palenisku pozostała kupka żaru, a lampy i świece migotały. Ale co go obudziło? Nie dostrzegał w sali żadnego poruszenia. Krasnoludy wokół niego pochrapywały cicho z głowami na stołach i brodami umoczonymi w kałużach piwa, sosu i zupy.

Serce wypełniło mu dziwne uczucie grozy i przez chwilę bał się, że powrócił do niego koszmar, który przyśnił mu się w kopalni – że za chwilę zacznie zabijać we śnie Gotreka, Hamnira i resztę. Ale nie czuł żądy mordy. Tylko strach.

A potem usłyszał to ponownie – krzyk, odbijający się echem w kuchni. To go obudziło. Ktoś krzyknął. Wokół niego krasnoludy chrapały i mamrotały przez niezakłócony sen. Spojrzał w stronę kuchennych drzwi. Łączący się z nimi korytarz był rozjaśniony światłem lamp. Niczego tam nie było, aż nagle pojawił się rozchwiany cień. Przez drzwi, jęcząc, niepewnie wyszła krępa krasnoludka, po czym upadła między dwoma długimi stołami. Jej plecy były rozcięte jak melon. Felix dostrzegał kręgosłup.

Szturchnął mocno Gotreka.

– Gotrek!

Zabójca nie poruszył się.

W całej sali krasnoludy budziły się, mrużąc i przeklinając w ciemności.

– Co to było?

– Kto krzyczał?

– Uhh, moja głowa...

– Skończcie z tymi przeklętymi hałasami!

Hamnir uniósł głowę, mamrocząc niespokojnie i opuścił ją ponownie, uderzając w stół czołem.

Za drzwiami kuchni poruszało się więcej cieni. Zwaliste i czarne – skakały po podłodze przy akompaniamencie głuchego szurania.

Krasnolud w pobliżu drzwi zgramolił się ze swego krzesła i cofnął niepewnym krokiem, wyciągając rękę.

– Orky! – zabełkotał. – Orky!

– Co niby, chłopcze? – mruknął inny, dalej od drzwi. – Nie bądź głupi. Orki są martwe.

Felix dostrzegł pomiędzy kuzynami Narina, który mrugał oczami i przecierał twarz. Po przeciwnej stronie sali Galin nadal twardo spał.

– Orki? – burknął Hamnir. Ponownie usiadł prosto, nasłuchując ze swego miejsca. Jego oczy rozwarły się nagle. – Gdzie... – Piersz uniosła cię ciężko i przechylił się na bok, wymiotując przez

poręcz krzesła.

– Gotrek! – zawołał Felix, potrząsając Zabójcą.

Cienie wpadły do sali uczt, a za nimi weszły istoty, które je rzucały. Krasnoludy gapiły się, w większości nadal półprzytomne od snu i całkiem pijane. Patrzyły na tuzin orków, które, szurając, wyszły przez drzwi kuchenne, ciągnąc za sobą swoje tasaki i topory. Pierwszy ork nie miał ręki. W piersi drugiego tkwiły trzy wystrzelone z kuszy bełty. Inny ciągnął się po ziemi na rękach. Nie miał nóg. Głowy orków opadały pod nienaturalnymi kątami. Ich oczy wpatrywały się przed siebie, puste i bezmyślne. Ich ruchy były powolne i sztywne. Otworzyły się boczne drzwi i przeszło przez nie więcej potworów, poruszając się równie niezgrabnie, jak pierwsza grupa.

Jakiś krasnolud podniósł się z trudem zza najbliższego drzwiom stołu i stanął na drodze procesji orków.

– Na Grimmira – powiedział, wskazując. – One są...

Wiodący ork zamachnął się niedbale toporem, jakby zamierzał go rzucić i pijany krasnolud padł. Szczyt jego głowy był rozbity niczym skorupka jajka. W całym pokoju krasnoludy zaczęły wołać i niezbornie chwytać za broń, równie niezręczne w pijanym widzie, jak szurające orki. Przez główny łuk prowadzący do sali uczt przepchnęło się więcej orków, tworząc powolną, rozciągającą się falę pokręconych potworów. Niemal zatkały przejście.

Hamnir wyprostował się i rozejrzał, ocierając usta.

– Co... Co to takiego? Czy ja ciągle śnię?

– To nie jest sen, książę – odparł Felix. – Gotrek! Obudź się!

Głowa Gotreka uniosła się. Jego broda była uwalana okruchami.

– Czego? – burknął. – Kto to?

– Ale orki są martwe – po lewej stronie Hamnira mamrotał Gorril, mrugając z niedowierzaniem.

– Jak one mogą...

– Orki? – Gotrek rozejrzał się, marszcząc brwi i bekając. – Gdzie? Gdzie one są?

Hamnir poderwał się na nogi. Jego krzesło trzasnęło o podłogę, gdy wskoczył niepewnie na stół.

– Do szeregu, bracia! Do szeregu! Kapitanowie, zbierajcie swoich! Szybko!

Jego głos nikał wśród chaosu zdumionych nawoływań, które rozbrzmiewały po sali.

Gotrek podniósł się i niemal przewrócił.

– Jakie orki? Zapalcie pochodnię. Nie widzę.

Długobrody natarł na podchodzącego stwora i zatopił topór w jego piersi. Ork zachwiał się od siły ciosu, ale nie okazał bólu. Uniósł maczugę i zmiażdżył czaszkę starego krasnoluda. Topór nadal tkwił w jego żebrach.

Krasnoludy zawyły, widząc to okropieństwo, i natarły na orki w całej komnacie, rąbiąc je w pijackim szale. Odpadały kończyny. Pękały kości. Orki szły dalej. Z odrąbanymi rękami i ciągnącymi się za nimi wnętrznościami, z korpusami przebitymi przez topory i rozbitymi przez młoty, szły dalej. Spazmatycznie młóciły bronią. Odrąbywanie nóg tylko je spowalniało. Podciągały się na pazurach, drapiąc i chwytając za nogi i stopy krasnoludów.

Krasnoludy padały z rozbitymi głowami, rozrąbanymi klatkami piersiowymi, z odciętymi ramionami i otwartymi brzuchami. Walczyły w całej sali pojedynczo i dwójkami, a orki spychały je na środek, napierając ze wszystkich stron. Niektóre krasnoludy zostały zamordowane, zanim zdołały się obudzić. Felix dostrzegł Narina, który odrąbał przedramię orka przy łokciu i zrobił unik, gdy ten machnął swoim kikutem. Po drugiej stronie komnaty Galin odsuwał się od orka z czterema ranami postrzałowymi w piersi i na karku.

– Formować się! Formować! – wołał Hamnir. – Formujcie się, albo jesteście straceni!

– Zapalić światła! – ryknął Gotrek. – Nie mogę znaleźć swojego topora!

Felix zerknął na Zabójcę.

– Gotrek, twoja opaska jest na złym oku.

Gotrek prychnął i dotknął twarzy.

– Dobra, kto splatał tego durnego psikusa? – Naciągnął skórzaną opaskę na oczodół i rozejrzał się, przyglądając panującemu w sali zamieszaniu. – Na jaja Grimmira – sapnął. – Co to jest, u diabła?

– Orki – opowiedział niezbyt mądrze Felix. – Wróciły z martwych.

– To szaleństwo – powiedział Gorril. – Nic ich nie powstrzyma. Są nie do zabicia!

– Przekonamy się o tym – odparł Gotrek i wyciągnął spod stołu swój topór.

Hamnir chwycił za poobijany róg bitewny Karak Hirn i zadał sygnał na zbiórkę. Nie wydobył czystego tonu. Zabrzmiało to jak rzenie osła, ale było przynajmniej głośnie. Krasnoludy odwróciły się na jego zew.

– Zewrzeć szyki! – zawołał. – Kapitanowie, zbierzcie swoje oddziały! Thanowie, wezwijcie swoje krasnoludy! Stwórzcie formację w kierunku wroga!

Róg i rozkaz wywarły niemal magiczny efekt. Gdy Hamnir, Gotrek, Felix i Gorril zeskoczyli z wielkiego stołu i pobiegli przez salę uczt tam, gdzie orków było najwięcej, klany i kompanie zebrały się wokół swoich przywódców i uformowały w szeregi, ustawiając się tyłem do środka sali, w nierównym kwadracie. Drużyny przewracały stoły, tworząc z nich barykady, po czym atakowały i broniły się jak jeden mąż. Hamnir, Gotrek i pozostali dołączyli w bitwie do braci klanowych Gorrila. Felix znalazł się za Galinem – nadal czerwonym na twarzy z przepicia i przeklinającym niczym cały statek żeglarzy. Narin przyłączył się do nich wkrótce potem. Miał biegnące przez jedno oko cięcie i postrzępioną ranę za kłykciami. Krasnoludy, niepewne, ale niepowstrzymane, cięły czarnookie orki.

To nie wystarczało.

Chociaż ustawiły formację z niemal instynktowną dyscypliną, krasnoludy nadal były zbyt pijane i wyczerpane, aby opierać się wrogowi, który nie czuł bólu, a spowalniały go tylko najcięższe rany. Rozkaz Hamnira zahamował masakrę, ale jej nie powstrzymał. Nie padł ani jeden z orków, a krasnoludy umierały dziesiątkami.

Gotrek ciął orka pod kolanami. Stwór pełził dalej na kikutach. Zabójca zaklął i odskoczył, tnąc go po rękach.

– Musimy się wycofać – powiedział Hamnir, bez efektu rąbiąc ślepego orka. Jego głos był napięty od powstrzymywanej paniki. – Tu się nie utrzymamy!

– Wycofać? Dokąd? – spytał Gorril. – Zostawiliśmy martwe orki w całej twierdzy. Jeśli wszystkie są jak te tutaj, nie mamy dokąd uciekać!

– Moglibyśmy porzucić twierdzę – powiedział Galin.

– Nie! – sprzeciwił się Hamnir. – Tego nie uczynię. Nie po tym, co przeszliśmy, aby ją zdobyć.

– Co zatem robimy? – spytał Narin.

– Siedziba Diamentowych! – zawołał nareszcie Hamnir. – Drzwi są nadal całe. Wycofamy się tak, aby odzyskać siły i zdecydować, co dalej.

– Aye – zgodził się Gorril. – Dobry plan.

Hamnir cofnął się z przedniej linii i ponownie zadał w róg.

– Odwrót! Odwrót! – zakrzyknął. – Przekażcie rozkaz. Odwrót do siedziby Diamentowych! Przez kuchnię do schodów i na górę!

Kompanie krasnoludów zaczęły wycofywać się w spójnym ordynku w stronę wielkiego stołu i drzwi od kuchni, wymuszając przejście między powłóczącymi orkami.

Beznogi ork złapał za kostkę Gotreka, który chciał podążyć za Hamnirem. Zabójca potknął się i

niemal upadł. Kopnął stwora w twarz.

– Przeklęta bestia! Zdychaj!

Ork otrząsnął się po kopniaku Gotreka i kłapnął kłami w stronę jego kolan. Gotrek zaklął i odrąbał mu łeb. Ork zwałił się na ziemię, a jego kończyny wreszcie znieruchomiały.

– Zatrzymał się – powiedział Gotrek, ciesząc się z tego pijacko.

– Uważaj! – Felix szarpnął Gotreka w tył i topór orka minął kark krasnoluda o centymetry. Gotrek oderwał się od ręki Felixa i ściał głowę także temu orkowi. Stwór padł niczym pusty worek.

Hamnir zaśmiał się, sam również nadal pijany.

– Zrobiłeś to, Gurnisson! Znalazłeś sposób.

– Ha! – oparł Gotrek bełkotliwie. – Od początku wiedziałem.

– Głowa! – krzyknął Hamnir do szeregu krasnoludów. – Odrąbcie głowę, a ciało umrze!

Przekażcie to dalej!

– Książę – odezwał się rozemocjonowany Gorril. – Odwołaj odwrót! Możemy je wykończyć!

– Nie – odparł Hamnir. – Jesteśmy zbyt zmęczeni i zbyt pijani. Walcząc, zginiemy. Musimy najpierw odzyskać siły.

Podróż do nietkniętej siedziby była koszmarem. Zabijanie orków nie było łatwą pracą nawet wtedy, gdy znało się sposób. Coraz więcej z nich atakowało flanki krasnoludów na każdym skrzyżowaniu korytarzy i przy każdej otwartej komnacie, wynurzając się z ciemności szarozieloną falą. W końcu, gdy orki napierały już z każdej strony, krasnoludy dotarły do wielkich drzwi klanowej siedziby Diamentowych Mistrzów.

Jeszcze raz Hamnir wystukał kod górniczy głowicą swojego topora i jeszcze raz czekali, podczas gdy reszta, najlepiej jak potrafiła, powstrzymywała napór orków.

– Niech ich cholera – powiedział Gorril po upływie pięciu minut, w czasie których zginęło wielu śmiałych krasnoludów. – Gdzie oni są?

– Bez wątpienia śpią mocno – powiedział Hamnir. – Mają pełne brzuchy i nareszcie uwolnili się od strachu.

Ponownie zastukał w drzwi.

Wreszcie rozległ się odzew i drzwi powoli się rozwarły. Hamnir wzywał po kolei swoje kompanie, które dokonywały zbornego odwrotu do siedziby klanu, aż tylko on, Felix, Gotrek i Gorril zostali z braćmi klanowymi Gorrila, walcząc przeciwko beznamiętnej ścianie orków.

– Teraz! Wszyscy jak jeden! – zawołał Hamnir. A potem: – Drzwi! Zamknijcie drzwi!

Krasnoludy cofnęły się szybko, nadal utrzymując szyk w szeregu i drzwi zaczęły się zamykać. Orki parły naprzód, próbując pójść za nimi, ale wrota zamykały się niepowstrzymanie, miażdżąc między skrzydłami kilka bestii. Gotrek, Felix i chłopcy Gorrila odrąbali głowy tym kilku, którym udało się wdrzeć; drzwi zostały szczelnie zamknięte i zapadła cisza.

Hamnir oparł się o ścianę, łapiąc oddech, poczym zmęczonym ruchem odepchnął się i odwrócił w stronę szeregu gotowych do walki krasnoludów w ciemnym korytarzu. Byli to wszyscy, którzy pozostali z armii zebranej niecałe trzy tygodnie temu do odbicia Karak Hirn. Ich siły były znacznie zredukowane. Bitwy z żywymi i odrodzonymi orkami zabrały ponad połowę.

– Dobra walka, kuzyni – powiedział Hamnir, łapiąc powietrze. – Chodźcie teraz, skorzystajmy z gościny naszych niedawno ocalonych braci. Musimy odpocząć, zanim będziemy mogli walczyć ponownie.

Krasnoludy rozdzieliły się i odwróciły, umożliwiając Hamnirowi, Gorrilowi, Felixowi i Gotrekowi poprowadzenie ich w głąb korytarza, do centralnej komory siedziby klanu. Galin i Narin, przyzwyczajeni do wędrówek z Hamnirem, poszli wraz z nimi.

Felix rozejrzał się po wielkiej sali. Than Kirhaz, Birri, Ferga i inni ocaleni zgromadzili się niczym armia pośrodku pomieszczenia, patrząc na wchodzących. Wszyscy, nawet kobiety, byli uzbrojeni, choćby w pogrzebacze i wałki.

Hamnir wyprostował ramiona i zasalutował im, zadowolony z tego widoku.

– To bardzo śmiało z waszej strony, kuzyni – powiedział. – Ruszyliście nam na pomoc, gdy sami jesteście w takim stanie. Ale nie było potrzeby. Jesteśmy teraz bezpieczni, a gdy się prześpimy i odzyskamy siły, zajmiemy się zagrożeniem.

Ocaleni nic nie powiedzieli. Nawet się nie poruszyli – tylko stali i wpatrywali się nieruchomymi oczami.

– Kirhaz? – rzucił niepewnie Hamnir. – Birri? Wszystko z wami w porządku? Czy macie dla nas miejsce, w którym moglibyśmy spocząć?

Kirhaz uniósł kuszę. Drżała w jego słabych rękach. Wystrzelił – to był kiepski strzał. Bełt utkwiał w goleni Hamnira.

– Zagrożacie Śpiącemu – odezwał się Birri. – Musicie umrzeć.

## Rozdział 22

Hamnir krzyknął, zarówno z bólu, jak ze zdumienia i niemal upadł.

– Książę Hamnirze! – Gorril złapał go i podtrzymał.

Wszyscy gapili się oszołomieni na krasnoludy z Diamentowego Klanu. Kirhaz upuścił ze szczękiem kuszę i dobył topora. On i Birri nakazali pozostałym ocalonym marsz naprzód. Tamci, szurając nogami i unosząc broń, ruszyli przed siebie w milczeniu.

– Thanie Kirhazie, Birri, ja nie rozumiem.. – powiedział Hamnir, krzywiąc się przy podpieraniu zranioną nogą. – Dlaczego nas atakujecie? Kim jest Śpiący?

Kirhaz i Birri nie odpowiadali. Ich ponurzy wojownicy szli dalej, wbijając spojrzenia w Hamnira i jego zdumiona armię. Gotrek warknął, nie wypowiadając słowa.

– Na Grimmira, co się z nimi dzieje? – zawołał Hamnir.

– Oni... Oni są zupełnie jak orki – powiedział Gorril. – Jak to możliwe? Jakim sposobem nie dostrzegliśmy tego wcześniej?

Hamnir cofnął się o krok. Pozostali zrobili to samo. Cała armia cofnęła się przed dziwnymi, milczącymi krasnoludami.

– Czy to Śpiącego wyczuliśmy w kopalni? – zapytał niepewnie Felix. – Czy odmienił ich umysły czarnoksięstwem?

– Niemożliwe! – powiedział Hamnir, jakby próbował przekonać sam siebie. – Krasnoludy śmieją się z czarnoksięstwa. Na nas nie działa.

Zawołał na Kirhaza, który unosił swój topór.

– Thanie Helmgardzie, proszę! Powróć do zmysłów! Birri, czy zapomniałeś o naszej przyjaźni? Ferga, spraw, aby mnie posłuchali.

Ferga szła obok swego ojca równie niewzruszona, jak reszta. W ręku trzymała zakrzywiony nóż. Nie odezwała się.

Gotrek patrzył na zbliżające się krasnoludy z żalością w oku. Położył dłoń na ramieniu Hamnira.

– Oni są skażeni, mądralo – powiedział smutno. – Nie sądzę, by można ich było ocalić.

– Co... ? Co masz na myśli?

– Mam na myśli... – Gotrek urwał, a potem kontynuował gardłowym głosem. – Będziemy musieli ich zabić.

– Nie! – zawołał Hamnir, otwierając szeroko oczy. – Nie! My ich ocaliliśmy! Nie możemy się teraz odwrócić i ich zabić! Nie zrobię tego!

– Oni chcą zabić nas – powiedział Gotrek.

– Musi być jakiś sposób! – Hamnir rozglądał się wokół rozpaczliwie.

Kilku Diamentowych dotarło do jego szeregów i wymachiwało żalośnie bronią w kierunku swych kuzynów. Ich ciosy były powolne i słabe. Krasnoludy Hamnira parowały je z łatwością. Niektórzy nawoływali atakujących po imieniu, błagając, aby przestali. Mogli zabić ich w każdej chwili, ale żaden nie miał do tego serca, więc parowali i powstrzymywali ich pochód.

– Do sali gildii szlifierzy klejnotów! – zawołał nagle Hamnir, wskazując na otwarte w lewej ścianie, zdobione drzwi. – Uwięzimy ich w środku, a potem zejdziemy do kopalni i znajdziemy to, co wywołało tę koszmarną zmianę! Tego „Śpiącego”! I zabijemy go! Może odzyskają rozum! Gotrek potrząsnął głową.

– Okłamujesz sam siebie, mądralo. Oni zaszli już za daleko. Spójrz na nich.

– Jak możesz tak mówić? – zawołał wściekle Hamnir. – Jak możesz ich potępiać, jeśli nadal jest nadzieja?

– Kwestia doświadczenia.

– Do diabła z twoim doświadczeniem! Odmawiam pogodzenia się z tym, że jest już za późno!

Powstrzymaj swoją rękę! Nie zabiję moich rodaków!

Gotrek warknął z głębi gardła, ale nie zaatakował.

Hamnir szepnął do Gorrila.

– Przekażcie rozkaz. Odwrót do sali gildii, najpierw straż tylna. Gdy wejdą za nami do środka, zamkniemy wrota, po czym wyjdziemy drugimi drzwiami i uwięzimy ich w środku.

Gorril zasalutował i pospieszył do kompanii, cicho przemawiając do dowódców w czasie, gdy coraz więcej krasnoludów, powłócząc nogami zbliżało się do armii Hamnira, a dziwna, jednostronna bitwa się nasilała. Krasnoludy z ulgą przyjęły wieść, że nie muszą atakować swoich kuzynów i ochoczo wykonały rozkaz Hamnira. Kompanie stojące najbliżej drzwi do sali gildii wycofały się przez nie, podczas gdy te przed nimi zabezpieczały im odwrót.

Birri, Kirhaz i Ferga wciąż szli w kierunku Hamnira i jego towarzyszy.

Birri uniósł dłoń i wskazał.

– Zabić księcia. Zabić Zabójcę. To wola Śpiącego.

Bezmyślne krasnoludy posłuchały, odwracając się i przyłączając do Kirhaza, Birriego i Fergi, którzy atakowali Hamnira i Gotreka, podczas gdy cała reszta szeregu walczyła z wojownikami Hamnira.

Kirhaz podniósł swój topór na księcia. Gotrek wybił mu broń z rąk. Felix zablokował ciosy trzech atakujących go krasnoludów. W pojedynkę nie znaczyły nic. Razem, biorąc pod uwagę jego pijacką drzemkę i szaloną, wyczerpującą ucieczkę przed nieumarłymi orkami, były niemal zabójcze. Gdyby kontratakował walka skończyłaby się w sekundę, ale, podobnie jak krasnoludy, nie chciał zabijać tych, których przyszedł ocalić.

Birri wymierzył młotem cios w Gotreka. Ten zablokował go z łatwością i kopnął. Inżynier jakby tego nie poczuł i uderzył ponownie. Gotrek sparował i kopnął mocniej, sfrustrowany. Birri zachwiał się i potknął o jednego ze swoich towarzyszy, uderzając mocno w jego ramię. Wstał niemal natychmiast. Felix dostrzegł błysk złota pod brodą, wokół szyi.

– Gotrek! – zawołał Felix, wskazując na Birriego. – On nosi obręcz!

– Co? – krzyknął Hamnir i odwracając się, niemal nadział się twarzą na nóż Fergi.

Gotrek złapał dłonią młot Birriego i obrócił nadgarstek inżyniera, rozbijając go.

– Łap to, człeczyno. Zerwij to z niego.

Felix ruszył naprzód, blokując ciosy z obu stron, ale Birri cofnął się, znikając za innymi ocalonymi.

– Zatrzymać ich! – mruknął. – Zabić ich!

Krasnoludy o pustych spojrzeniach odwróciły się, aby wykonać jego polecenie. Zastąpiły drogę Gotrekowi i Felixowi, gdy Birri się cofał.

Łatwiej byłoby go dopaść, gdyby wycięli krasnoludy stojące im na drodze, ale przebicie się przez nie bez wyrządzenia im krzywdy było trudniejsze.

– On jest przywódcą – stęknął Gotrek, odpychając krasnoludy. – Nie Kirhaz.

– Za nim, Gotrek – rzucił Hamnir. – Bierzcie go, ale nie zabijajcie. Może ten obłąd osłabnie, jeśli zerwiecie mu obręcz.

– Aye, mądralo – odparł Gotrek, stawiając kolejny krok. – Dalej, człeczyno.

W końcu się przebili, w chwili gdy Birri zniknął w korytarzu po drugiej stronie komnaty.

Gdy ruszyli za inżynierem, Gotrek rzucił spojrzenie w tył, na Hamnira.

– Jest za łagodny. Zawsze taki był.

Weszli w korytarz. Birriego nie było widać. Gotrek zaklął. Pospieszili w głąb tak szybko, jak mogli, lecz nie było to zbyt szybkie tempo. Rany, pijaństwo i walka, którą stoczyli, wywarły swój wpływ. Syczeli i sapali z każdym krokiem.

Felix pobiegł bocznym korytarzem i zajrzał przez otwarte drzwi. W środku nie było Birriego. Spróbował otworzyć te zamknięte. Nic z tego.

– Człeczyno – usłyszał głos Gotreka. – Wracaj tutaj. Słyszę go.

Powrócił do głównego korytarza. Gotrek spoglądał w głąb ciągu schodów. Felix podążył za jego wzrokiem. Na dole znajdował się kolejny korytarz. Rozejrzeli się w lewo i w prawo.

– Tam – Gotrek wskazał na lewo.

Felix zajrzał w mrok. W oddali dostrzegł ciemną, poruszającą się sylwetkę.

– Ma więcej siły niż pozostali – zauważył.

– To przez tę obrożę – stwierdził Gotrek.

Ruszyli. Był to dziwaczny pościg. Birri, być może, był w lepszej formie od reszty członków klanu Diamentowych, ale tylko nieznacznie. Chował się i umykał niczym lunatyk. Niestety, Gotrek i Felix znajdowali się w niewiele lepszym stanie. Powoli zbliżali się do Birriego, podążając za nim przez korytarze i komnaty, w dół krętych schodów, ale trwało to zbyt długo. Gotrek stękał przy każdym kroku. Jego poraniona noga zeszywniała jak deska. Felixowi tak bardzo kręciło się w głowie od picia i zmęczenia, że musiał podpierać się dłonią o ścianę.

Już niemal dogonili inżyniera, gdy ten skręcił w boczne przejście i przyspieszył. Zdażyli wejść za róg i zobaczyli, jak przemyka przez szerokie drzwi, za którymi lśniło równe, pomarańczowe światło.

Gotrek i Felix przeszli za nim przez wrota i stanęli jak wryci. Znaleźli się w warsztacie inżyniera. Wysoki sufit niknął ponad siecią belek i rusztowań, wyciągarek i ciężkich łańcuchów. Wzdłuż ściany stały ławki narzędziowe, piece, kuźnie i maszyny, których przeznaczenia Felix nawet nie próbował odgadywać. Naprzeciwko miedziane zbiorniki na wodę, silniki parowe i otwarte cysterny skupione były wokół wielkiego, okratowanego otworu odpływowego w podłodze.

To, co ich zatrzymało, mieściło się w centrum pomieszczenia, osadzone na stalowych szynach. Niegdyś był to wózek górniczy z Undgrinu. Teraz wyglądał zupełnie jak olbrzymi, żelazny skarabeusz, który przysiadł na sześciu oszprychowanych kołach. Zakrzywione żelazne płyty pokrywały go niczym chitynowy pancerz; lufy działek obrotowych wystawały przez wąskie otwory. Nad nim, na łańcuchach, zawisło wielkie działo, czekające na zamontowanie na obrotowej wieżycze pojazdu.

– Na Sigmara! – sapnął Felix. – To rodzaj czołgu parowego! Taki, jak ten, który widzieliśmy w Nuln!

– Ten „Śpiący” chce zaatakować z Undgrinu – mruknął Gotrek. – Prowadząc to coś na czele armii orków...

Urwał, bo Birri pojawił się na szczycie opancerzonego pojazdu i wdrapał się na otwartą wieżyczkę. Chwycił za korbę dziwnego działka o wielu lufach i obrócił je w ich stronę.

Gotrek i Felix skoczyli za osłonę, gdy Birri pokręcił korbą i działko zaczęło pluć strumieniem pocisków. Felix ślizgiem wpadł za kuźnię, a deszcz ołowiu zasypał kamienne płyty w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Gotrek przykucnął za niewielkim piecem do wytopu rudy. Zgiełk wywołany przez działko był ogłuszający.

– Tylko opóźniacie nieuniknione – zawołał Birri, przekrzykując łoskot. – Nie można sprzeciwić się Śpiącemu.

– Będę mu się sprzeciwiał do ostatniego tchu, zdrajco – odparł Gotrek, rozglądając się po pokoju. – Krasnoludy umarły dlatego, że założyłeś nowe pułapki w korytarzu do hangaru.



– Broniłem twierdzy, jak czyniłem to zawsze – odpowiedział Birri, strzelając nad ich głowami.

– Jak to się stało, inżynierze? – krzyknął Felix. – Skąd masz tę obręcz na szyi?

– Ja... – przez chwilę spokojna pewność siebie Birriego została zachwiana. – Chciałem uciec.

Chciałem pomóc. Zbyt wiele gobasów pod głównymi wrotami. Użyłem tajemnych drzwi i wymknąłem się do ukrytych drzwi hangaru. Złapali mnie. Walczyłem. Głupio. Nikt nie może wygrać ze Śpiącym. Inni umarli. Ja padłem i zostałem zabrany na dół. Nadal walczyłem, ale w końcu... W końcu przyjąłem dar. Przyniosłem go moim braciom w twierdzy. – Wystrzelił ponownie i podniósł głos. – A teraz jestem niezniszczalny.

– Przekonamy się o tym – rzekł Gotrek. Machnął na Felixa i wskazał na korby przybite do podłogi w pobliżu ich kryjówki. Felix przyjrzał im się. Wokół nich owinięte były łańcuchy, które podtrzymywały działo nad korpusem czołgu. Gotrek wykonał gest naśladujący cięcie.

Felix skinął głową, ale niepewnie spojrzał na grube łańcuchy. Gotrek rozetnie swój jednym ciosem, ale on?

– Dołącz do nas – zawołał Birri. – Dołącz do nas, a także będziesz niezwyciężony.

– Niezwyciężony? – powiedział Gotrek, parszcząc gardłowym śmiechem. – Próbujesz czymś takim skusić Zabójcę?

Uniósł trzy palce, potem dwa i jeden. Felix podskoczył i przetoczył się do swojej korby, unosząc miecz. Działko obrotowe ożyło. Felix ciął z całej siły i miecz wbił się głęboko w stalowe ogniwo, ale nie przeciął go. Zaklął, słysząc jak pęka łańcuch Gotreka. Strumień ołowiu zbliżał się do niego. Ciął jeszcze raz.

Łańcuch puścił. Felix dał nura w bok w momencie, gdy pociski uderzyły w korbę. Przetoczył się za ciężki piec i spojrzał w górę.

Wielkie działo huštało się na dwóch pozostałych łańcuchach niczym serce gigantycznego dzwonu. Luźne łańcuchy opadały, ale ponieważ Felix przeciął swój później, ten nie zwijał się prosto. Przesunął się obok Birriego jak odpychany przez magnes.

– Ha! – zawołał inżynier. – Widzicie? Niezniszczalny!

Działo wychyliło się maksymalnie. Z odgłosem przypominającym wystrzał z dwóch pistoletów pozostałe łańcuchy trzasnęły i urządzenie runęło za czołg. Jego koniec przebił się przez żelazną kratę, która zakrywała wielką studzienkę. Działo zniknęło z widoku jak bełt kuszy wpuszczony w szyjkę butelki. Łańcuchy poleciały za nim, grzechocząc wściekle między przekładniami i wijąc się niczym węże.

Koniec jednego z nich okręcił się wokół karku Birriego i zerwał go z czołgu tak gwałtownie, że wydało się, jakby zniknął. Felix powstał w samą porę, aby zobaczyć łańcuch wpadający w otwór za działem i wciągający za sobą Birriego.

– Niezłe cięcie, człeczyno – powiedział Gotrek.

Pokuśtykali przez pokój do rozbitej kraty i spojrzeli w głąb otworu. W jego czarnej jak smoła czeluści nie można było niczego dostrzec.

– Dokąd to prowadzi? – spytał Felix.

– Zapewne do podziemnego strumienia – powiedział Gotrek, spluwając w otwór. – Mam nadzieję, że zgnije tam przed śmiercią.

– To z pewnością nie była jego wina – rzekł Felix. – To coś zajęło jego umysł.

– W takim razie jest słaby. Prawdziwy krasnolud nigdy nie poddałby się zepsuciu.

Felix uniósł brwi.

– A zatem wszyscy z klanu Diamentowych byli słabi?

Gotrek burknął gniewnie i odwrócił się w stronę drzwi.

– Wracajmy.

Gdy dotarli do centralnej komnaty siedziby klanu, niemal cała armia Hamnira wycofała się już do sali gildii szlifierzy. Ostatnich kilka kompanii kierowało się powoli w stronę wielkich drzwi, całkowicie otoczone zagubionymi krasnoludami.

Gotrek potrzęsął głową.

– To bezcelowe – powiedział, ale ruszył naprzód.

On i Felix przepchnęli się przez tłum słabeuszy, rozbijając i przewracając po drodze tak wielu z nich, jak zdołali i dołączyli do Hamnira, Gorrila i pozostałych z pierwszego szeregu.

– Gdzie jest Birri? – spytał Hamnir, parując ciosy.

– Wpadł do dziury – powiedział Gotrek.

– Zabiłeś go, niech cię Valaya przeklnie! – zawołał Hamnir. – Powiedziałem ci...

– Jego wynalazki go zabiły – odparł Gotrek. – Nawet go nie dotknąłem.

Hamnir rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, ale właśnie dotarli do drzwi sali gildii.

– Tu ich zatrzymamy – powiedział, po czym zwrócił się do Gorrila. – Niech inni wyjdą i czekają za drugimi drzwiami. Ty wrócisz tu okrężną drogą z częścią swego klanu. Gdy nasi biedni kuzyni podążą za nami, zamkniesz za nimi drzwi.

Gorril zasalutował i pospieszył do pozostałych kompanii czekających pośrodku komnaty. Gotrek i Felix dołączyli do oddziału Hamnira powstrzymującego zagubione krasnoludy przy drzwiach. To było łatwe zadanie – w pewnym sensie najłatwiejsza bitwa, jaką kiedykolwiek stoczył Felix, choć z drugiej strony – najbardziej niepokojąca. Odbijał słabe ataki niemal bezwiednie i, patrząc na twarze atakujących krasnoludów, czuł, że pęka mu serce. Ślady indywidualności pozostały w ich ubraniach i ozdobach – sposobie, w jaki górnik zaplótł swe włosy, broszy, którą krasnoludzka panna przypięła do swej sukni, bliznach i tatuażach ogorzałego wojownika – ale nie było jej w ich oczach. Wszystkie miały to samo puste, bezmyślne spojrzenie, które widział u orków. Wszystkie walczyły z tym samym tępy, beznamietnym zacięciem, osłabionym długą głodówką.

Najgorsze było to, że podobnie jak orki, zagubione krasnoludy czasami powracały do siebie. Krótki przeblask inteligencji rozjaśniał ich oczy i cofały się przerażone tym, co robią, ale niemal tak szybko, jak się pojawiła – świadomość zamierała. Gdy krasnoludy Gorrila wołały radośnie, widząc ich powrót do zmysłów, pustka ponownie wypełniała im oczy i kontynuowały atak. Kilka krasnoludów padło ofiarą tego zjawiska, gdy, opuściwszy broń, otrzymały cios w kark toporem przyjaciela.

W końcu cała armia Hamnira przeszła przez przeciwległe drzwi do sali gildii. Hamnir i pozostali cofnęli się od drzwi i wpuścili do środka otępiełych współbraci. Tłum rozproszył się, próbując otoczyć broniących, ale był powolny i oddział Hamnira z łatwością go wyprzedził. Hamnir nawet nieco zwolnił, aby utrzymać się tuż poza ich zasięgiem i skupiać na sobie uwagę atakujących. Felix czuł się niczym estalijski torreador powiewający czerwoną płachtą przed stadem półsensnych byków.

Gdy dotarli do drugich drzwi, znacznie węższych niż główne wejście, Gotrek machnął na innych, aby przechodzili.

– Człeczyna i ja ich zatrzymamy.

Hamnir zawahał się, być może obawiając się, że Gotrek zmieni zdanie i zacznie mordować krasnoludy o martwym spojrzeniu. Potem skinął głową i wypuścił pozostałych przez drzwi.

Gotrek powstrzymał się od rzezi, chociaż wyglądał na bardzo niezadowolonego z tego powodu.

– Odwlekamy nieuniknione – mruknął. – Potem będzie jeszcze gorzej.

On i Felix bronili drzwi, aż ostatni z Diamentowych przeszedł przez główne wejście do sali

gildii i krasnoludy Gorrila zamknęły za nimi wielkie wrota.

Gotrek i Felix usłyszeli stukot zasuwanych blokad i oderwali się wreszcie od tej dziwacznej walki. Hamnir zatrzaskał małe drzwi tuż przed twarzami napastników i zamknął je na klucz. Potem wsparł się o nie czołem; tamci anemicznie uderzali z drugiej strony.

– Walczyliśmy tak ciężko, aby ich uwolnić... – powiedział zrozpaczonym głosem. – Tylko po to, aby je znowu zamknąć. – Uniósł głowę i spojrzał na Gotreka. – Dzięki ci za twoje miłosierdzie.

– To nie jest miłosierdzie – odparł zdegustowany Gotrek. – To jest tortura. Dla nich i dla nas. Całkiem niepotrzebna. Oni nie wrócą. – Wzruszył ramionami. – Ale to twój lud.

Bezpieczna, przynajmniej na razie, wymęczona armia Hamnira spała. Felix zasnął, gdy tylko się położył, wyczerpany bezustanną walką poprzedniego dnia, ale znowu dręczyły go niespokojne sny. Stanowiły przeciwieństwo poprzednich. Zamiast mordować we śnie, biegł samotnie przez Karak Hirn, szukając Gotreka. Każdy krasnolud, do którego się zwrócił obracał ku niemu puste spojrzenie i próbował go zabić. Hamnir, Gorril, Narin, Galin, wszyscy sunęli za nim z rozłożonymi rękami, podczas gdy on cofał się z łomoczącym sercem.

W końcu znalazł Gotreka siedzącego w stróżówce obok Wrót Rogu, opartego plecami o drzwi. Felix otworzył usta, aby do niego zawołać, ale zawahał się opanowany nagłym strachem, że jedyne oko Zabójcy spojrzy na Felixa bezmyślnie. Postawił krok, nerwowo wyciągając rękę w stronę ramienia Gotreka. Głowa krasnoluda poruszyła się, gdy wyczuł ruch. Zaczął się odwracać. Felix skulił się. Nie chciał patrzeć. Nie chciał się dowiedzieć. On...

Obudził się. Otworzył zaspane oczy i rozejrzał się w półmroku po centralnej komnacie klanu Diamentowych Mistrzów, gdzie on, Gotrek i większość armii Hamnira zalegli na noc. Głośne pytania i tupot kroków rozbrzmiewały w całej klanowej siedzibie.

Gotrek przetoczył się na bok i uniósł głowę.

– Co teraz? – mruknął.

Felix usiadł, jęcząc. Bolały go wszystkie mięśnie. Rany pulsowały bólem. Czuł się sztywny jak tygodniowy trup i o połowę mniej żywy.

Porucznik Gorrila, Urlo przeciskał się przez rzędy budzących się krasnoludów, rozglądając się dokoła. Gdy zauważył Gotreka, pospieszył do niego, opadając na kolano, aby wyszeptać mu coś do ucha.

– Gorril prosi, żebyś się z nim zobaczył, Zabójco. To pilne.

– Gorril prosi? – spytał Gotrek. – Coś nie tak z Hamnirem?

– Ehem – Urlo spojrzał niepewnie na pozostałe krasnoludy. – Gorril ci powie.

Gotrek warknął, zaciskając szczęki.

– W porządku. – Podniósł się, sycząc. Dokuczała mu zraniona noga. Chwycił swój topór. – Chodź, człeczyno.

Felix skinął głową i stanął na obolałych stopach. On i Gotrek wyszli za Urlem z pokoju. Ledwo chodzili.

– Hamnir zaginął – powiedział Gorril.

Znajdowali się prywatnych pokojach Kirhaza, które Hamnir zajął na swoją kwaterę. Gorril chodził tam i z powrotem za ciężkim stołem, na którym stało nietknięte śniadanie. Urlo stał przy drzwiach.

– Zaginął? – spytał Gotrek. – Kiedy?

Gorril rozłożył ręce.

– Nie było go, gdy przyszedłem go obudzić. Kazałem mojej kompanii przeszukać twierdzę od góry do dołu, ale na razie nic nie znaleźli.

– Jakież ślady ataku? – spytał Gotrek.

– Żadnych. Ja...

Jeden z krasnoludów Gorrila przedarł się za nimi do pokoju. Był z nim jakiś inny, nieznany.

– Gorril. Są wieści.

Krasnolud Gorrila przywołał do siebie tego drugiego.

– Powiedz mu, górniku.

Górnik skłonił głowę przed Gorrilem. Nad lewym uchem miał paskudny guz.

– Aye – powiedział. – Cóż, zeszłej nocy trzymałem wartę przy tajnych drzwiach, które prowadzą z trzeciej galerii Diamentowych do głównego zbiornika z ziarnem. – Wzruszył ramionami, zawstydzony. – Musiałem trochę przysnąć, ponieważ nie zauważyłem jak ktoś stanął za mną i rąbnął mnie w łeb, aż poleciałem na podłogę. Otworzyłem oczy i zobaczyłem tylko, że jakiś krasnolud przechodzi przez tajne drzwi i zamyka je za sobą.

– Widziałeś, kto to był? – spytał Gorril.

Krasnolud potrząsnął głową i zaraz tego pożałował.

– Tylko nogi i stopy – powiedział, masując brwi. – I to niezbyt wyraźnie.

Gorril odepchnął stół.

– Kiedy to się stało? Dlaczego natychmiast nie podniosłeś alarmu?

Krasnolud poczerwieniał.

– Miałem taki zamiar, kapitanie. Naprawdę. Ale jak tylko zacząłem podnosić się z podłogi, ja... Cóż, chyba znowu zasnąłem. – Zachwiał się w miejscu. – Właściwie, teraz też chętnie bym się zdrzemnął.

Gorril podszedł do krasnoluda i spojrzał mu w oczy. Zmarszczył czoło.

– Zabierzcie go do medyka. Mógł rozbić sobie czaszkę. – Uścisnął krasnoluda za ramię. – Dziękuję ci, kuzynie.

Gorril odwrócił się do Gotreka i Felixa, gdy jego krasnolud wyprowadzał tamtego.

– Co to może oznaczać? Czy to był Hamnir? Dlaczego miałby wejść sam do twierdzy pełnej gobasów? Czy ktoś mógł go porwać? Strażnik widział tylko jednego krasnoluda, ale mogło być ich więcej. Czy przegapiliśmy jakieś zagubione krasnoludy? – Przerwał, blednąc. – Na Grimmira! Czy oni zabrali go na dół? Czy jest w kopalni wraz z ich „Śpiącym”?

Gotrek patrzył w podłogę, zaciskając pięści.

– Aye. Tak podejrzywam.

Gorril zaklął.

– W takim razie nie ma czasu do stracenia! Musimy go odszukać!

Gotrek potrząsnął głową.

– Nie, chłopcze. – Uderzył się w pierś. – JA pójdę za nim. Ty nie idziesz.

– Zatrzymasz mnie? – spytał Gorril, błyskając oczami. – Hamnir był moim kuzynem i najlepszym przyjacielem. Nie mogę tu zostać, gdy wiem, że on może być...

– Chcesz znowu zostawić Karak Hirn bez przywódcy? – spytał Gotrek, przerywając. – Tylko ty zostałeś.

– Jesteś jeszcze ty – powiedział Gorril. – Dlaczego ich nie poprowadzisz? Ja już...

– Nie jestem przywódcą – odparł Gotrek. – Jestem Zabójcą, a w kopalni jest coś, co trzeba zabić. Ty jesteś dowódcą, więc dowódź. Twierdza musi zostać oczyszczona z ożywionych gobasów i strzeżona do powrotu króla Alrika.

– Chcesz powiedzieć – dopóki nie znajdziemy księcia Hamnira – poprawił go Urlo.

– Aye, albo tak.

– Wątpisz, że go znajdziesz? – spytał Gorril, patrząc niespokojnie.

– Znajdę go – odpowiedział Gotrek. – Albo umrę, próbując. Ale czy żywego? Czy przy własnych zmysłach?

– Na Grimmira! – zaklął Gorril. – Co sprawiło, że twoje serce stało się tak czarne, Zabójco? Czy musisz gasić wszelką iskrę nadziei, zanim będzie mogła się rozpaść?

– Nadzieja kłamie – rzekł Gotrek, podchodząc do drzwi. – Tylko głupiec jej słucha. A teraz powiedz swoim oddziałom, że Hamnir zaginął i szykuj atak na gobasy. Wyruszymy, gdy to zrobisz.

Gorril spojrzał na niego, a potem westchnął.

– Dobrze, zatem. Wyjdziemy za godzinę.

Gotrek skinął głową i wraz z Felixem opuścili komnatę.

– Zabójco – zawołał Gorril.

Gotrek zatrzymał się i spojrzał do tyłu.

– Skoro nie masz nadziei, dlaczego żyjesz dalej? – spytał Gorril. – Dlaczego w ogóle zabijasz potwory?

Spojrzenie Gotreka zhardziało.

– Ponieważ jest jedna rzecz, na którą wszyscy mogą zawsze liczyć.

– A cóż to takiego? – spytał Gorril.

– Śmierć.

Odwrócił się i pomaszerował w głąb korytarza.

Felix ruszył za nim.

– Szczególnie, gdy podąża się za Zabójcą – mruknął.

– Co takiego, człeczyno? – spytał Gotrek.

– Nic, nic.

## Rozdział 23

Armia Hamnira, ponura i milcząca, czekała za głównymi drzwiami siedziby klanu Diamentowych aż Gorril przybędzie i rozpocznie się wyprawa. Wieści o zniknięciu Hamnira nałożyły się na grozę i ból po odkryciu pustego szaleństwa Diamentowych. To był silny cios. Krasnoludy były bardzo zdeterminowane, aby odbić twierdzę i uwolnić ją od przerażającego piętna, które ją skaziło, ale nie dane im będzie radosne zwycięstwo. Nie będzie powtórki z pijackiego świętowania poprzedniej nocy.

Gotrek z Felixem czekali na czele kolumny. Mieli pomóc podczas początkowego uderzenia, a potem oddzielić się i wyruszyć na misję do kopalni, gdy wszystkie krasnoludy już wyjdą. Gotrek był równie ponury, jak reszta. Nie spuszczał spojrzenia z podłogi i gniewnie pomrukiwał do siebie. Felix zastanawiał się, co go, poza oczywistymi troskami, gnębiło, ale nie chciał się dopytywać. To nie byłoby uprzejme, a w przypadku Gotreka, nie byłoby także bezpieczne.

Narin i Galin przepchnęli się przez wojowników i zatrzymali obok Gotreka. Nie zwrócił na nich uwagi.

– Idę z tobą, Zabójco – powiedział w końcu Narin.

– I ja – dodał Galin.

– Nie – burknął Gotrek wyraźnie rozgniewany, że ktoś mu przeszkadza. – To robota dla Zabójcy.

– Ale, jeśli pamiętasz – powiedział Narin, dotykając kawałka Tarczy Druttiego w swojej brodzie – obu nam bardzo zależy, abyś nie został zabity podczas tej misji.

Gotrek uniósł głowę i spojrzał na niego groźnie.

– Ograbisz mnie z mojej zagłady?

– Wykorzystasz swoją zagładę, aby wykpić się od walki z nami? – prychnął Galin. – Nie możesz umrzeć, dopóki się z nami nie zmierzysz. Domaga się tego honor naszych klanów.

Gotrek parsknął.

– Odłożyłem swoją przysięgę Zabójcy, ponieważ przysięgę Hamnirowi złożyłem na długo przed zapuszczeniem grzywy. Teraz mogę wypełnić oba zobowiązania jednocześnie. Drobną utarczką o tarczę jest daleko w tyle, w trzeciej kolejności.

– Drobną utarczką! – zawołał Galin. – Znowu nas obrażasz!

– Nie pozbędziesz się nas, Gurnisson – powiedział Narin.

Gotrek spojrzał na nich, a potem wzruszył ramionami i odwrócił się.

– Róbcie, co chcecie. Tylko nie wchodźcie mi w drogę.

Szeregi krasnoludów rozdzieliły się i Gorril pomaszerował wzdłuż kolumny z Urlem i jego kompanią, aby zająć miejsce na przedzie. Odwrócił się w stronę krasnoludów.

– Nie mam dla was przemowy, kuzyni. Pamiętajcie, że można je powstrzymać tylko ścinając im głowy. Walczcie dobrze. Umierajcie dobrze. Niech Grimmir nas strzeże.

Kompanie wyszeptały jednym głosem krótką modlitwę i Gorril dał znak rannym krasnoludom, które stały po obu stronach drzwi.

– Zamknijcie je za nami – powiedział. – I upewnijcie się, że nadal jesteście sobą, zanim ponownie je otworzycie.

Krasnoludy skinęły głowami i pociągnęły za dźwignie, które odblokowały i otworzyły drzwi. Wrota powoli zapadły się w podłogę. Nieumarłe orki nadal tam były, czekając; cierpliwe jak grób i równie jak grób ciche. Ruszyły naprzód w milczeniu, unosząc broń. Smród rozkładu sunął przed nimi jak mgła.

Tym razem krasnoludy były gotowe. Wypoczęły. Wiedziały, co robić. Przebiły się przez orki za

drzwiami niczym młot przez morską pianę. Zespoły krasnoludów pracowały dwójkami. Jeden powalał nieumarłego orka na kolana, drugi odrąbał mu głowę. Orki nie krwawiły.

Gotrek i Felix z łatwością parowali niezborne ataki i rozbrajali potwory, ścinając głowy na lewo i prawo. Narin i Galin robili to samo po swojej stronie.

Bez względu na to, jak wielu z nich powalały krasnoludy, zdawało się, że tłum chodzących trupów nie rzędzie. Wypełniały szeroki korytarz na całej długości. Krasnoludy napierały na nie powoli, ale nieustannie, zdobywając centymetr za centymetrem, ścinając kolejne głowy, aż w korytarzu znalazły się wszystkie kompanie i drzwi do siedziby Diamentowych Mistrzów zamknęły się za nimi.

– Dobrze – powiedział Gotrek do Gorrila. – Idźcie dalej. My odchodzimy.

– Powodzenia, Zabójco – powiedział Gorril. – Sprowadź księcia Hammira żywego.

– Jeśli ja wrócę, on także wróci – powiedział Gotrek. Spojrzał na Felixa. – Którędy teraz, długonogi?

Felix wyciągnął szyję, aby spojrzeć ponad hordą zielonoskórych.

– Schody po naszej lewej są najbliżej.

– Dobrze.

Nie strzegając niepotrzebnie języka, Gotrek zaczął przebijać się między orkami. Felix, Narin i Galin szli jego śladem, strzegąc pleców Zabójcy i po drodze ścinając kilka głów. Po pięciu minutach dziwnej, bezkrwawej rzezi dotarli do schodów, na brzeg tłumy orków. Kilka ruszyło za nimi w głąb Wielkiej Sali, ale były tak powolne, że ich czwórka szybko zostawiła je w tyle.

Gotrek poprowadził ich przez twierdzę, do komnat króla Alrika. Wejścia do kopalni były dobrze zapieczętowane, ale orki zapewne próbowały się przez nie przebić od wewnątrz. Przy odrobinie szczęścia dziura ze skarbca do tunelu badawczego nie została jeszcze odkryta. „Przy odrobinie szczęścia”. Felix zaśmiał się na tę myśl. Jak dotąd mieli koszmarne pecha. Poleganie na szczęściu wydawało się szaleństwem. A jednak, było to najlepsze rozwiązanie.

Nie napotkali żadnego oporu. Twierdza opustoszała. Wszystkie orki zebrały się w hali Diamentowych, aby walczyć z ostatnimi krasnoludami. Kwatery króla Alrika były w takim stanie, w jakim je zostawili, nie licząc braku ciał goblinów, które najwyraźniej powstały z martwych i ruszyły do walki. Przeszli przez prowizoryczną garbarnię do sypialni Alrika, zakrywając nosy przed smrodem stosów gnijących śmieci, i podeszli do grubej kolumny po drugiej stronie.

– Szykujcie się – powiedział Gotrek.

Felix, Narin i Galin przygotowali broń, podczas gdy Gotrek macał po delikatnym zdobieniu za kolumną. W końcu znalazł zatrask, wcisnął go i kolumna wsunęła się w podłogę. Za nią nie było orków.

Felix odetchnął głośno.

Zeszli po krętych schodach bez poręczy do pionowego skarbca króla Alrika. Na dnie Gotrek pewnym krokiem podszedł do nierównej dziury w ścianie, ale Narin i Galin nie mogli nie zwolnić, mijając skarby w komorze. Ich oczy zatrzymywały się tęsknie na pięknych toporach i pancerzach oraz na puzderku pełnym krwawego złota.

– Z pewnością zasługujemy na jakąś nagrodę za naszą bezinteresowną pomoc – powiedział Galin, oblizując usta.

– Aye – zgodził się Narin. – Cóż znaczy funt złota, jeśli odbiliśmy twierdzę dla króla?

– Chcecie swoją nagrodę przed wykonaniem roboty? – warknął Gotrek.

Galin wzruszył ramionami.

– To był tylko żart, Zabójco.

– Aye – powiedział Narin, niechętnie odrywając spojrzenie od skarbów. – Tylko żart.

Potem przeszli za Gotrekiem przez dziurę i surowe przejście, które tak pracowicie wykuwali zaledwie dzień wcześniej, a potem weszli do tunelu. W opuszczonej kopalni nie było śladów, które wskazywałyby, że orki już odkryły ich wykop, więc pospieszyli przez tunel, aż dotarli do drzwi prowadzących do właściwej kopalni.

Gotrek odwrócił się do towarzyszy.

– Nie ma sensu zabijać gobasów, zanim nie przekonamy się, co za nimi stoi, więc bądźcie cicho.

– Ale jak to znajdziemy? – spytał Galin. – To może być gdziekolwiek.

Gotrek uniósł swój topór. Runy na jego głowicy lśniły słabo.

– Płoną tym jaśniej, im głębiej schodzimy. Poprowadzą nas.

Otworzył drzwi i wkroczyli do kopalń Karak Hirn. Idąc przez korytarze i schodząc szybami, widzieli niewielu zielonoskórych, znacznie mniej niż było ich wtedy, gdy wychodzili z Undgrinu. Felix był zaskoczony, że w ogóle jakiegokolwiek zobaczył. Spodziewał się, że wszystkie będą dobijały się do drzwi wyjściowych z kopalń, próbując wrócić do twierdzy, ale w każdej kuźni i hucie, jaką mijali, przy każdym przodku i dole na odpadki nadal pracowały orki i gobliny, wyrabiając broń, maszyny i pancerze.

Felix, na myśl o tym, poczuł zimne mrowienie. Jak wiele orków tu pracowało, skoro mogły sobie na to pozwolić, zamiast atakować drzwi? Jaką niesamowitą pewnością siebie musiał mieć umysł odpowiedzialny za to przedsięwzięcie, skoro kontynuował codzienną pracę, jakby ponowne przejęcie Karak Hirn było oczywistością? Jednak, z drugiej strony, umysł, który zdołał złamać wolę twierdzy pełnej krasnoludów i obrócić je przeciwko swoim braciom z pewnością miał prawo być pewien siebie. Czy coś takiego, czymkolwiek jest, można było pokonać? A jeśli potrafiło kierować działaniami armii orków i krasnoludów, co zdoła uczynić, gdy skupi całą uwagę na jednym człowieku lub krasnoludzie?

Umysł Felixa bezustannie krążył wokół tej myśli. Z każdym kolejnym poziomem, jego nastrój stawał się coraz bardziej ponury, a przekonanie, że w żaden sposób nie mogą zwyciężyć w nadchodzącej bitwie, coraz silniejsze. Wiedza, że jego nastrój pogarsza się wbrew jego woli, że jego świadomość atakuje istota, której szukali, nie uspokajała go. Prawdę mówiąc, wzmacniało to tylko jego obawy, że to coś jest niepokonane. Miało zdolność do naginania umysłu Felixa i sprawiania, że czuł się bezsilny, co było dowodem, iż nie ma nadziei na zwycięstwo. Zaśmiał się do siebie ponuro. Gdyby runiczny topór nie wskazywał im drogi, z pewnością mogliby wykorzystać za przewodnika jego nastrój. Im bardziej był ponury, tym bliżej musieli być celu. Gdy poderżnie sobie gardło, będą wiedzieli, że są u źródła.

Chociaż niczego nie mówiły na głos, Felix dostrzegał, że krasnoludy także były pod wpływem obcej istoty. Wzdrygały się i potrzęsały głowami, jakby opadły je moskity, i słyszał, jak mamroczą pod nosem. Galin od czasu do czasu pojękiwał i przytykał dłoń do oczu. Nawet Gotrek był pogrążony w apatii, chociaż okazywał to, przeklinając wściekłym szeptem i potrzęsając ramionami, jakby chciał zrzucić jarzmo.

Dziesięć poziomów niżej, a trzy poziomy przed wejściem do Undgrinu, korytarze zwążyły się i malała liczba bocznych przejść. To był najnowszy obszar kopalni, a wiele z tuneli było tylko badawczymi czujkami wpuszczonymi w skałę w poszukiwaniu nowych żył rudy. Nie zostały obrobione ani poszerzone. Runy na toporze Gotreka lśniły tak jasno, że już nie potrzebowali światła lampy, a poczucie przygnębienia paraliżowało serce Felixa, uciskając je niczym ręka olbrzyma. Czuł się tak, jakby jego kości zmieniły się w ołów. Tylko największym wysiłkiem woli stawiał nogę za nogą.



Gdy przechodzili przez ciasny korytarz Gotrek zatrzymał się. Przed nimi pojawiło się światło – blask pochodni dobiegający z otworu w ścianie po lewej stronie. Dochodziły stamtąd także odgłosy poruszeń.

– Wracamy i szukamy innej drogi? – szepnął Narin.

– Chowamy się, aż sobie pójdą? – zasugerował Galin.

Felix zamrugał zdumiony, patrząc na krasnoludy. Nigdy nie widział u nich takiego strachu. Oczywiście, czuł to samo, ale był tylko człowiekiem.

Gotrek splunął z odrazą.

– Wracajcie, jeśli chcecie – powiedział. – Nie ma innej drogi. – Uniósł swój topór. – To, czego szukam, jest przede mną, nie widzę żadnych bocznych dróg.

– Mimo to – powiedział Galin, przeżuważając wąs – może rozsądnie byłoby to sprawdzić. Rozejrzeć się trochę.

Gotrek wzruszył ramionami.

– To będzie tylko kilka gobasów.

– Ale one mogą nas zabić – powiedział Narin. Trząsał się.

Gotrek spojrzał na niego zdeglustowany.

– To teraz boisz się orków?

– Ja... Nie – odparł Narin. Potrząsnął gwałtownie głową. – Nie. Co we mnie wstąpiło? Oczywiście, że nie.

– Wiem, co w nas wstąpiło – powiedział Galin, dygocząc. – To Śpiący. Wie, że się zbliżamy. Sprawia, że się boimy. Potrafi czytać w naszych myślach. To beznadziejne. To...

Gotrek rąbnął go lewym sierpowym.

– Weź się w garść, Kruszący Kamień. Cokolwiek to jest, jeśli żyje i oddycha, może paść od mego topora.

Galin wstał powoli, pocierając szczękę przez brodę.

– Przepraszam, Zabójco. To... Trudno z tym walczyć.

– Mówiłem, żebyście nie szli. Teraz zwalczcie to albo wracajcie i zostawcie mnie.

Gotrek odwrócił się i ruszył w stronę oświetlonego wejścia. Pozostali powoli podążyli za nim, trzymając broń w gotowości. Nogi Felixa trzęsły się tak bardzo, że trudno mu było iść. Wiedział, że to Śpiący wzmacnia ich obawy, ale to i tak nie ułatwiało walki ze strachem ani nie zmniejszało ciężaru na sercu.

Gotrek przycisnął się do ściany i wychylił w przód, aby zajrzeć do otworu. Blask bijący od runicznego topora zakrył ramieniem. Zmarszczył brwi, przez długą chwilę spoglądając do środka, a potem cicho wszedł tam i machnął na innych.

Pozostałe krasnoludy po przejściu przez drzwi zastygły w bezruchu. Felix wszedł ostatni i zajrzał do środka z ciekawością i strachem, podczas gdy jego wyobraźnia podsuwała mu obrazy wszelkiego rodzaju koszmarów i plugastwa. Zamiast tego zobaczył kilka orków po drugiej stronie długiej, niskiej komory. Orki składały drewnianą skrzynię wokół wydłużonego, ciemnego worka wielkości baryłki na piwo. Na jego powierzchni, pod warstwą śluzu, widniały przezroczyste owadzie skrzydła. Felix dostrzegł, jak pod nimi kuli się coś bladego i na wpół uformowanego. Pod ścianami pomieszczenia stało co najmniej dwadzieścia złożonych i otwartych skrzyń, zdolnych pomieścić dwadzieścia kolejnych lśniących worów.

Krasnoludy zaszeptaly do siebie w bezpiecznej odległości, w głębi korytarza.

– Są ich całe tuziny! – mówił Narin. – Tuziny!

– Ale... Ale co to jest? – pytał Galin. – I co je urodziło?

Gotrek odwrócił się w stronę ciemnego korytarza.

– Za chwilę się dowiemy. – Ruszył naprzód.

Zaledwie po stu kolejnych krokach zbliżyli się do surowego bocznego tunelu wykopanego w prawej ścianie. Opadał pod ostrym kątem w głąb ziemi.

Topór Gotreka lśnił niczym pochodnia, gdy stanął u wejścia do tunelu.

– To jest to – powiedział.

I wszedł. Felix usiłował pójść za nim, ale stwierdził, że nie może. Fala strachu i rozpacz, silniejsza niż jakakolwiek wcześniej, zalała go i zmieniła jego nogi w ołów. Jego żart o podejrzeniu sobie gardła nagle przestał być żartem. Był tak przerażony i pewien, że cokolwiek znajduje się na końcu tunelu, nie tylko go zabije, ale i zamieni w bezmyślnego potwora, który zwróci się przeciwko przyjacielom. Będzie szerzył daleko wpływy Śpiącego. Chciał przebić sobie kark sztyletem, aby zakończyć to wszystko i ocalić świat. Chciał wydrzeć sobie oczy, żeby nie móc tego zobaczyć, ale zbyt mocno trzęsły mu się ręce. Narin i Galin też stali sparaliżowani.

Gotrek spojrział na nich przez ramię.

– Co znowu?

– Nie czujesz tego, Zabójco? – spytał Narin, szczękając zębami. – Jesteś z kamienia?

– Czuję to – odparł Gotrek. – Ale najgorsze, co może nas spotkać, to śmierć. I tak było, odkąd opuściliśmy Rodenheim.

– Śmierć nie jest najgorsza – wyjąkał Galin. – To nas porwie. To zrobi z nas podobnych do klanu Diamentowych. To sprawi, że zwrócimy się przeciwko swoim.

– Tak się stanie, jeśli będziecie tu stali i się trzęśli – powiedział Gotrek. – Przestańcie myśleć i zacznijcie maszerować. To jedyny sposób.

Odwrócił się i ponownie ruszył w dół tunelu. Bez względu na to czy sprawiły to słowa Gotreka, czy zwykły fakt, że słuchanie chwilowo wyrwało go z bezdennego wiru własnych wyobrażeń, Felix stwierdził, że znowu może się ruszać. Narin i Galin także poszli za Zabójcą, podążając prostym jak strzała tunelem coraz głębiej pod ziemię.

– To robota orków – mruknął Narin. – Ale orki nigdy nie kopią tak prosto.

Po stu metrach tunel zatrzymywał się przy ścianie z wypolerowanych bazaltowych bloków, gładkich jak lustro i tak dobrze osadzonych, że niemal nie sposób było dostrzec szczeliny między nimi. Szerokie, niskie drzwi, węższe na górze niż na dole, otwierały się na czarną jak smoła komorę, wzdłuż brzegów której biegły dziwne symbole.

– To jest stare – powiedział Galin głosem wyrażającym zarówno zdumienie, jak i przerażenie. – Starsze niż ród krasnoludów. Kto to wykonał?

– Ani krasnolud, ani człowiek, ani elf – powiedział Narin. – To pewne.

Wskazał na symbole.

– Czy to są znaki ochronne, które miały zatrzymać coś w środku, czy przeciwnie – nie dopuścić do środka? Czy jest to świątynia, czy grobowiec?

– Cokolwiek to jest – powiedział Gotrek. – Powinno pozostać zagrzebane pod ziemią.

Przeszedł przez czarne drzwi.

## Rozdział 24

Felix, Galin i Narin podążali za Gotrekiem w głąb zakopanej struktury z bazaltu. Felix musiał schylić się pod niskim nadprożem. Czerwone światło runicznego topora odbijało się od lśniących, czarnych ścian, odkrywając wielki ośmiokątny pokój, z którego wychodziło więcej niskich, trapezoidalnych drzwi prowadzących w ciemność. Felix zadrżał. To miejsce emanowało nieprawdopodobnie starą aurą, przypominającą mu tunele Pradawnych, w których on i Gotrek niemal przypadli podczas swoich podróży z Teclisem. Poczł się bardzo młody, mały i nic nieznaczący.

Skala drzwi pozwoliła mu stwierdzić, że miejsce to nie zostało wybudowane dla niczego, co chodźło na dwóch nogach. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, co to mogło być, ale powstrzymał się od tego. Podążanie tym torem mogło sprawić, że wybiegnie z krzykiem z tunelu.

Widok pracujących tu orków był niemal pokrępiający. Orki mogły być strasznymi i paskudnymi potworami, ale były to ZNANE straszne i paskudne potwory. Nad szeroką, okrągłą dziurą, pośrodku pokoju, zostały położone długie deski, tworząc pomost. Ścieżka pyłu, kamyków i orczych śladów prowadziła od drzwi, którymi weszli Felix i krasnoludy, do drugich, na przeciwnej ścianie. W tym miejscu unosił się także znany smród orków – ostry zwierzęcy odór połączony z wonią śmierci i gnijących śmieci.

– Jak orki dowiedziały się, że to jest tutaj? – spytał Felix, rozglądając się. – Jak to znalazły?

– Nie znalazły – powiedział Gotrek. – To ich wezwało.

– Gurnisson – odezwał się Narin. – Schowaj na chwilę swój topór. Wydaje mi się, że widzę światło.

Gotrek zatknął topór pod ramię, zasłaniając blask run i pokój pogrążył się w ciemnościach. Gdy oczy przywykły do mroku, Felix dostrzegł blady, fosforyzujący blask dobiegający od przeciwległych drzwi, tak słaby, że trudno było uwierzyć w jego istnienie. A potem coś go przesłoniło. Wielkie cienie zbliżały się szybko w ich stronę.

– Coś ku nam idzie! – powiedział Galin.

Gotrek odsłonił swój topór, a Felix, Narin i Galin stanęli w gotowości. Pod przeciwległymi drzwiami przeszło, schylając się, sześć zmutowanych orków, każdy wielkości wodza, z którym zmierzli się w Wielkiej Sali. Ich czarne oczy lśniły czerwienią w blasku run. Duszący smród zgniłych jaj bił od nich gęstą chmurą.

Wędrowcy zakrztusili się i osłonili usta, a orki, chcąc ich otoczyć, rozciągnęły się w szereg i uniosły broń.

– Na Grungniego! – zawołał Narin. – To już nie są orki. Stały się czymś innym.

– Mutanty – splunął Galin. – Skażone Chaosem.

To była prawda. Mutacje, które dopiero wypaczały wodza orków były w pełni rozwinięte u ohydnych kreatur, z jakimi teraz się mierzyli. Podczas gdy wódz był blady, ci byli biali jak śnieżyca ryba i błyszczeli od lepkiego śluzu. W miejscu guzów i narośli na skórze tamtego, u nich wystawały przezroczyste kolce i rogi wyrastające z czaszek i ramion niczym mleczne sople. Jeden pośrodku piersi miał pierścień maleńkich macek wokół ropiejącego otworu. Ich ręce były długie i zniekształcone, sięgające niemal do ziemi, a przedramiona pokrywały szkliste pancerze, przypominające skorupy albinotycznych krabów jaskiniowych. Ich karki lśniły złotem i onykssem.

Gotrek przesunął kciukiem po ostrzu swego topora. Pocięła krew. Wyszczrzył zęby.

– To DOPIERO będzie walka!

– To będzie rzeź! – jęknął Galin. – Oni mają obręcz. Wszyscy mają obręcz. Są niezwyciężeni. To koniec.

– Zamknij się – rzucił gniewnie Gotrek. – Załatwimy ich wszystkich.

– I odrąbiemy im głowy – dodał ponuro Narin. – Aby upewnić się, że nie zaatakują ponownie, gdy padną martwi.

– Człeczyno, za mną – powiedział Gotrek. – Zdejmiesz obroże, a ja ich pozabijam. Galin, Narin – zróbcie tak samo! Naprzód!

Gotrek i Felix ruszyli na orki po lewej, podczas gdy Narin z Galinem pobiegli na tych po prawej. Zamiar okazał się niewykonalny. Zdawało się, że orki natychmiast domyśliły się, co tamci zamierzają zrobić i gdy Felix spróbował podejść pierwszego, pozostali zaatakowali właśnie jego, a nie Gotreka. Musiał uskoczyć niczym uczennica, aby uniknąć wybebeszenia. Gotrek zastąpił orkom drogę i zatrzymał je, ale były niesamowicie silne oraz odporne na ciosy. Zaczęły go spychać.

Pozostała dwójka miała takie same problemy. Ustąpili przed kolejnymi trzema orkami, uchylając się i parując szaleńczo, a potem odskoczyli w bok i uciekli na drugą stronę pokoju. Orki ruszyły za nimi.

– To nie działa, Gurnisson! – zawołał Narin.

Felix wrócił do boku Gotreka, siekąc wokół siebie z całych sił, chociaż wiedział, że to bezcelowe. Jego miecz odbijał się od oślizgłej, białej skóry orków, jakby była z kamienia.

– Spróbuj jeszcze raz – warknął Gotrek, uderzając na stwory.

Felix skinął głową i spróbował obieć orki, ale one natychmiast rzuciły się w jego kierunku. Odskoczył. Po drugiej stronie zakrytej dziury Galin i Narin usiłowali uniknąć przyparcia do ściany.

Felix spojrzał jeszcze raz na otwór i deski, które go zakrywały.

– Dziura! – krzyknął.

– Co z nią? – zapytał Gotrek.

Felix oderwał się i pobiegł do dziury. Wypuścił miecz i zaparł się mocno o deski. W nos uderzyła go z siłą pięści fala odoru śmierci. Pod deskami jama opadała prosto w dół, na głębokość około trzech metrów. Sigmar jedyny wiedział, jakie było jej pierwotne przeznaczenie, ale teraz był to grób. Na dole piętrzył się tuzin orczych ciał, tak starych i przegniłych, że pod ich rozkładającym się truchłem widoczne były szkielety.

Felix zaklął. Miał nadzieję, że studnia będzie głębsza. Stąd orki wyleżą w jednej chwili.

– Uważaj, człeczyno!

Felix instynktownie przetoczył się na bok, w chwili, gdy opadł tasak orka. Ostrze rozszczepiło deskę, którą zamierzał unieść. Ork zamachnął się ponownie. Felix skulił się i odtoczył na bok, łapiąc swój miecz, po czym poderwał się na nogi.

– Niezła myśl! – rzucił Gotrek, odsuwając się od pozostałych dwóch potworów. – Narinsson! Olifsson! Usuńcie deski!

– Nie. To nie pomoże – wystękał Felix, uchylając się przed kolejnym zamachem. – Jest za płytko. Wygrzebią się. Chyba, że...

Wpadł na pewien pomysł. Doskoczył do Gotreka i zerwał zgaszoną latarnię z jego pasa. Potem, odskakując, ponownie dopadł dziury i rozbił lampę o jej brzeg. Szklany zbiornik we wnętrzu małej blaszanej obudowy roztrzaskał się i wyciekła oliwa. Felix wytrząsał ją wzdłuż krawędzi dziury, aż ork skoczył na niego. Felix rzucił mu latarnię w twarz i odbiegł, ledwo odbijając cios na odlew.

Ork odwrócił się, chcąc zaatakować ponownie, poślizgnął się na oliwie, odzyskał równowagę i ruszył za nim. Felix, cofając się przed nim, rozbił własną latarnię tak, jak zrobił to z lampą Gotreka i spryskał oliwą kolejny fragment obrzeża. Topór orka wyrwał okruchy kamienia z bazaltowej podłogi kilka centymetrów przed jego stopą. Felix odskoczył ponownie.

Gdy ork ruszył za nim, Felix zdumiał się, jak łatwo mu się myślało. Zabójca miał rację. Po

rozpoczęciu walki jego strach osłabł. Nie przepadł całkiem; węzły trwogi nadal zaciskały mu się na żołądku, ale teraz nie paraliżowały go. Felix mógł myśleć. Mógł działać. Nie zamierzał się poddać. Nie chciał umrzeć.

Po drugiej stronie Narin i Galin usiłowali wykonać polecenie Gotreka, ale nie udawało im się tego dokonać. Byli ścigani przez trzy orki i zbyt zajęci unikaniem toporów, aby chwycić za deski.

Gotrek wycofywał się w stronę dziury, wabiąc za sobą swoje dwa orki. Na krawędzi otworu zamarkował cios w lewo, sprawiając, że jeden z orków spróbował go sparować; Gotrek przechylił się i ciał w korpus drugiego.

Ork przyjął cios runicznego topora na swoje odsłonięte, białe ciało. Warknął tylko nieznacznie i dał krok do przodu. Zamachnął się swą potężną bronią, celując w głowę Gotreka. Zabójca skoczył naprzód, uchylając się przed cięciem i uderzył ramieniem w brzuch orka, opierając się na trzonku oburącz trzymanego topora jak na kiju.

Pchnięty ciosem Gotreka i niesiony własnym impetem ork przeleciał ponad plecami Zabójcy i runął z łomotem na pozostałe deski. Trzasnęły pod jego wielkim ciężarem niczym suche gałązki i stwór wpadł do dziury, lądując na stosie gnijących kamratów.

Drugi ork Gotreka natarł, unosząc pałkę. Krasnolud przetoczył się w lewo i ustąpił mu z drogi. Zmutowany zielonoskóry usiłował się zatrzymać i zawrócić, ale poślizgnął się na rozlanej oliwie i zsunął do dziury, lądując prosto na poprzednim.

Galin i Narin przebiegli obok Gotreka wzdłuż krawędzi otworu, ścigani przez swoich trzech zwalistych prześladowców. Krasnoludy zręcznie uniknęły kałuż oliwy, ale wiodący ork nie był tak sprawny. Zwalił się na plecy, zwieszając prawą rękę i nogę nad brzegiem dziury. Felix, cofając się przed swoim orkiem, dostrzegł okazję. Podbiegł i kopnął leżącego. Ten zsunął się do dziury, drapiąc przezroczytymi pazurami jej śliskie brzegi, a potem przewrócił się na bok.

Felix zawirował i uniknął cięcia orczym tasakiem. Znalazł się odwrócony plecami do Gotreka, Galina i Narina otoczonych przez trzy pozostałe orki. Za nimi trupiobiałe ręce wysuwały się i chwyciły za krawędź dziury, próbując uchwycić się śliskiego bazaltu.

– Wyrównaliśmy szanse – powiedział z zadowoleniem Gotrek. – Teraz wy zabijecie jednego, podczas gdy ja zatrzymam pozostałe dwa.

– Zdołasz zatrzymać dwa? – zapytał Narin.

– Zależy, jak szybko zabijecie tego jednego – odparł Gotrek. – Naprzód!

Nagle Zabójca stał się wirem błyskającej stali. Czerwone lśnienie jego runicznego topora rysowało zakrzywione smugi pod powiekami Felixa, gdy krasnolud odpierał dwa orki niesiony zwykłą, brutalną wściekłością.

Felix, Narin i Galin zaatakowali trzeciego orka, próbując jak najlepiej powtórzyć zacięty atak Gotreka. Felix przesunął się za plecy potwora i sięgnął po jego obręcz. Stwór odskoczył i uderzył na człowieka. Felix uchylił się, o włos unikając topora, a Narin spróbował chwycić obręcz z drugiej strony. Ork obrócił się gwałtownie, Narin zaś uchylił. Topór ściał róg na hełmie krasnoluda. Walka nagle zaczęła przypominać Felixowi dziecięcą zabawę, zabójczą wersję berka lub gry w dziada.

Felix skoczył naprzód i tym razem zacisnął palce wokół złotej obręczy. Pociągnął, ale obręcz trzymała się mocno, wciśnięta głęboko w śliski, umięśniony kark orka. Brutal zawirował i uderzył Felixa w skroń swoim opancerzonym przedramieniem. Białe iskry zabłyśły przed oczami Felixa, który padł na ziemię, ale upadając pociągnął za sobą obręcz.

Jak przez mgłę dostrzegł orka, który unosił nad nim swój topór do zabójczego ciosu. Jednak warknął tylko i opadł na kolana. Gęsta, czarna krew bluznęła z jego ust, gdy Galin przerąbał mu się przez grzbiet. Felix uchylił się i wysunął w górę swój miecz, a ork nadział się nań, padając. Ostrze

weszło w jego biały brzuch aż po rękojęść.

Narin odtoczył ciało z Felixa, a Galin odrąbał orkowi łeb. Felix stanął niepewnie i oswobodził swój miecz. Ze skroni spływała mu krew. Świat widział przekrzywiony. Odrzucił obręcz.

– Dobra robota, człeczyno – powiedział Narin.

– Zostało tylko pięć – parsknął Galin.

– Szybciej, obiboki! – wrzasnął Gotrek.

Dwa orki przyciskały Zabójcę do ściany, a on parował i blokował ze wszystkich sił.

Narin, Galin i Felix pobiegli mu na pomoc. Gdy mijali dziurę, jeden z padłych orków zaczepił topór o jej wylot, a drugi zaczął wspinać się po jego plecach.

– Na Grimmira! – zaklął Galin. – Wyłażą!

– Walczcie dalej – powiedział Felix. – Ja się tym zajmę.

Wyszczerzył zęby. Nie miał zamiaru przegapić takiej okazji. Gdy Narin i Galin pobiegli dalej, Felix podszedł do brzegu dziury i sięgnął w stronę głowy wspinającego się orka, aby zerwać jego obręcz. Brutalną kłapał, a Felix cofnął rękę i spróbował ponownie.

Tym razem udało mu się zerwać obrozę z brudnego karku potwora.

– Ha! – zakrzyknął, odrzucając ją i dobywając miecza, aby odrąbać mu głowę.

Ork wyciągnął gwałtownie swoją nadnaturalnie długą rękę i chwycił Felixa za kostkę, zaciskając na niej palce. Felix upadł płasko na plecy, a obok upadł z brzękiem jego miecz. Ork wysunął drugą rękę i usiłował wydostać się z dziury, ale jego palce ześlizgnęły się po oliwie i stwór zaczął powoli zsuwać się z powrotem, ciągnąc za sobą Felixa. Ten uderzył w posadzkę wolną nogą, próbując zaprzeć się obcasem, ale trafił stopą na tłustą plamę. Nie mógł wymacać oparcia. Ork nieubłaganie ścigał go w stronę ostrza topora, którym jego kompan zaczepił o krawędź dziury. Ostrze mogło rozciąć Felixa na dwie połowy – od krocza do mózgu.

Felix na ślepo szukał swego miecza. Nie mógł do niego dosięgnąć.

– Gotrek!

Krasnoludy były zbyt zajęte pozostałymi orkami. Nie słyszały go.

– Gotrek!

Gotrek rozejrzał się. Jego oko płonęło.

– Do cholery, człeczyno! Jak się dostałeś...

Oderwał się od walki i podbiegł do dziury. Dwóch przeciwników natarło w jego kierunku, powalając Narina i Galina na podłogę, jakby byli dziećmi. Najwyraźniej rozumieli, kto stanowi dla nich największe zagrożenie.

Wspinający się ork zsuwał się szybko. Jego przezroczyste pazury drapały po oleistym kamieniu niczym odłamki szkła. Felix sunął wraz z nim, jego krocze było już o centymetry od ostrego jak brzytwa topora.

Gotrek rąbnął swoją bronią w nadgarstek wyłażącego orka, a potem uskoczył, centymetry przed ścigającymi go stworami. Ork wpadł z powrotem do dziury, tryskając krwią z kikuta, a Felix odczołgał się od ostrza. Odrąbana biała ręka nadal zaciskała się na jego kostce. W pobliżu studni Narin i Galin wstawali na nogi.

Gotrek obrócił się w stronę napastników, odbijając jedno cięcie i unikając drugiego. Bili w niego nieprzerwanie, spychając go w stronę dziury.

Gdy Felix chwycił swój miecz, zobaczył orka, który zaczepił ostrze o krawędź otworu, próbując wspiąć się po trzonku. Kopnął więc w bok głowicy topora. Broń przesunęła się ze zgrzytem po podłodze, wycinając białą linię w bazalcie, i spadła z krawędzi. Ork runął na swych kamratów.

Felix przystanął, a Narin i Galin pobiegli na pomoc Gotrekowi. Narin rąbnął orka po lewej

stronie w grzbiet. Galin wbiegł prosto po plecach drugiego i chwycił jego obręcz swoimi grubymi palcami. Ork odwrócił się, uderzając. Galin odleciał i grzmotnął o podłogę. Jego głowa uderzyła o kamienne płyty z głuchym stukotem. Złota obręcz wypadła ze zwiotczącej dłoni i potoczyła się po podłodze.

Ork, powarkując, dotknął ręką obnażonego karku. Gotrek ciął go w twarz. Stwór złapał krasnoluda za ramię, ale nie był dostatecznie szybki. Ostrze topora wgrzyzło się mu między oczy. Z charkotliwym westchnieniem ork zwalił się w tył, prosto do dziury, nadal trzymając w uścisku rękę Gotreka. Razem runęli na stos gnijących ciał. Pozostałe orki uskoczyły w bok.

– Gotrek! – zawołał Felix.

Ale miał własne problemy. Drugi ork biegł za nim, wymachując potężną maczugą. Dzięki przedłużonym ramionom miał niesamowity zasięg. Narin uderzył na niego od tyłu, ale ork nadal miał swoją obrożę i ciosy krasnoluda nic mu nie zrobiły. Galin leżał za nimi. Z tyłu jego głowy ciekła krew. Usiłował odzyskać władzę nad kończynami. Z głębi dziury dobiegały odgłosy wściekłej walki.

– Stań za nim, Jaeger – powiedział Narin. – Nie dosięgnę jego karku.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Felix uchylił się przed wściekłym cięciem i usiłował przesunąć się na tyły orka, ale ten czujnie się obrócił.

Narin dołączył do niego od frontu.

– Ja go zatrzymam. Ruszaj się.

Felix przesunął się w lewo. Ork odwrócił się ponownie, ale Narin zahaczył toporem o jego kolano, spowalniając ruch. Ork ciął Narina, aby go odrzucić. Felix znalazł się z tyłu. Narin odskoczył, śmiejąc się, gdy maczuga otarła się o jego blond brodę.

– Choć tu, ty wynaturzony brutalu! – kpił. – Nic nie widzisz przez te ślepie?

Felix skoczył potworowi na plecy, otaczając ręką z mieczem jego gardło, i sięgnął po obrożę.

Ork szarpnął się, próbując go zrzucić. Felix, wymachując nogami, trzymał się mocno i pociągnął ponownie. Obręcz się zsunęła.

– Ha! – Narin skoczył naprzód, unosząc wysoko topór i wbił go w pierś orka, rozrąbując żebra.

Ork ryknął i zadrzał spazmatycznie, jakby odzyskał w momencie śmierci orczą furję. Machnął swoją maczugą i uderzył w pierś Narina. Rozległ się odgłos jakby pękającego melona. Krasnolud i ork runęli jednocześnie na podłogę. Ich krew zmieszała się.

– Narin! – zawołał Galin.

Inżynier siedział. Z tyłu jego głowy widniał guz wyglądający jak okrwawiona śliwka.

Felix walczył z nudnościami, patrząc na czerwoną miążgę w miejscu piersi Narina. Nie było czasu na smutek i opłakiwanie zmarłego. Gotrek nadal był w dziurze. Felix podbiegł do krawędzi, zatrzymując się tuż przed plamą oliwy. Spojrzał w dół.

Ork z odrąbaną ręką był martwy. Gotrek bił się z pozostałymi dwoma na stosie gnijących ciał, które zmieniały położenie z każdym krokiem walczących. Poobijany Zabójca krwawił. Orki nie miały najmniejszych zadrapań.

Galina przysunął się nad krawędzią do Felixa. Spojrzał ze smutkiem na Narina.

– Biedny chłopak – powiedział. – Umarł dobrze jak na Żelazną Skórę.

Gotrek uchylił się przed orkiem, który zastąpił drogę drugiemu. Potykali się, nie mogąc znaleźć pewnego oparcia dla stóp. Ponownie spróbowali zbliżyć się do krasnoluda. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby tańczyli. Gotrek zachwiał się i niemal dostał toporem między oczy.

– Łapcie ich obręcze! – zawołał, przekrzykując brzęk stali.

Felix skinął głową. Tak, łapać obręcze, ale jak? Wskoczenie do dziury nie wchodziło w grę.

Ledwie wystarczało tam miejsca dla Gotreka i orków. Gdyby spróbował przechylić się nad naoliwioną krawędzią i chwycić jednego z nich, wpadłby do środka. Potrzebował...

– Deski! Galin! Deska! Pomóż mi!

Felix podbiegł do desek, które wcześniej odrzucił i podniósł koniec jednej, a Galin chwycił za drugi. Ułożyli ją ponad dziurą.

– Trzymaj mocno – powiedział Felix, stając nad otworem.

Galin skinął głową i usiadł na jednym końcu deski. Felix ostrożnie położył się i, przyciskając pierś, przesunął się wzdłuż niej. Orki walczyły dokładnie pod nim, ale nie patrzyły w górę. Były zbyt skupione na próbach zabicia Gotreka. Felix sięgnął w dół w kierunku jednego z nich. Jego palce otarły się o obręcz, ale nie zdołał jej złapać. Wysilił się ponownie. Ork skoczył na Gotreka i jego obręcz znalazła się poza zasięgiem. Felix zaklął w myślach. To było jak próba zdjęcia pierścienia z rogu szarżującego byka.

Drugi ork przesunął się pod nim, zbliżając się do boku krasnoluda. Felix znowu wyciągnął rękę. Ork pochylał się w tył i w przód, próbując przyprzeć Zabójcę. Felix niemal wisiał na końcu deski, aby móc sięgać dalej. Ork cofnął się – prosto pod rękę człowieka. Felix chwycił za obręcz. Ork skoczył w przód, odwracając się, by zobaczyć, kto za nim stoi i obroża się zsunęła.

Gotrek uderzył szybciej niż mógł to zarejestrować wzrok. W jednej chwili ork patrzył niewidzącym wzrokiem na Felixa, w następnej jego głowa zleciała z ramion. Runął niczym zawalona wieża.

Drugi ork także uderzył szybko, tnąc w plecy Gotreka w tej samej chwili, gdy Zabójca powalał jego kamrata. Gotrek uskoczył i topór wyciął tylko postrzępioną linię na jego lewym ramieniu. Krasnolud uderzył w ścianę i upadł między trupy.

Ork zawirował, aby go wykończyć; uniósł swój topór nad głową, prosto w kierunku Felixa. Felix krzyknął i poderwał się. Ostrze o centymetry minęło jego nos, ale rąbnęło w deskę, rozbijając ją doszczętnie. Oba końce zsunęły się do dziury i Felix wpadł wraz z nimi, lądując prosto na orku. Chwycił się jego ręki, próbując zarówno uchronić się przed upadkiem, jak i chcąc powstrzymać jego cięcie.

Ork nawet się nie zachwiał. Felix, zwisając z oślizgłego ramienia, w którym ork trzymał topór, patrzył w przerażeniu na białą, rogatą twarz potwora. Czuł się tak, jakby przywierał do natłuszczonego posągu.

Gotrek poderwał się ze stosu ciał. Jego lewe ramię było czerwone aż po nadgarstek. Stąpał niepewnie po poruszającym się, cuchnącym podłożu.

– Tak jest, człeczyno! Trzymaj go.

Felix zaśmiał się z goryczą.

– Trzymać go?

Ork strząsnął go, jak się strząsa nitkę z rękawa i podniósł go za gardło. Felix kopał i walczył, dławiąc się, gdy masywne palce zaciskały się na jego tchawicy. Rąbnął swoim mieczem w twarz orka. Cios odbił się, nie robiąc szkody. Ork nawet się nie uchylił. Cofnął topór, by rozrąbać Felixa na pół. Gotrek upadł, bo stanął na przegniłej klatce piersiowej i poślizgnął się na przegniłych bebeczach. Nie zdążył na czas.

– Hej! Śmierdziuchu! – Galin zeskoczył z krawędzi dziury i zamknął ramię z toporem w niedźwiedzim uścisku. Ork zachwiał się, opuszczając broń.

– Dalej, Zabójco! – ryknął Galin.

Ork potrząsnął ręką, usiłując zrzucić krasnoluda. Ten trzymał się mocno.

Gotrek wstawał na nogi.



Felix ponownie ciął w głowę orka, czując jak gaśnie świat, a obręcz mruga kpiąco, odległa zaledwie o długość miecza. Długość miecza?

Gdy ork walnął Galinem o ścianę, Felix dźgnął go w kark swoim mieczem. Ostrze ześlizgnęło się po paskudnej białej skórze, jakby to był marmur i zaklinowało pod obręczą.

Ork ponownie uderzył Galinem o ścianę. Krew pociekła z ust krasnoluda. Felix wepchnął swój miecz pod obręcz i obrócił go. Kolejne uderzenie i Galin upadł oszołomiony. Obręcz nie chciała się zsunąć. Ork zamachnął się toporem na Felixa. Nie było ucieczki.

– Nie zrobisz tego!

Posypały się skry, gdy czerwonosrebrne pasmo mignęło, zatrzymując uderzenie orka. Tasak zsunął się o centymetry od głowy Felixa. Gotrek!

Ork warknął i uniósł Felixa, zamierzając się na krasnoluda. Poprzez rozdierający uszy ryk Felix usłyszał brzęk metalu.

Gotrek kopnął orka między nogi. Głupiec – pomyślał Felix ostatkiem sił. Topory nie robią mu krzywdy, więc jak ma tu pomóc zwykły but? Ale ork stęknął i puścił szyję Felixa. Gotrek odrąbał mu łeb cięciem powrotnym, a Felix spadł między trupy. Ork osunął się na kolana i runął do przodu. Jego głowa stoczyła się po plecach.

Gotrek siadł ciężko na piersi innego orka. Rana na jego ramieniu nabrzmiała czerwienią.

– Ale, jak...? – wysiekał Felix przez zgniecione gardło. – Ja nie...

– Czyżby? – Gotrek wskazał na miecz Felixa. Obręcz zielonoskórego zwisała z jego jelca.

Gotrek potrząsnął głową i otarł czoło.

– Na brodę Grimmira, to była niezła bójka. – Podniósł głos. – Żelazna Skóro! Zrzuć linę!

– Narin... Narin jest martwy – powiedział Galin, siadając i łapiąc się za głowę.

– Martwy? – spytał Gotrek. Jego twarz stężała.

Felix stanął, masując gardło. Z trudnością przełykał, a głowa bolała go straszliwie.

– Dzięki... Dzięki ci, Gotrek. Mogłem...

Gotrek wzruszył ramionami.

– Dziękuj sobie. Kopnięcie nic by nie dało, gdybyś nie zdjął tej przeklętej obręczy.

Stanął i podniósł jedną z połamanych desek. Oparł jeden koniec o stos ciał, a drugi o ścianę studni.

– Wyjdźmy z tej cuchnącej dziury.

Jeden po drugim wdrapali się po wąskiej desce i wyszli z jamy.

Gdy znaleźli się na górze, Gotrek spojrział na Narina leżącego we własnej krwi pod orkiem, którego zabił. Potrząsnął głową.

– Uparty głupiec. Powiedziałem mu, żeby nie szedł.

– Gotrek... – rozległ się słaby głos.

– On żyje! – zawołał Galin.

Podeszli do umierającego krasnoluda, rozchlapując butami jego krew. Żebra unosiły się nad jego rozbitą piersią niczym połamane, białe palce nad czerwoną zupą.

Spojrzał na nich, uśmiechając się słabo.

– Cóż, ja... Dokonałem tego. Uniknąłem mianowania thanem. Uciekłem przed moją... żoną. Przed małżeńskim łóżem. – Wypowiadał słowa z wysiłkiem. – Powiedźcie mojemu ojcu, że przepraszam go... Za to, że nie dałem mu potomka. Ale... nie za bardzo. – Zaśmiał się charkotliwie, pryskając krwią.

Gotrek klęknął.

– Aye, powiem mu.

– I... Oddaj mu tę drzazgę. – Jego dłoń pomacała skrwawioną brodę i wyciągnęła osmalony kawałek Tarczy Druttiego. – Powiedz mu, że... Życzę mu powodzenia w walce... Z tobą.

– To też mu powiem. – Gotrek włożył kawałek drewna do swojej sakiewki i ujął dłoń Narina. – Niech twoi przodkowie powitają cię, Narinie Narinssonie.

Narin był już martwy. Gotrek i pozostali pochyłili głowy.

Felix zaklął cicho. Lubił tego krasnoluda o ostrym języku. Z pewnością drażnił i obrażał Felixa jak inni, ale w jego ustach brzmiało to jednak inaczej – niczym psotne dokuczanie starego przyjaciela. Nie odnosił się do niego, obcego, z zaciętą nieufnością tak, jak reszta.

Usłyszeli kroki i podnieśli wzrok. Posadzki w pokoju były tak twarde, że trudno było stwierdzić, skąd dobiega odgłos.

– Kto tam? – spytał Galin, rozglądając się. – Pokaż się!

Strach, który odsunęła walka z orkami, znowu zacisnął się wokół serca Felixa. Włosy stanęły mu dęba na karku. Orki były tylko sługami istoty, którą przyszli tu zniszczyć. Nadal musieli zmierzyć się z ich panem – stworzeniem tak potężnym, że potrafiło naginać do swej woli nie tylko umysły swoich sług, ale także ich ciała.

Kolejny krok. Niewyraźna postać pojawiła się w przeciwległych drzwiach. Odwrócili się w jej stronę, z bronią w gotowości. Postać wkroczyła w czerwone światło topora Gotreka.

– Hamnir! – zawołał Galin. – Hamnir, ty żyjesz!

– Witajcie, przyjaciele – powiedział powoli Hamnir. – Witajcie w ucieleśnieniu waszych snów.

Pod rozdzieloną brodą krasnoludzkiego księcia Felix dostrzegł błysk złota.

## Rozdział 25

Galin jęknął. Gotrek warknął, jakby ktoś go postrzelił. Felix tylko się gapił.

Hamnir ruszył naprzód, sunąc z rozwartymi ramionami; niczym w półśnie.

– Przykro mi, że wasze powitanie było tak gwałtowne, ale zabiliście tak wielu z nas, że Śpiący poczuł zagrożenie i postanowił się bronić.

– Książę Hamnir... – powiedział Galin, postępując krok naprzód. – Co się z tobą stało? Zdejmij to.

Hamnir dotknął obręczy na swej szyi.

– To największy zaszczyt, jaki kiedykolwiek stał się moim udziałem. Noszę go z dumą.

– Zdejmij to, do cholery! – Galin był czerwony na twarzy. Miał łzy w oczach. – To dzieło Chaosu! Zwalcz to!

– Nie groź mi – powiedział spokojnie Hamnir. – Śpiący...

– Choroba niech weźmie Śpiącego! Zdejmij to! – Galin skoczył ku Hamnirowi, sięgając do jego karku.

Szybciej niż nadażało oko Hamnir zerwał swój topór z pleców i ciął w Galina. Ostrze przebiło się przez pancerz krasnoluda i jego żebra, jakby to był papier i patyczki. Inżynier padł na plecy, martwy, zanim uderzył w podłogę.

– Nie groźcie mi – powiedział Hamnir równie spokojnie, jak wcześniej. Felix i Gotrek patrzyli jak wycierał swój topór o brodę Galina. Wyjął inną obręcz ze swojego dubletu i podniósł ją. Wyciągnął ją do Gotreka. – Śpiący nie chce cię zabijać, Gotrek. Jesteś silny. Będiesz cennym wzmocnieniem podczas nadchodzącej walki. Weź to i dołącz do nas.

Gotrek zamknął oko. Głowa mu opadła. Felix nigdy nie widział go tak zboląłego.

– Ranulfsson – odezwał się gardłowym głosem. – Hamnir, zdejmij to. Zwalcz to. Jesteś krasnoludem. Księciem, a nie niewolnikiem.

– Nadal jestem księciem – odparł Hamnir. – Księciem, który podąża za wielkim bogiem. Weź obręcz, Gotrek, a przekonasz się.

– Nie, mądralo – powiedział Gotrek. – Nie mam pana ani krasnoluda, ani boga czy demona. – Uniósł spojrzenie i wpatrzył się w Hamnira. – A teraz to zdejmij albo ja zrobię to za ciebie.

– Posłuchaj mnie, Gotrek – rzekł Hamnir z oczami lśniącymi fanatycznym ogniem. – Od jak dawna krasnoludy prześladowuje pech? Od jak dawna tracimy twierdzę za twierdzą? Od jak dawna oddajemy terytorium i władzę elfom oraz ludziom, a nawet plugawym skavenom? Wraz z tą obręczą przychodzi siła, nieśmiertelność. Nic nie stanie nam na drodze. Mając za niewolników gobasy, które będą wydobywać rudę i pracować w naszych kuźniach, staniemy się potężniejsi niż byliśmy w Złotej Erze!

– Hamnir... – odezwał się Gotrek, ale Hamnir nie pozwolił sobie przerwać.

– Śpiący wykorzystał najpierw gobasy, ponieważ ich umysły są proste i łatwo nad nimi zapanować, ale *nawet* pod jego światłym przewodnictwem imperium gobasów nie ustoi. Nie można ich nauczyć niczego, poza najprostszymi zadaniami. – Podszedł bliżej. – Ale krasnoludy są wielką rasą, rasą, która nie będzie jego niewolnikami, lecz równym partnerem dzielącym jego przeznaczenie. On da nam swoją siłę, moc i mądrość zamierzchłych wieków, a jedyne, o *co* prosi w zamian, to abyśmy dzielili się obręczami z naszym ludem i przynosili jego dzieci do każdej twierdzy, którą odwiedzimy.

– Jego dzieci? – warknął Gotrek.

– Czyż nie widzieliście ich, przychodząc tutaj? – spytał Hamnir. – Nawet w tej chwili gobasy

szykują je do podróży. Wkrótce wozy parowe zawiozą je przez Undgrin do każdej twierdzy na świecie. – Ponownie wyciągnął obręcz. – Weź to, Gotrek. Wszystkie twoje wątpliwości, ponure myśli, twój strach znikną niczym rozwiany obłok, a zastąpi je radosny spokój. Nigdy już nie będziesz rozgniewany. Weź to. Dołącz do nas.

Gotrek wytrącił mu z ręki obręcz. Zabrzączała na podłodze.

– Nie.

Hamnir był uosobieniem smutku.

– A zatem, stary przyjacielu – powiedział, wzdychając. – Obawiam się, że musisz umrzeć. – Machnął toporem tak szybko i beztrzesko, jakby chciał zabić muchę i niemal mu się udało trafić Gotreka w gardło.

Zabójca odskoczył, przeklinając. Kępka z jego brody sfrunęła na podłogę. Felix także odskoczył. Nawet po słowach Hamnira ten atak był niespodzianką. Ataki zwykle coś poprzedzało – uniesiony głos, groźny gest, błysk wściekłości w oczach napastnika. Ciosu Hamnira nie poprzedziło nic.

Księżę ciął ponownie, równie beznamiętnie jak poprzednio, a Gotrek zablokował cios runicznym toporem.

– Nie rób tego, Ranulfsson – powiedział, marszcząc brwi. – Nie chcę cię skrzywdzić.

– A ja nie chcę skrzywdzić ciebie – powiedział spokojnie Hamnir, tnąc jeszcze raz. – Ale jeśli nie weźmiesz obręczy, nie będę miał wyboru. Ci, którzy nie są z nami, są przeciw nam.

Gotrek cofał się nadal, parując każdy cios, ale nie odpowiadał. Felix nigdy nie widział Zabójcy tak nieszczęśliwego podczas walki. To była bitwa, której nie mógł wygrać. Zabicie Hamnira byłoby tragedią, a nie zwycięstwem, a zabicie przez niego nie stanowiłoby godnej zagłady. Oznaczałoby to raczej zagładę dla rasy krasnoludów i, być może, całego świata. Skazanego na ubezwłasnowolnienie.

Ale jeśli Gotrek wkrótce nie uderzy, być może nigdy już nie zdoła wyprowadzić ciosu. Słabł z każdym krokiem. Ciężka rana na ramieniu kosztowała go mnóstwo krwi i krwawiła nadal. Felix widział, jak Gotrek zachwiał się, parując cios w głowę. Hamnir nie męczył się w najmniejszym stopniu.

Felix krążył wokół Hamnira, próbując uchwycić obręcz.

– Nie! – rzucił Gotrek. – To moja walka! – spojrzął na Hamnira. – I jego. Odstąp.

Zatem Felix stał z boku, gdy Gotrek cofał się wokół dziury, ścigany przez nieustępliwego, cichego Hamnira.

– Walcz z tym, mądralo – syknął Gotrek. – Walcz z tym! Jesteś najsprytniejszym krasnoludem, jakiego znam. Czy nie widzisz, co to z tobą robi? Czy nie czujesz bijącego od tego smrodu Chaosu?

Hamnir ciął w jego brzuch. Gotrek ledwo zdążył zablokować.

– Nie pamiętasz, co to uczyniło z Fergą? – spytał Gotrek. – Chcesz być taki sam?

Brwi Hamnira zmarszczyły się na chwilę, ale potem znowu wygładziły.

– Gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz, dołączyłbym do niej.

– Ten twój bóg wziął siłą twoją twierdzę, zabijając niewinne krasnoludy i wykorzystując do tego gobasy – odwiecznych wrogów naszego ludu. Jak możesz się z tym godzić?

– Nie chcieliśmy słuchać – powiedział beznamiętnym głosem Hamnir. – Zrobił to, co musiał. Tych, którzy słuchają, czeka tylko radość.

Gotrek zacisnął zęby, gdy poślizgnął się i nadwerężył nogę.

– Od jak dawna jesteśmy przyjaciółmi, mądralo? Jak wiele razy walczyliśmy ramię przy ramieniu i upijaliśmy się w trupa, i dzieliliśmy skarby, i wyklócaliśmy się o wszystko i o nic? – Jego głos był zachrypnięty z emocji. Felix nigdy nie słyszał, żeby Gotrek mówił w ten sposób. – Czy to znaczy dla ciebie mniej niż radość bycia niewolnikiem?

Hamnir milczał z zamyśloną twarzą. Jego ataki osłabły.

– Dobrze, mądralo – zawołał Gotrek. – Walcz z tym!

Hamnir zatrzymał się ze wzniesionym toporem i drżącymi rękami. W jego duszy toczyła się wojna.

– Walka jest bezcelowa – powiedział pełnym napięcia głosem. – Nas jest tylko dwóch, podczas kiedy liczyć trzeba w tysiącach. Jesteśmy dziećmi, a to jest odwieczne. Jeśli zdejmę obręcz, podniosą ją setki innych. To, co ja zrobię, nie ma znaczenia. Już przegraliśmy.

– Nie przegraliśmy! – ryknął Gotrek. – Zdejmij obręcz i zabijemy to razem.

Hamnir potrząsnął smutno głową.

– Nic tego nie zabije. Jest zbyt silne. Zbyt stare.

Gotrek parsknął.

– Co z ciebie za krasnolud? Czy skążesz swoją rasę na zagładę dlatego, że poddałeś się bez walki?

Źle dobrał słowa.

Na twarz Hamnira znów powrócił spokój. Księżę uniósł swój topór.

– Służę dlatego, aby ocalić moją rasę, bowiem jeśli się sprzeciwimy, zostaniemy zniszczeni. Tylko przyłączając się, zachowamy życie.

– Z obrożami na karkach – splunął Gotrek.

– Ale będziemy żyli. – Hamnir znowu zamachnął się na Gotreka.

Ten sparował i cofnął się. Na jego twarzy malował się strach i wściekłość.

– Gotrek – powiedział poruszony Felix. – Pozwól mi to z niego zdjąć. Może wtedy wróci do siebie.

– ON to musi pokonać – powiedział Gotrek, wpatrując się w Hamnira. – Musi być silny i zdjąć to sam.

– Może nikt nie jest dość silny...

– Krasnolud powinien!

Ból w głosie Gotreka był niemal nie do zniesienia.

– Nad nami jest zamknięty cały klan, który temu zaprzecza – stwierdził Felix.

Gotrek zaklął.

Hamnir ciął ponownie, ale tym razem Gotrek odpowiedział na atak, uderzając w topór Hamnira i próbując rozbroić księcia. Hamnir sparował i skontrował z oszałamiającą prędkością. Walczył dwukrotnie lepiej niż wcześniej, bez obręczy. Krążyli w pobliżu ciała Galina.

– Tracisz ostatnią szansę, mądralo – warknął Gotrek. – Zdejmuj to, albo giń!

Ale nie było oczywiste, kto zginie pierwszy. Gotrek walczył teraz jedną ręką, podczas gdy poranione ramię zwisało bezwładnie. Z trudem powstrzymywał ciosy Hamnira.

Zabójca cofnął się, stąpając ponad ciałem Galina. Hamnir napał, dziko wymachując bronią i poślizgnął się we krwi Galina.

Szybciej niż trwa mgnienie oka, Gotrek zablokował topór Hamnira dziobem obucha swojej broni i wyrwał mu go z ręki gwałtownym skrętem nadgarstka. Topór wpadł do dziury.

Hamnir cofnął się. Gotrek skoczył na niego niczym zapaśnik, powalił na ziemię i usiadł mu na piersi. Zerwał obręcz z szyi Hamnira i odrzucił ją daleko; uniósł topór i spojrzał w twarz księcia.

Hamnir przymrużył spokojnie powieki.

– A zatem, zabijesz mnie, Gotrek? Przysiągłeś chronić mnie póki życia.

Twarz Gotreka zwiotczała.

– I zawiodłem. – Wykrztusił. – Ty już jesteś martwy.

Zatopił swój topór w piersi Hamnira. Książę szarpnął się i zadrzał, dławiąc się, a potem legł bez ruchu z oczami utkwionymi w pustkę.

Felix gapił się oszołomiony, gdy Gotrek przeszedł ponad swoim martwym przyjacielem. Na Sigmara – pomyślał. Cóż Zabójca uczynił?

– Nie patrz tak na mnie, człeczyno – warknął Gotrek spiętym głosem. Ukrył w twarz w jednej masywnej, okrwawionej dłoni. – Albo zabiję cię na miejscu!

Felix cofnął się, wstrząśnięty i odwrócił. Wyciągnął z plecaka swoją apteczkę, pozwalając Gotrekowi pograć się w żalu. Sam opatrzył swoje rany, próbując zrozumieć, co się stało. Gotrek zabił krasnoluda! Hamnira! Swojego przyjaciela! Nie czekając, nie dając mu czasu na oprzytomnienie. Wyobraźnia Felixa odtwarzała tę scenę raz po raz.

Skąd Gotrek mógł wiedzieć czy Hamnir odzyska rozum, czy nie? Co takiego powiedział Hamnir, co zabrzmiało nie tak? Gdzie popełnił błąd?

Po długiej przerwie Gotrek wstał niepewnie. Jego lewe ramię było czerwone od barku po dłoń.

– Dobrze – powiedział przez ściśnięte gardło. – Skończmy to.

Wyciągnął bandaż z plecaka Galina i zaczął owijać je wokół rozciętego ramienia, podchodząc do drzwi, przez które wcześniej wszedł Hamnir. Krawędzie drzwi pokryte były tymi samymi prastarymi symbolami ochronnymi, które znaczyły zewnętrzne wejście. Felix był już pewien, że zostały umieszczone, aby zatrzymać coś w środku i zaczynał rozumieć, czym to coś było.

Twarz Zabójcy wyglądała na martwą i zimną. Felix nigdy nie widział Gotreka w takim stanie. Chciał go zapytać o Hamnira, ale bał się, że jeśli to uczyni, krasnolud go zabije. Utrzymał język za zębami i ruszył.

Gdy dotarli do drzwi, przytłaczający strach i rozpacz znowu wezbrały w Felixie, jeszcze silniejsze niż poprzednio. Skoro Śpiący potrafił zdominować umysł krasnoluda takiego jak Hamnir, jakie szanse miał człowiek? A co się stanie, jeśli podbije umysł Gotreka? A może już to zrobił? Jeśli zdecydował, że Gotrek będzie lepszym sługą niż Hamnir? Czy to dlatego Zabójca zabił swego przyjaciela? A może Gotrek w końcu zwariował i nie potrafi odróżnić wroga od przyjaciela? Felix miał ochotę salwować się ucieczką, ale bardziej bał się rozstania z Gotrekiem niż tego, że krasnolud go zabije.

Schodzili krótkim korytarzem, potem wspięli się po płytkiej rampie ku szerszemu, rozszerzającemu się stopniowo. Chorobliwe, trupie lśnienie stawało się mocniejsze z każdym krokiem, a nozdrza zapychał wędrowcom gęsty odór skwaśniałego mleka. W jednej ze ścian krętego korytarza widniał szereg otwartych przejść, przez które wpadało słabe światło. Felix zajrzał do najbliższego, zakrztusił się i cofnął. Gotrek wszedł do środka tuż za nim.

Trzy czwarte wielkiej komory wypełniało od podłogi do sufitu coś, co przypominało Felixowi przejrzystobiałą budyń – budyń, który stał o wiele za długo. Z tej napęczniałej, galaretowatej substancji emanował blady, fosforyzujący blask. Była także źródłem wszechobecnego smrodu. W jej mlecznej głębi pobłyskiwały zielone smugi. Przypominające liny macki wystawały z masy i leżały na podłodze, długie i zwiotczałe. Pulsowały powolnym życiem. Rakowate wola i dziwne narośle wykwitwały z nich jak rosnące drożdże, a gęste, białe rzęski porastały powierzchnię masy niczym sierść.

Poprzez mętną substancję Felix dostrzegł drzwi po drugiej stronie komory. Przed nimi leżały rozbite szczątki kamiennych wrót, całkowicie zakopane pod zimnym cielskiem. Wyglądało to tak, jakby ohydna masa wyważyła drzwi i urosła, wypełniając pokój.

Felix zakrył usta, chroniąc się przed smrodem.

– Co to takiego? – spytał przez palce, usiłując powstrzymać wymioty.

Gotrek podszedł do wydętej białej masy. Szturchnął ją końcem buta. Zadrżała jak galareta. Rzęski wokół punktu, którego dotknął Gotrek zafalowały. Jak pole zboża na wietrze.

Ruszyli dalej. Następne pomieszczenie także było pełne przezroczystej masy, wypełniającej ściany komory jak materac wypchany smarkami i wciśnięty do zbyt małej komody. Białe macki snuły się po podłodze niczym senne węże; po drugiej stronie widać było kolejne rozbite drzwi.

Gotrek i Felix szli zakrzywiającym się korytarzem, mijając pokój za pokojem, wszystkie wypełnione obrzydliwą galaretą z mackami. Felix zaczął zdawać sobie sprawę, że korytarz miał kształt wielkiego pierścienia. W połowie jego obwodu doszli do drugiej rampy. Ta opadała pod kątem, prowadząc pod środek okręgu.

Trupi poblask był tu silniejszy. Gotrek natychmiast ruszył w dół rampy. Felix zawahał się, czując jak irracjonalny strach skuwa lodem jego żyły. Zmusił się do marszu. Wiedział, że jeśli się zatrzyma, nigdy nie zdoła ruszyć ponownie.

Na dole rampy znajdował się kolejny masywny, trapezoidalny otwór. Jego brzegi otaczała chorobliwa, zielona poświata. Gotrek i Felix podeszli do przejścia, po czym weszli, krztusząc się od smrodu. Felix ponownie zakrył usta i zmusił się do uspokojenia żołądka. Odór był obezwładniający, ale nie to było najgorsze.

Patrzyli w głąb niskiej, okrągłej komnaty. Podłogę zawałał gruz z czarnego bazaltu. Sufit – Felix aż cofnął się na ten widok. Chciał wymiotować, uciekać. Sufit stanowiło to samo galaretowate cielsko, które wypełniało pokoje powyżej. Jego ciężar zawalił pierwotne sklepienie i masa zwisała niczym spód brudnego baldachimu nad łóżkiem, przez co niska komora wydawała się niemal przytłaczająca.

A pośrodku tej masy, przypominając obumarły pancerz jakiejś niewiarygodnie wielkiej modliszki, zwisał bezwładnie Śpiący.

Felix nie miał żadnej wątpliwości, że była to istota, którą przyszli zabić. Nie mogła być niczym innym. Całkowicie nieruchoma, ze zwieszoną głową i opuszczonymi kończynami – spała. Felix mógłby pomyśleć, że jest już martwa, gdyby nie aura strachu i szaleństwa, którymi emanował stwór. Jak lodowiec zimnem.

Musiał to być niegdyś jakiś rodzaj owada, ale czas, uwięzienie i, być może, mroczny pakt z Niszczycielskimi Potęgami zmieniły go w coś nieskończenie bardziej plugawego. Przezroczysta skorupa była biała i nawoskowana, jakby pokryta łojem. Felix dostrzegał przez nią białe, nakrapiane mięśnie i paskudny płyn wypełniający szkliste żyły. Osiem długich, ostrych odnóży wyglądających jak szklane szable zwisało pod kolczastą, okrytą pancerzem głową z dziesięciorgiem owadzych oczu i gęstwą ohydnych szczękoczułek. Grube, przypominające bicze, czułki wyrastały ponad kolczastym czołem.

Cienki, owadzi odwłok był w jakiś sposób przyczepiony do galaretowatego sklepienia, ale w pierwszej chwili Felix nie zrozumiał w jaki. Czy wisiał na nim na modłę nietoperzy? Czy był w jakiś sposób uwięziony? A potem, wstrząsany nową falą nudności, zrozumiał. Galareta była ciałem insekta! Wielka cielesna masa, która zarosła każdy pokój wzdłuż okrągłego korytarza i która stała się tak ciężka, że zawaliła kamienny sufit, stanowiła wydęty odwłok istoty! Gotrek i Felix nie zbadali wszystkich zakątków tej krypty. Bogowie tylko wiedzieli, jak wiele innych pokojów wypełniało cielsko. Felix przełknął z trudem ślinę, gdy zdał sobie sprawę, że być może spogląda na największe żyjące stworzenie na świecie.

Z nabrzmiałego sufitu zwisały także inne rzeczy – połyskujące, przezroczyste worki podwieszane na końcach biegnących do nich pępowin. Felix rozpoznał w nich pakowane przez orki do skrzyń poczwarki, które widzieli wcześniej. W ich wnętrzu znajdowały się blade, kanciaste istoty o długich

przednich ramionach i pięciu parach owadzych oczu. Dzieci Śpiącego. Armageddon.

Gdy weszli do okrągłej komory, Śpiący nie odwrócił głowy ani inaczej nie zareagował na ich obecność. A jednak Felix bardziej bał się do niego zbliżyć niż do jakiegokolwiek innej istoty z krwi i kości, z jakimi się mierzył. Sparaliżował go wszechogarniający strach. Nie był w stanie wykonać następnego kroku.

Gotrek nie zatrzymał się, ale zwolnił, pochylając się w przód i z wysiłkiem stawiając stopy, jakby parł na przekór potężnej zamieci.

– Walcz z tym, człeczyno – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Już nie ma sług. Używa ostatniej broni, jaka mu została.

Felix nie mógł się ruszyć. Jeśli zbliży się bardziej, istota wyżre mu mózg. Wiedział to. Już zaczęła go pożerać. Jeśli nie ucieknie, skończy tak, jak inni – jako bezmyślny niewolnik posłuszny woli jakiegoś spaczzonego przez Chaos insekta. To wszystko będzie winą Gotreka – znów zaciągnął go w miejsce pewnej śmierci.

– Sam sobie walcz – splunął. – Jesteś Zabójcą! Czy zawsze ja muszę toczyć twoje walki za ciebie?

Gotrek spojrział na niego przez ramię.

– Ty toczysz za mnie moje walki? Ha! Dobry żart. Połowa walk, które toczę, jest tylko po to, żeby ocalić twoją żalną skórę! Na Grimmira, co za słabeusz! Dlaczego wybrałem człowieka na spamiętywacza? Krasnolud potrafiłby o siebie zadbać!

Felix zachłusnął się wściekłością, która wypełniła jego serce.

– Słabeusz? Nazywasz mnie tak po tym wszystkim, przez co z tobą przeszedłem – i to z powodu pijackiej przysięgi, której nigdy nie powinienem był złożyć!

Gotrek odwrócił się do niego, zapominając o Śpiącym.

– A ja nigdy nie powinienem ci tego proponować! Na moich przodków! Dwadzieścia pięć lat podróży z zasmarkanym słabeuszem, zbyt słabym nawet, aby utrzymać własny ciężar na nogach! Zmuszony, aby co drugi krok odwracać się i wyciągać twój chudy tyłek z kłopotów! Wysłuchujący: „to nie jest rozsądne, Gotrek” i „może nie powinniśmy tego robić, Gotrek” – brzęczących w moich uszach niczym przeklęty komar. Nie mam pojęcia, dlaczego nie poderżnę ci na miejscu gardła, żebyś wreszcie się zamknął!

– Myślisz, że podróże z tobą to była uciecha? – zawołał Felix. Jego szyja pulsowała gniewem. – Obrażany i ignorowany każdego dnia przez ćwierć stulecia przez małego, ponurego brutala, który nie darzy dobrym słowem nikogo! Nie przypominam sobie ani jednego przypadku, żebyś mi podziękował albo pochwalił za dobrą robotę. Zawsze jest tylko: „zamknij się, człeczyno” oraz „z drogi, człeczyno” i „łap za sakwy, człeczyno”. – Zaciśnął pięści. – Gdy pomyślę sobie o życiu, jakie mógłbym mieć, gdybym nie przysiągł wlec się za twoim paskudnym tyłkiem przez świat, dopóki wreszcie nie zostaniesz zabity! Nie masz nawet dość przyzwoitości, żeby szybko umrzeć, jak większość Zabójców.

– Dzięki mnie widziałeś więcej świata niż dowolna setka ludzi w Imperium! – ryknął Gotrek. – I narzekasz na to? Na topór Grungniego! Dlaczego nie pogodziłem się z Hamnirem i nie poprosiłem, żeby był moim spamiętywaczem! On przynajmniej był krasnoludem, a nie słabeuszem na szczytach!

– I znowu ten słabeusz – Felix położył dłoń na rękojeści miecza. – Nazywasz mnie słabym, podczas gdy nadal tu jestem, a twój tak mocny, krasnoludzki przyjaciel Hamnir leży martwy? Kto tu jest słabeuszem?

Twarz Gotreka zbieleła. Jego jedyne oko lśniło zimną furią.

– Obrażasz zmarłego? Umrzesz za to.



– Ja go obraziłem – parsknął Felix – TY go zabiłeś.

Ze wściekłym rykiem Gotrek skoczył chwiejnie w stronę Felixa, tnąc trzymanym w jednej ręce toporem. Felix uskoczył, sapiąc i wyciągając miecz. Poczł powiew topora muskający jego policzek.

Przerażenie ukłuło go w serce niczym sopel lodu. Na Sigmara, co on zrobił? Gotrek go atakował! Topór, który zabijał demony i olbrzymy, uderzał w jego kark!

Cofnął się, parując rozpaczliwie. Gotrek kuśtykał za nim. Runy na toporze rozmazywały się w powietrzu. Każdy cios niemal wybijał miecz z rąk Felixa. Człowiek żył nadal tylko dlatego, że Gotrek walczył jedną ręką i był osłabiony na skutek ran i utraty krwi.

Felix przeklinał się w duchu, gdy runiczny topór migał obok niego, o centymetry od skóry. Cóż za szaleństwo kazało mu tak rozjuszyc Zabójcę? Czy stracił rozum? A potem dotarło do niego, że inspiracja, być może, pochodziła spoza jego umysłu. To była sprawka Śpiącego. To on poszczuł ich na siebie jak psy. Bronił się, sprawiając, że walczyli ze sobą, zamiast razem, przeciwko niemu.

– Gotrek! – zawołał, gdy krążyli wokół siebie. – Stój! To Śpiący. Zmusza nas do walki! Siedzi w naszych głowach!

– Próbujesz podstępem zmusić mnie do opuszczenia gardy? Ha! – Gotrek uderzył bezlitośnie na Felixa, spychając go w głąb komnaty.

Felix swoim lewym ramieniem odbierał intensywnie obecność Śpiącego, bowiem cofając się, zbliżył się do niego. Czuł mrowienie na skórze.

– Gotrek, zaklinam cię, walcz z tym! – krzyknął. – Co się stało z twoją nieugiętą krasnoludzką wolą? Walcz z tym!

Cięli i rąbali dokładnie przed stworem, krążąc powoli niczym gladiatorzy walczący dla jego uciechy. Bogowie! Dlaczego Gotrek go nie słuchał? Jak śmiał oskarżać Felixa o słabość, a potem poddać się mocy Śpiącego? Skoro nie chce posłuchać, Felix będzie musiał wbić mu to do łba. Albo odetnie łeb Zabójcy i wykrzyczy mu to prosto w gardło.

– Uparty głupcze! Dam ci nauczkę! – Felix wymierzył w opuchliznę na źle opatrzonym ramieniu Gotreka.

– To ty potrzebujesz nauzki, długonogi! Powiadasz, żeś lepszy od krasnoluda! – wymierzył cięcie w głowę Felixa, które przecięłoby ją na pół, gdyby ten nie odskoczył. – Wybebeszę cię za tę bezczelność!

Felix zaklął. Nawet walcząc jedną ręką i ledwo stojąc, Gotrek był silniejszy i szybszy od jakiegokolwiek przeciwnika, z którym mierzył się Felix. Ale Zabójca chwiał się niepewnie na nogach. Jeśli Felix zdoła go przewrócić, będzie mógł go wykończyć. Kontynuował ruch w prawo po okręgu, próbując znaleźć się po słabszej stronie Gotreka.

Gotrek krążył wraz z nim.

– Wypatroszę cię jak królika! – ryknął, unosząc topór nad głowę. Potknął się na odłamku skały. I zachwiał, tracąc równowagę.

Otwarcie! Felix skoczył naprzód, pchając w ranną nogę Gotreka. Krasnolud opuścił swój topór, z oszałamiającą prędkością wybijając człowiekowi miecz z rąk, a potem kopnął go w brzuch.

Felix poleciał, puszczając miecz, i rąbnął w Śpiącego. Jego ręce zaplątały się w kościste odnóża. Tyłem głowy uderzył między rzędy jego oczu. Stwór zadrżał, budząc się i sycząc. Klekotał szczękami.

– Rozrąbię cię na pół! – ryknął Gotrek i rzucił swój topór prosto w głowę Felixa.

Felix krzyknął i przerażony rzucił się na ziemię. Topór zawirował nad jego głowę, poruszając włosy; odrąbał Śpiącemu jeden z czuików.

Śpiący zaskrzeczał, siekąc odnóżami i trzaskając szczypcami. Jedne z nich uderzyły Felixa w bark

i odrzuciły na drugą stronę komory. Felix stęknął z bólu pomieszanego z ulgą, lądując na podłodze. Jego umysł nagle stał się czysty. Cały bezmyślny szal minął. Rana rozproszyła Śpiącego.

Felix podniósł się na nogi. Gotrek rzucił się pod świergoczącą, bijącą odnóżami istotę i chwycił swój topór. Felix gapił się na niego. Gotrek odwrócił się.

– Ty... Ty...

– Nie teraz, człeczyno – wystękał Gotrek, wstając. – Zabij to.

Zabójca, kulejąc, ruszył od tyłu na Śpiącego. Stwór kręcił się i zwijał we wszystkie strony, usiłując odwrócić się do niego, ale w miejscu utrzymywał go gargantuiczny odwłok. Nie mógł się ruszyć we własnej obronie.

Gotrek uśmiechnął się dziko, szykując się do mordy. Felix stanął i podniósł swój miecz. Gdy z jego głowy zniknęła plugawa obecność obcej istoty, Śpiący przestał wydawać się jakimkolwiek zagrożeniem. Prawdę mówiąc, był żaloszny i bezbronny na skutek własnych mutacji.

Coś długiego i białego upadło za Felixem. Odskoczył instynktownie. To coś przypominało gruby jak ręka glut wyciekający z nosa olbrzyma. Inny upadł tuż przed nim. Gęste krople wyginały się w jego stronę niczym ślepe węże. Ich skóra wzmacniała się i robiła coraz grubsza. Wyrastały z nadętego odwłoku Śpiącego!

Pierwszy rozdzielił się na końcu jak otwierający się kwiat i Felix dostrzegł zęby oraz purpurowy język. Drugiemu wyrosły hakowate kolce i przyssawki jak u ośmiornicy. Oba skoczyły naprzód.

Felix siekł tego z ustami, rozcinając go. Z wnętrza buchnął gęsty, cuchnący płyn, który wyciskał łzy z oczu. Kolejne dwa gluty opadały wokół niego.

– Gotrek!

Gotrek był okrążony przez pięć smarków. Rozciął na pół trzy z nich, lecz cztery kolejne opadły na ziemię tuż obok niego. Jeden owinał się wokół jego poranionej nogi. Inny chwycił go za kark. Próbowaly odciągnąć go od Śpiącego.

– Przekłęte przez Chaos ścierwo! – ryknął Gotrek.

Felix przebił się przez dwie następne wypustki, ale kolejny farfocel złapał go wpół i oderwał od ziemi. Felix ciął mieczem zza głowy i rąbnął o podłogę, przeciąwszy stwora. Wylądował w kałuży szarego śluzu.

Odcięte macki bryzgały z ran gęstymi strumieniami ściekającej na podłogę cieczy. Cuchnęło nieprawdopodobnie. Felix podskoczył, próbując strząsnąć to coś ze swoich dłoni i niemal upadł ponownie. Bazaltowa posadzka była śliska.

Okrągła komora stała się nagle lasem rozchwianych, oślizgłych białych macek. Wszystkie sięgały ku walczącym. Nie były trudne do ścięcia, ale było ich zbyt wiele. Jedna z macek, o paszczy minoga, ugryzła Felixa w tył nogi. Wrzasnął i rozrąbał ją, ale inna podrapała jego twarz brzegami ostrymi jak pokruszone szkło.

Siekł we wszystko, co mu weszło pod rękę, ślizgając się i obracając w szaleńczej wściekłości. Po drugiej stronie Śpiącego Gotrek robił to samo, ale z każdą sekundą z wydętego sufitu wyrastały nowe czułki, a ponad czterdzieści już rozciętych glutów wylewało paskudną maź na podłogę. Cuchnący śluz sięgał kostek. Gdy Felix cofał się przed trzema nibynóżkami, trafił pod prysznic śluzu, który uwalniał go od stóp do głów i przykleił mu włosy do czaszki. Zadławił się, gdy ciecz dostała się do oczu i nosa.

Załamany Felix załkał, ocierając oczy. To było beznadziejne. Bez względu na to, jak wiele macek zetnie, ciągle będzie ich przybywać. Nigdy nie osiągną Śpiącego, nie zabiją go. Macki rozedrą ich na strzępy. Powinien po prostu odrzucić swój miecz i...

Zamarł. To znowu było w jego głowie, próbując odzyskać kontrolę. Otrząsnął się, wściekle

przeklinając stwora z każdym cięciem miecza. A potem odwrócił się i ruszył w stronę bestii, noga za nogą, przez jezioro smarków. Nie pozwoli, by odwróciła jego uwagę. Nie zdoła ponownie zająć jego umysłu!

Gotrek także, przynajmniej chwilowo, odzyskał swobodę i rąbał macki szybciej niż się formowały. Gdy sunął w stronę istoty, odrąbane końce trzech z nich dyndały uczeplone zębami jego rąk i nóg, a ociekająca śluzem grzywa zwisała mu nad twarzą niczym czerwony, mokry mop.

Śpiący zaświergotał z rozpaczą i na drodze Zabójcy zaroilo się od macek, ale Gotrek nie zamierzał się zatrzymywać. Ściął sześć z nich, a potem rąbnął potwora w twarz. Bestia uderzyła swoimi szklistymi odnóżami, lecz runiczny topór przebił się przez dwa z nich na wysokości stawów.

Śpiący zaskrzeczał ogłuszającym, owadziim jękiem i uderzył w Gotreka zakończoną szczypcami nogą. Gotrek spróbował zablokować cios, ale któraś z wypustek złapała go za nadgarstek i nie zdołał dobrze wymierzyć toporem. Na piersi krasnoluda pojawiła się szkarłatna rana. Krew połączyła się ze śluzem i zabarwiła czerwienią tors.

Gotrek odwrócił się, aby ściąć mackę i w tej samej chwili druga noga Śpiącego uderzyła go w tył głowy. Zachwiał się i prawie upadł.

– Zostaw je! – zawołał Felix, gdy wreszcie dotarł do środka pomieszczenia. – Ja je załatwię!

Gotrek nic nie powiedział, tylko skupił całą uwagę na Śpiącym, podczas gdy Felix ciął przez smark, który trzymał jego rękę i ścinał wszystkie, które nawinęły się pod miecz. Wydawało się, że są ich setki. Wszystkie miały mutacje i wszystkie stanowiły projekcję rozchwianego umysłu.

Gotrek rzucił się na Śpiącego z całą mocą, ale stwór nadal dysponował sześcioma odnóżami przeciwko jednemu toporowi i blokował ataki. Po każdym ciosie sypały się z niego kawałki przezroczystej chityny. Gotrek odrąbał mu kolejną nogę i uchylił się, gdy Śpiący zamachnął się nad jego głową.

Felix wirował niczym derwisz, ścinając mackę za macką, ale tempo wciąż było zbyt wolne. Zaśmiał się gorzko do siebie. Łatwo było powiedzieć, że obroni Gotreka przed wypustkami, ale kto miał obronić przed nimi jego samego? Szybko słabł. Śluz sięgał już ludzkich kolan, czyli niemal na wysokość bioder Gotreka, i Felix czuł się tak, jakby zapadał się w bagno. Co gorsza, sklepienie z nadętego odwłoku obniżało się, jakby pęczniejąc. Felix ciągle uderzał o nie głową. Jeśli nie zostaną rozerwani na części albo utopieni, istniała realna szansa, że Śpiący zgniecie ich na śmierć. Felix przerąbał się przez dwie, pokryte przyssawkami, macki, które owinęły się wokół jego nóg. A potem ściął trzy kolejne, które sięgały ku Gotrekowi. Miecz ciążył mu w dłoni. Jakiś smark chwycił go za lewą kostkę, inny ugryzł go w prawy biceps, a zbliżało się ich coraz więcej.

Gotrek ciął w odnoże Śpiącego po prawej stronie odwłoka. Stwór zablokował drugą nogą i stracił ją, odrąbaną toporem. Zabójca rzucił się naprzód, atakując, ale nagle zatrzymał się, jęcząc z bólu. Śpiący chwycił go w pasie lewą parą szczypiec, uniósł nad ziemię i mocno ścisnął. Gotrek chwycił za kleszcze wolną ręką, próbując uniknąć rozcięcia na dwie połowy. Uniósł swój topór, ale prawe szczypce złapały za trzonek broni i próbowały wyrwać mu ją z ręki. Zabójca zawył z wściekłości i bólu.

– Trzymaj się! – zawołał Felix.

Ruszył naprzód, przecinając trzy macki. Trzy inne trzymały go mocno, a kolejne dwie wyciągały się do niego. Śpiący unosił szamoczącego się Gotreka w stronę ostrych jak brzytwy szczęk. Zabójca nie mógł puścić szczypiec, żeby użyć obu rąk i oswobodzić swój topór. Ryzykowałby przecięcie na pół. Nie mógł też puścić topora, aby obiema rękami rozewrzeć kleszcze, ponieważ straciłby broń.

Felix zawył i, siekąc wokół siebie, ściął pół tuzina macek. Jednak jeszcze więcej wciąż go trzymało. Oswobodził ręce i rzucił się w stronę Śpiącego, uderzając resztką sił, podczas gdy

wypustki wokół jego kostek próbowały go zatrzymać.

Cios dotarł do celu! Sam koniec jego miecza trafił w przegub szczypiec, które ścisnęły topór Gotreka.

Runął twarzą w śluz i znalazł się pod jego powierzchnią. Czy mu się udało? Czy to wystarczyło? Czy Śpiący wypuścił krasnoluda?

Desperacko wygramolił się z lepkiej mazi, kaszląc i ocierając ze śluzu oczy, w samą porę, by zobaczyć jak Gotrek, z gardłowym rykiem triumfu, zatapia runiczny topór między dwojgiem największych ślepi Śpiącego.

Potwór zaskrzeczał i zadrżał, spazmatycznie młóćąc nogami. Wszystkie macki w komorze walczyły i wiły się niczym przebite węże. Gotrek został odrzucony wzdłuż pomieszczenia i grzmotnął o ścianę. Rozwścieczone czułki zasypały Felixa ciosami. Jego głowę wypełniło wściekle, owadzie świergotanie tysiąca oszalałych świerszczy, a pod powiekami zalśniły obrazy jak z przerażającego kalejdoskopu. Obrazy krwi i zniszczenia oraz czarnych komór wypełnionych milionami insektów wielkości drabiniastego wozu, które pełzały jeden po drugim. Bił i kopał w grzęzawisku śluzu, krzycząc i przyciskając do uszu dłonie. Jego serce łomotało, a żołądek podchodził do gardła. Gotrek chwiejnie stanął na nogi, również ściskając rękami głowę, krzywiąc się i wyjąc.

Felixowi wydało się, że cały świat się trzęsie. Czy działo się to tylko w jego głowie? Kawał bazaltu runął w dół za jego plecami, wzbijając gęsty rozbryzg śluzu. To się nie działo w jego głowie.

– Uciekaj, człeczyno! – zawołał Gotrek.

Felix stanął na nogi i chybotając się, jak pijany ruszył przez gęstwą szamoczących się macek w stronę Gotreka. Wielkie bloki kamienia zaczęły walić się wszędzie wokół nich. Mentalny szturm Śpiącego nadal uderzał w ludzki umysł. Obrazy nakładały się na inne obrazy, każdy był jeszcze bardziej chaotyczny i niezrozumiały od poprzedniego: podziemne owadzie miasta w jaskiniach, wielkie piramidy z czarnego bazaltu, niewolnicze armie – włochaci, pierwotni ludzie o grubych brwiach, którzy kopali, budowali i sprząkali po swoich chitynowych panach, trzęsienia ziemi, powstania niewolników, zawaliska podziemne, zabójstwa, cesarz owadów zawiązujący pakt z istotami starszymi nawet od niego, pakt, który dał mu nowe moce, zapewnił zwycięstwa, skarby, boskość. Potem pojawiły się zazdrość, zdrady, inwazja białych mieszkańców powierzchni, bitwy, porażki, kryjówka w świątyni, do której niegdyś przychodzili inni, aby go czcić, mieszkańcy powierzchni, którzy zamknęli ją zaklęciami i pieczęciami, czekanie, wzrastanie, czekanie...

Gotrek i Felix wbiegli po rampie do okrągłego korytarza, który do połowy był już zasypany gruzem. Białe macki uderzały z otwartych drzwi, a oni biegli i uchylali się przed nimi. Gdy wielka, galaretowata masa drżała i dygotała, pękały ściany. Psychiczny krzyk Śpiącego narastał, tracąc wszelkie pozory spójności, aż stał się tylko ogłuszającym, oszalamiającym krzykiem szału, agonii i prastarej nienawiści.

Wielki kawał czarnej skały runął, mijając ich o centymetry. Felix uskoczył, Gotrek obiegł głaz i obaj rzucili się w stronę rampy, skacząc i przetaczając się do sali poniżej. Z rykiem równym trzęsieniu ziemi komory Śpiącego zapadły się w siebie.

Wraz z upadkiem skał świadomość Śpiącego zniknęła, zostawiając po sobie niewyraźne echo. Felix był zbyt przerażony, by to zauważyć. Leżał skulony w dole rampy, okrywając głowę ramionami. Spodziewał się, że lada chwila zwali się na niego sklepienie.

Po chwili grzmoty i wstrząsy ustały i wszystko znieruchomiało. Felix powoli rozprostował się, mrugając oczami i potrząsając głową. Gotrek także siedział wyprostowany, uciskając skronie i jęcząc.

Po kilku chwilach, strawionych na próbach łapania oddechu, Felix spojrzał pustym wzrokiem na

Zabójcę.

– Próbowalesz mnie zabić – powiedział.

– Co? – odparł Gotrek. – Nigdy. To ty próbowałeś zabić mnie.

– Tylko dlatego, że nie przestawałeś próbować mnie zabić! – zawołał Felix. – Nie możesz zrozumieć? To był Śpiący. Zmuszał cię do walki ze mną.

– Och, wiedziałem.

– To dlaczego nie przestałeś?

Gotrek zmarszczył czoło i opuścił wzrok, zaciskając gniewnie pięści.

– Nie mogłem. Stwór był cholernie silny. – Otarł dłońmi uwalaną śluzem twarz i westchnął. –

Nie winię teraz tak bardzo Hamnira. Ja sam mogłem przełamać napór Śpiącego, tylko się poddaję.

– Przełamać napór? Nie przełamałeś jego naporu.

– Zniknął z naszych głów, kiedy go trafiłem, prawda?

– Trafiłeś go przez przypadek.

Gotrek potrząsnął głową i stanął na chwiejnych nogach.

– Nie mogłem przestać cię atakować, bez względu na to, jak bardzo się starałem. Ani zwrócić mego topora przeciwko niemu. Był na to o wiele za silny. Ale mogłem ustawić ciebie między mną a nim. – Wzruszył ramionami. – Wiedziałem, że się uchylisz.

Felix zamrugnął i poderwał się niepewnie na nogi. Krew się w nim zagotowała.

– Wiedzałeś, że ja... Ty... Ale... A co, gdybym się nie uchylił?!

Gotrek skrzywił się i wytarł śluz z topora najlepiej, jak umiał.

– A jaki miałem wybór?

Felix otworzył usta, chcąc się kłócić, ale zabrakło mu języka w gębie. Gotrek wsunął runiczny topór za pas i odwrócił się.

– Chodź.

Przeszli korytarzem do pokoju z dziurą pośrodku i zatrzymali się przy ciele Hamnira.

Felix przełknął łzy, spoglądając w spokojną po śmierci twarz księcia, a potem na jego pierś.

– Skąd... Skąd wiedzałeś? – zapytał. – Skąd wiedzałeś, że nie oprzytomniał? Że nie oprzytomnieje później?

– Wiedziałem – odparł Gotrek. – To było w jego oczach. Spędził zbyt długi czas z tym czymś na karku. Nie mógł powrócić.

– Ale...

– Nie mógł powrócić! – powtórzył ostro Gotrek, wsunął ramiona pod ciało Hamnira i uniósł go. Ruszył w stronę wyjścia.

Felix patrzył za nim. Być może śmierć Śpiącego mogłaby zakończyć jego władzę nad krasnoludzkim księciem. Jego wypaczający wpływ mógł umrzeć wraz z nim. Może Hamnir powróciłby do siebie wraz ze śmiercią istoty. Chciał to powiedzieć, lecz nie mógł się zmusić do otwarcia ust. Szedł za Gotrekiem, zmagając się w głębi serca sam ze sobą.

W połowie tunelu, który prowadził do kopalni Gotrek odchrząknął.

– Powiesz Gorriłowi, że Hamnir umarł dobrze, walcząc z zielonoskórymi w obręczach. Tak będzie najlepiej.

– Nie chcesz, żebym mu powiedział, że go zabiłeś?

– Nie chcę, żeby wiedział, że on... Że się zagubił.

– Dlaczego ty mu tego nie powiesz? – spytał Felix.

– Ja nie kłamię.

– A ja tak? – Felix poczuł się obrażony.

– Ty piszesz sztuki, prawda?

Felix na końcu języka miał już ostrą ripostę, ale zmilczał. To mu się nie podobało, choć faktycznie, może tak było lepiej. Ostatnią rzeczą o jakiej potrzebowały dowiedzieć się znękanie krasnoludy z Karak Hirn był fakt, że ich księżę został zdradzony przez kogoś z jego własnej rasy. A zadaniem poetów i dramatopisarzy zawsze było piękne opisywanie śmierci bohaterów.

– Dobrze, zatem. Powiem mu to.

## Rozdział 26

Gotrek porąbał toporem wszystkie poczwarki w pokoju, w którym pakowały je orki i dla pewności podłożył ogień pod skrzynkami. Gdy pomieszczenie zaczął wypełniać dym, odwrócili się i ruszyli w górę kopalni.

Felix patrzył z rosnącą rozpaczą na orki, które mijali. Bał się, że powrót do twierdzy będzie koszmarem – unikaniem wściekłych gobasów, które powrócą do swej zwykłej dzikości, gdy jarzmo złego wpływu Śpiącego zostanie z nich zdjęte. Rzeczywistość była jeszcze gorsza. Mijane orki stały bezmyślne i zagubione, gapiąc się przed siebie, z bronią i narzędziami wiszącymi bezwładnie w ich rękach. Nawet gdy Gotrek i Felix natrafili na cztery z nich w wąskim korytarzu – wyszli prosto na nie, mijając narożnik – orki nie zrobiły nic, tylko machały ku nim leniwie niczym śpiące niedźwiedzie. Gotrek przepchnął się między nimi, jakby to były meble, warcząc głucho z głębi gardła. Nie ruszyły za nim.

Wreszcie, po powrocie krętymi schodami ze skarbcza króla Alrika i przejściu przez puste hale Karak Hirn, przybyli do siedziby klanu Diamentowych Mistrzów. Gorril stał tuż pod drzwiami, doglądając pracy krasnoludów, które wrzucały stosy pozbawionych głów nieumarłych orków na wozy i wywoziły je.

– Gurnisson! – zawołał na ich widok. – Mielismy nadzieję, że ci się powiedzie! Ostatnie z ożywionych ciał padły nagle martwe jakąś godzinę temu... – Urwał, gdy zobaczył brzemię Gotreka. – Czy on... On jest...

– On nie żyje – powiedział Gotrek.

– Umarł dobrze – dodał Felix, pamiętając swoją kwestię. – Na dole było więcej zielonoskórych z obręczami, którzy bronili Śpiącego. Powalił dwa z nich. Dwa inne zabiły jego. Umarł, aby powstrzymać szerzenie się wśród twierdz Chaosu i zepsucia. – Co w końcu było w pewnym sensie prawdą.

– A czy wy zabiliście Śpiącego?

– Aye – odparł Gotrek. – Jest martwy.

– A zatem, nie umarł na próżno. – Gorril wziął ciało Hammira z rąk Gotreka. Mięśnie drgały na jego twarzy. Inne krasnoludy zebrały się wokół, chyląc głowy przed umarłym księciem. Gdy poniósł Hammira do siedziby klanu, krasnoludy ruszyły za nim, a jeszcze więcej przyszło do centralnej sali, aby w grobowej ciszy patrzeć, jak Gorril układa go na podstawie posągu jakiegoś prastarego, krasnoludzkiego patriarchy.

Gorril odwrócił się do zebranych krasnoludów ze łzami w oczach.

– Przyjaciele, nasz książę nie żyje. Będziemy go opłakiwali, jak przystoi bohaterowi, ale z tą tragedią łączy się triumf, bowiem dzięki swej śmierci uwolnił nas od koszmaru, który trzymał nas w swych szponach. Śpiący jest martwy. Twierdza jest nasza. Najgorsze już za nami.

– Jeszcze nie – powiedział Gotrek pod nosem.

– Co takiego? – spytał Gorril, odwracając się do niego ze zmarszczonymi brwiami. – Co chcesz przez to powiedzieć? Zabiłeś to. Jesteśmy wolni.

Gotrek westchnął i przepchnął się przez tłum ponurych krasnoludów do drzwi sali gildii szlifierzy.

– Otwórzcie je – powiedział.

Krasnolud wyciągnął klucz i otworzył zamek, a Gorril, Felix i pozostałe krasnoludy stanęły za nim. Drzwi rozchyliły się.

Krasnoludy z klanu Diamentowych Mistrzów odwróciły się w ich stronę, gdy padło na nich

światło z hali. Spoglądały pustym wzrokiem na swych pobratymców, a potem, unosząc broń w zaciśniętych dłoniach, powoli zaczęły posuwać się w ich stronę.

Gotrek wyciągnął zza pasa swój topór.

– Najgorsze jest jeszcze przed nami.

Gorril i inne krasnoludy jęknęły w rozpacz, a ostatnia, słaba nadzieja zgasła w sercu Felixa.

Po długiej chwili oszołomienia Gorril westchnął i otarł oczy. Wyprostował ramiona, chwycił swój topór i odwrócił się do pozostałych.

– Ruszajcie, synowie Karak Hirn – powiedział. – Czeka nas smutna robota.



# EPILOG

– Na ludziach północy pełno miecha – powiedział ogr. – Ale dziwnie smakują.

Ludzie sapnęli i odsunęli się od niego.

Krasnolud wyszczerzył się.

– Na Grungniego! Czy jest coś, czego wy, ogry, nie jecie?

Ogr zastanawiał się przez chwilę, pocierając swoje liczne podbródki.

– Nie sądzę – powiedział w końcu.

Felix słuchał jednym uchem. On i Gotrek maszerowali z grupą najemników, którzy zebrali się razem dla bezpieczeństwa podczas pokonywania Przełęczu Czarnego Ognia. Wszyscy kierowali się na północ, aby sprzedać swoje miecze i topory w Imperium, prowadzącym walkę przeciwko inwazji hord Chaosu. Przed nimi szła kompania tileańskich pikinierów, odzianych w jasną czerwień i złoto, a za nimi szło trzydziestu estalijskich kuszników w brązowych skórzniach. Wytwornie ubrani synowie granicznego księcia jechali obok w asyście dwudziestu lansjerów. Wszyscy dosiadali wielkich rumaków i powiewali barwnymi proporcami na końcach swych lanc. Dziesięć krasnoludów maszerowało powoli za ciągniętym przez kuce działem, dbając, by jego koła nie ugrzęzły w błotnistych, przysypanych śniegiem koleinach surowej drogi.

Gotrek w ogóle nie słuchał. Jego jedyne oko wpatrywało się przed siebie. Szedł z opuszczoną głową, nie zwracając uwagi na ludzi, krasnoludy i ogry. Zabójca miał najgorszy nastrój, odkąd dziesięć dni temu opuścili Karak Hirn, ale Felix nie dziwił się temu. Wydarzenia ostatnich tygodni mogły przygnębić najbardziej radosną osobę, a Gotrek, nawet w najlepszych czasach, nie był znany z wesołego usposobienia.

W pewien sposób fakt, że krasnoludy z klanu Diamentowych nie powróciły do siebie był błogosławieństwem dla psychiki Gotreka. To oznaczało, że uczynił słusznie, zabijając Hamnira – księżę nie odzyskałby zmysłów. Cóż to była jednak za pociecha! Wybicie zagubionych krasnoludów było najsmutniejszą bitwą, jaką Felix stoczył w swoim życiu. Ledwie podejmowały walkę. Patrzyły, mrugając na opadające topory niczym bydło czekające na rzeź. Trwało to tylko kilka chwil i wszystkie krasnoludy z oddziału Gorrila wyszły z tego bez najmniejszego zadrapania, ale Felix zastanawiał się czy kiedykolwiek się z tego otrząsną.

Myśl o straconych bliskich sprawiła, że Felix przypomniał sobie o rodzinie. Czy nadal żyli? Ostatnio sporo myślał o powrocie do domu i odpoczynku. Czy nadal ma dom, do którego może powrócić? Czy jego brat, Otto, nadal prowadzi rodzinny interes? A co z jego starymi przyjaciółmi i towarzyszami? Czy Max nadal żył? Heinz, gospodarz, który zatrudnił ich w Nuln? Snorri? Ulrica?

Felix poczuł w sercu ukłucie bólu, gdy o niej pomyślał. Jeśli żyła, to po której teraz walczyła stronie?

Wieści nadchodzące z Północy stanowiły mieszaninę plotek, trwożliwych pogłosek i pełnych nadziei zapewnień. Byli tacy, którzy twierdzili, że wojna dobiegła końca i opętani przez Chaos ludzie północy zostali zepchnięci z powrotem na Pustkowia. Inni mówili, że Altdorf stoi w płomieniach, a Karl Franz jest martwy. Nie było dwóch takich samych opowieści. Żadnej nie można było zaufać.

– Traciecie czas, jeśli myślicie, że dorwiecie się do walki – powiedział zuchwały artylerzysta z nulneńskim akcentem i przyciętym uchem skazanego złodzieja. – Wszystko się skończy w miesiąc. Archaon w tej właśnie chwili rozbija sobie łeb o mury Middenheim. Niedługo wypadnie mu mózg. Nikt nigdy nie podbił Fauschlagu, nikt.

– To dlaczego maszerujesz? – spytał ogr.

Artylerzysta wzruszył ramionami.

– Mnóstwo roboty po wojnie – powiedział. – I wiele przestępstw zapomnianych, gdy szeregi armii się przerzedzają.

Gotrek uniósł głowę, błyskając oczami.

– Lepiej niech to nie będzie koniec – mruknął pod nosem.

– Muszę splukać krasnoludzką krew z mego topora posoką Kurganów. – Uniósł broń i spojrzał ponuro na jej błyszczące stalowe ostrze. – Chociaż nigdy jej nie wystarczy.

On i Felix szli dalej w milczeniu, a przed nimi zachodzące słońce malowało północne niebo czerwienią głęboką jak krew.